

Orson Scott Card

Odrodzenie Ziemi

Earthfall

Przełożył:
Kamil Lesiew



*Shane'owi Bellowi,
dobremu przyjacielowi,
dobremu pisarzowi,
dobremu człowiekowi*

RELACJE RODZINNE

Dzieci urodzone w Basilice

Dzieci Rasy

z Volemakiem, pierwszy kontrakt: Issib (Issya)

z *Gaballufixem*: Sevet (Sevya), Kokor (Koya)

z Volemakiem, drugi kontrakt: Nafai (Nyef)

Dzieci Volemaka

z Hosni: Elemak (Elya)

z *Kilvishevex*: Mebbekew (Meb)

z *Rasq*: Issib (Issya) Nafai (Nyef)

Córki Moozha i Spragnionej

Hushidh (Shuya) Luet (Lutya)

Synowie Hosni

ze *Zdedhnoiem*: Gaballufix

z Volemakiem: Elemak

Dzieci urodzone w trakcie wyprawy

(dzieci płci żeńskiej wyróżnione kursywą)

Hushidh i Issib:

Dza (*Dazy*a), *Zaxodh* (*Xodh*ya), *Dushah* (*Shy*ada), *Gonets* (*Nets*ya), *Skhoditya* (*Khod*ya), *Shyopot* (*Pot*ya)

Luet i Nafai:

Chveya (*Vey*a), *Zhatva* (*Zhy*at), *Motiga* (*Mot*ya), *Izuchaya* (*Zuy*a); bliźniacy: *Serp* (*Sep*ya), *Spel* (*Spel*ya)

Kokor i Obring:

*Krasata (Krassya), Zhavaronok (Nokya), Pavdin (Pavya), Znergya (Gyaza),
Nodyem (Dyema)*

Sevet i Vas:

Vasnaminanya (Vasnya), Umene (Umya), Panimanya (Panya-Many)

Rasa i Volemak:

Oykib (Okya), Yasai (Yala), Tsennyi (Nitsya)

Eiadh i Elemak:

*Protchnu (Proya), Nadezhny (Nadya), Yistina (Yista), Peremenya (Menya), Zhivoya
(Zhivya)*

Lal i Mebbekew:

*Basilikya (Syelsika) (Skiya), Zalatoya (Toya), Tihhi (Tiya), Muzhestvo (Muzhya),
Iskusni (Skunya)*

Shedemei i Zdorab:

Padarok (Rokya), Dabrota (Dabya)

PROLOG

Główny komputer planety Harmonia nie był już do końca sobą; a raczej, jeśli spojrzeć na to inaczej, był sobą po dwakroć. Więcej niż sobą, skopiował bowiem swój główny program oraz całą osobistą pamięć i załadował je do zespołu komputerów na pokładzie gwiazdolotu „Basilika”. Gdyby choć trochę obchodziła go własna tożsamość, miałby nie lada dylemat w kwestii tego, która wersja programu jest nim. Jednak nie miał ego i dlatego po prostu uznał, że program na pokładzie „Basiliki” zaistniał pierwotnie jako dokładna kopia tego, który przez czterdzieści milionów lat nadzorował ludzkie życie na planecie Harmonia.

Od tej chwili dwie kopie działały odrębnie od siebie, zaczęły się różnicować. Miały teraz inne cele. Główny komputer gwiazdolotu „Basilika” miał dbać o system podtrzymywania życia i cały statek do czasu dotarcia do planety Ziemia. Potem miał w miarę możliwości nawiązać kontakt z Opiekunem Ziemi, uzyskać nowe wytyczne i wszelką pomoc, jaką Ziemia mogła zaoferować, i powrócić, by zasilić i ożywić główny komputer Harmonii. A w tym czasie miał zachować ludzką załogę przy życiu i, o ile to możliwe, ponownie osiedlić ludzką populację na Ziemi.

Główny komputer planety Harmonia miał o wiele prostsze zadanie, a jednak trudniejsze. Łatwiejsze, bo była to jedynie kontynuacja tego, co robił przez czterdzieści milionów lat - monitorowania ludzi na Harmonii i niedopuszczenia do tego, żeby pozabijali siebie nawzajem. Trudniejsze, bo jego wyposażenie, którego i tak używał oszczędnie, żeby służyło o wiele dłużej niż planowanych dziesięć milionów lat, ciągle się psuło, coraz częściej i częściej, a ludzie byli coraz mniej podatni na moce, którymi go obdarzono.

Podróż potrwa niemal sto lat w każdą stronę. Na skutek efektów relatywistycznych niektórym ludziom na pokładzie będzie się wydawać, że minie raptem około dziesięciu lat do chwili przybycia na Ziemię. Większość z nich będzie jednak utrzymywana w stanie hibernacji i podróż zda im się niezwykle spokojnym, bezsennym snem, podczas którego nawet się nie postarzeją.

Główny komputer planety Harmonia nie będzie się niecierpliwił. Nie będzie odliczał dni. Nastawi alarm, by powiadomić siebie, kiedy będzie można ustalić najbliższy możliwy termin powrotu „Basiliki”. Gdy tylko gwiazdolot wystartuje, aż do czasu uruchomienia się alarmu główny komputer planety Harmonia w ogóle nie będzie o nim myślał.

Ale główny komputer statku będzie myślał o komputerze Harmonii. I już w tej chwili

układał plany, aby osiągnąć wszystkie swoje cele.

CZEŚĆ I

JEŚLI OBUDZĘ SIĘ, ZANIM UMRE

KŁÓTNIE Z BOGIEM

Vusadka - miejsce, gdzie ludzie postawili pierwszy krok, gdy gwiazdoloty przywiozły ich na planetę, którą nazwali Harmonią. Ich statki opadły na powierzchnię; pierwsi koloniści wysiedli i obsiali ziemię w żyznej krainie na południe od lądowiska. W końcu wszyscy koloniści opuścili gwiazdoloty, przenieśli się dalej.

Pozostawione statki wcześniej czy później uległyby utlenieniu, korozji, degeneracji. Jednak pionierzy myśleli o przyszłości. Pewnego dnia mogą się przydać naszym potomkom, mówili. Otoczyli więc lądowisko polem staży. Żaden kurz niesiony z wiatrem, żaden deszcz ani mgła, żadne bezpośrednie promienie słoneczne czy promieniowanie ultrafioletowe nie miało szans dosięgnąć statków. Tlen, najbardziej korozyjna z trucizn, wytłoczono z atmosfery wewnątrz kopuły. Główny komputer planety Harmonia - zwany Nadduszą przez potomków tych pierwszych kolonistów - nie pozwalał ludziom zbliżyć się do tej wielkiej wyspy, na której ukryto statki. Czekały w ochronnej bańce przez czterdzieści milionów lat.

Jednak teraz kopuły już nie było. Tutejszym powietrzem można było oddychać. Lądowisko znów rozbrzmiewało głosami ludzi. I nie tylko dorosłych - między statkami i budynkami krzątało się też wiele dzieci. Wszyscy mieli pełne ręce roboty, wymontowywali sprawne części z innych gwiazdolotów, by przywrócić jeden do stanu używalności. A gdy statek, który ochrzcili „Basilika”, będzie gotowy, sprawny pod każdym względem, w pełni załadowany i zaopatrzony, wejdą na pokład po raz ostatni i opuszczą ten świat - dom dla przeszło miliona pokoleń ich przodków - by powrócić na Ziemię, planetę, na której powstała pierwsza ludzka cywilizacja, lecz przetrwała mniej niż dziesięć tysięcy lat.

Czym jest dla nas ta Ziemia? - zastanawiała się Hushidh, obserwując dzieci i dorosłych przy pracy. Czemu zadajemy sobie tyle trudu, by tam powrócić? Przecież Harmonia jest naszym domem. Wszelkie więzi, jakie łączyły nas z tamtą planetą, przez te wszystkie lata z pewnością już się zerwały.

A jednak udadzą się tam, bo Naddusza wybrała ich do tego celu. Sterowała i manipulowała życiem ich wszystkich, by przywieść ich w to miejsce akurat w tym czasie. Hushidh często cieszyła się z uwagi, jaką Naddusza im okazuje. Niekiedy jednak ubolewała nad tym, że nie dano im szansy, by sami postarali się pokierować własnym życiem.

Nie mamy więzi z Ziemią, ale niewiele więcej łączy nas z Harmonią, pomyślała. I jako jedyna spośród tu obecnych rozumiała, że ta konstatacja była dosłownie, a nie tylko

metaforycznie prawdziwa. Wszystkich tutaj wybrano dlatego, że mieli szczególną wrażliwość na mentalne przekazy Nadduszy; Hushidh, na przykład, patrząc na człowieka, od razu wyczuwała siłę relacji łączących go ze wszystkimi ludźmi. Doświadczała tego w postaci wizji na jawie - widziała relacje jako węzły światła zespalające konkretną osobę z otoczeniem.

Gdy odpoczywała w cieniu, nadeszła jej młodsza siostra Luet z córką Chveyą przy boku, niosąc drugie śniadanie dla pracujących przy komputerach. Przez całe życie Hushidh widziała własną więź z Lutyą jako jeden wielki pewnik. Dorastały, nie znając swoich rodziców, przygarnęła je Rasa, uczyły się w jej szkole. Wszystkie obawy, wszystkie docinki, wszystkie rozterki Hushidh mogła znieść, bo była tam Lutyą, złączona z nią silnymi więzami, których nie dostrzegał nikt.

Były też inne więzy, rzecz jasna. Hushidh dobrze pamiętała, jak trudno było patrzeć na rodzącą się więź między Luet a jej mężem, Nafaiem, krnąbrnym chłopakiem, który czasem miał więcej entuzjazmu niż rozumu. Lecz ku jej zaskoczeniu nowa więź Lutyi z mężem nie osłabiła jej więzi z siostrą; a gdy Hushidh wyszła za rodzonego brata Nafaia, Issiba, więź między nią a Luet stała się jeszcze mocniejsza niż w dzieciństwie, choć wydawało się to niemożliwe.

Teraz więc, patrząc na Luet i Chveyę, Hushidh widziała je nie jako matkę i córkę, a jako dwie istoty ze światła, połączone z sobą grubym i połyskliwym węzłem. Nie było mocniejszej więzi niż ta. Chveya kochała też ojca, Nafaia - ale więzi między dziećmi a ojcami zawsze są bardziej kruche. Taka już jest natura ludzkich rodzin; dzieci od matek oczekują opieki, pociechy i stabilnego fundamentu życia. A od ojców - osądu, licząc na aprobatę, bojąc się potępienia. To oznacza, że ojcowie są równie ważni w życiu dzieci, ale nawet jeśli są kochający i opiekuńczy, w tej relacji niemal zawsze występuje element grozy, gdyż w osobie ojca ogniskują się wszystkie dziecięce obawy przed niepowodzeniem. Owszem, wyjątki czasem się zdarzały. Lecz doświadczenie mówiło Hushidh, by spodziewać się, że więź z matką okaże się silniejsza i jaśniejsza.

Rozmyślając o relacjach matka-córka, Hushidh niemal przegapiła najważniejsze. Dopiero kiedy Luet i Chveya zniknęły jej z oczu wewnątrz statku, uświadomiła sobie, czego tu prawie brakowało związku Lutyi z nią.

Ale to niemożliwe. Po tylu latach? I czemu ta więź miałaby być teraz słabsza? Nie kłóciły się przecież. Były sobie tak bliskie, jak zawsze. Czyż nie stały po tej samej stronie podczas długich walk między mężem Luet, a jego nikczemnymi starszymi braćmi? Co mogło się zmienić?

Hushidh poszła do statku. Zastała siostrę w sterowni, gdzie Issib dyskutował z

Nafaiem o systemie podtrzymywania życia. Komputery nigdy jej nie interesowały - wołała ludzi z krwi i kości, a nie sztuczne konstrukcje z zer i jedynek. Czasem sądziła, że mężczyźni zachwycają się komputerami właśnie z powodu ich nierzeczywistości. W odróżnieniu od kobiet i dzieci nad komputerami można było w pełni zapanować. Nawet cieszyła się w duchu, ilekroć widziała Issyę lub Nyefa załamujących ręce nad uparcie nieposłusznym programem, póki w końcu nie znaleźli błędu w kodzie. Podejrzewała też, że zawsze gdy jedno z ich dzieci było uparcie nieposłuszne, Issya szczerze wierzył, że problem sprowadza się jedynie do znalezienia błędu w programie dziecka. Hushidh wiedziała, że tu nie chodziło o błąd, tylko o kształtującą się osobowość. Gdy jednak próbowała wyjaśnić to Issyi, jej mąż szybko się nudził i uciekał z powrotem do komputerów.

Dziś jednak wszystko działało sprawnie. Luet i Chveya wyłożyły popołudniowy posiłek dla mężczyzn. Hushidh, nie mając konkretnego zajęcia, pomogła im - potem jednak, gdy Luet zaczęła mówić, że trzeba zwołać resztę pracujących w statku na posiłek, zignorowała aluzję, zmuszając siostrę, żeby sama się tym zajęła.

Issib był mężczyzną i lepiej rozumiał komputery niż ludzi, ale nie można mu było odmówić spostrzegawczości. Jak tylko Luet i Chveya zniknęły, zapytał:

- Chciałaś ze mną rozmawiać, Shuya, czy z Nyefem?

Pocałowała męża w policzek.

- Z Nyefem, oczywiście. Ja i tak znam wszystkie twoje myśli.

- Zanim ja sam je poznam - odparł z udawaną irytacją. - Cóż, jeśli chcesz pogadać na osobności, to sama musisz stąd wyjść. Jestem zajęty i pod żadnym pozorem nie opuszczę pomieszczenia z jedzeniem.

Nie wspomniał, że jemu o wiele trudniej było wstać i wyjść. Choć jego lewitery działały wewnątrz statków, dzięki czemu nie był przykuty do swojego krzesła, i tak musiał się niełicho natrudzić, by wykonać jakiś większy ruch.

Nyef skończył wprowadzać jakąś komendę, a potem podniósł się z fotela i poprowadził Hushidh na korytarz.

- O co chodzi?

Od razu przeszła do rzeczy.

- Wiesz, że widzę związki między ludźmi.

- Tak, wiem.

- Dziś zobaczyłam coś niepokojącego.

Czekał, aż dopowie.

- Luet jest... no, odcięta. Nie od ciebie. Nie od Chveyi. Ale od całej reszty.

- I co to oznacza?

- Nie wiem - przyznała. - Nie umiem czytać w myślach. Ale to mnie martwi. Ty nie jesteś odcięty. Nadal, nie wiedzieć czemu, jesteś złączony więzami miłości i lojalności z twoimi odrażającymi starszymi braćmi, z twoimi siostrami i ich żalonymi mężusiami...

- Widzę, że sama żywisz do nich wyłącznie szacunek - drwiąco zauważył Nyef.

- Mówię tylko, że Luet miała kiedyś podobne poczucie obowiązku wobec całej grupy. Kiedyś była połączona ze wszystkimi. Nie tak jak ty, ale z kobietami może nawet silniej. Na pewno silniej. Była opiekunką kobiet. Odkąd tylko tam, w Basilice, odkryto, że jest wodną wieszczką, zawsze to miała. A teraz to zniknęło.

- Znowu jest w ciąży? Żadna kobieta nie powinna być w ciąży, gdy wystartujemy.

- To nie tak, to nie zamknięcie się w sobie, jak u kobiet przy nadziei. - Hushidh była zaskoczona, że Nafai o tym pamiętał. Sama wspomniała o tym tylko raz, lata temu, że więzi ciężarnych z innymi osobami z otoczenia słabną, bo kobieta przenosi swoją uwagę do wewnątrz, na dziecko. Jakie to typowe dla Nafaia - całe dni, tygodnie, miesiące wydaje się dużym dzieckiem, nieporadnym, skorym mówić nie to, co trzeba, nie wtedy, kiedy trzeba, sprawiając wrażenie, jakby nigdy nie był świadomy uczuć innych ludzi. A potem nagle uświadamiasz sobie, że on cały czas to wie, że zauważa i zapamiętuje niemal wszystko. Ciekawe, czy wtedy, gdy jest nieuprzejmy, naprawdę chce taki być.

- Jeśli nie ciąży, to co?

- Sądziłam, że ty mi powiesz. Czy Luet mówiła coś, co nasunęło ci myśl, że odcina się od innych poza tobą i waszymi dziećmi?

Wzruszył ramionami.

- Może tak, a ja nie zauważyłem. Czasem coś mi umyka.

Już sam fakt, że tak powiedział, kazał jej wątpić. Nafai wie, tylko nie chce o tym z nią rozmawiać.

- Tak czy inaczej ty i Luet nie zgadzacie się z sobą - stwierdziła.

Spojrzał na nią wilkiem.

- Skoro nie chcesz uwierzyć w to, co mówię, to po co w ogóle mnie pytasz?

- Wciąż mam nadzieję, że pewnego dnia uznasz, że zasługuję na to, by dopuścić mnie do waszych prywatnych sekretów.

- Rany, ależ się dziś dąsamy.

Właśnie gdy Nafai zachowywał się jak młodszy brat, Hushidh najbardziej go nie znosiła.

- Muszę kiedyś wspomnieć Luet, że popełniła poważny błąd, kiedy powstrzymała

kobiety przed zabiciem cię, gdy naruszyłeś świętość jeziora w Basilice.

- Jestem podobnego zdania - odparł. - To by mi oszczędziło bólu patrzenia, jak cierpisz katusze z powodu bycia moją szwagierką.

- Wolałabym już codziennie rodzić, tak mi z tym źle - odcięła się.

Uśmiechnął się do niej szeroko.

- Przyjrzę się temu - zapewnił. - Naprawdę nie wiem, czemu Luet miałaby się odcinać od reszty. Myślę, że to niebezpieczne, więc się temu przyjrzę.

A więc potraktował jej słowa z powagą. Cóż, na więcej raczej nie mogła liczyć. Może i Nafai był w tym momencie przywódcą tej społeczności, ale nie dlatego, że miał ku temu jakieś szczególne predyspozycje. Urodzonym przywódcą był jego starszy brat Elemak. A Nafai zyskał władzę tylko dlatego, że miał po swojej stronie Nadduszę - a raczej dlatego, że Naddusza miała jego po swojej stronie. Władza nie przychodziła mu z łatwością i nie zawsze wiedział, co ma z nią robić i czego nie robić. Popępiał błędy. Hushidh miała tylko nadzieję, że nie tym razem.

Na pewno Potya już jest głodny. Musiała wracać do domu. Ponieważ opiekowała się noworodkiem, oszczędzono jej większości obowiązków związanych z przygotowaniami do startu. Cały harmonogram odlotu dostosowano do jej odmiennego stanu. Ona i Rasa jako ostatnie zaszły w ciążę, zanim dowiedzieli się, że żadna kobieta nie może być brzemienna podczas podróży. Chemikalia i niska temperatura, które w trakcie lotu będą utrzymywać większość z nich w stanie zawieszenia czynności życiowych, mogły poważnie zaszkodzić płodom. Córeczka Rasy, której matka nadała nazbyt słodkie imię Tsennyi, oznaczające „cenna”, narodziła się miesiąc przed trzecim synem Hushidh i szóstym jej dzieckiem w ogóle. Dostał imię Shyopot, „szepc”, zdrobniale i pieszczotliwie - Potya. Pojawił się w ostatniej chwili, niczym poszum słowa od Nadduszy. Ostatni poszept w sercu Hushidh, zanim na zawsze opuści ten świat. Issib sądził, że to dziwne imię, ale było lepsze niż „cenna”, które zdaniem obojga stanowiło dowód, że Rasa postradała resztki zdrowego rozsądku i poczucia proporcji.

Potya czeka, chce jeść, piersi Hushidh mówiły jej to z pewną dozą niecierpliwości.

Wychodząc ze statku, minęła Luet, która powitała ją radośnie, tak jak zawsze, tak kochająco i miło. Hushidh miała ochotę ją uderzyć. Nie kłam! Nie udawaj, bo wiem, że w głębi serca odcięłaś się ode mnie! Skoro potrafisz przybierać naszą czułą bliskość jak maskę, to już nigdy nie będę w stanie się nią cieszyć.

- Co się stało? - zapytała Luet.

- A co mogło się stać? - odparła Hushidh.

- Twarz odsłania twoje uczucia, przynajmniej przede mną. Gniewasz się na mnie, a ja nie wiem dlaczego.

- Nie mówmy o tym teraz.

- Kiedy więc? I co takiego zrobiłam?

- Właśnie to chciałabym wiedzieć. Co zrobiłaś? Albo co zamierzasz zrobić?

To było to. Lekkie drgnięcie powiek Luet, jej wahanie przed okazaniem reakcji, jakby się zastanawiała, jaką reakcję powinna okazać - Hushidh wiedziała, że chodzi o coś, co Luet zamierza zrobić. Coś knuje. I cokolwiek to jest, wymaga od niej emocjonalnego zdystansowania się od reszty grupy.

- Nic nie planuję - broniła się Luet. - Ostatnimi czasy nie różnię się od innych, Hushidh. Tak jak oni wychowuję dzieci i robię, co do mnie należy, by przygotować się do podróży.

- Cokolwiek knujesz, Luty, nie rób tego. Nie warto.

- Nawet nie wiesz, o czym mówisz.

- Masz rację, ale ty to wiesz. I mówię ci: to nie jest warte odcinania się od nas wszystkich. Nie jest warte odcinania się ode mnie.

Luet wydawała się zgnębiona. Naprawdę. Chyba że zawsze udawała. Akurat w to Hushidh nie chciała wierzyć.

- Shuya, ujrzałaś to? - rzekła Luet - Czy to prawda? Nie wiedziałam, ale może to prawda, może już odcięłam się od... och, Shuya! - Chwyciła siostrę w objęcia.

Hushidh niechętnie (czemu niechętnie? - zastanawiała się) odwzajemniła uścisk.

- Nie chcę się od ciebie odizolować - szeptała Luet. - Nie mogę uwierzyć, że ja... czy możesz coś z tym zrobić?

- Zrobić? Ja? - zdziwiła się Hushidh.

- No wiesz, coś takiego, jak zrobiłaś z ludźmi Rashgallivaka, gdy stanął u progu domu cioci Rasy, chcąc uprowadzić jej córki. Wydarłaś mu lojalności tych ludzi i tak go pokonałaś. Nie pamiętasz?

Hushidh pamiętała, a jakże. Lecz to było łatwe, widziała bowiem, że więź Rasha z ludźmi była bardzo słaba, i wystarczyło kilka trafnych słów i nieco bezczelności, by wpoić im pogardę dla mocodawcy, sprawiając, że w mgnieniu oka go opuścili.

- To nie to samo. Nie mogę zmusić ludzi, żeby coś zrobili. Udało mi się pozbawić Rasha lojalności jego ludzi dlatego, że i tak nie chcieli go słuchać. Nie mogę odbudować twoich więzów z nami. Sama musisz to zrobić.

- Ale ja chcę.

- Co się dzieje? Wyjaśnij mi.

- Nie mogę.

- Czemu?

- Bo nic się nie dzieje.

- Ale coś będzie się działo, tak?

- Nie! - wykrzyknęła Luet gniewnie, z uporem. - To się nie stanie. I dlatego nie ma o czym mówić. - Pomknęła po drabinie w górę, do serca statku, tam gdzie czekał posiłek i zbierała się reszta.

To Naddusza, zrozumiała Hushidh. Naddusza kazała Luet zrobić coś, czego ona zrobić nie chce. A jeśli to zrobi, odetnie się od nas. Od wszystkich prócz męża i swoich dzieci. O co chodzi? Co Naddusza knuje?

I czemu nie wtajemniczyła w to mnie?

Po raz pierwszy Hushidh zaczęła myśleć o Nadduszy w kategorii wroga. Po raz pierwszy odkryła, że jej nie łączą silne więzy lojalności z Nadduszą. Zerwało je samo podejrzenie. Co robisz ze mną i z moją siostrą, o Święta? Cokolwiek to jest, przestań!

Nie doszła do niej jednak żadna odpowiedź. Jedynie cisza.

Naddusza wybrała Luet, by coś zrobiła, i nie wybrała mnie. Coś... czyli co? Muszę się dowiedzieć. Bo jeśli to coś okropnego, ja się przeciwstawię.

*

Luet nie podobał się budynek, w którym ostatnio przyszło im mieszkać. Wszędzie twarde powierzchnie, gładkie i bez życia. Tęskniła za drewnianym domkiem, w którym żyli przez osiem lat w małej wiosce Dostatok, zanim jej mąż znalazł i otworzył prądowy kosmodrom Vusadka. A wszystkie wcześniejsze jej wspomnienia krążyły wokół domostwa Rasy w Basilice. Mieście kobiet, mieście piękna; czasem z rozrzewnieniem tęskniła za tumanami mgły nad ukrytym świętym jeziorem, gwarem tłumnych rynków, nieskończonymi rzędami budynków rozpychających się przy ulicach. Ale to miejsce - czy jego budowniczowie w ogóle zwracali uwagę na piękno? Czy podobało im się mieszkanie w takiej martwocie?

Mimo wszystko to był dom, bo tutaj jej dzieci przybiegały, by spać, by jeść; tutaj Nafai wracał późno w nocy, by zwinąć się w kłębek u jej boku w ich łóżku. A gdy nadejdzie chwila wejścia do statku, który nazwali „Basilika”, z pewnością i za tym domem zatęskni, za wspomnieniami zmudnej pracy, podekscytowanych dzieci i bezpodstawnych obaw. O ile okażą się bezpodstawne.

Powrót na Ziemię - co to znaczyło, skoro żaden człowiek nie był tam od milionów lat? I te sny, które wciąż ich nawiedzały, sny o wielkich szczurach obdarzonych złośliwą

inteligencją, sny o stworzeniach jak nietoperze, które zdają się sprzymierzeńcami, choć są niewiarygodnie brzydkie. Nawet Naddusza nie wiedziała, co te sny oznaczają ani dlaczego Opiekunka Ziemi miałyby je wysyłać. Tak czy owak ogólne wrażenie, jakie odnosiła ze snów o Ziemi, było takie, że to nie jest raj.

Jednak przerażała ją - i, jak podejrzewała, przerażała wszystkich innych - sama podróż. Sto lat we śnie? I podobno obudzą się, nie postarzewszy się nawet o dzień? To było coś rodem z legend, jak ta dziewczynka, która zraniła palec o ząb myszy i zapadła w sen, a po obudzeniu odkryła, że wszystkie bogate i piękne dziewczęta stały się grubymi staruchami, a ona jest teraz najmłodsza i najładniejsza z nich. Wciąż jednak biedna. Luet zawsze dziwiło zakończenie tej historii - że ta dziewczynka wciąż była biedna. Powinna przecież istnieć wersja, w której król ją wybrał z powodu jej urody, zamiast żenić się z najbogatszą kobietą, by położyć ręce na jej majątku. Zresztą ta bajka nie miała nic do tego, co gryzło Luet w tej chwili. Czemu jej umysł zbłądził tak daleko od sedna? Ach, no tak. Bo myślała o podróży. O położeniu się w statku i pozwoleniu, by system podtrzymywania życia wkuł w nią igły i zamroził na czas lotu. A skąd pewność, że po prostu nie umrą?

Cóż, mogli umrzeć już z tysiąc razy, odkąd tylko sprawy w Basilice zaczęły się źle dziać. A jednak dożyli do teraz, Naddusza przywiodła ich do tego miejsca i do tej pory wszystko szło pomyślnie. Dorobili się dzieci. Dobrze im się wiodło. Nikt nie umarł i nie został poważnie ranny. Odkąd Nafai otrzymał od Nadduszy powłokę gwiazdnego sternika, nawet Elemak i Mebbekew, jego nienawistni starsi bracia, zachowywali się stosunkowo poprawnie - a powszechnie było wiadomo, że nienawidzą idei powrotu na Ziemię.

Czemu więc Naddusza jest tak stanowczo zdecydowana wszystko zepsuć?

Jestem stanowczo zdecydowana ocalić wasze życie, twoje i twojego męża.

Tu, w tym miejscu, gdzie Naddusza faktycznie żyła, Luet słyszała jej głos o wiele wyraźniej niż kiedyś, jeszcze w Basilice.

- Powłoka gwiazdnego sternika obroni Nafaia - wyszeptała Luet. - A on obroni nas.

A gdy się zestarzeje? Gdy Elemak nauczy swych synów nienawidzić jego i wasze dzieci? To prosta matematyka, Luet. Gdy dojdzie do rozłamu w waszej grupie - a dojdzie - po jednej stronie będzie Elemak i jego czterech synów, Mebbekew i jego syn, Obring i jego dwóch synów, Vas i jego syn. Czterech silnych, dorosłych mężczyzn i ośmiu chłopców. A po waszej stronie kto? Twój mąż, to jasne. Ale jakich ma sprzymierzeńców? Swojego ojca, Volemaka?

- Starego Volemaka - dopowiedziała Luet półgębkiem.

Tak, zbyt starego. A Issib od urodzenia jest wątłym kaleką. Z mężczyzn zostaje tylko

Zdorab, a kto wie, za kim on się opowie?

- Nawet jeśli za Nafaiem, nie robi to większej różnicy.

Rozumiesz więc, nawet z twoimi czterema synami, trzema Issiba i dwoma Volemaka nie będzie to wielka armia. Zresztą Elemak zaatakuje niebawem, zanim któreś z dzieci będzie na tyle dorosłe, żeby się liczyć. Mamy więc czterech silnych i brutalnych mężczyzn przeciw jednemu, który nie jest ani silny, ani brutalny.

- Tylko jeśli Nafai nie zdoła zintegrować grupy.

Elemak czeka na właściwy moment. Wiem to. I dlatego przekonasz Nafaia, żeby zrobił tak, jak ci pokazałam...

- Sama go przekonaj.

On nie chce mnie słuchać.

- Bo wie, że twój plan skończy się katastrofą. Doprowadzi właśnie do tego, czemu, jak twierdzisz, próbujesz zapobiec.

Pewnie, pojawią się pretensje...

- Pretensje? Och, tylko troszkę. Dotrzemy na Ziemię i wszyscy dorośli wybudzą się z letargu tylko po to, by odkryć, że - ups! - Nafai i Luet jakoś tak sami nie poszli spać, i że - znowu ups! - jakoś tak w ogóle nie położyli do komór kilkunastu starszych dzieci na dziesięć lat podróży! Widzisz, Shuya, moja droga siostrzyczko, gdy zasypiałaś, twoja córka Dza miała ledwie osiem lat, ale teraz ma osiemnaście i jest żoną Padaroka, który, tak przy okazji, ma teraz siedemnaście... wybaczone nam, Shedemei i Zdorabie, wiedzieliśmy, że nie będziecie mieli nam za złe, jeśli wychowamy waszego jedyne go syna za was. A gdy mieliśmy te dzieci pod swoją opieką, jakoś tak wyszło, że poświęciliśmy cały ten czas na uczenie ich, są więc teraz ekspertami we wszystkim, co muszą wiedzieć, by zbudować naszą kolonię. Są też dość duzi i silni, by wykonywać pracę dorosłych. Ale - znów ups! - żadne z waszych dzieci, Eiadh, Kokor, Sevet i Lal, żadne z waszych nie odebrało takiego szkolenia! Wasze są wciąż małymi dziećmi, które niewiele mogą pomóc.

Widzę, że przemyślałaś każdy aspekt tego planu. Czemu więc nie rozumiesz, że jest on niezbędny i bezbłędny?

- Będą wściekli. Wszyscy nas znienawidzą - Volemak i Rasa, Issib i Shuya, Shedemei i Zdorab - bo odebraliśmy im ich najstarsze dzieci, i cała reszta też, bo nie daliśmy takiej samej przewagi ich dzieciom.

Będą się gniewać, lecz ci, którzy są moimi zaufanymi przyjaciółmi, szybko pojmą, że to było niezbędne, by ich dzieci podrosły i stały się silniejsze. To zmieni bilans sił w grupie. To uratuje życie wam wszystkim.

- I już zawsze będą święcie przekonani, że grupa rozpadła się tylko dlatego, że ja z Nafaiem postąpiliśmy podle. Będą nas nienawidzić, winić, a już na pewno nigdy więcej nam nie zaufają.

Powiem im, że to był mój pomysł.

- A oni powiedzą, że jesteś tylko komputerem i oczywiście nie rozumiałaś, jak ludzie się poczują, ale my rozumieliśmy i dlatego powinniśmy odmówić.

Może powinniście. Ale nie odmówicie.

- Ja już odmówiłam. I teraz też odmawiam.

Odmawiasz ustami i głową, ale Hushidh widziała, że w głębi serca już jesteś gotowa mnie posłuchać.

- Nie! - krzyknęła Luet.

- Mamo! - zawołała Chveya zza drzwi.

- Co się stało, Veya?

- Z kim rozmawiasz?

- Z sobą, we śnie. Jakies głupoty. Wracaj do łóżka.

- Czy ojciec już wrócił?

- Nadal siedzi w statku z Issibem.

- Mamo?

- Wracaj do łóżka, Chveya. Mówię poważnie.

Za drzwiami zaszurały sandały o podłogę. Ile córka usłyszała?

Słyszała wszystko.

- Czemu mnie nie ostrzegłaś?

Czemu mówisz na głos? Przecież słyszę twoje myśli.

- Gdy mówię na głos, moje myśli są wyraźniejsze. Jaki masz plan? Posłużyć się Chveyą, żeby doprowadziła twoją intrygę do końca?

Ponieważ nie chcesz omówić tego z Nafaiem, obudziłam Chveyę, by usłyszała, co mówiłaś. Ona mu o tym wspomni.

- A nie mogłaś sama z nim o tym pomówić?

On nie chce mnie słuchać.

- Jest bardzo mądrym człowiekiem. I za to go kocham.

Potrzebne mu świeże spojrzenie. Twoje byłoby najlepsze. Ale Chveya się nada.

- Zostaw moje dzieci w spokoju!

Twoje dzieci są takimi samymi ludźmi jak ty. Gdy byłaś w wieku Chveyi, znano cię już jako wodną wieszczkę Basiliki. Nie przypominam sobie, byś wtedy narzekała, że mam z

tobą taką relację. A gdy Chveya zaczęła otrzymywać sny od Opiekunki Ziemi, pamiętam, że się cieszyłaś.

- Kiedyś myślałam, że jesteś... że jesteś boginią.

A teraz co o mnie myślisz?

- Gdybym nie wiedziała, że jesteś programem komputerowym, powiedziałabym, że jesteś wścibską, wstrętną, starą jędzą.

Możesz się na mnie gniewać, jeśli chcesz. To nie rani moich uczuć. Rozumiem cię nawet. Ale musisz spojrzeć na to szerzej, Luet. Tak jak ja.

- O tak, twoje spojrzenie jest bardzo szerokie i nie zauważasz, że niszczysz życie malutkich muszek takich jak my.

A czy twoje życie było dotąd złe?

- Powiem tak: nie potoczyło się zgodnie z oczekiwaniami.

Ale czy było złe?

- Zamknij się i zostaw mnie samą.

Luet rzuciła się na łóżko i próbowała zasnąć.

Lecz wciąż biła się z myślami. Hushidh zauważyła, że nie jestem już związana z innymi ludźmi w naszej społeczności. A to oznacza, że gdzieś w głębi serca noszę już podświadomy zamiar zrobienia tego, co zaplanowała Naddusza. Równie dobrze mogę więc się poddać i zrobić to świadomie.

Zrobić to i do śmierci żyć ze świadomością, że moja siostra i ciocia Rasa, i kochana Shedemei mnie nienawidzą i że ja w pełni, całkowicie zasługuję na ich nienawiść.

OBLICZE PRADAWNEGO

Wszyscy spodziewali się, że tegoroczna rzeźba Kitiego będzie przedstawiać jego którego, kTiego. Taki był też zamiar Kitiego aż do chwili, gdy znalazł swoją glinę nad brzegiem rzeki i zabrał się do pracy, drążąc i rozkruszając ją za pomocą włóczni. W wiosce nie było bardziej ukochanego młodzieńca niż kTi, z nikim nie wiązano takich nadziei; mówiło się, że jedna z wielkich pań obierze go sobie za męża, złoży mu propozycję życiomałżeństwa, niezwykłą dla kogoś w tak młodym wieku. Gdyby tak się stało, Kiti, jako wtóry kTiego, również wszedłby do tego małżeństwa. W końcu on i kTi byli identyczni, więc nie robiło żadnej różnicy, który z nich mógłby spłodzić konkretne dziecko.

Tyle że nie byli identyczni, Kiti to wiedział. Owszem, ich ciała były takie same, jak u wszystkich innych parorodków. Ponieważ mniej więcej co czwarta taka para wspólnie dożywała pełnoletności, wcale nierzadko się zdarzało, że dwaj identyczni mężczyźni oferowali się paniom z wioski i jako para byli przyjmowani lub odrzucani. Z racji zwyczaju i kurtuazji każdy odnosił się do Kitiego z takim samym szacunkiem, jak do jego wtórego. Wszyscy jednak wiedzieli, że nie Kitiemu, lecz kTiemu, za siłę i spryt, para ta zawdzięczała sławę.

Nie do końca było to słuszne. Często, gdy obaj lecieli razem, pilnując jednego z wioskowych stad albo wypatrując czartów, albo przeganiając kruki znad pól kukurydzy, Kiti mówił: „Jedna z kóz jak nic spróbuje pójść w tę stronę” albo „Bardzo możliwe, że czarty korzystają z tamtego drzewa, o tam”. A na początku ich najślawniejszego fortelu to Kiti powiedział: „Ja będę udawał rannego na tamtej gałęzi, a ty czekaj z włócznią na tej wyżej”. Gdy jednak opowiadano tę historię, zawsze miało się wrażenie, że kTi wymyślił wszystko. Czemu ktoś miałby zakładać, że było inaczej? kTi zawsze przejmował inicjatywę i działał, jego śmiałość zawsze przynosiła zwycięstwo, podczas gdy Kiti szedł za jego przykładem, pomagając, czasem ratując, lecz nigdy nie przewodząc.

Oczywiście nie zdołał tego nikomu wytłumaczyć. Jeden z pary okryłby się wielką hańbą, próbując odebrać chwałę swojemu wtóremu. A zresztą Kiti nie widział w tym nic zdrożnego. Nieważne bowiem, jak dobry mógł być pomysł Kitiego - zawsze śmiałość kTiego wprowadzała go w życie.

Czemu tak się stało? Kitiemu przecież nie brakowało odwagi, prawda? Czyż nie latał razem z kTim na jego najzuchwalsze przygody? Czyż to nie Kiti siedział, trzęsąc się na

gałęzi, udając rannego i przerażonego, gdy usłyszał stłumiony odgłos czarcich drzwi otwierających się w pniu drzewa i ciche szuranie czarcich rąk i nóg wdrapujących się po gałęzi za nim? Czemu nikt nie rozumiał, że największym aktem odwagi było siedzenie nieruchomo i czekanie z nadzieją, że kTi zjawi się z włócznią na czas? Nie, historia opowiadana w osadzie skupiała się jedynie na śmiałym planie kTiego, jego triumfie nad czartami.

To było nikczemne z mojej strony, że tak się gniewałem, pomyślał Kiti. Dlatego mój wtóry został mi odebrany. Dlatego gdy burza zaskoczyła nas na otwartym terenie, to stopy i palce kTiego Wiatr oderwał od gałęzi, to kTi został uniesiony do niebios, by latać z bogami. Nie byłem godzien, więc utrzymywałem się na gałęzi, aż Wiatr przeminął. To tak jakby Wiatr mi mówił: „Zazdrościłeś swojemu wtóremu, więc was rozdzieliłem, by pokazać ci, że bez niego jesteś nikim”.

Dlatego Kiti zamierzał wyrzeźbić twarz swojego wtórego. I dlatego, koniec końców, nie mógł. Rzeźbiąc bowiem twarz kTiego, wyrzeźbiłby własną, a nie potrafił w głębokim poczuciu, że nie jest godzien.

Musiał jednak coś wyrzeźbić. Ślina już zbierała się w ustach, by mógł zwilżyć glinę, lizać ją i wygładzać, nadać lśniący szlif skończonej rzeźbie. Lecz jeśli nie wyrzeźbi twarzy swojego wtórego, tak rychło po śmierci kTiego, wywoła skandal. Uznają, że brak mu naturalnej czułości. Panie pomyślą, że nie kochał brata, i z tego powodu nie będą chciały jego nasienia w swojej rodzinie. Jedynie jakaś zwykła kobieta mu się zaoferuje. A on, ogarnięty glinianą gorączką, przyjmie jej propozycję niczym podochocony młokos. Ona powije mu dzieci, a on będzie patrzył na nie co rok od tej chwili, pamiętając, że jest ojcem tak nisko urodzonych dzieci, bo nie potrafił się zmusić do wyrzeźbienia twarzy swojego ukochanego kTiego.

Naprawdę go kochałem, upierał się w duchu. Kochałem go całym sercem. Czyż nie szedłem za nim, gdzie tylko chciał? Czyż raz po raz nie zawierzałem mu życia? Czyż co rusz nie ratowałem go z opresji, gdy w swej porywczności sprowadzał na siebie niebezpieczeństwo? Czyż nie namawiałem go nawet: zawróćmy, burza się zbliża, znajdziemy schronienie, musimy je znaleźć, co za różnica, czy znajdziemy czarcia ścieżkę w trakcie tego lotu, czy następnego, zawróć, zawróć. Ale on nie chciał, zignorował mnie, jakbym wcale nie istniał, jakbym był nikim, jakbym nie miał nic do gadania w sprawie swojego przetrwania, a co dopiero jego.

Glina wilgotniała, zaczynała rozplýwać się w jego rękach, ale zwilżała ją tyleż ślina, co łzy. O Wietrze, tyś odebrał mi mego wtórego, a teraz nie mogę odnaleźć jego twarzy w tej glinie. Ześlij mi kształt, o Wietrze, jeśliś godzien! O Kukurydzo, jeśli mam przywieść do cie

córki, by dbały o twoje pola, obdarz wiedzą moje palce, choć mój umysł jest ciemny! O Deszczu, płynę z moją śliną i moimi łzami i ożyw glinę pod moimi rękami! O Ziemi, głęboko gorejąca rodzicielko, uczyni mnie kości mądrymi, kiedyś bowiem do ciebie powrócę. Pozwól mi wydobyć inne kości, młode kości, dziecięce kości z twojej gliny, o Ziemi! Pozwól mi przekazać młode skrzydła w twoje ręce, o Wietrze! Pozwól mi stworzyć nowe ziarna życia dla ciebie, o Kukurydzo! Pozwól mi przywieść do ciebie nowych wodopijców, nowych płaczących, nowych rzeźbiarzy, byś mógł ich posmakować, o Deszczu!

Jednak mimo modlitw bogowie nie umieścili żadnego kształtu pod jego rękami.

Łzy go oślepiały. Czy powinien się poddać? Czy powinien wzbić się w niebo i poszukać jakiejś odległej osady, która mogłaby chcieć przygarnąć krzepkiego samca, i już nigdy nie zobaczyć Da'ąqebli? A może w rozpacz ma posunąć się dalej? Czy powinien wypuścić glinę z rąk, a jednak zostać nad brzegiem rzeki, by obserwujące go czarty mogły zobaczyć, że nic nie wyrzeźbił? Wtedy zawlekłyby go niczym niemowlę do swych jaskiń i pożarły żywcem, a on tuż przed śmiercią zobaczyłby czarcią królową zjadającą jego serce. Tak skończy? Zniesiony do piekła, bo nie jest godzina, by Wiatr uniósł go do nieba? Wtedy kTiemu przypadłaby cała chwała i nie musiałby dzielić się nią ze swym podłym, niegodnym wtórym.

Palce pracowały, choć Kiti nie widział, co kształtują.

A gdy tak uwijały się przy robocie, przestał opłakiwać swoją porażkę, gdyż zorientował się, że pod jego rękami tworzył się jakiś kształt. Darowywano mu go w sposób, o jakim jedynie słyszał. W dzieciństwie, kiedy bawił się w rzeźbienie z innymi chłopcami, za każdym razem był najzręczniejszy, ale nigdy nie czuł, że bogowie kierują jego rękami. To, co modelował, zawsze brało się z jego własnego umysłu i wspomnień.

Teraz nie wiedział nawet, co nabierało kształtu pod jego rękami, nie od razu. Lecz szybko, gdy wyzbył się smutku, gdy wyzbył się obaw, jego oczy przejrzały wyraźnie - i zobaczył. To była głowa. Dziwna głowa, nie osoby, nie czarta ani żadnego stworzenia, jakie dotychczas dane mu było zobaczyć. Miała wysokie czoło, a nos spiczasty, bezwłosy, gładki, z nozdrzami u podstawy, skierowanymi w dół. Do czego mógł służyć taki ryjek jak ten? Wargi były pełne, a szczeka niesamowicie silna, z podbródkiem sterczącym tak, jakby stał w zawody z nosem, by poprowadzić to stworzenie w szeroki świat. Uszy były okrągłe, wyrastając ze środka po bokach głowy. Cóż za przedziwne stworzenie rzeźbił? Czemu coś tak brzydkiego rośnie pod moimi rękami?

Wtem do jego głowy napłynęła odpowiedź: to jeden z Pradawnych.

Jego skrzydła zadrgały, lecz ręce nie przerwały pracy, pewne i silne, formując

szczegóły twarzy. Pradawny. Skąd mógł to wiedzieć? Nikt nigdy żadnego nie widział. Jedynie tu i ówdzie, w jakiejś niedostępnej jaskini, znajdowano trochę enigmatycznych reliktyw ich bytności na świecie. W Da'aqebli mieli tylko trzy takie artefakty, a była jedną z najstarszych osad. Jakże mógł ośmielić się powiedzieć paniom z wioski, że ta groteskowa, zdeformowana głowa, którą rzeźbił, przedstawia Pradawnego? Wyśmiałyby go. Nie, byłyby oburzone, że choćby pomyślał, iż one uwierzą w taki nonsens. Jak możemy ocenić twą rzeźbę, skoro uparcie tworzysz coś, czego nikt w życiu na oczy nie widział? Chyba lepiej byś zrobił, gdybyś zostawił glinę w postaci bezkształtnej grudy i powiedział, że wyrzeźbił otoczak!

Jego ręce i palce poruszały się jednak na przekór obawom. Wiedział, nie wiedząc, skąd wie, że na kościstej wypukłości nad oczami muszą być włosy, że futro na głowie musi być długie, że pod nosem musi być wgłębienie biegnące środkiem aż do wargi. A gdy skończył, nie wiedział, skąd wie, że wizerunek jest skończony. Przyjrzał się temu, co zrobił, i poczuł wstyd. To było brzydkie, dziwne i o wiele za duże. A mimo to takie właśnie musiało być.

Coście mi uczynili, o bogowie?!

Wciąż siedział, przyglądając się głowie Pradawnego, gdy zjawiły się panie. Szybował, opadając nad brzeg rzeki. Nieco dalej byli mężczyźni, których rzeźby już zobaczono. Kiti znał wszystkich, rzecz jasna, i z łatwością mógł zgadnąć, jak wyglądały ich dzieła. Niektórzy byli mężami, a ponieważ swe panie zaślubili aż do śmierci, ich rzeźby nie brały udziału w rywalizacji. Inni byli młodzi jak Kiti, oferowali rzeźby po raz pierwszy - a po ich ponurych minach widział, że nie zdołali wyrzeźwić wrażenia, na jakie liczyli. Niemniej gliniana gorączka toczyła wszystkich samców, więc prawie nie patrzyli na niego ani na jego rzeźbę; wzrok kierowali na kobiety.

A one patrzyły w milczeniu na jego dzieło. Niektóre oglądały wizerunek z wielu stron. Kiti wiedział, że jakość wykonania rzeźby była wyjątkowo dobra, a jej rozmiar zuchwały. Czuł glinianą gorączkę wrzącą w swoim ciele, a wszystkie panie wydawały mu się takie piękne. Obserwował ich miny ze zgrozą - bardzo chciał, żeby jego wybrały.

W końcu cisza została przerwana.

- Co to ma niby być? - szepnęła jedna z pań.

Kiti ujrzał, że to Upua, pani, która nigdy nie wyszła za mąż i od iluś już lat z nikim nawet się nie związała. Miała przez to opinię arogantki, damy, którą najtrudniej zadowolić. I to ona, rzecz jasna, musiała go przepytywać w obecności wszystkich.

- To wyrosło pod moimi rękami - odparł, nie wając się im powiedzieć, co to naprawdę

jest.

- Czemu nie uczciłeś swojego wtórego - odezwała się jakaś inna pani, ośmielona pogardliwą reakcją Upui.

Najtrudniejsze pytanie. Czy odważy się wyjawić prawdę?

- Chciałem to zrobić, ale to jest też moja twarz, a nie zasługiwałem na to, by utrwalić ją w glinie.

Odpowiedziały na to pomruki. Niektórzy myśleli, że to głupi powód; inni - że to kłamstwo; jeszcze inni wzięli to pod rozwagę.

W końcu panie wydały swój osąd. „Nie dla mnie”. „Brzydkie”. „Bardzo dziwne”. „Ciekawe”. Wzbiły się do lotu, wznosząc się, krążąc, szybując ku gałęziom najbliższych drzew. Mężczyźni, ani chybi triumfujący z racji całkowitego odrzucenia podobno utalentowanego Kitiego, dołączyli tam do nich.

Jedynie Kiti i Upua pozostali nad brzegiem rzeki.

- Wiem, co to jest - stwierdziła.

Kiti nie śmiał odpowiedzieć.

- To głowa Pradawnego - dodała.

Jej głos dotarł do pań i mężczyzn na gałęziach. Usłyszeli. Wielu zagwizdało, innym zaparło dech ze zdziwienia.

- Tak, pani Upuo - przyznał Kiti zawstydzony, że jego arogancja wyszła na jaw. - Ale to zostało darowane pod moje ręce. Wcale nie chciałem tego wyrzeźbić.

Upua milczała przez długi czas, chodząc wokół glinianej głowy, okrążając ją raz po raz.

- Dzień jest krótki! - zawołała jedna z dominujących pań ze swojej gałęzi wśród drzew.

Upua podniosła na nią wzrok zdziwiona.

- Przepraszam - rzekła. - Chciałam to zobaczyć i zapamiętać, bo otrzymaliśmy dziś wielki dar od bogów, mogąc ujrzeć oblicze Pradawnych.

Odezwało się trochę śmiechów. Czy naprawdę sądziła, że Kiti mógł, nie wiedzieć jak, wyrzeźbić coś, czego nikt nigdy nie widział?

Odwróciła się do Kitiego, który był teraz tak rozpalony glinianą gorączką, że z trudem powstrzymywał się przed rzuceniem się do jej stóp i błaganiem, by pozwoliła mu z sobą spółkować.

- Wyjdź za mnie - oznajmiła.

Przesłyszał się, bez dwóch zdań.

- Wyjdź za mnie - powtórzyła. - Od teraz aż do śmierci tylko tobie chcę rodzić dzieci.
- Zgadzam się.

Żaden mężczyzna od tysiącleci nie dostał większego zaszczytu. Propozycja małżeństwa już po pierwszym rzeźbieniu, i to ze strony pani o takim prestiżu? Wielu innych, zarówno pań, jak i mężczyzn, nie ukrywało oburzenia.

- Toż to bzdura, pani Upuo - oceniła inna z wiodących pań. - Deprecjonujesz instytucję małżeństwa, oferując je komuś w tak młodym wieku i za taką niedorzeczną rzeźbę.

- Bogowie darowali mu oblicze Pradawnego. Złęcie tutaj i raz jeszcze przyjrzyjcie się rzeźbie. Zostaniemy tu na czas dwóch pieśni, żebyśmy wszyscy mogli zapamiętać oblicze Pradawnych i przekazać naszym dzieciom, co dziś widzieliśmy.

A ponieważ to ona zaproponowała małżeństwo i od razu uzyskała zgodę, reszta musiała spełniać jej życzenie przez czas dwóch pieśni. Wszyscy oglądali głowę Pradawnego, a Kiti i Upua już na zawsze przeszli razem do legend osady Da'aqebła. Pobrali się, a Kiti, który normalnie drżałby na samą myśl o poślubieniu tak przerażającej damy, szybko się przekonał, że była mu serdeczną i kochającą żoną i że okazywanie jej czułości i troski niesło mu jedynie radość. Wciąż miał od czasu do czasu tęsknić za kTim, ale już nigdy później nie myślał, że Wiatr za karę go nie uniosł do nieba wraz z jego wtórem.

Tego dnia jednak nie wiedzieli, co przyniesie przyszłość. Wiedzieli tylko, że Kiti był najśmielszym rzeźbiarzem, jaki kiedykolwiek żył, a ponieważ śmiałością zdobył panią za żonę, od razu urósł w ich oczach. Był prawdziwym wtórem kTiego, i choć ten śmiałek został im odebrany, jego odwaga i spryt będą żyły dalej w osobie Kitiego, póki - z wiekiem - nie przerodzą się w siłę i mądrość.

Gdy dwie pieśni przebrzmiały, gdy stado pań i mężczyzn poderwało się i przeniosło do kolejnego kandydata, z cieni drzew wyłoniły się ciemne kształty. One również obejrzały dziwną rzeźbę ze wszystkich stron. Na koniec podźwignęły ją i poniosły, choć była nadzwyczaj duża i ciężka, a one jej nie rozumiały.

SEKRETY

Po prostu jej się wymknęło. Chveya nie chciała mówić nikomu, co zeszłej nocy usłyszała pod drzwiami matki. Umiała dochować tajemnicy. Nawet tak druzgocącej jak ta, że matka chciała, aby Dazya dorosła i wyszła za Rokye w trakcie podróży. I co to niby znaczyło, że Chveya miała wyjść za Proye? Byłoby fajnie, nie ma co. On powinien ożenić się z Dazya, żeby dwoje najbardziej rządzących się dzieciaków mogło rządzić sobą nawzajem do woli. Czemu matka chciała, żeby Dazyi przypadł najlepszy chłopak, który nie był podwójnym kuzynem w pierwszej linii?

Chveya wciąż nad tym rozmyślała, gdy Dazya zaczęła na nią krzyczeć z jakiegoś błahego powodu - że zostawiła drzwi otwarte, gdy Dazya chciała, żeby były zamknięte, albo że je zamknęła, gdy Dazya chciała, żeby były otwarte. Tak czy owak Chveya palnęła bez zastanowienia:

- Och, zamknij się, Dazya, ty i tak dorośniesz i wyjdiesz za Rokye w trakcie podróży, możesz więc pozwolić mi chociaż decydować o drzwiach.

A to nie była wina Chveyi, że akurat wtedy Rokya z ojcem przypadkiem weszli, niosąc kosze z chlebem, który miał być zamrożony na podróż.

- O czym wy mówicie? - obruszył się Rokya. - Nie ożenię się z żadną z was.

Chveyę martwiła mniej reakcja Rokyi, bardziej jego ojca, Zdoraba.

- Czemu zastanawiacie się, kto wyjdzie za Padaroka? - zapytał Zdorab.

- Bo on jeden nie jest niczym kuzynem - odparła Chveya, rumieniąc się.

- Veya bez przerwy myśli o małżeństwie - wtrąciła się Dazya. A potem, jakże usłużnie, dodała: - Ona ma nie po kolei w głowie.

- Masz raptem osiem lat - stwierdził Zdorab, uśmiechając się z rozbawieniem. - Skąd pomyśł, że podczas podróży będą jakieś małżeństwa?

Chveya zasznurowała usta i wzruszyła ramionami. Wiedziała, że nie powinna powtarzać ani słowa z tego, co usłyszała pod drzwiami matki. Jeśli już nic więcej teraz nie powie, to może Zdorab, Rokya i Dazya zapomną o tym i matka nigdy się nie dowie, że Chveya była donosicielką i papłą.

*

Elemak słuchał Zdoraba bez cienia emocji. Mebbekew nie był tak spokojny.

- Powinienem był się domyślić. Chcą ukraść nam dzieci!

- Wątpię - rzekł Elemak.

- Sam słyszałeś! - zaperzył się Mebbekew. - Zamierzasz nie kłaść dzieci spać, by podrosły w trakcie podróży! Chyba nie sądzisz, że Chveya wymyśliła ten spisek?

- Chodzi mi o to, że wątpię, by Nyef postanowił nie kłaść spać naszych dzieci.

- Czemu nie? Miałby dziesięć lat, żeby namieszać im w głowach i zwrócić je przeciw nam!

- On wie, że gdyby wyciął mi taki numer, tobym go zabił.

- Wie też, że ja nie - zauważył Zdorab. - Pomyślcie tylko, powiedział o tym swojej córce, a nam nawet słowem.

Elemak zastanawiał się nad tym przez chwilę. Taka beztroska nie byłaby niepodobna do Nafaia, ale i tak wątpił.

- Wiecie, to niekoniecznie musi być plan Nafaia. Może matki Chveyi. Może wodnej wieszczce wciąż marzą się wpływy, jakimi cieszyła się w Basilice.

- Może ubzduriała sobie, że będzie prowadzić szkołę, jak kiedyś Rasa - dodał Mebbekew.

- Ale tak czy owak, co możemy z tym zrobić? - zapytał Zdorab. - On ma powłokę gwiazdnego sternika. On ma Indeks. On kontroluje statek. Czy możemy go powstrzymać przed obudzeniem naszych dzieci podczas podróży i zrobieniem, co mu się żywnie podoba?

- Zapasy żywności nie są niewyczerpane - przypomniał Elemak. - Wszystkich obudzić nie może.

- Pomyślcie jednak - wtrącił się Mebbekew. - Co będzie, jak się obudzimy, a jego syn Zhatva będzie wysokim siedemnastolatkiem? Nyef był wysoki w tym wieku. A nasze dzieci wciąż będą małe. Do tego dwaj ostatni synowie ojca, Oy kib i Yasai. I twój Padarok, Zdorabie.

Zdorab uśmiechnął się blado.

- Padarok nie będzie wysoki.

- Ale będzie mężczyzną. To nie jest taki głupi plan - odparł Mebbekew. - Zrobi im wodę z mózgu w trakcie podróży, żeby byli mu posłuszni.

Elemak potaknął. Już to wszystko przemyślał.

- Pytanie tylko, co z tym zrobimy?

- Też nie położymy się spać.

Elemak pokręcił głową.

- Przecież już mówił, że ten statek nie wystartuje, póki wszyscy prócz niego nie zasną.

- To w ogóle nie polecimy! - oświadczył Mebbekew. - Niech sobie frunie na Ziemię, a jak tylko zniknie, możemy zabrać nasze rodziny z powrotem do Basiliki.

- Meb, zapomniałeś, że już nie jesteśmy bogaci? - rzekł Elemak. - Życie w Basilice byłoby koszmarem. O ile nie wtrąca nas do więzienia. Albo nie zabiją od razu.

- A podróż tam byłaby koszmarem, bo mamy małe dzieci - napomknął Zdorab. - Nie wspominając już o tym, że ja i Shedemei wcale nie chcemy wracać.

- To lećcie z Nafaikiem - burknął Mebbekew. - Róbcie, co chcecie, mnie to wisi.

Elemak słuchał go z obrzydzeniem. Co za głupiec! Zdorab przyniósł im wieści o tym, co powiedziała Chveya. Nigdy wcześniej nie był ich sojusznikiem, lecz teraz, gdy jego dzieci były zagrożone, mieli dobrą okazję, by na dobre przeciągnąć go na swoją stronę. Wtedy w obozie Nafaia zostałby tylko on sam, ojciec i Issib - innymi słowy: Nyef, staruszek i kaleka.

- Podchodzę do tego z wielką powagą - odezwał się Elemak. - Sądzę, że nie mamy innego wyboru, jak udawać, że podporządkowujemy się planowi Nafaia. Ale musi być jakiś sposób, aby dostać się do komputera statku i ustawić go tak, żeby obudził nas w trakcie podróży, po dłuższym czasie, gdy Nafai będzie już myślał, że wszystko idzie po jego myśli, i dlatego nie będzie się nas spodziewał. Komory letargiczne są daleko od kwater mieszkalnych statku. Co o tym myślisz?

- Ja myślę, że to głupota - wtrącił się Mebbekew. - Zapomniałeś, czym jest komputer statku?

- A jest Nadduszą? - zapytał Elemak Zdoraba. - Czy komputer statku jest z nim tożsamy?

- Cóż, jeśli się nad tym zastanowić, może i nie. Nadduszę uruchomiono już po przylocie pierwszych statków. On ładuje część siebie do komputera statku, ale nie jest z nim tak dobrze obeznany jak ze sprzętem, w którym zamieszkiwał przez czterdzieści milionów lat. Nie sądzą, żeby pierwsi podróżnicy chcieli... oni nie zawierzyli swojego życia Nadduszy. Chodziło im o następne pokolenie, nie o nich samych. Może więc komputery statku...

- I może - przerwał Zdorabowi Elemak - gdybyś znalazł jakiś sposób, by zrobić to sprytnie...

- Błędny trop - głośno rozważał Zdorab. - Jest taki program, kalendarz do planowania wydarzeń podczas podróży. Korekcje kursu i takie tam. Ale domyślam się, że Naddusza często będzie to sprawdzał.

- Zastanów się nad tym - powiedział mu Elemak. - Myślenie nie jest moją mocną stroną.

Zdorab wyraźnie się napuszył. Jak wszystkim słabym inteligencikom, schlebiał mu szacunek kogoś pokroju Elemaka, wielkiego, silnego mężczyzny, lidera, charyzmatycznego i groźnego przywódcy. Łatwo takiego przekabacić, uznał Elemak. Tyle lat słabeusz jadł

Nafaiowi z ręki, ale wystarczyło być cierpliwym. Wystarczyło poczekać. I nie palić za sobą mostów.

- Liczę na ciebie - ciągnął Elemak. - Ale cokolwiek zrobisz, nie mów o tym nikomu. Nawet mnie. Kto wie, co ten komputer słyszy?

- Pewnie słyszał wszystko, o czym tu gadaliśmy - mruknął Mebbekew przemądrzale.

- Postaraj się, Zdorabie. Może nie ma sposobu. Ale jeśli możesz zrobić cokolwiek, to i tak więcej niż mogę zrobić ja albo Mebbekew.

Zdorab skinął głową w zamyśleniu.

Już jest mój, pomyślał Elemak. Mam go. Nyef go stracił, a wszystko dlatego, że on albo jego żona nie trzymali gęby na kłódkę przy dzieciach. Słaby i głupi jest Nafai. Słaby, głupi i niezdolny rządzić.

Jeśli zrobi coś, by skrzywdzić dzieci Elemaka, straci nie tylko pozycję przywódcy. A zresztą to i tak kwestia czasu. Może dopiero po śmierci ojca, ale nadejdzie dzień wyrównania rachunków za wszystkie zniewagi. Ludzie honoru nie zapominają tych, którzy kłamią, oszukują, szpiegują i zdradzają. Nie zapominają swoich wrogów.

*

- Przejdźmy się - zaproponował Nafai żonie.

- A nie dość się już zmęczyliśmy? - zapytała Luet z uśmiechem.

- Przejdźmy się - powtórzył.

Wyprowadził ją z budynku serwisowego, gdzie wszyscy mieszkali, i powiódł przez twardy, płaski grunt lądowiska. Szli nie w stronę statków, lecz na otwartą przestrzeń.

- Aha, coś nas złości, jak widzę - zagadnęła Luet.

- Czy nas, to nie wiem. Mnie na pewno.

- Co zrobiłam?

- Ty? Nie mam pojęcia. Ale Zdorab wprowadził datę pobudki do kalendarza statku. Ustawił ją na półmetek podróży. Obudzić ma się on i Shedemei. I Elemak.

- Elemak?

- Czemu Zdorab tak postąpił?

- Nie wiem - przyznała.

- A możesz się nad tym zastanowić? Czy przychodzi ci do głowy coś, co pozwoliłoby to zrozumieć?

Luet zaczynała się irytować.

- O czym ty mówisz, Nafaiu? Jeśli chcesz mnie o coś oskarżyć...

- Nic nie wiem - upierał się. - Naddusza powiedział mi, że odkrył tę pobudkę

zaplanowaną przez Zdoraba. Ja na to: „Czemu?”. A on: „Spytaj Luet”.

Zarumieniła się.

- To jak? - Nafai uniósł brew. - Teraz ci coś świta?

- Naddusza z nami pogrywa.

- Och, doprawdy?

- To nie powinno nas dziwić. Ona robi to od samego początku.

- A raczyłabyś mi powiedzieć, w co pogrywa tym razem?

- Musi to mieć jakiś związek, choć nie rozumiem... A nie, jednak rozumiem. Chveya mnie słyszała.

Nafai klepnął się w czoło.

- A, wszystko jasne - zadrwił. - Chveya cię słyszała. Ale co słyszała?

- Jak rozmawiałam z Nadduszą. Wczoraj w nocy. O... no wiesz.

- Nie, nie wiem.

- Chyba nie mówisz poważnie.

- Coraz poważniej.

- Chcesz powiedzieć, że Naddusza w ogóle ci o tym nie wspomniała? O tym, że nie położymy dzieci spać na czas podróży?

- Nie gadaj głupstw. Nie mamy dość zapasów, żeby wszystkich trzymać na chodzie przez dziesięć lat!

- Naddusza mówiła, że starczy zapasów, by część z nas mogła nie spać przez większość podróży. Ty i ja, i jeszcze dwanaścioro dzieci.

- Po co? Mamy być w stanie letargu, bo dziesięć lat w statku to byłyby niewyobrażalne nudy. Nawet ja nie zamierzam czuwać przez cały czas. Czy nasze dzieci mają przeżyć dziesięć lat swojego życia - więcej niż połowę! - zamknięte w metalowej puszcze?

- Naddusza w ogóle ci o tym nie powiedziała! Jak mogła! - wściekała się Luet.

Nafai czekał na wyjaśnienie.

- To mają być nasze starsze dzieci, wszystkie oprócz bliźniaków, i dzieci Shuyi aż do Netsyi włącznie, i córeczka, i synek Shedemei, i twoi bracia, Oy kib i Yasai.

- Czemu nie te mniejsze?

- Nie można spędzić pierwszych dwóch lat życia w niedociążeniu.

- To nie może się udać - ocenił. - Nawet jeśli reszta się na to zgodzi, dzieci nie będą miały nikogo w swoim wieku, z kim mogłyby się związać, oprócz dwojga Shedyi. Reszta będzie dla siebie rodzeństwem albo podwójnymi kuzynami, albo, w najlepszym wypadku, pojedynczymi, jak Oy kib i Yasai.

- Nyef, ciągle jej to mówiłam. Myślisz, że nie wiem, jak głupi jest ten plan? Właśnie to Chveya musiała usłyszeć zeszłej nocy. Jak klóciłam się z Nadduszą.

- Nie musisz mówić do Nadduszy na głos, Luet.

- A właśnie że muszę.

- Cóż, nieważne, jak było, ale Zdorab najwyraźniej sądzi, że musi obudzić się w połowie podróży, by mnie przypilnować.

- Domyślam się, że jest zły.

- W takim razie tylko jedno możemy zrobić. - Złapał ją za rękę. Wrócili do budynku serwisowego.

W raptem kilka minut zebrali wszystkich dorosłych w kuchni, wokół stołu, przy którym na zmianę spożywali posiłki. Elemak jak zwykle wydawał się rozdrażniony, Mebbekew zaś był otwarcie wrogi.

- O co chodzi? - zapytał stanowczo. - Czy nie możemy już nawet kłaść się spać o normalnej godzinie?

- Jest pewna kwestia, którą trzeba czym prędzej rozwiązać - stwierdził Nafai.

- Och, czy ktoś z nas coś nabroił? - zadrwił Meb.

- Nie, ale niektórzy z was sądzą, że Luet coś knuje... nie, cofam to, pewnie sądzicie, że ja coś knuję, a chcę już teraz otwarcie o tym powiedzieć.

- Oho, szczere wyznanie. A to ci dopiero nowość - mruknęła Hushidh.

Nafai puścił to mimo uszu.

- Wygląda na to, że Naddusza próbował przekonać Luet, że powinniśmy zrobić coś głupiego z dziećmi w trakcie podróży.

- Głupiego? - Volemak, ojciec Nafaia, wydawał się skonsternowany.

- Tak, głupiego. Jak niekładzenie niektórych z nich spać.

- Okropnie by się nudziły! - jęknęła Kokor, starsza siostra Nafaia.

Nafai rozejrzał się po twarzach zebranych. Z satysfakcją zauważył, że nawet Elemak, który z pewnością wiedział o tym planie i rozumiał wszystkie jego konsekwencje, wydawał się nieco zaskoczony.

- Niektórzy z was byli tego świadomi, nawet zanim ja się dowiedziałem. A dowiedziałem się o tym tylko dlatego, że Naddusza odkrył sygnał pobudki, który Zdorab wprowadził do kalendarza statku.

Szybki rzut oka Mebbekewa na Zdoraba i równie szybki w drugą stronę potwierdzały, że Meb również wiedział o sygnale pobudki. Pewnie myślał nawet, że Zdorab miał zamiar obudzić także i jego. Ale, rzecz jasna, budzenie Mebbekewa mijałoby się z celem. Gdyby

tylko Meb rozumiał, w jakiej pogardzie wszyscy go mają... może jednak rozumiał - i dlatego bez przerwy był taki wojowniczy.

- Sądzę, Zdorabie, że to dobry pomysł - ciągnął Nafai. - Naddusza oczywiście usunął twój sygnał pobudki, ale wprowadzę nowy. Na półmetku podróży wszyscy dorośli zostaną wybudzeni. Tylko na jeden dzień, żebyście mogli się upewnić, że wasze śpiące dzieci są w tym samym wieku, w jakim były, gdy je widzieliście po raz ostatni. Nie widzę lepszego sposobu, który by gwarantował, że Naddusza nie dopnie swego.

Volemak zachichotał.

- Naprawdę myślisz, że uda ci się okpić Nadduszę?

- Naddusza wiele rozumie - odezwała się Luet - ale nie jest człowiekiem. Nie pojmuję, ile by nas to kosztowało, gdyby odebrano nam dzieciństwo naszych pociech. Jak byś się czuła, ciociu Raso, gdybyś się obudziła i odkryła, że Okya i Yaya mają osiemnaście i siedemnaście lat? Że ominęły cię wszystkie te lata pomiędzy?

- Nigdy nie wybaczyłabym komuś, kto by mi to zrobił - odparła Rasa. - Nawet Nadduszy.

- Próbowałam jej to wyjaśnić. Ale ona czasem nie rozumie ludzkich uczuć.

- Czasem? - bąknął Elemak.

- Ja... mówiłam na głos. W zaciszu mojego pokoju. Nafai pracował do późna. Ale Chveya obudziła się i słuchała dość długo, zanim zapukała.

- Chcesz powiedzieć, że twoja córka jest szpiclem? - Mebbekew udawał zaskoczonego.

Luet nie zaszczyciła go nawet spojrzeniem.

- Chveya nie rozumiała, co słyszy. Przykro mi, że przez to wszyscy poczuli się zaniepokojeni. Wiem, że niektórzy z was o tym wiedzieli, a inni nie, ale gdy Nafai dowiedział się o tym kilka minut temu, razem czym prędzej tu przyszliśmy, no i... resztę już znacie.

- Jutro Zdorab będzie mógł sprawdzić, że sygnał pobudki jest ustawiony na półmetek podróży. I nie obudzimy się tylko, jeśli Naddusza anuluje go podczas jednego z wielu okresów, gdy ja sam będę spał. Ale to raczej mało prawdopodobne, bo wtedy sam was wybudzę. Mówię wam otwarcie, że nie będzie żadnego majstrowania przy upływie czasu. Gdy dotrzemy na miejsce, nasze dzieci będą w tym samym wieku, w jakim były, gdy wyruszaliśmy. Jediną osobą, która się postarzeje, będę ja, a wiercie mi, wcale mi na tym nie zależy, lecz to absolutnie konieczne, żeby bezpiecznie sterować statkiem.

- A czemu w ogóle musisz być na chodzie? - zapytał Obring, mąż Kokor, w przemyślanej i niebezpodstawnej opinii Nafaia człowiek fałszywy.

- Statki nie są pomyślane tak, żeby zarządzał nimi Naddusza - tłumaczył Nafai. - Program Nadduszy został dokończony już po tym, gdy pierwsza flota dotarła na Harmonię. Komputery statku mogą przechowywać program Nadduszy, ale żaden pojedynczy program nie jest w stanie kontrolować wszystkich komputerów jednocześnie. To przez wzgląd na bezpieczeństwo. Redundancja. Systemy nie mogą wszystkie zawieść w tym samym czasie. Tak czy owak, co jakiś czas sam muszę zrobić to i owo.

- Ktoś musi zrobić - poprawił go Elemak.

- Ja mam powłokę - przypomniał Nafai. - I tę kwestię chyba ustaliliśmy już dawno temu. Naprawdę chcecie odgrzewać stare klótnie?

Najwyraźniej nikt nie chciał.

- Synu - rzekł Volemak. - Nie uda ci się powstrzymać Nadduszy przed zrobieniem tego, co w jego przekonaniu jest słuszne.

- Naddusza się myli - przekonywał Nafai. - Tak po prostu. Nikt z was w życiu by mi nie wybaczył, gdybym w tym wypadku posłuchał Nadduszy.

- Tu masz rację - bąknął Mebbekew.

- A ja nigdy nie wybaczyłbym sobie - ciągnął Nafai. - Więc sprawa zamknięta. Zdobądź jutro kalendarz, a on i każdy, komu zależy, może go sprawdzić raz jeszcze tuż przed odlotem.

- Bardzo miło z twojej strony - rzekł Elemak. - Myślę, że wszyscy będziemy dziś spać spokojniej, wiedząc, że za naszymi plecami nie knuje się żadnych spisków. Dziękuję ci, że byłeś taki szczery i powiedziałeś nam to otwarcie. - Podniósł się zza stołu.

- Nie - zaoponował Volemak. - Nie możecie bezkarnie buntować się przeciw Nadduszy. Nikt nie może! Nawet ty, Nafaiu.

- Ty i Nafai możecie o tym rozprawiać do woli, ojcze - oświadczył Elemak. - Ale ja i Eiadh idziemy spać. - Wstał i objął ramieniem żonę, wyprowadzając ją z pokoju. Większość z pozostałych zrobiła to samo - Kokor i jej mąż Obring, Sevet i jej mąż Vas, Meb i jego żona Lalya. Hushidh i Issib, wychodząc, zatrzymali się po drodze, by zamienić kilka słów z Nafaiem i Luet.

- Świetny pomysł, żeby zwołać tu wszystkich - pogratulowała Hushidh. - Bardzo przekonująco wypadło. Tyle że Elemak nie uwierzy w nic, co robicie. Więc to przekonało go jedynie, że szykujecie jakiś podstęp.

- Dzięki za błyskawiczną analizę - odparła Luet z przekąsem.

- Ja to doceniam - dodał Nafai pospiesznie. - Nie spodziewam się, że Elemak uwierzy w szczerą jakiegokolwiek moich intencji.

- Chciałam tylko, byś wiedział, że bariera między tobą a Elemakiem jest silniejsza i głębsza niż jakakolwiek więź między dwoma osobami tutaj - stwierdziła Hushidh. - W pewnym sensie to też jest więź. Ale jeśli myślałeś, że dzisiejsze przedstawienie go przekona, myliłeś się.

- A ciebie? - zapytała Luet. - Ciebie przekonało?

Hushidh uśmiechnęła się blado.

- Nadal widzę, że jesteś odseparowana od wszystkich z wyjątkiem męża i dzieci. Gdy to się zmieni, zacznę wierzyć w obietnice twojego męża. - Potem odwróciła się i wyszła. Issib bezradnie wzruszył ramionami, po czym ruszył za żoną.

Zdorab i Shedemei zostali.

- Nafaiu - odezwał się Zdorab. - Chciałbym przeprosić. Powinienem wiedzieć, że ty byś nie zrobił...

- Doskonale to rozumiem - odparł Nafai. - Musiało ci się wydawać, że coś knujemy w ukryciu. Zrobiłbym to samo, jeśli by w ogóle mi to przyszło do głowy.

- Nie, źle zrobiłem. Powinienem porozmawiać z tobą na osobności. Powinienem dowiedzieć się, co zamierzasz.

- Nigdy nie zrobiłbym nic z twoimi dziećmi bez twojej zgody.

- A ja nigdy bym się na to nie zgodził - przyznał Zdorab. - Mamy mniej dzieci niż reszta. Myśl, że ich dwoje... że zostalibyśmy pozbawieni ich dzieciństwa...

- Tak się nie stanie - zapewnił Nafai. - Chcę, żeby podróż minęła szybko i bezproblemowo, i żebyśmy założyli nową kolonię na Ziemi. Nic więcej. Przepraszam, że w ogóle musieliście się o to martwić.

Zdorab uśmiechnął się. Shedemei nie. Spojrzała gniewnie na Nafaia, potem na Luet.

- Ja wcale nie prosiłam się o tę podróż.

- Bez ciebie nie może się nam udać - rzekł Nafai.

- Ale jest jedna sprawa... - zaczęła Luet.

- Nie, Luty - upomniał ją Nafai. - Czy my już nie...

- Musimy to wiedzieć! - upierała się Luet. - Bez względu na wszystko. Shedy, to dla ciebie oczywiste, że twoja dwójka to jedyne dzieci, które nie staną przed problemem pokrewieństwa.

- Wiadomo - skwitowała Shedemei.

- Ale co z resztą? Czy to nie jest niebezpieczne dla nas wszystkich?

- Nie widzę problemu.

- Jak to? - zdziwiła się Luet.

- Kuzyni nie powinni mieć dzieci tylko wtedy, gdy istnieje gen recesywny, który prowadzi do upośledzeń. Gdy kuzyni wiążą się z sobą, ich dzieci mogą odziedziczyć ten gen recesywny z obu stron, a wtedy on się objawia. W postaci niedorozwoju psychicznego, kalectwa fizycznego, choroby przewlekłej i tak dalej.

- A to nie problem?

- Nie uważałaś? - zapytała Shedemei. - Niczego się nie nauczyłaś w Basilice? Naddusza od lat was hodzi. Na przykład sprowadziła twojego ojca i matkę z odległych stron, żeby się spotkali i żebyście mogły ty i Hushidh się urodzić. Naddusza już zadbała o to, żeby wasze geny były czyste. Nie macie żadnych cech recesywnych.

- Skąd wiesz?

- Bo już by się objawiły. Nie rozumiesz? Naddusza swatała kuzynów z sobą przez wieki, żeby dochować się was, ludzi, którzy są podatni na jej wpływ. Idioci i kaleki już dawno by się ujawnili i zostali wyeliminowani drogą rozrodu selektywnego.

- Nie wszyscy - wtrąciła się Rasa.

Reszta od razu domyśliła się, że chodzi jej o Issiba, rodzonego starszego brata Nafaia. Od urodzenia nie mógł w pełni kontrolować mięśni, nigdy nie był w stanie chodzić ani poruszać się bez magnetycznych lewiterów lub latającego krzesła.

- Nie, oczywiście nie wszyscy - przyznała Shedemei.

- A więc jeśli moje dzieci, na przykład, wyszłyby za dzieci Hushidh... - Luet nie dokończyła.

- Hushidh zapytała mnie o to już wiele lat temu. Myślałam, że ci powtórzyła.

- Nie powtórzyła.

- Przypadek Issiba nie jest dziedziczny. To wina urazu w okresie prenatalnym. Domyślałam się, że ciocia Rasa nie wiedziała, że jest w ciąży, gdy to się stało.

Rasa potwierdziła skinieniem głowy. Nikt nie zapytał jej, co zrobiła Issibowi w łonie.

- Tego nie ma w genach - uspokoiła Shedemei. - Możecie spokojnie wydawać dzieci za kogo tylko chcecie. Jeśli to oznacza, że zostawicie teraz moje dzieci w spokoju, będę bardzo wdzięczna.

- My nic nie planowaliśmy! - krzyknęła oburzona Luet.

- Wierzę, że Nafai nic nie planował, bo od razu przyszedł z tym do nas.

- Ja też nie chciałam tego zrobić!

- A ja myślę, że chciałaś - odparła Shedemei. - I nadal chcesz. - Odwróciła się i wyszła, a Zdorab nerwowo ruszył za nią.

Na korytarzu spotkał czekającego Elemaka.

- Widzę, że zrobiłeś to bardzo subtelnie - zaczął Elemak.

Zdorab podniósł na niego wzrok.

- Trzeba przyznać, że straszna niezdara ze mnie. Naddusza znalazł mój sygnał pobudki właściwie od razu. - Uśmiechnął się, puścił oko i przyspieszył kroku, by dogonić żonę.

Elemak szedł wolno, rozmyślając. Skreślił w stronę kwater swojej rodziny.

A w kuchni jedynie Volemak i Rasa zostali z Nafaiem i Luet.

- Musicie zrobić, co każe Naddusza - przekonywał Volemak.

- Nie! - zaprotestowała Luet. - Nie możemy pogodzić się z tym, że nasza kolonia będzie już na zawsze podzielona na dwa nieprzejednane, wrogie sobie obozy, i czynić tak, by poszerzyć ten rozłam na tyle, że utrzyma się przez wiele pokoleń.

- Widocznie tak trzeba.

- Ta dyskusja jest bezcelowa. Prawda, matko? - zagadnął Nafai.

Rasa westchnęła.

- Są takie rzeczy, których żaden przyzwoity człowiek nie robi. Nawet dla Nadduszy.

- Są też sprawy wyższej wagi - upierał się Volemak.

- Mam troje małych dzieci - ciągnęła Rasa. - Oykiba, Yasaia i Nitsyę. Na zawsze znienawidziłabym każdego, kto by mi je odebrał. Nawet ciebie - powiedziała, patrząc na Nafaia. Potem spojrzała na Luet. - I ciebie. - Przeniosła wzrok na męża. - I ciebie.

Wstała i wyszła z pokoju. Volemak westchnął i podniósł się na nogi.

- To się źle skończy - zapowiedział. - Nadduszy nie można się przeciwstawiać.

- Wcześniej czy później Naddusza będzie musiał wziąć po uwagę nasze uczucia - odparł Nafai.

Lecz Volemak nie został, by usłyszeć końcówkę zdania.

Luet objęła Nafaia i przytuliła.

- Powinnam ci wcześniej powiedzieć, ale bałam się, że zrobisz to, co Naddusza ci powie.

- Widać on zna mnie lepiej niż ty - stwierdził Nafai. - Dlatego w ogóle mi nie powiedział.

- Chodź do łóżka, mężu.

- Muszę jeszcze coś zrobić.

- Najwyżej wyruszymy dzień później.

- Muszę jeszcze coś zrobić - powtórzył z naciskiem.

Westchnęła, pocałowała go i wyszła.

Nafai ukroił sobie kromkę chleba, zawinął w nią nieco przejrzały podroshny i, odgryzając duże kęsy, wyszedł z budynku serwisowego. Skierował się z powrotem do statku.

Ależ z ciebie spryciarz, usłyszał w myślach.

Nie inaczej, odparł Nafai.

Wszyscy myślą, że w ogóle z tobą o tym nie rozmawiałem.

Bo nie rozmawiałeś.

Ignorowałeś mnie, ale słyszałeś.

To w ogóle nie była rozmowa. To się nie stanie.

Stanie się, bo musi. Jeśli tego nie zrobisz, zostaniesz zabity. I Luet także.

Nie umiesz przewidzieć przyszłości.

Elemak zabierze ci dzieci i zrobi z nich niewolników.

Nie ukarze dzieci za winy rodziców.

On to nazwie adopcją. A Eiadh zmieni ją w niewolnictwo.

Wcale nie.

Ależ tak, jeśli nie otoczysz się sześcioma młodymi mężczyznami, którzy będą ci oddani całkowicie.

A ja ci powtarzam po raz tysięczny, że nawet nie będę się nad tym zastanawiał bez zgody ich rodziców. I nie kiwnę palcem, by ich przekonać. Więcej, będę się temu sprzeciwiał.

To bardzo mądra strategia, Nafaiu. Wtedy nie będą mogli cię winić, gdy zaczną żałować, że się zgodzili.

Nigdy się na to nie zgodzą, powiedział Nafai w myślach.

Nie doceniasz moich wpływów.

PERSWAZJA

Shedemei znów zajrzała do dzieci. Już po raz trzeci tej nocy. Gdy wróciła do łóżka, Zdorab nie spał.

- Przepraszam. Miałam sen.

- Chciałaś powiedzieć: koszmar - odparł.

Złe zrozumiała męża.

- Ty też go miałeś?

- Nie. Czy to był jeden z tych?

- Nie, nie. Nie od Opiekunki Ziemi, jeśli o to ci chodzi.

- Nietoperze i łasice.

- Wielkie szczury - poprawiła. - Ja takich snów nie miewam. Jeśli już, śnię o ogrodach.

- Ale nie ogrody ci się dzisiaj śniły.

- Nie.

- I nie chcesz mi o tym opowiedzieć.

- Opowiem, jeśli chcesz.

Czekał.

- Wciąż śni mi się... jak przybywamy na Ziemię. Wszyscy wychodzimy ze statku. Ty i ja, tacy sami, jacy teraz jesteśmy. Ale potem widziałam młodego mężczyznę i młodą kobietę, których nigdy wcześniej nie znałam. On był przystojny i radosny, promienny i silny. Ona cicha, skromna, z ujmującym uśmiechem, a w jej oczach widać było dużą inteligencję.

- I on miał osiemnaście lat, a ona szesnaście. - Jego głos brzmiał gorzko.

- Rokya i Dabya to moje jedyne dzieci. Więcej nie będę żadnych miała.

- Chcesz mnie o to oskarżyć? Po tych wszystkich latach?

- Nikogo nie oskarżam. Ja tylko... poszłam, żeby je zobaczyć. By upewnić się, że nie im nie jest. By upewnić się, że nie... że nie mają tego samego snu.

- A skąd wiesz? Obudziłaś ich i spytałaś?

- Nie wiem, co im się śniło. Wiem tylko, że są takie małe. A ja czekam z niecierpliwością, co z nich wyrośnie. Czekam na następny tydzień, następny miesiąc, następny rok i... ale wtedy zobaczyłam też, że...

- Że co?

- Przypomniałam sobie, jakie były. Jako niemowlęta, kiedy ssały pierś. Kiedy zaczęły chodzić. Kiedy wypowiedziały pierwsze słowo, kiedy się bawiły, kiedy zaczęły uczyć się czytać i pisać, pamiętam wszystko, a tych dzieci już nie ma.

- Są, tylko starsze.

- Czas mija. Tracisz te lata, tak czy siak. Dzieci rosną, wyzbywają się swojego dzieciństwa, nie dziękują ci, że je pamiętasz.

Zdorab pokręcił głową.

- Widziałem, jak ten komputer działa na ludzi, Shedemei. Wiesz, że nie chcesz oddać swoich dzieci Nafaiowi i Luet na wychowanie. Oni sami są dziećmi.

- Wiem, że nie chcę. Ale co jest dla nich najlepsze? Co jest najlepsze dla wszystkich? Ludzie oddają swe dzieci na wojnę. Oddają je na rzecz wielkich aktów heroizmu.

- A gdy je tracą, noszą żalobę i już nigdy nie przestają rozpaczać.

- Ale nie rozumiesz? My ich nie stracimy. To tak jakbyśmy... jakbyśmy posłali je do szkoły. Ludzie w Basilice tak robili. Posyłali dzieci do czyjejś szkoły na wychowanie. Gdybyśmy tam zostali, sama bym tak zrobiła. Już by tu obojga nie było. Tak naprawdę ominą nas tylko wakacje.

Zdorab uniósł się na łokciu.

- Shedemei, to nasze jedyne dzieci. W życiu nie myślałem, że będę miał choć jedno. Zrobiłem to tylko w ramach przysługi dla ciebie, bo jesteś moją... przyjaciółką. I dlatego, że tak bardzo ich pragnęłaś. A gdybyś mnie wtedy zapytała, czy możesz je oddać, powiedziałbym: „Jasne, rób z nimi, co chcesz, są twoje”. Ale teraz nie są już tylko twoje. Spłodziłem je, nieważne, jak trudno mi w to uwierzyć, i dbam o nie. Ja je kocham. I nie chcę stracić ani jednego dnia z ich życia.

Pokręciła głową.

- Ja też nie chcę.

- A więc zapomnij o tych snach, Shedy. Niech ten wielgachny komputer w niebiosach planuje sobie, co chce. Nas to nie dotyczy.

Położyła się na łóżku obok niego.

- Och, mnie to dotyczy, a jakże.

- Jak to?

Wzięła go za rękę.

- Te bzdury, które gadałam. O genach. O tych recesywnych, które się objawiają, i tak dalej.

Łóżko zatrzęsło się od śmiechu Zdoraba.

- To nie jest śmieszne - zaprotestowała Shedemei.

- Nic z tego nie było prawdą?

- Nie mam pojęcia, czy to prawda, czy nie. Jestem ekspertem w kwestii genetyki, oni myślą, że wiem, o czym mówię. Ale nie wiem. Nikt nie wie. Owszem, możemy klasyfikować genomy, ale większość z pojedynczych genów wciąż nie została rozszyfrowana. Kiedyś uważano, że to brednie, że to bez znaczenia. Ale tak nie jest. Przynajmniej tyle nauczyłam się, badając rośliny. To wszystko jest po prostu... utajone. Czekaj. Kto wie, co się stanie, jeśli pozwolą kuzynom wiązać się między sobą?

Zdorab znów zarechotał.

- To nie jest śmieszne - upomniała go. - Powinnam im powiedzieć prawdę.

- Nie. To, co im powiedziałaś, sprawiło, że nie będą czuli potrzeby, by włączyć nasze dzieci do tego czy innego eksperymentu, jakiemu postanowią poddać swoje. I dobrze. Tak być powinno.

- Ale spójrz na Issiba.

- A co, jego stan ma jednak związek z genetyką?

- Nie, akurat to była prawda. Ale jak on cierpiał, Zodya. Nie można pozwolić, żeby inne dzieci przez to przechodziły, inni rodzice, nie mogą...

Zdorab westchnął.

- Udajesz taką pragmatyczkę, Shedy, a tak naprawdę jesteś miękka jak ser w letnim słońcu.

- Dzięki, że wybrałaś taką śmierzącą metaforę.

- Shedy, jeśli to, co powiedziałaś, nie było prawdą, to jak na to wpadłaś?

- Nie wiem. Te słowa po prostu wyleciały mi z ust. Bo musiałam coś powiedzieć, żeby ich odciągnąć od naszych dzieci.

- Jasne. A powiedz, Naddusza mówi im różne rzeczy, tak?

- Bez przerwy.

- Niech więc im powie, żeby nie pozwolili swoimi dzieciom wiązać się z sobą nawzajem.

Shedemei zastanowiła się nad tym przez chwilę.

- O tym w ogóle nie pomyślałam - przyznała. - Nie jestem jedną z tych, co to zostawiają ważne sprawy w gestii Nadduszy.

- A swoją drogą skąd wiesz, że nie Naddusza włożył ci te słowa w usta?

- Och, nie bądź taki...

- Mówię poważnie. Sama powiedziałaś, że po prostu przyszły ci do głowy. Skąd

wiesz, że nie podsunął ci ich Naddusza? Skąd wiesz, że nie były prawdą?

- Cóż, nie wiem.

- Sama widzisz. Nie musisz im nic mówić.

Nie miała na to odpowiedzi.

Przez długi czas leżeli w milczeniu. Shedemei myślała już, że Zdorab zasnął. Raptem szepnął:

- Nie jesteśmy tylko mężczyzną i kobietą, którzy mają razem dzieci i razem mieszkają, prawda?

- Nie, nie tylko.

- Jak bardzo mąż musi seksualnie pożądać swej żony, żeby jego uczucia wobec niej uznać za miłość?

Ostrożnie wybadła grunt pod odpowiedź.

- Nie wiem, czy te uczucia muszą w ogóle mieć coś wspólnego z seksem.

- Bo widzisz, ja tak bardzo cię podziwiam. A to, jak zajmujesz się Rokyą i Dabyą... to mnie zachwyca. I to, jak uczysz wszystkie dzieci. I to, jak traktujesz... jak traktujesz mnie. Że jesteś dla mnie taka miła.

- A co miałabym robić? Bić cię? Krzyczeć na ciebie? Jesteś najbardziej irytująco nieirytującym człowiekiem, jakiego poznałam. Nie robisz niczego złe.

- Poza tym, że cię nie zaspokajam.

Wzruszyła ramionami.

- Ja nie narzekam.

- Ale ja naprawdę cię kocham. Jak siostrę. Jak przyjaciółkę. Jak...

- Jak żonę - dopowiedziała.

- Tak. Właśnie tak.

- A ja kocham cię jak męża, Zdorabie. Takiego, jaki jesteś. O tak.

- Przygarnęła go i ucałowała w policzek. - O tak. - A potem odwróciła się na drugi bok, plecami do niego, i niebawem zasnęła.

*

Sny przychodziły, noc za nocą, przez ostatnie tygodnie przed startem gwiazdolotu „Basilika”. A pod koniec, jeden po drugim, śniący przychodzili do niego.

Pierwsza była Hushidh. Ostrzegła, że Naddusza ma rację, że przepaść między nim a Elemakiem nigdy nie zniknie, więc musi być gotów.

- Nie dotrzymuj słowa. Nie budź wszystkich na półmetku lotu. Dojdzie do katastrofy, gdy wszyscy będziemy ściśnięci razem w małej przestrzeni.

- Dzięki za radę.
- Zignoruj mnie, jeśli chcesz. W końcu to ty masz powłokę.
- Nie pouczaj mnie. Jesteś starszą siostrą Luet, nie moją.
- A wszyscy wiemy, co za wspaniałe okazy są z twoich starszych sióstr.

Oboje parsknęli śmiechem.

- Przekaż Luet ode mnie - poprosiła Hushidh - że gdy tylko zdecydowałam się posłuchać Nadduszy i oddać moją najstarszą czwórkę pod waszą opiekę na czas podróży, odkryłam, że więzi między mną a Luet powróciły, są silne jak zawsze. Zapewne ta bariera była jej winą na samym początku, ale przeze mnie nie zanikła aż do tej pory.

- Przekażę - obiecał Nafai. - Ale lepiej sama jej to powiedz.
- Wiedziałam, że to usłyszę od ciebie. I dlatego cię nienawidzę.
- Ucałowała go w policzek i odeszła.

Potem Rasa i Volemak przyszli razem.

- To było samolubne z naszej strony, że nie chcieliśmy przekazać ci naszych synów. Obaj urodzili się późno - tłumaczyła Rasa. - A tym sposobem będą mogli podgonić swoich starszych braci.

Volemak uśmiechnął się sztywno.

- Mnie to nie interesuje tak bardzo jak Rasę. Jak zwykle, więcej myśli o ludzkich uczuciach niż ja. Co do mnie, to wystarczyło, że przypominałem sobie, ile poświęciliśmy do tej pory. Głupio by było teraz odmawiać Nadduszy. Jest coś takiego jak zaufanie, Nafaiu. Nie ryzykuj przetrwania całej kolonii, szczególnie twojej rodziny, tylko po to, by zachować własne wyobrażenie o sobie jako o człowieku, który zawsze postępuje „właściwie”.

Słowa ojca nie przyniosły Nafaiowi pociechy.

- Straciłem to wyobrażenie, gdy odciąłem głowę Gaballuffixowi, ojczu. I odtąd nie było dnia, bym tego nie żałował. To niemądre, wiem, że chciałem oszczędzić sobie kolejnego poczucia winy.

Volemak zamilkł, ale nie Rasa.

- Trochę rozczulamy się nad sobą, tak? - rzekła. - Cóż, Nafaiu, wciąż jesteś młody, więc nadal myślisz, że cały świat kręci się wokół ciebie. Ale tak nie jest. Naddusza przekonała nas, że najlepiej będzie, jeśli nasi najmłodszy synowie nie pójdą spać na czas podróży. Teraz ty musisz zdecydować, czy masz odwagę poradzić sobie z gniewem Elemaka, gdy już będzie po wszystkim.

- I nie liczy się dla was to, że dałem mu... wszystkim dałem słowo, że tego nie zrobię?
- Jestem twoim ojcem - odparł Volemak - a Rasa jest twoją matką. Zwalniamy cię z tej

obietnicy.

- Oho, Elemak od razu się uspokoi, jak to usłyszysz.

Rasa zaśmiała się beztrąsko.

- Daj spokój, Nafaiu. Elemak jest jedyną osobą w całej grupie, która nawet przez chwilę nie wierzyła, że dotrzymasz słowa. A wiesz czemu? Bo wie, że na twoim miejscu sam z miejsca by złamał tę przysięgę.

- Ale ja nie jestem Elemakiem.

- Jesteście do siebie bardzo podobni - stwierdził Volemak. - Tyle że on nie ma dobrego serca.

Nafai nie był pewien, czy to pochwała, czy raczej przygana.

Po Hushidh, po ojcu i matce przyszedł Issib, przynosząc z sobą - jak zwykle - nie tylko sny zesłane mu przez Nadduszę, ale też pomysły, jak zmienić sytuację na lepsze.

- Ciągle mam te sny - zagaił.

- Od Nadduszy. Wiem, ja też je mam.

- Nie te same, Nyef. Widzę mojego najstarszego syna, Xodhyę, jak wychodzi ze statku...

- Ja widzę Zhyata...

- A on wygląda zupełnie jak ja. Co jest śmieszne, bo z twarzy bardzo przypomina matkę, ale w moim śnie on jest mną. Tyle że jest wysoki i silny, zbudowany jak młody bóg. Jak jeden z posągów w starej orkestrze.

- Oczywiście. Naddusza zwyczajnie tobą manipuluje.

- Tak, wiem - przyznał Issib. - Byłem z tobą, gdy po raz pierwszy mu się oparliśmy, nie pamiętasz? Zrobiliśmy to razem.

- Nie zapomniałem.

- Udowodniliśmy, że nie musimy robić tego, czego chce Naddusza, prawda? Ale potem postanowiliśmy pomóc Nadduszy, bo chcieliśmy. Bo zgodzaliśmy się z tym, co chce osiągnąć.

- I dopóki się zgadzałem, dopóty współpracowałem. Ponosząc wielkie koszty, mógłbym dodać.

- Ty mówisz o kosztach? Ty? Z powłoką gwiazdnego sternika?

- Oddałbym ją w mig, by wiedzieć, że moi bracia mnie kochają.

- Ja cię kocham, Nyef. Czy kiedykolwiek w to wątpiłeś?

- Nie, nie chciałem...

- Okya i Yaya też cię kochają. Czy nie są twoimi braćmi? Czy ja nie jestem?

- Wszyscy nimi jesteście.
 - A nie sądzę, by w ogóle obchodziło cię to, czy Meb cię kocha.
 - Dobra, w takim razie: Elemak. Zamieniłbym powłokę gwiazdnego sternika na szacunek Elemaka.
 - Nie rozumiesz, Nyef? Nigdy nie zdobędziesz jego szacunku.
 - Bo nigdy na niego nie zasłużę.
 - Głupi! - Issib się zaśmiał. - Ależ jesteś głupi! Nie możesz mieć jego szacunku właśnie dlatego, że na niego zasługujesz.
 - Nigdy nie lubiłem paradoksów, kiedy byliśmy w szkole. Myślę, że to wniosek, który filozofowie wyciągają, gdy...
 - Gdy nie chce im się już dłużej myśleć, wiem, nie pierwszy raz to mówisz. Ale to nie jest paradoks. Elemak nienawidzi cię, bo jesteś jego młodszym bratem, a on wie, on wie, że ojciec darzy cię większym szacunkiem i miłością. Nienawidzi cię, bo wie, że w oczach ojca jesteś lepszym człowiekiem.
 - Chciałbym.
 - Wiesz, że to prawda. Gdybyś jednak zrezygnował z tego wszystkiego, gdybyś zrzekł się powłoki, gdybyś odrzucił Nadduszę, to sądzisz, że wtedy Elemak by cię szanował? Oczywiście, że nie, bo wtedy naprawdę zasługiwałbyś tylko na pogardę. Byłbyś słaby. Byłbyś nikim.
 - Dobra, przekonałeś mnie. Zachowam powłokę.
 - Powłoka to nic. Już zacząłeś robić coś znacznie gorszego.
- Nafai przyjrzał mu się uważnie.
- Naprawdę próbujesz mnie przekonać, żebym nie kładł twoich najstarszych dzieci spać na czas podróży, żebym je wychowywał za ciebie, aby wtedy, gdy się obudzisz, były już dorosłe?
 - Skądże. Tego bym nie chciał.
 - No to o co ci chodzi?
 - Nie kładź ich spać, ale mnie też budź od czasu do czasu. Raz w roku na kilka tygodni. Pozwól, żebym uczył wszystkie dzieci obsługi komputerów. Nikt nie zna się na tym lepiej niż ja.
 - Komputery im się nie przydadzą w nowej kolonii.
 - W takim razie matematyki. Geodezji. Triangulacji. Mogę czytać te same książki co ty i uczyć je tak samo jak ty. A może chciałeś urządzić tu pracownię rolnictwa? Leśnictwa? To kiedy mamy wnieść drzewa na pokład?

- O tym w ogóle nie pomyślałem.
- Czyli Naddusza w ogóle o tym nie pomyślał.
- Wszystko jedno.

- Rób to na zmianę. Obudź Luet na jakiś czas, ale potem znów połóż ją spać. Obudź mnie, obudź Hushidh. Obudź matkę i ojca na kilka tygodni. Wtedy zobaczymy, jak nasze dzieci rosną. Nie przegapimy wszystkiego. A gdy dotrzemy na Ziemię, one będą już mężczyznami i kobietami. Gotowymi stanąć u twego boku przeciw reszcie grupy.

Nafai nie odpowiedział od razu.

- Nie tak Naddusza wyłożył Luet swój plan.
- A gdzie jest napisane, że trzeba robić wszystko dokładnie według planu Nadduszy?

O ile zrobisz to, co chce, metoda nie ma większego znaczenia, prawda?

- Czy Hushidh myśli tak samo?
- Może będzie. Za jakiś czas.
- Nie wezmę niczyjego dziecka bez zgody rodziców.
- Doprawdy? A co z samymi dziećmi? Zamierzasz je zapytać o zdanie?
- Powinienem - przyznał Nafai. - Zastanowię się nad tym, Issibie. Ten kompromis chyba jest możliwy.

- Dobrze - odparł Issib. - Bo sędzę, że Naddusza ma rację. Jeśli tego nie zrobimy, jeśli nie damy ci wsparcia silnych młodych mężczyzn i kobiet, to gdy oddalimy się od statku i wpływ Nadduszy osłabnie, będziesz martwy, a ja razem z tobą.

- Pomyślę o tym.

Issib podniósł się z krzesła i nachylił ku drzwiom, a potem lekko postąpił w ich stronę dzięki lewiterom utrzymującym niemal cały ciężar jego ciała. Na progu się odwrócił.

- I jeszcze jedno.
- Co?
- Znam cię lepiej, niż myślisz.
- Ach tak?
- Na przykład wiem, że Naddusza mówił ci o tym wszystkim na długo przed tym, zanim Luet się wygadała.

- Tak?

- Wiem też, że od początku chciałeś, żeby to się stało. Nie chciałeś tylko, żeby to był twój pomysł. Chciałeś, żebyśmy to my przekonywali ciebie. Tym sposobem nigdy nie będziemy mogli cię winić. Bo próbowałeś nas od tego odwieść.

- Naprawdę jestem taki sprytny? - zapytał Nafai.

- Tak - przyznał Issib. - A ja jestem naprawdę dość sprytny, by się tego domyślić.
- No skoro tak, to jednak wcale nie jestem aż taki sprytny.
- Jesteś - upierał się Issib. - Bo ja naprawdę chcę, żebyś to zrobił, i jeśli nie spodoba mi się rezultat, nie będę mógł cię winić. Więc się udało.

Nafai uśmiechnął się blado.

- Chciałbym, żebyś miał absolutną rację.
- Tak? A gdzie się mylę?
- Pragnąłbym raczej pozwolić wszystkim dzieciom przespać tę podróż. Bo wolałbym uniknąć podziału między nami w nowej kolonii. Bo wolałbym uczynić Elemaka królem całej naszej grupy i pozwolić mu rządzić, zamiast mieć go za wroga.

- To czemu tego nie zrobisz?
- Bo on nienawidzi Nadduszy. A gdy dotrzemy na Ziemię, będzie się równie mocno opierał wszystkiemu, czego by chciał od nas Opiekun Ziemi. I skończy się na tym, że pograży nas wszystkich przez swój upór. Nie może być naszym władcą.
- Cieszę się, że to rozumiesz - stwierdził Issib. - Bo jeśli kiedyś zaczniesz myśleć, że on powinien rządzić, to właśnie wtedy cię zniszczy.

*

Volemak, Rasa, Hushidh, Issib; a potem wreszcie Shedemei i Zdorab przyszli do niego ledwie godzinę przed tym, zanim wszyscy mieli się położyć spać na czas podróży.

- Nie chcę tego robić - oświadczył Zdorab.
- A więc nie obudzę twoich dzieci - obiecał Nafai. - I nie jestem jeszcze pewien, czy obudzę dzieci innych.
- Och, obudzisz - odezwała się Shedemei. - I obudzisz też nas od czasu do czasu, żebyśmy pomogli je uczyć. Tak się umawiamy.
- A gdy dotrzemy na Ziemię i nasze dzieci będą dziesięć lat starsze od dzieci Elyi, Meba, Vasyi i Briyi, stawicie im czoło wraz ze mną? Powiecie: „Uznaliśmy to za dobry pomysł, prosiliśmy go, żeby to zrobił”?
- Nigdy nie powiem, że uznałem to za dobry pomysł - odparł Zdorab. - Ale przyznam, że poprosiłem cię, żebyś to zrobił.
- To nie wystarczy - zauważył Nafai. - Jeśli nie uważasz tego za dobry pomysł, czemu prosisz mnie, żebym pozwolił waszym dzieciom wziąć w tym udział?
- Bo mój syn nigdy by mi nie wybaczył, gdyby wiedział, że miał szansę dotrzeć na Ziemię jako mężczyzna, a przeze mnie dotarł tam jako chłopiec.
- To dobry powód. - Nafai potaknął.

- Ale pamiętaj - ciągnął Zdorab - to się tyczy też innych dzieci. Gdy synek Elyi, Protchnu, obudzi się i odkryje, że twój młodszy syn, Motya, jest osiem lat od niego starszy, a nie dwa lata młodszy, myślisz, że ci kiedyś wybaczy? Że sam Motya ci wybaczy? To zrodzi nienawiść, która nigdy nie ostygnie, pokolenie za pokoleniem. Oni zawsze będą uważać, że zostali oszukani.

- I będę mieli rację - przyznał Nafai. - Ale to, czego ich pozbawiono, nie zostało im odebrane, dopóki sami się tego nie zrzekli.

- O tym nie będą pamiętać.

- A ty będziesz?

Zdorab myślał przez chwilę.

- Jeśli nie - wtrąciła się Shedemei - ja mu przypomnę.

Zdorab posłał jej ponury uśmiech.

- Kładźmy się spać - powiedział.

*

Niezależnie od tego, kto miał obudzić się później, wszyscy będą spać w chwili startu. Za dużo stresu, za dużo bólu, żeby przeżyć to świadomie. Pogrążą się we śnie, zamkną w swoich komorach, otuleni pianą.

Każda para układała do łóżka swoje małe dzieci, umieszczając je w komorach letargicznych, całując je, a potem zamykając pokrywę i patrząc przez okienko, dopóki nie odpłynęły w sztucznie wywołany sen, który inicjował proces zawieszenia funkcji życiowych. Niektóre dzieci trochę się bały, zwłaszcza te starsze, które rozumiały coś z całej sytuacji, lecz widać było u nich też ekscytację, pełne napięcia oczekiwanie. „A gdy się obudzimy, będziemy na Ziemi?” - pytały. „Tak” - odpowiadali rodzice.

Po wszystkim Nafai zebrał dorosłych w sterowni i pokazał im kalendarz z zaplanowaną na półmetek lotu pobudką.

- Będziecie mogli sprawdzić, co się dzieje z waszymi dziećmi, i upewnić się, że smacznie sobie śpią - zapewnił ich.

- No, teraz to już mogę spać spokojnie - zadrwił Elemak.

Nafai obserwował, jak wszyscy kolejno idą spać, i upoważniał komputery systemu podtrzymywania życia do podania im środków nasennych, otoczenia ich pianą, ochłodzenia ich ciał. Potem sam wspiął się do swojej komory i zasunął pokrywę.

Żaden człowiek nie widział, jak statek wznosił się po cichu w przestworza, na sto metrów, na tysiąc, aż znalazł się tak wysoko, jak tylko pole magnetyczne lądowiska mogło go unieść. Potem odpaliła się rakiet startowa, wyrzucając w dół warkocz płomieni i pchając

„Basilikę” w nocne niebo.

Hen daleko, po przeciwnej stronie morza, podróżnicy na szlaku karawanowym zobaczyli spadającą gwiazdę.

- Ale ona się unosi - zauważył jeden z nich.

- Nie - powiedział inny. - To tylko iluzja, bo zbliża się w naszą stronę.

- Nie - upierał się pierwszy. - Ona unosi się w niebo. I jest za wolna jak na spadającą gwiazdę.

- Doprawdy? - zadrwił drugi. - Więc co to jest w takim razie?

- Nie wiem, ale dziękuję Nadduszy, że mogliśmy to zobaczyć.

- A to czemu?

- Bo po milionach lat, głupcze, nie ma takiej rzeczy, którą można by zobaczyć, a której nie widziano już wcześniej sto, tysiąc albo i milion razy. A my widzieliśmy właśnie coś, czego nikt nigdy nie widział.

- Myślisz?

- Tak myślę.

- A co w tym dobrego? Widzieć coś cudownego i nie mieć pojęcia, co to jest?

Gwiazdolit „Basilika” wzbił się wyżej, wylatując poza pole przyciągania Harmonii. Kiedy znalazł się już wystarczająco daleko, rakiety zgasły. Zostaną odpalone ponownie dopiero w chwili, gdy statek zacznie lądować na innej planecie. Zamiast nich z boków statku wyrosła i rozpięła się sieć wykonana z nitek tak cienkich, że nie dałoby się ich zobaczyć, gdyby nie refleksy światła na przewodach, błyszczące, kiedy cząsteczka wodoru lub inna, jeszcze mniejsza, wpadała w pole energii wytwarzane przez sieć. Wtedy można było zauważyć jej kształt, tę ogromną pajęczynę zbierającą pył kosmiczny, by zyskać energię niezbędną do dalszego lotu. „Basilika” zaczęła przyspieszać, lecąc szybciej i szybciej, aż Harmonia stała się jedynie kolejnym punkcikiem światła, nieodróżnialnym gołym okiem od innych. Po czterdziestu milionach lat istoty ludzkie w końcu oderwały się od powierzchni tego świata i na przekór wszelkim przewidywaniom wracały do domu.

PODSŁUCHIWACZ

Prawie wszystkie dzieci przypuszczały, że obudzą się już na Ziemi. Tak im mówiono, gdy kładły się spać w komorach letargicznych: „Obudzicie się już na Ziemi”.

Tylko Oy kib wiedział, że obudzi się o wiele wcześniej. Nie zdziwił go więc brak normalnej grawitacji ani to, że wydawał się niewiarygodnie lekki i silny, a każdy krok unosił go pod sufit. Tak to już jest w kosmosie, gdzie nie działa siła ciężenia planety, lecz jedynie przyspieszenie statku. A jeśli miał jakieś wątpliwości, rozwiało je to, że gdy Nafai i Luet zebrali dzieci w bibliotece statku - największej otwartej przestrzeni na pokładzie oprócz wirówki - słyszał, jak Naddusza szepce do Nafaia i Luet: „To zły pomysł. Nie dawajcie im wyboru. Dzieci w tym wieku są za młode, by decydować o czymś tak ważnym. Ich rodzice już się zgodzili. Jeśli powiecie im, że mają wybór, gdy go nie mają, tylko was za to znienawidzą”. I tak dalej.

Oy kib słyszał podobne urywki rozmów od najwcześniejszego dzieciństwa. Odkąd tylko pamiętał. Na początku jednak to było jak muzyka, jak szmer wiatru, jak szum fal dla dziecka dorastającego nad morzem. Nie zastanawiał się nad tym, nie szukał w tym sensu. Stopniowo jednak, nim skończył pięć lat, zaczął sobie uświadamiać, że te odgłosy w tle niosą z sobą imiona; że są tam pomysły, które potem pojawiały się w dyskusjach dorosłych.

Choć te głosy rozbrzmiewały w jego głowie, a więc były bezdźwięczne, zaczął wiązać poszczególne sposoby myślenia z konkretnymi ludźmi. Zauważał, że czasami, gdy był z matką czy ojcem, Nafaiem lub Issibem, Luet albo Hushidh, rozmowa, którą słyszał najwyraźniej, wydawała się współgrać z tym, o czym oni rozmawiali z kimś innym, z kimś trzecim, nieobecnym. Na przykład widział Luet próbującą rozwiązać spór między Chveyą a Dazyą i słyszał, jak ktoś mówi: „Czemu ona nie umie postawić się Dazyi? Czemu jej tak ustępuje?”. A ktoś inny - najczęstszy głos, najsilniejszy - odpowiedział: „Umie, nie ustępuje, dobrze jej idzie, bądź cierpliwa, nie musi wygrać otwarcie, o ile tylko utwierdzisz ją w tym, że masz dla niej szacunek”. Ta konkretna, emocjonalna, intymna maniera oznaczała, że słyszy Luet; chłodniejszy, spokojniejszy, acz mniej pewny tok myślenia należało przypisać Hushidh. A najbardziej rzeczowy, niecierpliwy, kłótlivy głos należał do Nafaia.

Oy kib był mały i nie rozumiał, że nie powinien tych głosów słyszeć. Zdał sobie z tego jasno sprawę dopiero z powodu snów, były one bowiem jedną z najpotężniejszych metod, za pomocą których Naddusza przemawiał do ludzi. Pewnego razu Luet rozmawiała z jego matką

o swym śnie. Oy kib wtrącił się: „Ja też miałem ten sen”, a potem powtórzył to, co widziała Luet.

Matka się wtedy śmiała; nie wierzyła, że widział ten sam sen. Przy kolejnej okazji, a tym razem chodziło o sen ojca, matka wzięła Oy kiba na stronę i delikatnie mu wytłumaczyła, że nie trzeba udawać, że ma się takie same sny jak inni ludzie, lepiej opowiadać o własnych.

Oy kibowi było przykro, że mu nie wierzą, a im był starszy, tym bardziej go to drażniło. Czemu, przy tak częstej komunikacji między tymi dorosłymi a Nadduszą, wszyscy zakładali, że on, kilkulatek, nie może w niej uczestniczyć na takich samych zasadach? W końcu doszedł do wniosku, że sen naprawdę został zesłany komuś innemu - i był stosowny do czyjejś sytuacji, a zupełnie nieodpowiedni dla niego. I dlatego dorośli wiedzieli, że Naddusza nigdy nie zesłałby mu takiego snu - snu, który nie miał żadnego związku z jego życiem. I faktycznie, Naddusza nie kierował takiego snu do niego. Sny i rozmowy w tle były całkiem prawdziwe, ale nie były jego własnymi.

Czemu Naddusza nie ma mi nic do powiedzenia? - zastanawiał się.

Zanim skończył osiem lat, już dawno nauczył się zachowywać dla siebie to, co podsłuchał. Z natury był cichy i powściągliwy - w dużej grupie wolał milczeć, słuchać, pomagać w razie potrzeby. Rozumiał o wiele więcej, niż ktokolwiek przypuszczał; po części dlatego, że dorastał, słysząc dyskusje o problemach dorosłych; po części dlatego, że oprócz rozmów prowadzonych na głos słyszał też urywki z wewnętrznych dialogów, gdy Naddusza zgłaszał sugestie, próbował wpłynąć na nastrój, a czasem starał się odwieść kogoś od tego, co ten ktoś myślał lub robił. Niestety, przez to Oy kib prawie nie miał własnych myśli, bo próbował nadażyć za wszystkim, co działo się wokół niego. A gdy zamierzał się odezwać, nigdy nie miał pewności, czy reaguje na coś, co zostało powiedziane na głos, czy raczej na coś, o czym wiedział tylko dlatego, że podsłuchał to, czego naprawdę nie powinien był słyszeć.

Był małomówny także z innego powodu. Już dawno poznał takie pojęcia jak „prywatność” i „sekret”, wiedział więc, że ludzie nie byliby zadowoleni, gdyby chociaż zaczęli podejrzewać, jak dużo wie. Pewnie by się rozgniewali, wiedząc, że ich najbardziej intymne myśli, które jedynie Naddusza mógł poznać, były słyszane, zapamiętywane i przechowywane w głowie sześć-, siedmio-, ośmioletniego chłopca.

Czasem ciężar tych wszystkich sekretów go przerastał. Dlatego zaczął te luźne pogaduszki z Yasaie, swoim młodszym bratem. Nigdy nie powiedział Yai, skąd wie to, co wie. Mówił jedynie coś w rodzaju: „Założę się, że Luet jest zła, bo Hushidh nigdy nie powstrzymuje Dazyi przed dyrygowaniem młodszymi dziećmi” albo „Ojciec tak naprawdę

nie kocha Nafaia bardziej niż innych, tyle że Nafai jedyny rozumie, co robi ojciec, i może mu pomóc”. Yaya nie mógł się nadziwić, jak często te „wnikliwe” spostrzeżenia się sprawdzały, i pochlebiało mu to, iż jego „mądry” brat dopuszczał go do grona wtajemniczonych; Oy kib czasem czuł się przez to jak oszust, pozwalając Yayi myśleć, że sam dochodzi do tych wszystkich wniosków. Wiedział jednak - nie wiedząc, skąd wie - że źle by zrobił, gdyby powiedział choćby tylko Yayi o tym, jak wszelka komunikacja z Nadduszą przenika do jego umysłu. Yaya umiał dochować tajemnicy, ale coś tak ważnego musiałoby w końcu się wydać.

Dlatego Oy kib zachowywał te tajemnice dla siebie. Najtrudniej było mu kilka miesięcy temu, gdy Nafai wyszedł w góry, przedostał się przez barierę i odnalazł statki. Oy kib słyszał wtedy trochę okropnych, przerażających rzeczy. Jak Luet błagała Nadduszę, żeby chronił jej męża. Jak Naddusza nakłaniał kogoś, by zachował spokój, zachował spokój i nie zabijał swojego brata, że nie będzie mógł spojrzeć sobie w oczy, jeśli go zabije. Oy kib znał już wtedy dorosłych na tyle dobrze, by wiedzieć, kto zamierza zabić Nafaia. Pragnął coś zrobić, ale nie mógł; był unieruchomiony przez ogłuszającą wrzawę potrzeb i żądź, krzyków i żądań, próśb i żalów. Przerażony poszedł do domu i przywarł do matki, która powiedziała do ojca: „Widzisz, jak dzieci wyczuwają niektóre rzeczy, nie rozumiejąc ich?”. Miał ochotę wyjaśnić: „Doskonale rozumiem, że Elemak i Mebbekew zamierzają zabić Nafaia, a potem nami rządzić - wiem to, bo słyszałem, jak Naddusza próbował ich powstrzymać. Wiem, że Luet jest przerażona, i wy też, że Nafai może zginąć. I wiem, że Naddusza mówi do Nafaia o ważnych sprawach, tyle że on jest daleko i wyłapuję tylko urywki. I wiem, że Nafai w ogóle się nie boi, jest tylko podekscytowany, ciągle krzyczy w duchu: «Teraz rozumiem! A więc to tak! Już wiem, o co chodzi. Tak!»”.

Mógł jednak tylko tulić się do matki, a potem omówić to z Yayą. „Myślę, że Elya i Meb spróbują dziś zabić Nafaia, gdy wróci - powiedział, a Yaya zrobił wielkie oczy. - Ale Nafai się nie boi, bo stał się taki silny, że nikt go nie może skrzywdzić”.

Gdy wszystko zakończyło się ukorzeniem Elemaka i Mebbekewa przed mocą powłoki gwiazdnego sternika, Yaya jeszcze bardziej niż wcześniej nie mógł wyjść z podziwu nad „mądrością” brata. Oy kib miał już tego dość. Nie chciał wiedzieć aż tyle. A mimo to, gdzieś w głębi duszy, chciał wiedzieć więcej. Chciał, żeby Naddusza przemówił do niego.

Ale czemu miałby do niego przemówić? Oy kib był raptem ośmioletnim chłopcem, i to nie takim silnym i dominującym jak syn Elemaka, Protchnu, o kilka tygodni młodszy. Cóż Naddusza mógłby mieć mu do powiedzenia?

Teraz, siedząc z innymi w bibliotece gwiazdolotu, Oy kib wiedział już dokładnie, co za chwilę będzie im wyjaśniane, bo słyszał, jak Naddusza klócił się o to z dorosłymi przed

odlotem. A teraz słyszał, jak Naddusza kłóci się o to z Nafaiem i Luet. Miał ochotę krzyknąć do nich, by umilkli już i po prostu to zrobili, lecz zachował spokój i słuchał cierpliwie, gdy Nafai i Luet tłumaczyli wszystko.

Nie podobał mu się sposób, w jaki to załatwili. Powiedzieli prawdę, oczywiście - nauczył się już tego po nich spodziewać bardziej niż po innych dorosłych - ale pominęli wiele z prawdziwych powodów, dla których tak postąpią. Mówili o tym wyłącznie jak o wspaniałej szansie, bo dzieci wiele się uczą, a muszą dużo wiedzieć, by kolonia mogła dobrze funkcjonować na Ziemi.

- A ponieważ będziecie mieli wtedy czternaście, piętnaście, szesnaście, nawet niektórzy osiemnaście lat, będziecie mogli wykonywać pracę dorosłych. Bo będziecie dorośli. Jednak tylko od czasu do czasu zobaczycie swych rodziców podczas podróży. Nie starczy zapasów powietrza, by utrzymać naraz więcej niż dwóch dorosłych w stanie aktywności.

Tak, tak, to wszystko prawda, pomyślał Oy kib. Ale co z faktem, że tylko dwanaścioro z nas będzie w tej waszej szkółce? Co z faktem, że gdy na koniec podróży ja będę miał osiemnaście lat, Protchnu wciąż będzie miał osiem? Co z przyjaciółmi, takimi jak między córką Mebbekewa, Tiya, a córką Hushidh, Shyadą? Czy nadal będą się przyjaźnić, gdy Shyada będzie szesnastolatką, a Tiya sześciolatnym dzieckiem? Mało prawdopodobne. Czy i to nam wyjaśnicie?

Lecz nic nie powiedział. Czekał. Może jeszcze dojdą do tego.

- Jakies pytania? - zapytał Nafai.

- Macie mnóstwo czasu - rzekła Luet. - Jeśli chcecie wrócić do komór, możecie to zrobić za kilka dni, nie ma pośpiechu.

- Czy na statku można robić coś fajnego? - zagadnął Xodhya, najstarszy syn Hushidh. To było najbardziej oczywiste pytanie, gdyż dorośli od dawna zapewniali dzieci, że warto przespać całą podróż, tak będzie nudna.

- Nie we wszystko będzie można się bawić - odpowiedziała Luet. - Wirówka zapewnia grawitację zbliżoną do ziemskiej, ale biegać da się tylko w linii prostej. Nie da się grać w piłkę ani pływać, ani leżeć w trawie, bo nie ma basenu i trawy, a rzucanie i łapanie piłki byłoby niepraktyczne. Ale zostaje siłowanie się, a myślę, że przywykniecie do zabaw w berka i w chowanego w niedociążeniu.

- Są też gry komputerowe - dodał Nafai. - Nigdy nie mieliście okazji w nie pograć, dorastając bez komputerów, ale Issib i ja znaleźliśmy sporo...

- Nie będziecie mogli robić tego za często - przerwała mu Luet. - Nie chcielibyśmy, żebyście się do nich przyzwyczaili, bo na Ziemi nie będzie takich komputerów.

Gra w berka w niedociążeniu - już samo to mogłoby przekonać większość dzieci. Oykitab zorientował się jednak, że wzbiera w nim gniew, bo oni udawali, że dają im wybór, a mówili głównie o dobrych stronach, zupełnie przemilczając złe.

Może by się wtedy odezwał, ale ubiegła go Chveya.

- Myślę, że wszystko zależy od tego, co postanowi Dazya.

Dza, wiecznie zarozumiała, uważająca siebie za najważniejsze dziecko, bo urodziła się pierwsza, wyraźnie się napuszyła. Oykitab był zniesmaczony. Nigdy wcześniej nie widział, żeby Chveya tak podlizywała się Dzy - uważał ją za najrozsądniejszą z dziewczynek.

- Chveya, każde z was, dzieci, musi zdecydować za siebie.

- Nie, nie rozumiesz. Cokolwiek Dazya postanowi, ja zrobię na odwrót.

Dazya pokazała jej język.

- Właśnie tego się po tobie spodziewałam. Jesteś taka niedojrzała - odcięła się Chveya.

- Veya, jestem zażenowana, że powiedziałas coś tak krzywdzącego - skarciła ją Luet. - Naprawdę zmieniałabyś całą swoją przyszłość tylko po to, by zrobić na złość Dazyi?

Chveya zarumieniała się i umilkła.

W końcu Oykitab miał już dość, nie mógł już dłużej trzymać języka na wodzy.

- Wiem, co powinniście zrobić - odezwał się. - Połóżcie Dazyę spać na trzy dni. Wtedy, gdy wstanie, Dza i Chveya będą dokładnie w tym samym wieku.

Chveya przewróciła oczami, jakby mówiła: „To nic nie da”. Lecz Dazya się wściekła.

- Moje urodziny zawsze będą pierwsze i nic tego nie zmieni! - wrzasnęła. - To ja byłam tu pierwsza, nikt inny! Zamierzam więc nie spać i wciąż być najstarsza, gdy tam dotrzemy! Nikt nie będzie mną rządził.

Oykitab zauważył z satysfakcją, że Dazya pokazała właśnie Nafaiowi i Luet dokładnie, czemu Chveya chce iść spać, jeśli Dza nie pójdzie.

- Prawdę mówiąc - odparła Luet - nikt nie ma prawa rządzić innymi ludźmi tylko dlatego, że jest najstarszy, najmądrzejszy czy jakiś inny.

Kilkoro z najmłodszych dzieci zareagowało śmiechem.

- Dza cały czas się rządzi - zauważyła Shyada, która jako druga córka Hushidh i Issiba często doświadczała Dazyi kaprysów na swojej skórze.

- Nieprawda - broniła się Dazya. - Nie rządzą Oykitabem i Protchnu.

- Nie, rządzisz tylko tymi, którzy są słabsi od ciebie! - odparowała Shyada.

- Uciszcie się - poprosił Nafai. - To, co właśnie tu widzieliśmy, to jeden z problemów wynikających z niekładowania was spać. Statek nie jest duży w środku. Przez wiele lat będziecie stłoczeni razem. Na Harmonii pozwalaliśmy wam na więcej, uważając, że z tego

wyrośnięcie. Ale w trakcie podróży nie będziemy tolerowali starszych dzieci rządzących młodszymi.

- Czemu nie? - zapytała Dazy. - Dorośli bez przerwy rządzą dziećmi.

- Wierzę, że jesteś dość inteligentna, by zrozumieć, że trzy dni dzielące ciebie i Veyę nie mają takiego znaczenia jak piętnaście lat, które dzielą ciebie i mnie - odparła Luet.

Chveya od razu podchwyciła ten temat:

- Jeśli nie pójde spać, matko, to gdy dolecimy na Ziemię, będę trzy lata starsza niż ty, gdy mnie urodziłaś.

- Tak, ale Luet była już wtedy po ślubie - zauważył Rokya, syn Zdoraba i Shedemei. Nagle okrył się rumieńcem.

- Małżeństwo to nie jest coś, o co teraz powinniście się martwić - stwierdziła Luet.

- Czemu nie? - zapytała Chveya. - Wy się o to martwicie. Rokya to jedyny chłopak tutaj, który nie jest moim wujkiem ani podwójnym kuzynem.

- Tym się nie kłopotz - wyjaśniła Luet. - Shedemei powiedziała, że nie będzie żadnych problemów genetycznych, więc jeśli, gdy podrośnięcie, zakochacie się w kuzynie lub wujku...

Większość dzieci jęknęła albo udawała, że wymiotuje.

- Mówię: gdy podrośnięcie, gdy ta myśl przestanie być dla was odrażająca, nie będzie żadnych genetycznych przeciwwskazań.

Oykib wiedział jednak, że przed startem Shedemei błagała Nadduszę, by wybaczył jej, że okłamała Nafaia, i prosiła, by Naddusza nakazał mu zabronić małżeństw między bliskimi kuzynami. Wiedział też coś jeszcze, coś, czego Shedemei nie wiedziała - jej słowa o tym, że wszyscy zostali starannie wyhodowani przez Nadduszę tak, by nie mieli żadnych defektów, włożył jej w usta sam Naddusza. Był to bardzo silny przekaz. Oykib go podsłuchał i dlatego nie miał żadnych obaw przed małżeństwem z kuzynką. Lepiej żeby Naddusza miał rację - Oykib i Yaya nie mogli obaj poślubić córki Shedemei i Zdoraba, Dabroty, a więc jeden z nich musiał się ożenić z siostrzenicą albo bratanicą, albo aż do śmierci być sam.

Chveya nie dała za wygraną.

- Nie to mówiłaś tamtej nocy...

Luet próbowała zachować cierpliwość.

- Nie słyszałaś obu stron tej rozmowy, a poza tym od tamtej chwili poznałam parę nowych faktów. Miej trochę zaufania, słońce.

Wtedy odezwał się Motiga. Nie przejmując się kwestią małżeństw, zastanawiał się nad czymś zupełnie innym.

- Skoro ludzie, którzy nadal będą spali, w ogóle się nie zestarzeją, to czy ci, których tu teraz nie ma, wciąż będą mali? Czy ja będę większy niż Protchnu?

Luet i Nafai spojrzeli po sobie. Wyraźnie chcieli uniknąć omawiania tej sprawy.

- Tak - przyznał w końcu Nafai. - Tak właśnie będzie.

- Super! - ucieszył się Motiga.

Lecz reszta nie była tego taka pewna.

- To głupie - skomentowała Shyada, sześciolatnia cicha wielbicielka Protchnu. - Czemu po prostu nie zrobicie tak, żebyśmy budzili się na zmianę, jak dorośli?

Oykib był zaskoczony, że sześciolatka wpadła na najrozsądniejsze rozwiązanie. Widać było, że Nafai i Luet oniemieli, nie wiedząc, co powiedzieć, jak to wyjaśnić.

Oykib więc, zawsze skory do pomocy, postanowił zabrać głos.

- Słuchajcie, nie zostaliśmy obudzeni dlatego, że Nafai i Luet najbardziej nas lubią czy coś takiego. Jesteśmy tu, bo nasi rodzice są po stronie Nafaia, a rodzice dzieciaków, które nadal śpią, są po stronie Elemaka.

Nafai wydawał się zły. Oykib usłyszał, jak mówi do Nadduszy: „Dałoby radę nauczyć tego chłopaka, jak i kiedy trzymać buzię na kłódkę?”.

Oykib usłyszał też odpowiedź Nadduszy: „A nie ostrzegałem cię, żebyś nie dawał im wyboru?”.

- Sądzę, że dobrze będzie dla wszystkich, jeśli zdecydujemy, znając prawdziwy powód tego, co tu się dzieje - stwierdził Oykib, patrząc Nafaiowi prosto w oczy. - Wiem, że ty i Luet, moi rodzice, Issib i Hushidh, Shedemei i Zdorab, wy wszyscy jesteście posłuszni Nadduszy. Wiem też, że Elemak, Mebbekew, Obring i Vas próbowali cię zabić, a Naddusza myśli, że znów spróbują, gdy tylko dotrzemy na Ziemię.

Zapewne powiedział za dużo, nie powinien o tym wiedzieć. W dodatku rówieśnicy go nie zrozumieli. Zwrócił się więc do nich i wyjaśnił:

- To jak wojna. Chociaż Nafai i Elemak obaj są moimi braćmi, chociaż Nafai nie chce, żeby z sobą walczyli, Elemak spróbuje zabić Nafaia, gdy dotrzemy na Ziemię.

Dzieci patrzyły na niego z powagą. Nie odzywał się często, ale gdy już to robił, słuchały go; a tu nie chodziło już tu o błahostki w rodzaju tego, kto będzie rządził innymi dziećmi. To był błąd Nafaia i Luet. Oni chcieli, żeby dzieci wybrały, ale w nieświadomości prawdziwych kwestii, które się z tym wiążą. Cóż, Oykib znał te dzieciaki lepiej niż dorośli. Wiedział, że rozumieją, i wiedział, jaką podejmą decyzję.

- A więc rozumiecie, tak naprawdę obudzili nas dlatego, że Yasai i Xodhya, Rokya i Zhyat, i Motya, i ja na Ziemi będziemy mężczyznami. Dużymi mężczyznami. Podczas gdy

synowie Elyi, Kokor, Sevet i Meba zostaną małymi dziećmi. Tym samym Elemak będzie musiał się zmierzyć nie tylko z moim starym ojcem i z kaleką Issibem. Będzie musiał się zmierzyć z nami, a my staniemy po stronie Nafaia i będziemy walczyć dla niego w razie potrzeby. A będziemy, prawda?!

Potoczył wzrokiem po chłopcach, a oni skinęli głowami.

- I nie chodzi tylko o chłopców - dodał. - Jest nas dwanaścioro. Będziemy się wiązać między sobą i mieć dzieci, a więc zawsze będziemy silniejsi. Jedynie tak można powstrzymać Elemaka przed zabiciem Nafaia. I ojca. I Issyi. A może i Zdoraba. Albo, jeśli ich nie zabiją, będą ich traktować jak niewolników. I nas też. Chyba że nie położymy się spać na czas podróży. Elemak i Mebbekew są moimi braćmi, ale nie są mili.

Luet skryła twarz w dłoniach. Nafai patrzył w sufit.

- Skąd to wszystko wiesz, Okya? - zapytała Chveya.

- Po prostu wiem.

- Naddusza ci powiedziała? - zapytała bardzo cicho.

Poniekąd tak, ale z jakiegoś powodu Oy kib nie chciał okłamywać ani nawet zwodzić Chveyi. Lepiej było nie odpowiadać.

- To tajemnica - bąknął tylko.

- Wiele z tego, co powiedziałaś, to tajemnica, Oy kibie - zauważył Nafai. - Lecz skoro już tak się stało, musimy się z tym zmierzyć. To prawda, Naddusza uważa, iż dojdzie do rozłamu w naszej grupie po przylocie na Ziemię. I obmyślił to wszystko tak, żebyście byli na tyle dojrzały, by wraz z waszymi rodzicami przeciwstawić się Elemakowi, jego sprzymierzeńcom i ich dzieciom. Ale moim zdaniem nie musi być żadnego rozłamu. Nie chcę, żeby do niego doszło. A więc robię to tylko dlatego, że dobrze będzie mieć o dwanaścioro dorosłych więcej do pomocy przy pracy nad budową kolonii i o dwanaścioro mniej dzieci, o które trzeba się troszczyć. Wszyscy na tym zyskamy.

- Nie zamierzałaś nam tego powiedzieć, zanim Oy kib się odezwał - stwierdziła Chveya, nieco tylko rozgniewana.

- Myślałem, że nie zrozumiecie - bronił się Nafai.

- Ja nie rozumiem - szczerze przyznała Shyada.

- Ja się nie kładę - oznajmił Padarok. - Jestem po twojej stronie, bo wiem, że moi rodzice są z tobą. Słyszałem, jak to mówili.

- Ja też - zgłosiła się jego młodsza siostra, Dabya. A potem, jedno za drugim, wszystkie dzieci wyraziły zgodę.

Na koniec Dazy odwróciła się do Chveyi i dodała:

- Przykro mi, że tak bardzo mnie nienawidzisz, że wolałabyś pozostać małą dziewczynką, niż musieć męczyć się ze mną.

- To ty mnie nienawidzisz - odcięła się Chveya.

- Wcale nie.

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- W sumie, jeśli się zastanowić - przerwała ją Chveya - to jesteśmy po tej samej stronie.

- Masz rację - zgodziła się Dazy.

A potem Chveya, z natury rzadko myśląca zawczasu o tym, jak zabrzmiały jej słowa, dodała:

- Możesz wyjść za Padaroka. Nie mam nic przeciw temu.

Padarok od razu zakrzyknął w proteście, a inne dzieci huknęły śmiechem i gwizdami. I tylko Oy kib zauważył, że Chveya spojrzała prosto na niego i zaraz spuściła wzrok.

A więc to ja jestem twoim wybranym, pomyślał. Miło z twojej strony, że decydujesz za mnie.

Lecz to było też oczywiste. Spośród tych dzieci Oy kib i Padarok byli jedynymi chłopcami urodzonymi w pierwszym roku, a Chveya i Dazy - jedynymi dziewczynkami. Jeśli koniec końców Dza i Padarok zejdą się razem, Chveya będzie musiała wyjść za Oy kiba, za któregoś z młodszych chłopców albo za nikogo.

Myśl ta była mu nieco obmierzła. Przypomniawszy sobie, jak pewnego razu został wrobiony w zabawę lalkami z Dzą i młodszymi dziewczynami. Udawanie męża i żony było potwornie nudne, uciekł więc po raptem kilku minutach. Wyobraził sobie zabawę lalkami z Chveyą i nie umiał sobie wyobrazić, że byłoby choć trochę lepiej. Może jednak jest inaczej z prawdziwymi niemowlakami. Dorosłym mężczyznom to zdawało się nie przeszkadzać. Może czegoś w zabawie lalkami brakowało. Może w prawdziwych małżeństwach żony się tak nie rządzą i nie zmuszają mężów, by spełniali wszystkie ich zachcianki.

Jeśli Padarok ożeni się z Dazią, nie będzie mógł nawet o niczym pomyśleć bez jej pozwolenia. Ona naprawdę jest jedną z najbardziej apodyktycznych osób, jakie świat widział. Chveya zaś była zwyczajnie uparta. Chciała robić wszystko po swojemu, ale przynajmniej nie nalegała, by inni robili to tak samo jak ona. Gdyby się pobrali i zamieszkali w innych domach, i tylko na zmianę opiekowali się dziećmi, toby mogło się udać.

Nafai poprowadził teraz resztę dzieci, by pokazać im, gdzie będą spały - przygotowali pokój dla dziewcząt i pokój dla chłopców. Oy kib, pogrążony w matrymonialnych spekulacjach, został w bibliotece sam na sam z Luet.

- Zazwyczaj milczysz, a dziś miałeś dużo do powiedzenia - zauważyła.

- Bo wy tego nie mówiliście - odparł.

- Nie, nie mówiliśmy. I może mieliśmy dobry powód ku temu, nie sądzisz?

- Nie, nie mieliście. - Oy kib wiedział, że jest bezczelny, zwracając się tak do dorosłego, ale w tej chwili to go nie obchodziło. W końcu był bratem Nafaia, nie jego synem.

- Jesteś tego taki pewny? - Była zła, to pewne.

- Nie powiedzieliście nam, jaki jest prawdziwy powód tej rozmowy, bo myśleliście, że nie zrozumiemy. Ale zrozumieliśmy. I dzięki temu wiedzieliśmy, co wybieramy.

- Myślisz, że rozumiecie? Nie rozumiecie. To bardziej skomplikowane, niż wam się wydaje, i...

Oy kib naprawdę się wściekł. Słyszał ich kłótnie z Nadduszą, znał problemy, które ich trapiły, i choć nie miał zamiaru mówić im, skąd wie to wszystko, na pewno nie miał zamiaru teraz udawać, że nie rozumie.

- A pomyślałaś kiedyś, Luty, że może to jest bardziej skomplikowane, niż ci się wydaje?

Może dlatego, że zwrócił się do niej - dorosłej! - zdrobniłą formą imienia, a może dlatego, że Luet dostrzegła prawdę w tym, co mówił, tak czy owak zamilkła.

- Ty nie rozumiesz wszystkiego - dodał - ale i tak podejmujesz decyzje. Cóż, my też nie rozumiemy wszystkiego, ale zdecydowaliśmy. I podjęliśmy dobrą decyzję, prawda?

- Owszem - powiedziała cicho.

- Więc dzieci nie są takie głupie, jak wam się wydaje. - Od dawna miał ochotę powiedzieć coś takiego jakiemuś dorosłemu. Uznał, że to była odpowiednia okazja.

- Wcale nie uważam, że jesteście głupie. Ani ty, ani żadne z...

Nie skończyła zdania, bo Oy kib już wybiegł z biblioteki, sadził wielkie susy przez korytarz. Bo jeśli nie będzie przy wybieraniu łóżek, jemu przypadnie najgorsze.

I tak się stało, koniec końców miał koję na dole tuż przy drzwiach, gdzie każdy idący po korytarzu mógł go zobaczyć. Sam wybrał sobie najlepsze łóżko, a ponieważ był najstarszym chłopcem, nikt nie oponował. Zaraz jednak zauważył, że Motya jest bardzo nieszczęśliwy, bo dostał najgorsze miejsce - a jeszcze Yaya i Zhyat mu to wytykali w żartach. Teraz więc Oy kib był skazany na najgorsze łóżko i wiedział, że nikt później nie będzie chciał się zamienić. Dziesięć lat, pomyślał. Będę musiał tu spać przez dziesięć cholernych lat.

BRZYDKI BÓG

Gdy Emeez miała sześć lat, matka zabrała ją do świętej jaskini. Było to zadziwiające miejsce, bo pod ziemią, a jednak niewyrzeźbione przez lud. Powstało samoistnie, było darem od bogów; oni je stworzyli, a więc tam ich przyniesiono, by oddawać im cześć.

Jaskinia była dziwna, nieregularna i wilgotna, nie sucha i gładkościenna jak nory miasta. Zewsząd ściekały strużki wapnistej wody. Każda kropla zostawiała za sobą malutką ilość wapienia, tłumaczyła matka, i z czasem uformowały się te masywne słupy. Ale jak to możliwe? Czy te słupy nie podpierają dachu jaskini? Jeśli powstały dopiero po latach takiego ściekania, co podtrzymywało dach na samym początku? Matka jednak wyjaśniła, że ta jaskinia jest z kamienia.

- Bogowie drążą dziury w górach, tak jak my odłupujemy kawałki kamieni, by zrobić z nich ostrza - powiedziała. - Mogą podtrzymać dach z kamienia tak szeroki, że nie widać drugiej strony nawet przy najjaśniejszej pochodni. I żaden wiatr nie jest na tyle silny, by zerwać dach nory bogów.

Dlatego są bogami, pomyślała Emeez. Widziała, jak burza zniszczyła skraj miasta nad podgórzem - strąciła trzy drzewa ze stropu, tak że deszcz, a potem światło słoneczne wpadały teraz do pomieszczeń, które były kiedyś żłobkami i salami zebrzań. Wiele dni trwało, zanim udało się zamknąć tunele i wykopać nowe nory gdzie indziej, a w tym czasie dwaj kuzyni i trzy siostrzenice zatrzymali się u nich. Matka niemal oszalała, Emeez też już odchodziła od zmysłów. Byli skrytymi, cichymi ludźmi i źle znosili ciekawskich, bez przerwy wtrącających się do ich spraw. Och, a co to, uczymy się tkać w tak młodym wieku? Och, założę się, że już oddałaś serce jakiemuś młodzieńcowi, który wyruszył właśnie na swe pierwsze łowy, taka ślicznotka z ciebie.

Cóż za kłamstwo! Bo Emeez wcale nie była ślicznotką. Była zbyt włochata, to po pierwsze. Mężczyźni lubili kobiety z niewielkim meszkiem, nie z takimi ciemnymi i szorstkimi włosami jak jej. Jej głos też nie był uroczy. Próbowала naśladować matkę, lecz po prostu nie miała w sobie takiej muzyki. Pewnego razu kuzynka Issess - to dopiero mało oryginalne imię! - nie wiedząc, że Emeez jest w pobliżu, powiedziała do swej głupiej córki, Aamuv: „Biedna Emeez. Bo wiesz, ona jest niedzisiejsza. Tacy włochaci to są ci ze wschodniego zbocza góry. Mam tylko nadzieję, że nie ma innych ich cech!”. Wieść głosiła, że ci włochaci ze wschodniego zbocza jedzą serca i wątroby swoich wrogów, a niektórzy

mówili, że jedynie opluwają swoje ofiary i pieką je w całości. Potwory. A tak właśnie ludzie myśleli o Emeez, bo była zbyt włochata.

Cóż, nie miała wpływu na to, co rosło na jej ciele. Na szczęście nie jest to jakaś koszmarna infekcja grzybicza jak ta, przez którą biedny Bomossoss tak okropnie śmierdzi. Potężny wojownik, a z powodu odoru nikt nie lubi jego towarzystwa. Bardzo smutne. Bogowie robią z nami, co chcą. A ja przynajmniej nie śmierdę.

Teraz akurat nie odprawiano żadnych obrzędów - i dobrze, bo była to domena mężczyzn, nieprzeznaczona dla kobiet, a już na pewno dla małych dziewczynek. Słyszała jednak, że mężczyźni oddawali cześć bogom, liżąc ich, aż stawali się wilgotni i miękczy, a potem ocierając się o nich całym ciałem. Nie bardzo w to wierzyła, dopóki nie weszła do pierwszej z komnat modlitewnych.

Niektórzy z bogów byli kunsztownie wyrzeźbieni i mieli uderzająco piękne twarze. Zobaczyła też wizerunki groźnych wojowników i szkaradnych bestii, niebomiesów, a także kóz i jeleni, zwiniętych węży i wążek przysiadłych na łodyżkach szuwarów. Lecz matka zaczęła jej wskazywać najświętszych z bogów, tych najbardziej wielbionych, a oni ku zaskoczeniu Emeez wcale nie zostali kunsztownie wyrzeźbieni. Najświętsi byli gładkimi grudami gliny.

- Czemu ci piękni nie są tacy święci jak ci, którzy w ogóle nie przypominają niczego?

- Zrozum, ci byli kiedyś najpiękniejszymi bogami ze wszystkich. Czczono ich jednak żarliwie, i dali nam dobre dzieci i dobre łowy. Zostali wygładzeni, ale my pamiętamy, jacy byli kiedyś.

Nie dawało jej to spokoju.

- A czy ktoś nie mógłby wyrzeźbić im nowych twarzy?

- Nie gadaj głupstw! To byłoby bluźnierstwo. - Matka wydawała się poirytowana. - Doprawdy, Emeez, nie wiem, skąd ci się biorą takie pomysły. Nikt nie rzeźbi bogów. Nie mieliby żadnej mocy, gdybyśmy ich lepili z gliny.

- To kto ich lepi?

- My przynosimy ich do domu - wyjaśniła matka. - Znajdujemy i przynosimy.

- Ale kto ich lepi?

- Sami się lepią. Sami rodzą się z gliny nad brzegiem rzeki.

- Chcę to zobaczyć!

- Nie.

- Chcę zobaczyć, jak bóg się rodzi.

Matka westchnęła.

- Chyba jesteś już dość duża. Tylko obiecaj, że nie wygadasz młodszym dzieciom.

- Obiecuję.

- Jest taki czas w roku. W porze suchej. Niebomięsy zlatują z nieba i lepią błoto nad brzegiem rzeki.

- Niebomięsy? - zdziwiła się Emeez. - Nie mówisz poważnie. To obrzydliwe.

- To byłoby obrzydliwe, gdyby uznać, że niebomięsy naprawdę rozumieją, co robią. Ale nie rozumieją. Bóg się w nich budzi i oni po prostu bezmyślnie lepią glinę w cudaczne, zawiłe kształty. A potem, gdy kończą, po prostu odlatują. Zostawiają to. Dla nas.

Niebomięsy. Te wstrętne podniebne stwory, które czasem zastawiają pułapki na łowców i ich zabijają. Młode niebomięsy opiekano i karmiono nimi ciężarne matki. Niebezpieczne, bezrozumne bestie, zdradliwe i podstępne - i to one niby rzeźbią bogów?

- Kiepsko się czuję, matko - rzekła Emeez.

- No, skoro tak, to posiedź tu chwilę i odpocznij. Ja mam spotkać się z kapłanką trzy pokoje wyżej - w tę stronę - i nie mogę się spóźnić. Ale zdołasz mnie potem znaleźć, prawda? Nie zejdziesz z głównej ścieżki i nie zbłądzisz?

- Nie wydaje mi się, żebym nagle stała się głupia, matko.

- Ale nagle stałaś się niegrzeczna. Nie lubię cię takiej, Emeez.

Cóż, nikt mnie nie lubi, pomyślała. Ale to nie oznacza, że muszę się z nimi zgadzać. Ja uważam się za świetną towarzyszkę. Jestem o wiele bystrzejsza niż cała reszta moich znajomych i dlatego wszystko, co sobie mówię, jest błyskotliwe i ekscytujące, i nigdy wcześniej nie zostało powiedziane. Inni bez przerwy powtarzają te same „mądrości” zasłyszane od swoich matek. I z pewnością moje towarzystwo jest lepsze niż chłopców, którzy zawsze czymś rzucają, coś rozbijają, coś tną. O wiele lepiej jest kopać i tkać, jak robią kobiety, zbierać coś, niż zabijać, łączyć liście, owoce, mięso i korzenie tak, by razem dobrze smakowały. Wyrosnę na dobrą kobietę, owłosioną czy nie, a ten lub inny mężczyzna, który na swoje nieszczęście się ze mną zwiąże, będzie demonstrował wszem wobec, jak bardzo jest rozczarowany, lecz po cichu będzie się cieszył, a ja urodzę mu mnóstwo bystrych, owłosionych dzieci, które będą równie brzydkie, równie bystre i sprytne jak ja, a w końcu pewnego dnia tamci przejrzą na oczy i uświadomią sobie, że z tych owłosionych są najlepsze żony i matki, a bezwłose są po prostu obleśne i zimne niczym obrane ze skórki owoce arbuza.

Teraz już rozgniewana Emeez zaczęła uważniej przyglądać się bogom. Nie mogła nic na to poradzić - w tych wielbionych bogach nie było nic ciekawego. Ją fascynowali ci nieskazitelni, ci kunsztowni. Może to był cały jej problem - pociągali ją bogowie o złej reputacji, a przekleństwo brzydoty spadło na nią, bo prawdziwi bogowie wiedzieli, że nie

przypadną jej do gustu. To było jednak okropne, że już przy narodzinach ukarano ją za grzech, który miała popełnić dopiero w wieku lat sześciu, dwa lata przed przekroczeniem progu dorosłości.

No cóż, skoro już mnie za to ukarano, to posunę się dalej i faktycznie zasłużę na tę karę. Znajdę najpiękniejszego, najmniej wielbionego i jego wybiorę sobie na ulubieńca.

Zaczęła więc szukać boga w idealnym stanie. Lecz każdemu z nich oddawano mniejszą lub większą część i choć odnajdywała fragmenty rzeźb, które nadal wyróżniały się najpiękniejszymi szczegółami, żadna nie była bez skazy.

Dopóki w tylnym rogu malej bocznej komnaty nie znalazła posągu wprost olśniewającego. Ten bóg w niczym nie przypominał pozostałych. Nie przypominał żadnego stworzenia, jakie kiedykolwiek widziała. A rzeźbienia były nieskazitelne. Zupełnie niewyglądzone, co oznaczało, że bóg ten nigdy nie był przez nikogo wielbiony.

Teraz ja będę cię wielbić, powiedziała do brzydkiego boga. I to w najlepszy sposób. Nie będę cię lizać, nie będę się o ciebie ocierać ani robić innych obrzydliwych rzeczy, jakie robią inni z resztą tych brejowatych bogów. Będę cię wielbić, patrząc na ciebie i mówiąc, że jesteś piękną rzeźbą.

Była to piękna rzeźba wyjątkowo brzydkiego stworzenia. A raczej - jego głowy. To coś miało normalne usta i dwoje oczu, lecz nos skierowany w dół i szczękę dziwacznie wystającą, która na dole zwężała się tak, że szyja była o wiele, wiele cieńsza niż głowa. Jak to coś utrzymuje taką masywną głowę na tak wątlej szyi? I czemu jakiś głupi niebomięś ulepił coś, czego nikt wcześniej nie widział?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie była dość oczywista. Niebomięś wyrzeźbił tę głowę, bo ten bóg tak właśnie wygląda.

Nie! Jaki bóg chciałby tak wyglądać?

Chyba że - to dopiero zdumiewająca myśl! - chyba że bogowie nie mają wpływu na to, jak wyglądają. Chyba że ten bóg był dokładnie taki jak ona, a mimo to nie uważał, że nie ma prawa mieć posągu i być wielbiony, a więc nakłonił niebomięsy, by wyrzeźbiły jego głowę; lecz gdy ją tu zniesiono, nie odbierał hołdów i czci, i skończył w ciemnym kącie. Odnalazłam cię! Wprawdzie jestem brzydka, ale oprócz mnie nie masz innych wyznawców, więc nie mów, że mnie odrzucasz!

Uznaję cię.

Usłyszała to tak wyraźnie, jakby powiedział to ktoś za jej plecami. Odwróciła się, ale w tym ciemnym pokoju nie było nikogo oprócz niej.

- Mówiłeś do mnie? - wyszeptała.

Nie było odpowiedzi. Patrząc jednak na ten brzydki-piękny posąg, nagle zrozumiała coś tak ważnego, że musiała natychmiast powiedzieć o tym matce. Pognała pod główną ścieżkę, tam gdzie matka z ożywieniem dyskutowała z kapłanką.

- Widzę, że czujesz się lepiej, Emeez - zauważyła matka, klepiąc ją po głowie.

- Muszę ci powiedzieć...

- Później. Prawie zdecydowałyśmy o czymś wspaniałym dla ciebie i...

- Matko, muszę powiedzieć ci teraz!

Matka westchnęła zażenowana i poirytowana.

- Emeez, Vleezheesumuunuun gotowa pomyśleć, że źle cię wychowałam.

Po imieniu kapłanki Emeez zorientowała się, że to ktoś bardzo ważny i dostojny.

- Przepraszam - mruknęła skrzepowana.

- Nie, nic nie szkodzi - odezwała się stara kapłanka. - Mówią, że to ci włochaci wciąż słyszą głos bogów.

Och, świetnie, pomyślała Emeez. Tylko mi nie mów, że z powodu brzydoty mogę skończyć jako kapłanka.

- Co chciałaś nam powiedzieć, dziecko? - zapytała staruszka.

- Ja... Patrzyłam na bardzo pięknego boga, tyle że był bardzo brzydki, i nagle coś do mnie dotarło. To wszystko.

Kapłanka stanęła na czworakach. Matka natychmiast zrobiła to samo, a Emeez była na tyle dobrze wychowana, by wiedzieć, że sama również musi przyjąć taką postawę. Bardzo ją to jednak ucieszyło, bo oznaczało, że kapłanka traktuje ją poważnie.

- Co nagle do ciebie dotarło? - zapytała Vleezheesumuunuun.

- No, teraz, jak o tym myślę, nie wiem nawet, co to znaczy.

- I tak nam powiedz - poprosiła matka, a kapłanka mrugnęła powoli na „tak”.

- Utraceni wracają do domu.

Obie kobiety spojrzały na nią tępo. W końcu odezwała się matka:

- I tyle?

- To wystarczy - szepnęła kapłanka. - Nie mów nikomu. - Oczy miała zamknięte.

- A więc wiesz, co to znaczy? - spytała matka.

- Nie wiem - odparła staruszka. - Ale zapewne pamiętasz fragment z pieśni stworzenia, w którym wielka prorokini Zz mówi: „Nie będzie już więcej mięsa z nieba w dniu, gdy zagubieni zostaną odnalezieni, i nie będzie więcej bogów z rzeki, gdy tułacze wrócą do domu”?

- Nie, tego akurat nie pamiętam - stwierdziła matka. - A jeśli zwrócisz uwagę, Zz nie

mówiła nic o utraconych wracających do domu. Powiedziała, że zagubieni zostaną odnalezieni, a ci, którzy wrócą do domu, to tułacze. Myślę więc, że nie musisz brać tego poważnie i straszyć mojej biednej córki na śmierć.

Lecz właśnie matka była wyraźnie przestraszona. Emeez z pewnością nie. Ona się radowała. Bóg powiedział, że przyjmuje jej adorację, a potem przekazał jej dar, tę odrobinę wiedzy, która dla niej nic nie znaczyła, ale najwyraźniej znaczyła wiele dla kapłanki - i dla matki również mimo zaprzeczeń.

- To wszystko zmienia - rzekła staruszka.
- Tego się obawiałam - skomentowała matka niepewnym głosem.
- Nie bądź niemądra. I tak znajdę partnera dla twojej córki.

„Znajdę partnera”?! Och, co za potworny wstyd! Zaplanowane małżeństwo! Matka przekonana, że żaden mężczyzna nie będzie chciał jej córki, poszła do kapłanki, by zaaranżować małżeństwo ofiarne? Jakiś mężczyzna, żeby odkupić winy, zostanie zmuszony do tego małżeństwa? Emeez widziała już to dwa razy i w obu wypadkach kobieta była winowajczynią, a za karę wmuszano jej jakiegoś mężczyznę niczym paskudne ziele w ranę, by ją uleczyć.

- Jaką zbrodnię popełniłam? - wyszeptała.
- Nie grymas - upomniała ją kapłanka. - Tak jak mówiłam, to wszystko zmienia.
- Jak? - zapytała matka.
- Dość powiedzieć, że ponieważ ta dziewczynka głosi obietnicę wypełnienia proroctw Zz, nie zostanie ofiarowana głupcowi czy niedorajdzie.

Och, serce rośnie, pomyślała Emeez z goryczą. To pewnie znaczy, że oddadzą mnie jakiemuś naprawdę wyjątkowemu draniowi.

- Ona ma sześć lat? - dopytywała się staruszka. - Za dwa lata będzie kobietą?
- O tyle, o ile możemy przewidzieć takie rzeczy - odparła matka. - To decyzja bogów, rzecz jasna.

Kapłanka pogłaskała futro Emeez. A ona, jak zawsze, zeszywniała. Ludzie dotykali też bez przerwy poskręcanych kończyn i kikutów kalek - po prostu tego nienawidziła, nawet jeśli to podobno miało przynieść im szczęście. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że tym razem nie był to jeden z tych niepewnych dotyków „na szczęście”. Staruszka gładziła jej futro z prawdziwą czułością, jak się zdawało, i było to miłe uczucie.

- Nie wiem, czy mieliśmy rację - odezwała się kapłanka - nazywając te miękkie, króciutkie, rzadkie włoski pięknymi. Myślę, że wraz z włosami naszych kobiet mogliśmy stracić coś więcej. Bliską więź z bogami.

Matka była zbyt uprzejma, by się sprzeciwić, ale samo jej milczenie dawało jasno do zrozumienia, że nie podziela tego poglądu.

- Muf - ciągnęła staruszka - syn króla wojny, osiągnie pełnoletniość mniej więcej w tym samym czasie co Emeez.

Po chwili ciszy matka się roześmiała.

- Och, chyba nie twierdzisz, że...

- Dziewczynka, która słyszy echo Zz po tylu wiekach...

- Ale Muf się nie ucieszy, że dadzą mu... - nadal protestowała matka.

- Muf chce być królem wojny. Ożeni się tak, jak nakazują bogowie. A jeśli o mnie chodzi, bogowie dzisiaj dokonali wyboru.

Ale to nie byli bogowie, pomyślała Emeez. A raczej - to ja go wybrałam.

- To dla niej za dużo - upierała się matka. - W życiu nie spodziewała się takiego zaszczytu.

- Dziewczeta, które się go spodziewają, nie powinny go nigdy dostąpić.

W końcu matka uwierzyła - a może w końcu uświadomiła sobie, że jej sceptycyzm pokazywał jasno Emeez, co o niej myśli. Tak czy tak ostatecznie pisnęła z radości i ją uściskała.

Zanim wyszły, kapłanka poprosiła Emeez, by pokazała jej, na którego boga wcześniej patrzyła. Domyśliła się, o którego chodzi, jak tylko Emeez poprowadziła ją ku tej małej bocznej komnacie.

- Ten wielki i brzydki, tak? Nikt go nigdy nie dotknął.

- Jest wykonany nad wyraz pięknie - zauważyła Emeez.

- Tak, to prawda - przyznała staruszka. - Wielkie ręce takie jak nasze nie są w stanie stworzyć tak niedościgłej perfekcji. Dlatego bogowie wykorzystują niebomięsy, by nadały im materialną formę. Ale ten tutaj... zawsze się zastanawiałam, co zrobi, skoro nikt nigdy nie dał mu szansy, by spłodził syna, sprowadził deszcz czy coś w tym rodzaju. Widać czekał na ciebie, dziecinko. - I znów kapłanka zmierzwiła jej futro.

Będę żoną nowego króla wojny, jeśli okaże się godny, by przejąć schedę po ojcu. Zrobię wszystko co w mojej mocy, by pomóc mu na to zasłużyć. I będę dbała o to, żeby zawsze miał piękny pokój z dywanami i gobelinami, kosztami i pledami piękniejszymi niż kiedykolwiek wcześniej widziano. A gdy ludzie będą go spotykać, nie pomyślą: „Spójrzcie na tego biedaka, co ma taką włochatą żonę”. Zamiast tego powiedzą: „Może i żona króla wojny jest włochata, ale otoczyła naszego wodza pięknem”.

Nigdy ci nie zapomnę tego wspaniałego daru, powiedziała w duchu do pięknego-

brzydkiego boga.

- Czy teraz przeniesiecie go w bardziej widoczne miejsce? - zapytała matka.

- Nie - stwierdziła kapłanka. - I żadna z was nigdy nie powie nikomu, który z bogów włożył te słowa w usta dziewczyny. Tego boga nikt nie dotknął. I niech tak już zostanie.

- Jeszcze nie słyszałam, żeby z potężnym bogiem obchodzono się w taki sposób - sprzeciwiła się matka.

- A ja nie słyszałam, żeby bóg, którego nikt nigdy nie dotknął, miał jakąś moc. Nie można się więc odwołać do żadnych precedensów. Dlatego posłużymy się wypróbowanym sposobem. A niedotykanie tego wydaje się całkiem skuteczne. Mnie to wystarczy.

Mnie także, pomyślała Emeez. A potem powtórzyła na głos pierwsze i najbardziej wyraźne słowa wypowiedziane przez boga:

- Przyjmuję cię.

- Te słowa zostaw dla męża - skarciła ją matka. - No, pora wracać do domu, póki jest jeszcze czas, by przygotować porządną kolację.

Przez całą drogę do domu matka raz po raz powtarzała, że Emeez musi zachować to wszystko dla siebie i nie przechwalać się, bo dopóki Vleezh nie ogłosi tego publicznie, wciąż może zmienić zdanie.

- Albo może umrzeć. Jest stara. A chyba nie wyobrażasz sobie, że na innych kapłankach zrobiłoby wrażenie, gdybym przyprowadziła cię i powiedziała: „Przecież Vleezh obiecała, że skojarzy moją Emeez z Mufem, synem króla wojny”?

Nie, oczywiście, tego sobie Emeez nie wyobrażała.

Gdzieś w głębi duszy jednak wciąż dręczyło ją pytanie, które matka i kapłanka zdawały się ignorować. Co znaczyły te słowa, że utraceni czy zagubieni wracali do domu? Kto wracał? I jak się zagubili? I czemu taką nowinę przyniósł ten dziwny, brzydki bóg spośród wielu bogów w świętej jaskini?

Będę obserwowała i czekała, postanowiła Emeez. Chyba przez te słowa bóg chciał osiągnąć coś więcej, niż tylko sprawić, że wbrew wszelkim oczekiwaniom poślubię kogoś o wiele wyżej w hierarchii. Będę się więc starała zrozumieć, co naprawdę znaczyło to przesłanie od boga, i gdy zrozumiem, ogłoszę to albo zrobię cokolwiek, czego bóg będzie ode mnie żądał. A gdy tak się stanie, będzie dla mnie jasne, co powinnam zrobić.

Nie zastanawiała się, skąd to wie. Zaczęła rozważać, jakie słowo dodać do swego imienia, żona syna króla krwi bowiem nie mogła nosić tylko swego dziecięcego miana. Emeezuuzh? „Uuzh” - to była końcówka, którą przybrała matka w dniu swej chwały, gdy jej koszt wybrano na pogrzeb starego króla krwi. Było to urocze imię, delikatne. Emeez chciała

mieć jakieś silniejsze. Musi to przemyśleć. Ma jeszcze dużo czasu na podjęcie decyzji.

SZTORM NA MORZU

Zdorab urodził się w niewłaściwej erze. I dopiero teraz to sobie uświadomił. Pewnie, nie od dziś wiedział, że odstawał od reszty i tam, gdzie dorastał, i w Basilice. Teraz jednak, pod koniec drugiego okresu w roli drugiego po Nafaiu nauczyciela dzieci w gwiazdolocie, wiedział już, że kultura, w której czułby się dobrze i która mogłaby go docenić, przeminęła czterdzieści milionów lat temu.

Budowniczy tego statku zasługiwali na podziw, rzecz jasna. Lecz gdy Zdorab trochę w nim pomieszkał, zdał sobie sprawę, że podoba mu się również ich sposób życia. Prawda, byli zamknięci w środku, ale jego zdaniem życie na zewnątrz było przereklamowane. Nie tęsknił za owadami. Nie tęsknił za nadmiarem ciepła i chłodu, wilgoci i suszy. Nie tęsknił za odchodami zwierząt ani za zapachami gotujących się nieznanymi rzeczy ani tych aż za dobrze znanych, gnijących.

Wcale nie przez brak tych przykrości życie na pokładzie tak bardzo mu przypadło do gustu, lecz dzięki pozytywom. Wygodne łóżko co noc. Codzienne kąpiele pod prysznicem z czystą wodą. Życie krążące wokół biblioteki, uczenie się i nauczanie. Komputery, które służą zarówno do pracy, jak i do zabawy. Idealnie odtwarzana muzyka. Toalety, które same się dezynfekowały i nie miały brzydkich zapachów. Ubrania, które można było wyczyścić bez prania. Posiłki przygotowywane w mig. A wszystko to podczas stuletniej podróży z jakąś niewyobrażalną prędkością ku innej gwiazdzie.

Próbował wyjaśnić to Nafaiowi, ale młodzieniec jedynie spojrzał na niego ze zdziwieniem i zapytał: „A co z drzewami?”. Nafai wyraźnie nie mógł się doczekać, aż przybędą na nową planetę, która z pewnością okaże się brudna, pełna robactwa i trzeba będzie tam pracować fizycznie. Przez całą drogę przez pustynię Zdorab grał rolę pokornego służącego; niezmiernie go cieszyło, że na statku nie było żadnych służących, bo wszystkie prace albo wykonywały roboty lub komputery, albo były tak proste i łatwe, że każdy mógł je wykonać - i wszyscy wykonywali.

Uwielbiał uczyć dzieci. Niektóre z nich po sześciu latach podróży już dorastały. Oy kib wystrzelił na niemal dwa metry, a miał ledwie czternaście lat. Był szczupły, lecz Zdorab widział, jak ćwiczy w wirówce, a pod jego skórą przeżyły się twarde mięśnie. Zdorab zorientował się, że nie jest już młody - mógł przyglądać się temu pięknemu, młodemu ciału i czuć tylko nikły cień pożądania. Jeśli istnieje jakieś zmiłowanie w naturze, to jest nim zanik

męskiego libido wraz z przekroczeniem wieku średniego. Niektórzy mężczyźni, czując spadek pożądania, posuwali się do igraszek bohaterskich - lub kryminalnych - czynów, by odzyskać złudne wrażenie seksualnego wigoru. Dla niego to była jednak ulga. Lepiej było myśleć o Oykie i jego coraz piękniejszym bracie, Yasaiu, w kategoriach uczniów. Przyjaciół syna, Padaroka. Potencjalnych partnerów córki, Dabroty.

Mój syn, pomyślał. Moja córka. Kto by pomyślał! Kto by zgadł w czasach pokątnych romansów w mieście mężczyzn poza murami Basiliki, że kiedyś doczekam się syna i córki. A gdyby ktoś tknął któregoś z nich bez mojej zgody, chybabym go zabił.

A potem pomyślał: jednak jestem stworzeniem dżungli.

Dziś miał znów położyć się spać, a Shedemei obudzi się na jego miejsce. Wcześniej przez kilka godzin będą razem na nogach - według Nadduszy starczy na to zapasów powietrza - i dobrze będzie ją zobaczyć. Shedemei, najlepsza przyjaciółka, która zna jego tajemnice, która wie o jego wewnętrznych zmaganiach. Mógł jej powiedzieć prawie wszystko...

Tylko nie o tym małym programiku umieszczonym w komputerze systemu podtrzymywania życia, jednym z tych, które nie były bezpośrednio częścią pamięci Nadduszy. Tuż przed tym, zanim ustawił jeden sygnał pobudki na półmetek podróży - ten oczywisty, który Naddusza wykrył od razu - napisał program, na pozór przeprowadzający niewinną inwentaryzację zapasów, sprawdzał jednak, czy minęło sześć i pół roku od startu, a jeśli tak, miał wysłać nową wersję pliku z harmonogramem do komputera obsługującego kalendarz. A ten trzydzieści sekund później uruchomi procedurę pobudki Elemaka, Zdoraba i Shedemei; po kolejnej sekundzie oryginalna kopia harmonogramu zostanie przywrócona, a program inwentaryzujący nadpisze się, usuwając dodatkową funkcję. To było bardzo zmyślne i Zdorab był dumny z kunsztowności swego dzieła.

Wiedział też, że było ono potencjalnie zabójcze dla pokoju w tej grupie i wciąż nosił się z myślą - teraz, gdy brał udział w tej małej intrydze Nafaia - by dostać się do komputera systemu podtrzymywania życia i usunąć ten program, zanim się uruchomi. Problem w tym, że nie było to łatwe. Miał wiele obowiązków, a gdy się z nimi uporał, zawsze i wszędzie wokoło krzątały się dzieci i z pewnością by się zainteresowały, co robi. Mówił sobie, że czeka na dogodną okazję, by to zmienić. Teraz jednak raptem kilka godzin dzieliło od powrotu do snu, a nie doczekał się takiej okazji. Czemu nie?

Bo się bał. To był ten robak w jego śalacie. Nie bał się o siebie - własne przetrwanie nie było już dla niego tak ważne jak potrzeba ochrony dzieci. Jak dotąd podporządkowywał się planowi Nafaia nie z powodu snów - one były przeznaczone dla Shedemei i innych, których Naddusza wychowywał tak, by byli na nie szczególnie podatni - ale dlatego, że nie

chciał, by niektóre dzieci miały przewagę, a jego nie. Gdy Issib wpadł na pomysł, aby rodzice na zmianę pomagali uczyć dzieci, Zdorab nie mógł odmówić wzięcia w tym udziału.

Zarazem jednak bał się tego, co Elemak mógł później zrobić w ramach odwetu. Gdyby obudził się na Ziemi i odkrył, że otaczają go silni, młodzi mężczyźni, bez wyjątku oddani sprawie Nafaia, byłby przepojony nienawiścią i nigdy by nie wybaczył. Wcześniej czy później wybuchłaby wojna, i to krwawa. Zdorab nie chciał, żeby jego dzieci ucierpiały. Nie chciał, żeby musiały w niej uczestniczyć albo chociaż opowiedzieć się po którejś ze stron. Czy był lepszy sposób, by to osiągnąć, niż udowodnić Elemakowi swoją lojalność, pozwalając, by sygnał pobudki uruchomił się zgodnie z planem?

Rzecz jasna, Nafai i Naddusza bez trudu dojdą, czyja to sprawka - na Harmonii nikt inny nie znał się tak dobrze na komputerach, a żadne z dzieci, które nauczyły się z nich korzystać w trakcie podróży, nie chciałoby obudzić Elemaka. Czy nie słyszał, jak Izuchaya - tak mała w chwili odlotu, że ledwie pamiętała Elemaka - zapytała: „Czemu w ogóle musimy go budzić, skoro jest taki zły?”. „Bo to byłoby morderstwo - odpowiedział jej Nafai. - Nawet jeśli z kimś się nie zgadzasz, ten ktoś i tak ma prawo żyć i podejmować własne decyzje. I że tylko wtedy masz prawo kogoś zabić, gdy ten ktoś próbuje zabić ciebie albo kogoś, kogo musisz chronić”.

„Kogoś, kogo musisz chronić”. Ja muszę chronić moje dzieci. A trudna, gorzka prawda jest taka, Nafaiu: moje dzieci nie są z tobą spokrewnione. Dlatego też, nawet jeśli staniemy po twojej stronie, ani przez chwilę nie uwierzę, że będziesz tak o nie dbał, że będziesz wobec nich taki lojalny jak wobec własnych dzieci i młodych dzieci twoich rodziców czy dzieci twojego brata Issiba. Muszę znaleźć sposób, by samemu je ochronić, by sprawić, że Elemak nie znienawidzi ich tak jak ciebie i twoich dzieci - choć pomogłem im wykorzystać szansę i stać się starszymi i silniejszymi niż synowie Elemaka. Tak postępuje ojciec. Nawet jeśli jego żona by tego nie pochwaliła.

Shedemei inaczej zapatrywała się na kwestię lojalności, Zdorab to wiedział. Wyznawała zasadę „wszystko albo nic”. Ale ona nie żyła w koszmarnym świecie wzajemnie przeplatających się zdrad jak Zdorab. Ciągłe knowania Gaballufe'a, traktowanie zaufania innych ludzi niczym broń, którą można przeciw nim zwrócić; powszechna przemoc i demoralizacja w osadzie mężczyzn, gdzie nie sięgał zbawienny wpływ kobiet; a także nieustanna gra pozorów w życiu mężczyzny kochającego mężczyzn. Wiedział, że nikomu nie można ufać do końca.

Nawet Nadduszy. Zwłaszcza Nadduszy.

Kontaktował się z głównym komputerem tylko za pośrednictwem Indeksu i - później -

zwykłych komputerów statku. Nie miał żadnych snów, a o ile wiedział, Naddusza ani nie zważał na niego, ani nie słyszał żadnych jego myśli. Bo jak inaczej udałooby mu się zainstalować ten utajony program pobudki? Naddusza nie miał z niego żadnego konkretnego pożytku poza zapewnieniem Shedemei drugiego zestawu chromosomów do reprodukcji. I w sumie dobrze - bo Zdorab też nie miał wiele pożytku z Nadduszy. Był przekonany, że Naddusza nie dba o dobro i szczęście ludzi, którymi manipulował. A ponieważ Naddusza nie zważał na niego, jako jedyny w całej grupie cieszył się prywatnością.

Zarazem jednak, gdzieś w głębi duszy, Zdorab miał nadzieję, że Naddusza jednak słyszy jego myśli, wie wszystko o zaplanowanej pobudce i już skasował ten program; Zdorab nie sprawdził tego z tych samych powodów, dla których nie usunął go własnoręcznie. Naddusza nie pozwoli, by coś niebezpiecznego przytrafiło się w trakcie podróży. Elemak nie obudzi się, dopóki nie dotrą na Ziemię. A gdy Elemak się ocknie, Zdorab będzie mógł szczerze powiedzieć: „Ustawiłem sygnał pobudki. Widać Naddusza go znalazł”.

Po cichu powtarzał te słowa, formując je wargami, językiem, wiedząc już teraz, że i tak Elemak mu nie uwierzy, a nawet jeśli - nie będzie go to obchodziło.

Nie powinni zabierać mnie z Basiliki, nie powinni zmuszać, bym wybierał między nimi w ich rodzinnych waśniach.

Stał przed komorą letargiczną Shedemei w chwili, gdy pokrywa się odsunęła i żona otworzyła oczy. Uśmiechnęła się słabo.

- Cześć, genialna i piękna damo - przywitał ją.

- Słyszeć pochlebstwa tuż po przebudzeniu to najskrytsze marzenie każdej kobiety - odparła. - Niestety, wciąż jestem otumaniona przez środki nasenne.

- Jakie środki nasenne? - Pomógł jej usiąść, a potem odblokował i opuścił bok komory, by mogła się wydostać.

- To znaczy, że zawsze tak wolno myśle?

Wstała i przywarła do niego, po części, żeby oprzeć się o coś, na nowo próbując zmusić mięśnie do pracy w niedociążeniu, a po części w ramach przyjacielskiego uścisku. Przytulił ją, a potem zaczął mówić o wszystkim, co różne dzieci osiągnęły od czasu, gdy ostatni raz była na nogach.

- To chyba najlepsza szkoła, jaka kiedykolwiek istniała - stwierdził.

- I jakie to wygodne, że nauczycieli kładzie się spać między semestrami - odparła.

Wspólne godziny poświęcili na rozmowę o dzieciach, głównie o własnych, i o wszystkim innym, co tylko Shedemei przyszło do głowy. Nie rozmawiali jednak o tym jednym problemie, który najbardziej dręczył Zdoraba, a ona zauważyła, że coś jest nie tak.

- O co chodzi? - zapytała. - Czegoś mi nie mówisz.

- Niby czego?

- Coś cię martwi.

- Moje życie to jedno wielkie zmartwienie. Po prostu nie lubię pakować się do komory.

Uśmiechnęła się blado.

- Dobra, nie musisz mi mówić.

- Nie mogę powiedzieć ci czegoś, o czym sam nie wiem - rzekł, a ponieważ było w tym ziarno prawdy (bo nie wiedział, czy Naddusza usunął ten program, czy nie), Shedemei nie zauważyła nic niepokojącego na swym wykrywaczu kłamstw i uwierzyła.

Kilka godzin później Zdorab pożegnał się z dziećmi zgodnie z rytuałem, do którego wszystkie zdążyły już przywyknąć, ponieważ ich nauczyciele zawsze byli witani i żegnani w ten sposób. Uściski rąk albo przytulanie z wszystkimi, zależnie od wieku dziecka; całus dla własnych dzieci, nawet gdy tego nie lubiły, a potem Nafai i Shedemei odprowadzili go do komory i pomogli do niej wejść.

Jednak gdy środki nasenne zaczęły działać, opanowała go nagła panika. Jak mogłem być tak głupi?! - pomyślał. Elemak nigdy nie będzie lojalny wobec mnie, nieważne co zrobię. Muszę zmienić program. Elemak nie może się obudzić i zaskoczyć Nafaia.

- Nafaiu - powiedział - sprawdź komputery systemu podtrzymywania życia.

Ale pokrywa komory była już zasunięta, a on nie mógł zobaczyć, czy Nafai patrzy na jego wargi, i zaraz obezwładniła go sztucznie wywołana senność.

- Co on powiedział? - zapytał Nafai Shedemei.

- Nie wiem. Coś go gryzło, ale nie wiedział co.

- Cóż, może przypomni sobie, jak się obudzi.

Shedemei westchnęła.

- Ja też zawsze czuję taki sam niepokój, jakbym zapomniała powiedzieć coś bardzo ważnego. To chyba jeden z efektów ubocznych środków nasennych.

Nafai się zaśmiał.

- Jak wtedy, gdy budzisz się w środku nocy z bardzo ważnym pomysłem ze snu i zapisujesz go, a rano czytasz: „Nie jedzenie! Pies!”, i nie masz pojęcia, co to w ogóle znaczy ani czemu wcześniej wydało ci się ważne.

- Prawdziwych snów - odparła Shedemei - nie trzeba zapisywać. Je się pamięta.

Oboje skinęli głowami, przypominając sobie, jakie to uczucie, gdy Naddusza lub Opiekun Ziemi przemawiają do kogoś we śnie. Potem wrócili do dzieci i zajęli się kolejnym

etapem ich szkolenia.

Chveya razem z Dzą przeprowadzały ćwiczenia z młodszymi dziećmi. Już lata temu nauczyły się, że wszystkim potrzeba nadzoru, inaczej ludzie zaczną się obijać, mimo wielokrotnie powtarzanych ostrzeżeń Nafaia, że jeśli nie przepracują dwóch bitych godzin dziennie w wirówce, dotrą na Ziemię z ciałami tak sflaczałymi i wątłymi, że będą musieli pożyczać krzesło Issiba, by się poruszyć. Tak więc młodsze dzieci ćwiczyły pod kontrolą starszych, a starsze pod okiem młodszych. Ten system dobrze się sprawdzał.

Dza nadal nie przyjaźniła się z Chveyą - naprawdę nie miały z sobą wiele wspólnego. Dza nie mogła znieść samotności, wokół niej zawsze był gwar rozmów, ekscytujące plotki, śmiechy i docinki. Teraz, gdy już przestała się rządzić, młodsze dziewczynki ją lubiły. Chveya zauważała to w postaci fizycznej więzi między nimi i zdawała sobie sprawę, że młodsze dziewczynki cieszą się w obecności Dzy - i ona sama się rozpromienia. Jednak nie potrafiła długo przebywać w ich towarzystwie. I to nie z powodu zazdrości, choć czasami jednak zazdrościła Dzy jej wianuszka przyjaciółek. Ten nieustanny zgiełk szybko męczył Chveyę, nieraz musiała więc pobyć sama z sobą przez jakiś czas, pogрузić się w ciszy i muzyce, poczytać książkę w skupieniu przez godzinę, podtrzymując ten sam tok myśli.

Ojciec rozmawiał z nią o tym, matka również, gdy obudziła się ostatnim razem. Za dużo czasu spędzasz samotnie, Chveya. Innym dzieciom czasem się wydaje, że ich nie lubisz. Lecz dla Chveyi czytanie książki nie było równoznaczne z samotnością. Prowadziła wtedy rozmowę z jedną osobą, ciągłą rozmowę, która trzymała się tematu, nie zbaczała ciągle na wątki poboczne i nie była przerywana przez kogoś, kto chciał podzielić się z nią plotkami czy porozmawiać o jej problemie.

O ile jednak zdobywała trochę czasu dla siebie, potrafiła spokojnie dogadywać się z resztą - nawet z Dzą. Teraz, gdy minęła już ta infantylna obsesja bycia „pierwszym dzieckiem”, Dza była dobrą koleżanką, inteligentną i zabawną. Na plus trzeba jej zaliczyć to, że nie była zazdrosna, gdy okazało się, że Chveya jako jedyna spośród trzeciego pokolenia rozwinęła zmysł wyczuwania relacji między ludźmi, choć to matka Dzy, a nie Chveyi, pierwsza miała talent. Gdy ciocia Hushidh nie spała, poświęcała więcej czasu Chveyi niż własnym córkom, lecz Dza nie narzekała. Raz nawet uśmiechnęła się do Chveyi i powiedziała: „Twój ojciec cały czas uczy nas wszystkich. Nie będę się więc wściekać dlatego, że moja matka uczy ciebie”. Ta nauka przypominała czytanie książki. Ciocia Hushidh była cicha, cierpliwa i trzymała się tematu. I lepsza niż książka - bo odpowiadała na pytania. Przy niej Chveyi nagle rozwiązywał się język. Może to dlatego, że ciocia Hushidh jedyna widziała to, co Chveya.

- Ale ty widzisz więcej - stwierdziła pewnego dnia. - Masz też sny jak twoja matka.

Chveya przewróciła oczami.

- Na tym statku nie ma Jeziora Kobiet. Nie ma Miasta Kobiet, nikt nie będzie skakać koło mnie i chłonać każdego słowa moich relacji z wizji, których doznałam.

- To nie było tak.

- Matka mówiła co innego.

- Cóż, może ona tak to widziała. Ale twoja matka nigdy nie nadużywała roli wodnej wieszczki.

- To jednak nie było tak użyteczne jak... no, jak to, co ty robisz.

Hushidh uśmiechnęła się z lekka.

- Użyteczne, owszem, lecz czasem mylące. Możesz źle coś zinterpretować. Gdy wiesz dużo o ludziach, to nie oznacza, że wiesz wystarczająco dużo. Bo nigdy nie wiesz, czemu są złączeni z jedną osobą, a odcięci od innej. Ja próbuję zgadnąć. Czasem to dość łatwe. A czasem strasznie się mylę.

- Ja zawsze się mylę - odparła Chveya, lecz nie czuła wstydu, przyznając się do tego cioci Hushidh.

- Tylko po trosze - poprawiła Hushidh. - Lecz nieraz po trosze masz rację, a czasem wykazujesz się nie lada pomysłem. Bo widzisz, musi zależeć ci na innych osobach, by naprawdę o nich myśleć, by spróbować zobaczyć świat ich oczami. A my obie jesteśmy trochę nieśmiałe, jeśli chodzi o poznawanie ludzi. Musisz postarać się spędzać z nimi trochę czasu. Słuchać ich. Zaprzyjaźnić się z nimi. Mówię ci to nie dlatego, że sama tak robiłam w twoim wieku, ale dlatego, że nie robiłam, i wiem, jak bardzo mnie to ograniczało.

- A czemu zaczęłaś?

- Bo poślubiłam mężczyznę, który żył w takim ciągłym bólu wewnętrznym, że moje obawy, upokorzenia i udręki wydawały się przy tym dziecięcymi dąsami.

- Mama mówi, że na długo przed tym, zanim wyszłaś za wujka Issiba, postawiłaś się jakiemuś złemu człowiekowi i pozbawiłaś go lojalności całej armii.

- Ta armia należała do kogoś innego, tyle że ten ktoś już nie żył, a oni od początku nie byli zbyt lojalni. To nie było trudne, a zrobiłam to, na oślep zadając razy, próbując powiedzieć wszystko, co mi tylko ślina na język przyniosła, a co mogłoby osłabić w nich resztki lojalności.

- Matka mówi, że wyglądałaś spokojnie i władczo.

- Kluczowe słowo to „wyglądałaś”. No nie wstydź się, Veya, przecież sama wiesz - gdy jesteś przerażona i zdezorientowana, co robisz?

Chveya zachichotała.

- Staję w miejscu jak przestraszony jelen.

- Jak wryta, prawda? Ale innym się wydaje, że jesteś oazą spokoju. Dlatego tak niemiłosiernie ci dokuczają czasami. Myślą, że jesteś z kamienia, a oni chcą dostać się pod tę skorupę i dotknąć ludzkich emocji. Nie wiedzą, że gdy wydajesz się najbardziej opanowana, wtedy właśnie jesteś najbardziej przerażona i wrażliwa.

- Czemu tak jest? Czemu ludzie się nie rozumieją?

- Bo są młodzi.

- Starzy ludzie wcale nie rozumieją się lepiej.

- Niektórzy tak - odparła Hushidh. - Ci, którym zależy na tym, że się starają.

- Masz na myśli siebie.

- I twoją matkę.

- Ona mnie w ogóle nie rozumie.

- Mówisz tak, bo jesteś nastolatką, a gdy nastolatka mówi, że matka jej nie rozumie, znaczy to, że rozumie ją aż za dobrze, ale nie pozwala wejść sobie na głowę.

Chveya uśmiechnęła się szeroko.

- Jesteś paskudną, zarozumiałą, arogancką dorosłą jak cała reszta.

Hushidh też się uśmiechnęła.

- Widzisz? Uczysz się. Ten uśmiech pozwolił ci powiedzieć mi dokładnie to, co myślałaś, a mnie pozwolił uznać to za żart, dzięki czemu mogłam usłyszeć prawdę, nie musząc się gniewać.

- Staram się - rzuciła Chveya z westchnieniem.

- I dobrze sobie radzisz jak na małego, niedojrzałego, nieśmiałego ignoranta.

Chveya spojrzała na nią ze zgrozą. I wtedy Hushidh uśmiechnęła się znowu.

- Za późno - powiedziała Chveya. - Naprawdę tak myślisz.

- Tylko troszeczkę - przekomarzała się Hushidh. - Zresztą wszystkie nastolatki są ignorantami, a ty nie możesz nic na to poradzić, że jesteś mała i nieśmiała. Jeszcze urośniesz.

- I stanę się bardziej nieśmiała.

- Ale też odważniejsza czasami.

Cóż, to prawda. Chveya zaczęła rosnąć niedługo po tym, jak Hushidh położyła się spać ostatnim razem, a teraz niemal dorównywała Dzi i przewyższała wszystkich chłopców z wyjątkiem Oykiba, niemal tak wysokiego jak ojciec, bez przerwy wpadającego na różne rzeczy albo uderzającego w nie rękami, albo potykającego się o coś. Chveyi podobało się to, jak reagował na zaczepki innych nieśmiałym uśmiechem i nigdy się nie skarżył. Podobało jej

się też to, że nie wykorzystywał swojego wzrostu i siły do tyranizowania innych dzieci; gdy interweniował w czasie kłótni, spokojną perswazją godził zwaśnione strony. A ponieważ Chveya zapewne skończy jako żona Oykiba, dobrze, że jej się podobał. Szkoda tylko, że on o niej myślał „niska i nudna”. Nie, nigdy tego nie powiedział, lecz zawsze prześlizgiwał się po niej wzrokiem, jakby nie zauważał jej na tyle, by chociaż ją zignorować. A gdy był z nią sam, znikał jak najszybciej, jakby nie mógł znieść jej towarzystwa.

Powtarzała sobie w duchu: Samo to, że my, dzieci, będziemy musiały dobrać się w pary i zawrzeć małżeństwa, nie znaczy jeszcze, że zakochamy się w sobie. Jeśli będę mu dobrą żoną, może mnie kiedyś pokocha.

Nieczęsto pozwalała sobie myśleć o drugiej możliwości - że gdy nadejdzie pora się żenić, Oy kib wybierze sobie kogoś innego. Na przykład uroczą małą Shyadę. Jest dwa lata młodsza, ale już wie, jak flirtować z chłopcami, biedny Padarok zawsze zapomina przy niej języka w gębie, a Motya patrzy na nią takimi maślanymi oczami, że Chveya sama już nie wie, śmiać się czy płakać. Jeśli Oy kib ożeni się z Shyadą, Chveya będzie musiała poślubić któregoś z młodszych chłopców? Zmuszą któregoś z tych młodszych, żeby ożenił się z nią?

Nie, prędzej się zabije, postanowiła.

Wiedziała, rzecz jasna, że to głupie myśli. Zrobi dobrą minę do złej gry, zaciśnie zęby i jakoś to będzie.

Czasem zastanawiała się, czy tak właśnie było z ciocią Hushidh. Czy zakochała się w Issibie, zanim wyszła za niego? Czy poślubiła go dlatego, że tylko on został bez pary? Na pewno ciężko jest być żoną kogoś, kogo trzeba brać na ręce i nosić wszędzie tam, gdzie jego lewitery nie działają. A jednak oni wydawali się razem szczęśliwi.

Ludzie mogą być razem szczęśliwi.

Takie myśli - i wiele innych - wciąż kłębiły się w głowie Chveyi, gdy pomagała Shyadi, Netsyi, Dabyi i Zuyi przebrnąć przez ich ćwiczenia rytmiczne. Ponieważ Netsya była bardzo wymagającą nadzorczynią, gdy sama dyktowała tempo, przyjemnie było do niej powiedzieć:

- Szybciej! Ostatnim razem lepiej sobie radziłaś.

A Netsya robiła się coraz bardziej czerwona na twarzy, z każdym ruchem pot skapywał z jej rąk i nosa.

- Jesteś... - wysapała - królową... zołz.

- A tyś księżniczką, kochana Gonets.

- Posłuchajcie jej - rzuciła Zuya, która nie sapała, bo wszystkie ćwiczenia przychodziły jej z taką łatwością, jakby były przyjemnym spacerkiem. - Tak dużo czyta, że

nawet mówi już jak książka.

- Stara... książka - wydyszała Netsya. - Pradawna... zbutwiała... zakurzona... poźółkła... nadżarta...

Litanie przymiotów Chveyi przerwał długi wibrujący dźwięk, a zaraz potem zawtórowała mu rozdzierająca syrena. Dzieci w wirówce krzyknęły, zasłoniły uszy rękami. Nigdy wcześniej tego nie słyszały.

- Coś złego się dzieje - powiedziała Dza do Chveyi. Nie przyciskała rąk do uszu, wydawała się spokojna jak sowa.

- Myślę, że powinniśmy tu zostać, póki ojciec nie powie nam, co mamy robić - odparła Chveya.

Dza potaknęła.

- Upewnijmy się, kogo tu mamy, i nie spuszczajmy ich z oczu.

Chveya przez chwilę czuła się zazdrosna, że nie miała dość przytomności, by o tym pomyśleć. Wiedziała jednak, że najrozsądniejsze, co mogła zrobić, to nie przejmować się tym, kto wpadł na dobry pomysł, tylko z niego skorzystać. A Dza była urodzoną przywódczynią. Chveya powinna dać przykład szybkiego i dobrowolnego posłuszeństwa, dopóki Dza podejmowała rozsądne decyzje.

Do tej pory Dza doglądała młodszych chłopców. Teraz szybko ich policzyła. Motya, najmłodszy; Xodhya, Yaya i Zhyat. Zagoniła ich tam, gdzie Chveya zebrała młodsze dziewczęta.

- Usiądźcie tu i czekajcie! - krzyknęła Dza do wszystkich dzieci.

- Nie mogą tego wyłączyć?! - lamentowała Netsya.

- Zasłońcie uszy, ale patrzcie na resztę! Nie zamykajcie oczu.

Dza szybko myślała - dzieci muszą patrzeć, by odebrać instrukcje, gdyby zaszła potrzeba. I znów Chveya poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Tym bardziej że widziała, jak wyraźnie lojalność, zaufanie, zależność wszystkich wobec Dzy nagle się zwiększyły. Ona naprawdę jest pierwszym dzieckiem teraz, gdy nie wykorzystuje tego w złym celu, pomyślała.

W szybie z drabinką na szczycie wirówki pojawiła się para nóg. Długich nóg z wielkimi niezgrabnymi stopami. Oy kib. A był bardziej niezgrabny niż zwykle, bo niósł coś masywnego pod ręką. Coś zawiniętego w tkaninę.

Gdy zszedł na dół, od razu zwrócił się do Dzy. Jakby wiedział, że ona dowodzi.

- W kwaterach sypialnych nie jest tak głośno! - krzyknął. - Dasz radę zaprowadzić maluchy do łóżek?

Dza potaknęła.

- A więc Nafai chce, żeby tam właśnie byli, jeśli możesz to zrobić bezpiecznie i żadnego nie zgubić.

Dza z miejsca przystąpiła do wydawania poleceń. Młodsze dzieci zaczęły wspinać się na drabinę, a ona przypominała każdemu, żeby poczekał w tubie na zewnątrz wirówki, aż ona tam dotrze. Chveya czuła się zupełnie niepotrzebna.

Oy kib odwrócił się do niej i wyciągnął zawiniątko w jej stronę.

- To Indeks - powiedział. - Elemak się obudził. Ukryj to.

Chveya była zaskoczona. Nikomu z dzieci nigdy nie pozwolono dotknąć Indeksu, nawet zawiniętego w tkaninę.

- Czy ojciec powiedział ci...

- Zrób to - przerwał jej. - Gdzieś, gdzie Elemak nie pomyśli, by szukać.

Wcisnął zawiniątko w jej ramiona i wspiął się po drabinie za Dzą.

Chveya rozejrzała się po wirówce. Czy można było gdzieś tu ukryć Indeks? Nie. Pusta przestrzeń do ćwiczeń i maszyny siłowe, w których nie dało się niczego schować. Włożyła więc Indeks pod pachę i czekała na swoją kolej, by wejść na drabinę.

Wtedy zobaczyła - tam gdzie podłoga wirówki zakrzywiała się w górę, przechodząc dalej w okrąg wokół obwodu statku... otwór w wykładzinie, gdzie znajdował się właz. Gdy wirówka była zatrzymana, dało się podnieść drzwiczki włazu tak, by ktoś mógł wczołgać się na dół do systemu kół, które umożliwiały obrót wirówki. Problem w tym, że minęłoby pół godziny, zanim wirówka wyhamowałaby do końca, gdyby teraz ją wyłączyć. A potem kolejna godzina, nim rozkręciłaby się z powrotem. Dla Elemaka byłoby oczywiste, że wirówka została zatrzymana z jakiegoś powodu. To, że nigdy jeszcze nie był na nogach podczas podróży, nie znaczyło jeszcze, że nie dostrzeże nieprawidłowości w funkcjonowaniu statku.

Z drugiej strony właśnie to, że nie została zatrzymana, nie wzbudziłby jego podejrzeń, czy coś ukryto.

Chveya podbiegła do włazu i pociągnęła drzwiczki do góry. Ani drgnęły - były zablokowane w czasie obrotu wirówki. Pognała do najbliższego przycisku zatrzymania awaryjnego i wcisnęła go. Wywołany tym alarm utonął w wyciu głównej syreny. Wirówka wciąż szybko się obracała, ale drzwiczki dało się otworzyć. Utworzyły mały łuk na zakrzywionej podłodze. Przez otwór włazu Chveya zobaczyła koła wirówki i przemykającą pod nimi bieżnię; wtem zorientowała się, że to ona znajduje się na tej pędzącej powierzchni, a bieżnia jest w rzeczywistości częścią struktury statku, nieruchomą pod kołami wirówki. Tam w górze, na szczycie drabinki, bliżej osi obrotu rotacja wydawała się o wiele wolniejsza.

Jeśli upuszczę Indeks, to czy zostanie zmiażdżony?

I co ważniejsze, jeśli ja spadnę albo choćby dotknę bieżni - zginę? Czy zostanę okaleczona na całe życie?

Spocona, przerażona, opuściła jedną nogę przez otwór, potem drugą. Stała na ramie najbliższego zespołu kół. Potem, przenosząc ciężar ciała na prawą rękę, oparła Indeks o drzwi. Balansując nim na dłoni, uważnie opuściła go w lukę i sięgnęła do wierzchołka drugiego zespołu kół tuż pod podłogą wirówki. Tam gdzie cztery metalowe pręty tworzyły kwadrat, delikatnie pozwoliła Indeksowi stoczyć się z ręki. To bezpieczna kryjówka. Nic nie mogło go strącić, a sam był za szeroki, by się zsunąć. I co najlepsze, nikt go nie zobaczy, chyba że zejdzie w tę lukę na tyle nisko, że miałby głowę poniżej poziomu podłogi wirówki. Elemak uzna za zbyt niebezpieczne, żeby ktoś tu wszedł, poszuka Indeksu gdzie indziej.

No właśnie, teraz, gdy o tym myślała, zorientowała się, że naprawdę niebezpiecznie było tu schodzić. A musiała wspiąć się z powrotem i znów uruchomić wirówkę, aby jej alarm ucichł, zanim wyłączy się główna syrena. Wydostanie się stamtąd nie było takie łatwe jak zejście, a teraz, gdy nie skupiała się już na ukryciu Indeksu, miała czas, żeby naprawdę się bać. Powoli, powtarzała sobie. Ostrożnie. Jeden błąd i przez miesiąc będą zeskrobywać moje strzępy z bieżni.

W końcu wydostała się, rozpięta na nogach i rękach nad otworem. Chodem pająka oddaliła się od niego, a potem skoczyła na nogi i zasunęła drzwiczki. Zatrzasnęły się, teraz mogła już uruchomić wirówkę. Nie czuła, jak mechanizm przyspiesza - wirówka była tak dobrze skonstruowana, że przez cały czas, gdy silniki były wyłączone, tarcie prawie w ogóle jej nie spowolniło.

Syrena zamilkła. Nagła cisza była jak cios pięścią; dzwoniła w uszach. Chveya zdążyła z raptem kilkunastoma sekundami w zapasie.

W tej ciszy usłyszała, że ktoś schodzi po drabince.

Spojrzała w górę. Nogi. Nie ojca. Nie dziecka. Jeśli ją tu znajdą, Elemak będzie się zastanawiał, czemu odłączyła się od reszty dzieci.

Bez namysłu, rzuciła się na podłogę, zwinęła w kłębek, zasłoniła twarz rękami i zaczęła cicho pochlipywać, drżąc ze strachu. Niech pomyślą, że zamarła przerażona głośnym alarmem. Niech pomyślą, że jest słaba, spanikowała. Uwierzą w to, bo nie wiedzą, że potrafi wykonać niebezpieczne akrobacje, mknąc zarazem po okręgu rozpędzonej bieżni. Skąd mieliby to wiedzieć? Sama nie wiedziała. Nawet teraz trudno jej było w to uwierzyć.

- Wstawaj - odezwał się męski głos. - Weź się w garść. Nic ci nie grozi.

Nie Elemak. Vas, ojciec Vasnyi i Panyi. Mąż cioci Sevet. A więc nie tylko Elemak się obudził.

- Nie ma się czego wstydzić - dodał. - Głośny hałas niektórych rozstraja. Powinnaś zobaczyć maluszki. Całe godziny miną, zanim dadzą się uspokoić.

- Maluszki? - Na pewno nie mówił o nastolatkach. - Małe dzieci zostały obudzone?

- Wszyscy się obudzili. Gdy uruchamia się alarm letargu, wszyscy zostają natychmiast wybudzeni. Na wypadek gdyby coś było nie tak z systemem.

- A co go uruchomiło?

Teraz, po raz pierwszy, przez twarz wujka Vasa przemknął cień gniewu.

- Będziemy musieli się tego dowiedzieć. Ale gdyby nas nie obudził, nie mielibyśmy okazji zobaczyć cię jako takiej pięknej... no nie wiem... czternastolatki?

- Piętnastolatki - poprawiła.

- Wszystkiego najlepszego - odparł gorzko. - Ośmioletnia Vasnaminanya ucieszy się, widząc swoją kochaną kuzynkę. Będiesz lubiła bawić się z nią lalkami?

Nagle Chveya poczuła wstyd. Vasnya była jej przyjaciółką, jedynym dzieckiem z pierwszego roku, które było dla niej miłe i włączało ją w różne zabawy, nawet gdy Dza skazała ją na ostracyzm. Jednak Vasnya nie została wybrana do szkolenia w czasie podróży, ponieważ jej rodzice byli zaprzyjaźnieni z Elemakiem, a nie z Nafaiem. Już teraz była o sześć i pół roku młodsza od Chveyi. Już nigdy nie będą prawdziwymi przyjaciółkami. I dlaczego? Czy Vasnya coś zrobiła? Nie - była dobra. A jednak została pominięta.

- Przykro mi - stwierdziła Chveya cicho.

- No cóż, wiemy, kto jest temu winny, i nie jest to żadne z dzieci. - Vas wyciągnął do niej rękę. - Teraz Elemak tu rządzi. Już dawno powinien.

Próbował sprawiać wrażenie miłego i dobrodusznego, lecz Chveya nie była głupia.

- Co zrobiliście ojcu?

- Nic - rzekł z uśmiechem. - Nie wydawał się szczególnie zainteresowany kwestionowaniem władzy Elemaka.

- Ale ma przecież powłokę gwie...

- Powłokę gwiazdnego sternika - odpowiedział. - Nadal ją ma. I żarzy się, ile wlezie. Nafai ma powłokę. Ale Elemak ma bliźniaków.

Bliźniaków, Serpa i Spela. Młodszych braci Chveyi, tak małych, że nie można ich było objąć szkoleniem. Elemak przetrzymuje ich jako zakładników, grożąc, że zrobi im krzywdę, jeśli ojciec nie będzie posłuszny.

- A więc wykorzystuje dzieci, by dopiąć swego? - zapytała z pogardą.

Vas wykrzywił się brzydko.

- Och, to doprawdy okropne z jego strony. Kiedyś będziesz mi musiała wytłumaczyć,

czemu to złe, że Elemak wykorzystuje dzieci, by dopiąć swego, ale jest w porządku, gdy twój ojciec robi dokładnie to samo. A teraz chodź ze mną.

Gdy wdrapywała się przed nim na drabinę, próbowała znaleźć wyraźne rozróżnienie między przetrzymywaniem dzieci jako zakładników, jak robił Elemak, a daniem im wolnego wyboru, czy sprzymierzyć się z nim, by... utrzymać władzę nad kolonią? Do tego się to sprowadzało, nieprawdaż? Do wykorzystania dzieci, by zdobyć i utrzymać władzę nad całą grupą.

Istniała jednak jakaś różnica. Wyrażna moralna różnica, a jeśli głębiej się nad tym zastanowi, będzie umiała wyjaśnić, że prowadzenie szkoły podczas podróży było czynem zupełnie przyzwoitym, natomiast przetrzymywanie małych dzieci jako zakładników - wstrętnym. Chwila, moment, i na to wpadnie.

Tymczasem jednak przyszła jej do głowy zupełnie inna myśl. Oy kib przekazał jej Indeks. Z góry założył, że Dza zaprowadzi dzieci w bezpieczne miejsce, ale Indeks Nadduszy powierzył jej. I nie powiedział, gdzie ma go ukryć.

Wszyscy zebrali się w bibliotece. Tylko tam mogli się pomieścić w tyle osób. Były tam rozplakane maluchy i trochę starsze dzieci, wyraźnie zagubione i przestraszone. Chveya rozpoznała je wszystkie, rzecz jasna. Zupełnie się nie zmieniły. Trzymały się blisko matek, Kokor, Sevet i Lal. A także żony Elemaka, Eiadh. Ona jednak nie trzymała na rękach swego najmłodszego dziecka, córki Zhivyi. Nie, ciocia Eiadh trzymała jednego z bliźniaków, Spela.

A stojący po drugiej stronie biblioteki Elemak - Serpa.

Nigdy wam nie wybaczę, powiedziała Chveya w myślach. Wprawdzie nie potrafię sprecyzować moralnej teorii, która za tym stoi, ale ukradliście moich braci i wykorzystujecie groźbę zrobienia im krzywdy do szantażu.

- Chveya! - wykrzyknęła Luet na widok córki.

- Zamknij się! - warknął Elemak. - Chodź tu! - nakazał Chveyi.

Zbliżyła się, choć zatrzymała dobrych kilka kroków przed nim.

- Boisz się? - zaszydził.

- Nie. Grozisz maluchowi. Twoje dzieci muszą być dumne ze swego dzielnego tatusia.

Wściekły gniew zawrzał w Elemaku, a ona zauważyła, że jej więź z nim przerodziła się w siłę negatywną. Przez chwilę miał ochotę ją zabić.

Lecz nic nie zrobił, nic nie powiedział, dopóki trochę się nie uspokoił.

- Chcę Indeks - zażądał. - Oy kib mówi, że dał go tobie.

Gwałtownie odwróciła się w stronę Oy kiba, a on posłał jej beznamiętne spojrzenie.

- W porządku - uspokajał ją. - Twój ojciec chciał, żeby go ukryć. A teraz Naddusza mówi mu, żeby oddać Indeks Elemakowi.

- Gdzie jest ojciec? - zapytała. - Kim jesteś, że mówisz za niego?

- Twój ojciec jest bezpieczny - rzekł Elemak. - Lepiej posłuchaj swojego wielkiego wujka Oykiba.

- Uwierz mi - odparł Oykib. - Możesz mu powiedzieć. Naddusza tak mówi.

- A skąd ty wiesz, co mówi Naddusza? - odparowała.

- A czemu miałby nie wiedzieć? - zadrwił Elemak. - Tu wokół pełno jest ludzi, którzy uwielbiają mówić innym, czego chce od nich Naddusza.

- Gdy usłyszę to z ust ojca, powiem ci, gdzie jest Indeks.

- Jeśli ona go ukryła, musi być gdzieś w wirówce - odezwał się Vas.

Oykib zrobił wielkie oczy.

- Tam nie ma gdzie go ukryć.

- Idźcie poszukać - rzucił Elemak do Mebbekewa i Obringa.

Obring podniósł się od razu, lecz Mebbekew się ociągał. Chveya widziała, że jego lojalność wobec Elemaka jest słaba. Ale jego lojalność wobec każdego była słaba.

- Powiedz im, Veya - prosił Oykib. - Nic nie szkodzi, poważnie.

Nie obchodzi mnie to, czy mówisz poważnie, pomyślała Chveya.

Nie po to ryzykowałam życie, żeby taki zdrajca jak ty namówił mnie, abym go im oddała.

- To nieważne - ciągnął. - Indeks ma tylko taką moc, że pozwala rozmawiać z Nadduszą. Myślisz, że Naddusza będzie miał cokolwiek do powiedzenia komuś takiemu jak on? - dokończył z pogardą.

Elemak uśmiechnął się, jedną ręką podniósł Oykiba z krzesła i rzucił na ścianę. Pozbawiony tchu chłopak złapał się za głowę.

- Owszem, jesteś wysoki - powiedział Elemak - i masz usta pełne dumnych słów, ale słaby jesteś jak mucha. A Nafai sądził, że będę się kiedyś lękał takiego smarkacza!

- Powiedz mu, Chveya - wydusił Oykib, zupełnie ignorując Elemaka. - On może wyzywać się na dzieciach, ale nie może rządzić Nadduszą.

Wydawało się, że Elemak lekko machnął ręką, a Oykib znów głową uderzył o ścianę z taką siłą, że osunął się na podłogę.

Chveya zobaczyła grube, jasne nitki lojalności łączące Oykiba z nią. Nigdy wcześniej tak nie było. I uświadomiła sobie, że on przyjmował na siebie ciosy Elemaka tylko po to, by przekonać ją, że nie jest zdrajcą, że mówił prawdę. Mogła oddać Indeks Elemakowi.

Nie potrafiła się zmusić do tego. Nawet jeśli Oy kib miał rację i Indeks był bezużyteczny, wujek Elemak myślał inaczej. Mogła to wykorzystać.

Ale nie mogła pozwolić, by Oy kib dalej był bity, o ile miała na to jakiś wpływ.

- Powiem ci, gdzie jest Indeks - odezwała się.

Obring i Mebbekew znieruchomieli przy drabinie pośrodku biblioteki.

- Gdy pozwolisz mi zobaczyć, że ojcu nic się nie stało - dodała.

- Już ci mówiłem, że nie - odparł Elemak.

- Przetrzymujesz dziecko, by się upewnić, że wyjdzie na twoje. To dowodzi, że jesteś pocziwym człowiekiem, który by przecież nie skłamał.

Elemak poczerwieniał.

- Z wiekiem zrobiliśmy się pyskaci, co? Władza Nafaia nad tymi dziećmi jest doprawdy zadziwiająca. - Mówiąc to, jednak podszedł tam, gdzie matka siedziała cicho z pozostałymi dziećmi, i oddał jej Serpa. - Nie grozę dzieciom.

- Aha, teraz, gdy już zmusiłeś ojca, żeby ci się poddał - zadrwiła Chveya.

- Gdzie jest Indeks?

- Gdzie jest mój ojciec?

- Bezpieczny.

- Indeks również.

Elemak stanął przy niej, spojrzał na nią z góry.

- Próbujesz się ze mną targować, mała?

- Owszem.

- Przecież Oy kib powiedział, że Indeks do niczego mi się nie przyda - przypomniał Elemak, uśmiechając się szeroko.

- Jak sobie chcesz.

Nachylił się, przyłożył jej dłoń do ucha i szepnął:

- Veya, zrobię wszystko, co będę musiał, by dopiąć swego.

Jak tylko odsunął się od niej, powiedziała głośno:

- Powiedział: „Veya, zrobię wszystko, co będę musiał, by dopiąć swego”.

Reszta zaczęła szemrać. Może z powodu jej zuchwałości. A może dlatego, że jej groził. Tak czy tak - sieć relacji już się zmieniała. Wpływ Elemaka na sprzymierzeńców nieco osłabł. Strach i zgroza wciąż wiązały go z resztą, rzecz jasna; pobicie Oy kiba jeszcze wzmocniło jego władzę. Lecz śmiałość Chveyi i jego groźby nadwerężyły lojalność tych, którzy wspierali go z własnej woli.

Zdawało się, że Elemak to wyczuł - był dobrym przywódcą, niegdyś prowadził

karawany przez niebezpieczne kraje i pustynie, i wiedział, kiedy traci grunt pod nogami, nawet jeśli nie miał, jak Chveya i Hushidh, daru widzenia więzów lojalności i posłuszeństwa, miłości i strachu. Zmienił taktykę.

- Próbuj do woli, Veya, ale nie zrobisz ze mnie czarnego charakteru tej scenki. To twój ojciec i ci, którzy z nim spiskowali, zdradzili nas. To twój ojciec kłamał, obiecując obudzić nas na półmetku lotu. To twój ojciec podstępnie pozbawił nasze dzieci praw. Spójrz na nich. - Wskazał na cztero-, pięcio- i ośmiolatki, które wciąż próbowały dopasować tę wysoką młodzież do rówieśników, których widziały, gdy dorośli kładli je spać przed startem.

- Kto skrzywdził te dzieci? Kto je wykorzystał? Nie ja.

Chveya zauważyła, że Elemak odzyskuje poparcie.

- To czemu twoja żona wciąż na rękach trzyma Spela? - zapytała.

Eiadh skoczyła na równe nogi.

- Nie trzymam dzieci wbrew ich woli, ty paskudny bachorze! On płakał, więc tylko go pocieszałam.

- Jego matka zrobiłaby to lepiej - odparła Chveya. - Może twój mąż nie chce, żebyś oddała Spela matce.

Błyskawiczne spojrzenie Eiadh na Elemaka i jego niecierpliwy gest ręką same przez się dowiodły racji Chveyi. Eiadh z ponurą miną zaniósła Spela matce. Luet wzięła go na ręce i posadziła na drugim kolanie. Jednak przez cały ten czas nie odezwała się nawet słowem. Czemu matka milczy? - zastanawiała się Chveya. Czemu dorośli całe mówienie zostawili mnie i Oy kibowi?

Bo mają dzieci.

Ta myśl przyszła jej do głowy z taką wyrazistością, że bez wątplenia pochodziła od Nadduszy. Chveya zrozumiała - ponieważ dorośli mają małe dzieci, boją się, co Elemak mógłby im zrobić. Tylko niepełnoletni, jak ja i Oy kib, mogą sobie pozwolić na śmiałość, bo my nie mamy dzieci, które musimy chronić.

Właśnie.

Skoro więc możesz do mnie mówić i mogę oddać Indeks Elemakowi, to czemu tego nie powiesz?

Ale nie doczekała się odpowiedzi.

Nie rozumiała, co robi Naddusza. Czemu mówiła Oy kibowi jedno, a nie chciała jej tego potwierdzić. Naddusza mogła się wtrącić i wytłumaczyć, czemu dorośli tak uparcie milczą, ale nie miała dla Chveyi żadnej pożytecznej rady.

Może to oznacza, że dobrze postępuje.

Tak, usłyszała w myślach.

- Zaprowadź mnie do ojca - powiedziała. - Gdy zobaczę, że nic mu nie jest, oddam ci Indeks.

- Statek nie jest znowu taki duży - odparł Elemak. - Mogę go znaleźć bez ciebie.

- Próbuj. Ale czemu nie kwapisz się zaprowadzić mnie do ojca? To dowodzi, że coś mu zrobiłeś i nie chcesz, by ludzie dowiedzieli się, jaki z ciebie okrutny, zły człowiek.

Myślała, że on ją uderzy. Lecz skończyło się na gniewnym błysku w oczach; w ogóle się nie poruszył, nawet nie nachylił w jej stronę.

- Nie znasz mnie - stwierdził cicho. - Byłaś ledwie dzieckiem, gdy ostatni raz się widzieliśmy. Gdybym naprawdę był taki zły i okrutny, to czemu nie masz siniaków i nie krwawisz?

- Bo nie zyskasz w oczach swych zwolenników, jeśli zaczniesz wyżywać się na dziewczynie - odparła chłodno. - To, jak potraktowałeś Oykiba, pokazuje, jaki jesteś. A to, że nie robisz tego samego ze mną, dowodzi tylko, że wciąż nie jesteś pewny, czy masz władzę.

Normalnie by się nie ośmieliła powiedzieć czegoś takiego, tyle że widziała, iż każdym słowem podkopywała pozycję Elemaka. Rzecz jasna, miała dość rozumu, by wiedzieć, że to niebezpieczne, że gdy on zda sobie sprawę ze swej słabnącej pozycji, może zachować się bardziej nierozważnie. Lecz to jedynie przychodziło jej do głowy.

- Ależ oczywiście, że nie mam władzy - odparł spokojnie. - I nigdy nie sądziłem, że mam. Tylko twój ojciec chce rządzić innymi. Muszę go trzymać na uboczu, inaczej wykorzysta powłokę, by wymusić na innych to, czego chce. Mnie zależy jedynie na zwykłej sprawiedliwości. Na przykład zrobimy tak: wszystkie wyrośnięte dzieci pójda spać na resztę podróży, a nasze dostaną szansę, by je podgonić - przynajmniej w połowie. Czy to okrutne z mojej strony, że tego chcę?

Był w tym bardzo dobry, uświadomiła sobie Chveya. Ledwie kilkoma słowami potrafił odbudować wszystko, co ona zburzyła.

- Zgoda - rzekła. - Jesteś miłym, rozsądnym, przyzwoitym człowiekiem. Pozwolisz więc nam - mnie, Oykibowi i matce - zobaczyć się z ojcem.

- Może. Jak już będę miał Indeks.

Chveya myślała przez chwilę, że się ugiął. Że musi mu tylko powiedzieć, gdzie jest Indeks, i puści ją do ojca. Wtedy jednak wtrącił się Oykib:

- Zamierzasz uwierzyć temu kłamcy? Mówi, że Nafai przymusza ludzi za pomocą powłoki, ale nie chce, by inni pamiętali, że to on i Meb planowali zamordować Nafai. Elemak jest mordercą. Zdradził nawet naszego ojca w Basilice. Wydał go Gaballufixowi na

śmierć, a gdyby Naddusza nie powiedział Luet, żeby go ostrzegła...

Elemak uciszył go ciosem z szerokiego zamachu. Wskutek niedociążenia Oy kib przeleciał przez pokój i mocno rąbnął głową o ścianę. Grawitacja była niższa, lecz jak wszystkie dzieci nauczyły się w trakcie szkolenia, masa pozostawała bez zmian, tak więc cały ciężar Oy kiba dołożył się do siły impetu. Nieprzytomny chłopak zwałił się na podłogę.

Teraz dorośli przerwali milczenie. Rasa wrzasnęła. Volemak skoczył na nogi i krzyknął do Elemaka:

- Zawsze w duszy byłeś mordercą! Nie jesteś moim synem! Wydziedziczam cię! Wszystko, co odtąd nabędziesz, będzie kradzione!

Elemak odkrzyknął do niego, tracąc panowanie nad sobą:

- Kimże jesteś ty z tym twoim Nadduszą?! Niczym! Słaby, złamany robak, nie człowiek. Jestem twoim jedynym synem, jedynym prawdziwym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spłodziłeś, ale zawsze wolałeś tego kłamcę i lizusa niż mnie!

- Nigdy nie wolałem jego bardziej niż ciebie - odpowiedział Volemak cicho. - Dałem ci wszystko. Bezgranicznie ci ufałem.

- Nic mi nie dałeś. Przetraciłeś interes, całe nasze bogactwo, naszą pozycję. Dla komputera.

- A ty sprzedawałeś mnie Gaballufixowi. Jesteś zdrajcą i mordercą w duszy, Elemaku. Nie jesteś moim synem.

To koniec, Chveya to wiedziała. W tej chwili, choć strach pozostał, znikła cała lojalność wobec Elemaka. Ludzie nadal będą go słuchać, ale żaden dobrowolnie. Nawet jego pierworodny, ośmioletni Protchnu, patrzył na ojca z lękiem i zgrozą.

Rasa i Shedemei zajęły się pobitym Oy kibem.

- Raczej nic mu nie będzie - oceniła genetyczka. - Chyba ma wstrząs mózgu i może nie ocknie się szybko, ale kości są całe.

Po jej słowach długo utrzymywała się cisza. Oy kib się wylize - lecz nikt nie mógł zapomnieć, kto go pobił. Nikt nie mógł zapomnieć brutalności ciosu, wściekłości, która się za nim kryła, widoku Oy kiba lecącego w powietrzu, bezradnego, złamanego. Elemak będzie miał posłuch, to pewne. Ale nie będzie kochany ani podziwiany. Nie był przywódcą z wyboru, dla nikogo, nie teraz, już nie. Nikt nie był po jego stronie.

- Luet - powiedział Elemak łagodnie. - Chodź ze mną i Chveyą. I z Issibem. Chcę, żebyście byli świadkami, że Nafaiowi nic nie jest. Chcę też, żebyście byli świadkami, że już nigdy więcej nie będzie dowodził na tym statku.

Schodząc za Elemakiem po drabinie na jeden z pokładów magazynowych, Chveya

zastanawiała się, czemu po prostu nie zaprowadził jej do ojca od razu, jak tylko go poprosiła. To nie miało sensu.

Nie zabrał cię, bo tego żądałaś, usłyszała głos Nadduszy.

Co za dzieciak z niego.

Nie, to było roztropne. Jeśli chciał narzucić swoją władzę, już na starcie musiał zademonstrować, jak jest silny.

Cóż, akurat to mu się udało.

Wprost przeciwnie. Ty, Oy kib - i Volemak na końcu - do spółki go złamaliście. On już przegrał. Może minąć trochę czasu, zanim to zrozumie, ale przegrał.

Chveya z poczuciem triumfu szła dalej za Elemakiem do przechowalni, gdzie uwięzili ojca.

Przeraziła się, jak go potraktowali. Ojciec leżał na podłodze. Nadgarstki miał mocno skrępowane za plecami. Widziała, że skóra wybrzusza się nad sznurem i pod nim, a dłonie są białe. Związali mu też kostki, tak samo mocno. Potem odciągnęli nogi w górę i do tyłu, boleśnie go wyginając, i przeciągnęli obie końcówki sznura od kostek przez ramiona, splatając je w taki sposób, że zbiły się ciasno wokół szyi. Następnie poprowadzili je przez brzuch do krocza, owinęli między nogami i tam przywiązali, za pośladkami, do skrępowanych kostek. W rezultacie więzy wywierały stały nacisk. Aby zmniejszyć to parcie na ramiona, na krocze, ojciec mógł jedynie zadrzeć nogi wyżej lub jeszcze bardziej wygiąć się w tył. Ponieważ jednak już był siłą naciągnięty w tej pozycji, nie miał jak się poluzować. Jego zaczerwieniona twarz i szybki, płytki oddech powiedziały Chveyi, że cierpi i nawet oddychanie sprawia mu trudność.

- Nafai - wymamrotała matka.

Ojciec otworzył powieki.

- Hej - powiedział cicho. - Widzisz, jak mały sztorm na morzu może zakłócić podróż?

- Jak zmyślnie go związałeś - stwierdził Issib z jadem w głosie. - Doprawdy pomysły z ciebie dręczyciel.

- Standardowa procedura na wyprawach - odparł Elemak - gdy ktoś potrzebny się przy czymś głupio upiera. Nie można go zabić, ale nie można też pozwolić, żeby bunt uszedł mu na sucho. Kilka godzin w takiej pozycji zazwyczaj wystarcza. Ale Nyef zawsze był wyjątkowo uparty.

- Możesz oddychać, Nafaiu? - zapytała matka.

- A ty?

- O czym ty gadasz? - chciał wiedzieć Elemak.

Issib odpowiedział za Nafaia:

- System podtrzymywania życia nie utrzyma tylu ludzi równocześnie w stanie aktywności. Już działa ponad siły. Z upływem godzin będziemy mieli coraz mniej dostępnego powietrza.

- To nie problem - zauważył Elemak. - Wszystkich intrygantów, kłamców i ich przerośnięte dzieci położymy spać na resztę podróży.

- Nie, nie położycie - odezwał się Nafai.

Elemak przez chwilę myślał.

- Jak będę miał Indeks, komputer statku zrobi, co zechcę - rzekł. - Indeks, Chveya - zażądał. - Ja dotrzymałem słowa.

- Rozwiąż go - odparła.

- Nie może - stwierdził Issib. - Nafai ma powłokę. Nie można mu jej zabrać. Jeśli więc go wypuści, w mig odzyska władzę. Wtedy nikt nie będzie mógł mu się sprzeciwić.

A więc to po to Elemak przetrzymywał bliźniaków jako zakładników. Ojciec dobrowolnie pozwolił się skępować, by tym malcom nie stała się krzywda. Chveya po raz pierwszy zrozumiała, jak bezsilni są rodzice. Tylko ci bezdzietni mieli swobodę, by postępować tak, jak podpowiadał im rozsądek. Kto miał maluchy, o które musiał się troszczyć, zawsze mógł znaleźć się w mocy kogoś innego.

- Nie możesz poluzować sznura? - zapytała Chveya.

- Mogę, ale nie chcę - przyznał Elemak. - Jestem jednak zły i brutalny. - Uważnie zmierzył ją wzrokiem. - Indeks, Chveya, albo twoja matka znajdzie się na podłodze obok niego. Jemu nie stanie się większa krzywda, bo powłoka go uzdrawia. Ale jej nie uzdrowi.

- Nie zrobisz tego!

- Nie? Przez ciebie, Oykiba i ojca już wszyscy mnie nienawidzą, więc to wcale nie pogorszy mojej sytuacji. A jeśli pokażę, że mogę tak potraktować kobietę, nie będę musiał znosić kolejnych ingerencji ze strony takich pyskatek jak ty.

- Daj mu Indeks - wydusił z siebie ojciec głosem, jakby przyznawał się do porażki.

Usłyszała to z jego własnych ust. Dalszym oporem nic więcej by nie wskórała.

- Zaprowadzę cię. Jest w wirówce. Musisz jednak poczekać, aż wirówka wyhamuje. Nie wyciągniesz go, póki to się kręci.

- Wewnątrz mechanizmu, tak? - zapytał Elemak. - Tyle zachodu, a wcześniej czy później sam bym na to wpadł. Dobra, wynoście się stąd wszyscy. Zamykam te drzwi za sobą i będę umieszczał tu ciągle warty, więc nawet nie myślcie, że zdołacie się tu zakraść i go rozwiązać. Macie szczęście, że jeszcze go nie zabiłem.

Przez chwilę Chveya zastanawiała się, czemu go jeszcze nie zabił. Wcześniej próbował, prawda? Musiało chodzić o powłokę. Ojca nie da się zabić. Nie w statku lub blisko niego. Elemak zapewne nie może nawet go dotknąć, a co dopiero zrobić mu krzywdę, jeśli ojciec mu na to nie pozwoli. A gdyby Elemak próbował go zabić, reakcja obronna pewnie by się uruchomiła bez woli ojca i automatycznie odpowiedziała na atak. A może to Naddusza ją kontroluje. Ale to też jest automatycznie. Bo Naddusza tak naprawdę jest tylko komputerem.

A ty tak naprawdę jesteś tylko zespołem organicznych elementów, usłyszała Chveya w myślach.

Zarumieniła się. Pozwoliła Elemakowi, żeby wyprowadził ją, matkę i Issiba, dopiero w ostatnim momencie przypominając sobie, aby zawołać:

- Kocham cię, ojczy!

Zrazu Elemak nalegał, żeby wydobyć Indeks jeszcze podczas ruchu wirówki, lecz gdy się przekonał, że nie ma żadnych szans, by go wyjąć, nie narażając na poważne ryzyko upuszczenia i zmiżdżenia między kołami, czekał z ponurą miną, aż maszyna się zatrzyma. Kiedy wyhamowała, posłał Obringa po Indeks. Chveya rozumiała czemu. Nie odważył się zejść na sam dół, bo nie mógł mieć pewności, że ktoś nie zatrzaśnie za nim drzwi. Wydostałby się dość szybko przez ten czy inny właz - nie brakowało otworów prowadzących z bieżni do reszty statku - lecz wcześniej ktoś uwolniłby Nafaia. Teraz już nie mógł ufać nikomu. Więc to Obring zszedł w dół przez właz serwisowy i to on oddał Elemakowi zawiniątko z Indekssem.

- Nie mogę uwierzyć, że umieściła go tam, gdy wszystko się ruszało - stwierdził.

Elemak nie odpowiedział, lecz Chveya była wyzywająco dumna z tego komplementu. Dobrze się spisała. I choć Oy kib, nie wiadomo czemu, od razu powiedział Elemakowi, kto ukrył Indeks, udało jej się odwiedzić ojca w zamian za informację, gdzie go szukać, i nadwerężyć pozycję Elemaka.

Teraz Elemak odwinął tkaninę i trzymał Indeks w rękach.

Nic się nie stało.

Odwrócił się do Issiba.

- Jak to działa?

- Tak. Tak jak robisz.

- Ale nic się nie dzieje.

- Oczywiście. Naddusza go kontroluje, a on z tobą nie rozmawia.

Elemak wyciągnął Indeks do przyrodniego brata.

- A więc ty to zrób. Spraw, żeby mi był posłuszny, albo Hushidh skończy obok Nafaia

na podłodze przechowalni.

- Spróbuję, ale nie sędzę, żeby Naddusza dał się oszukać tylko dlatego, że ja to trzymam. I tak ci się nie podporządkuje.

- Zamknij się i to zrób.

Issib opadł lekko na podłogę i przejął Indeks. Położył na nim ręce. Nic się nie stało.

- Widzisz?

- A co się zwykle dzieje? - zapytał Elemak. - Może po prostu wolno reaguje?

- Nigdy wolno nie reaguje. Nie będzie działać, póki gwiazdny sternik nie ma kontroli nad statkiem.

- Gwiazdny sternik - rzucił Elemak, jakby słowa były trucizną w jego ustach.

- Będziemy mieli coraz mniej tlenu. Statek nie da rady szybciej rozszczepiać dwutlenku węgla, a tu jest za dużo oddychających ludzi.

- Czyli Naddusza próbuje wykorzystać zapas tlenu, by zmusić mnie do kapitulacji.

- Nie Naddusza. On nie steruje systemami podtrzymywania życia, a już na pewno nie może ich obejść, by zaszkodzić ludziom. Maszyny mają wbudowane systemy bezpieczeństwa.

- To nic - stwierdził Elemak. - Położymy spać wszystkich, których nie chcę tu widzieć. Może nawet pozwolę Nafaiowi przespać resztę podróży... choć chyba mógłby zostać związany.

- I miałby skończyć bardziej kaleki niż ja?

- To jest myśl! - odrzekł Elemak z zadowoleniem. - Z tobą nigdy nie miałem problemów.

- Nieważne, co zamierzasz - powiedział Issib. - Naddusza może powstrzymać cię przed uruchomieniem którejkolwiek z komór letargicznych. Wystarczy, że będzie wysyłał sygnał ostrzegawczy do komputerów, które nimi sterują. Tego nie obejdiesz.

Elemak zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze. Mogę poczekać - odparł w końcu.

- Myślisz, że weźmiesz Nadduszę na przeczekanie?

- Myślę, że Naddusza nie chce, żeby ta podróż się nie udała. W końcu uświadomi sobie, że to ja będę przewodził tej kolonii, i się z tym pogodzi.

Wykluczone, usłyszała Chveya w myślach.

- Wykluczone - powtórzyła.

- Och, doprawdy - zadrwił Elemak. - Czy Naddusza teraz z tobą rozmawia?

Mogę wypełnić moją podstawową misję, nawet jeśli każdy organizm na tym statku

umrze.

- Naddusza może wypełnić swój podstawowy cel, nawet jeśli wszyscy na tym statku umrą - przekazała Chveya słowa Nadduszy.

- Albo tak mówi ludziom, których zwodzi - zadrwił Elemak. - Czekają nas ciekawe dni. Przekonamy się, ile prawdy jest w tym, co mówi Naddusza.

- Maluchy umrą pierwsze - przypomniał Issib. - I starzy ludzie.

- Jeśli jedno z moich dzieci umrze, to jak dla mnie, wszyscy mogą umrzeć, łącznie ze mną. Śmierć będzie lepsza niż kolejny dzień pod rządami tego kłamliwego, podstępnego, pyskatego, zdraдлиwego bękarta, którego ojciec wcisnął mi za brata. - Elemak odwrócił się do Chveyi i posłał jej uśmiech. - Nie chciałbym mówić źle o twoim ojcu przy tobie, mała. Ale skoro tak się wdałaś w niego, pewnie brzmiało to dla ciebie jak komplement.

Pogarda Chveyi przemogła strach przed jego gniewem.

- Wstydziałabym się ojca - odparła - jeśli taki ktoś jak ty by go nie nienawidził.

Czy Obring zachichotał cicho? Elemak odwrócił się gwałtownie, by się upewnić, lecz Obring udawał niewiniątko.

Już przegrałeś, pomyślała Chveya. Naddusza miała rację. Już cię pokonaliśmy. Teraz możemy mieć już tylko nadzieję, że nikt nie umrze, zanim w końcu to zrozumiesz.

ROZWIĄZANIE

Luet była zła, lecz nie na Elemaka. Dla niej on stał się niemal żywiołem natury. Oczywiście, że Nafaia nienawidził. Oczywiście, że wykorzysta każdy pretekst, żeby go skrzywdzić. Dzieliło go od brata za dużo dawnych uraz, zbyt wielkie poczucie winy po próbach zabicia Nafaia. Nie dało się opanować sytuacji, próbując go zmienić. Należało znaleźć sposób, by go nie prowokować.

To przez ciebie, powiedziała Luet do Nadduszy. To był twój pomysł. Ty go forsowałeś. Ty wciągnęłaś Nafaia i mnie, i rodziców innych dzieci w te igraszki z czasem.

I miałam rację.

Tylko że nie liczyłaś na to, że tamci się obudzą, czy tak?

Nadal mam rację. Wszystko się ułoży.

Moje dzieci oddychają z trudem. Prawie nie mogą jeść, bo w trakcie połykania muszą łapać powietrze. Umieramy, a ty mi mówisz, że wszystko się ułoży?

Minie wiele dni, zanim komukolwiek zagrozi śmierć.

Uff, od razu mi ulżyło.

Nie jestem Elemakiem. Nie kazałam mu zrobić tego, co zrobił.

Ty nas tak urządziłaś! Przez ciebie jesteśmy w tej sytuacji.

Myślałaś, że ten dzień nigdy nie nadejdzie? Że jeśli zrobicie wszystko jak trzeba, Elemak nigdy się przeciw wam nie zwróci? Lepiej tutaj, gdzie mam jakąś kontrolę nad sytuacją, niż na Ziemi, gdzie będziecie zdani tylko na siebie.

Och, nie, na Ziemi nie będziemy zdani tylko na siebie. Opiekunka Ziemi będzie nad nami czuwała. Ale jeśli okaże nam mniej miłości i troski niż ty, długo nie pożyjemy.

Opiekunka Ziemi jest o wiele potężniejsza niż ja.

Miło słyszeć.

Rozumiem twój gniew, ale nie pozwól, żeby przesłonił twój zdrowy rozsądek.

Nie, nie wolno mi tracić zdrowego rozsądku, gdy rzęzę, z trudem łapiąc powietrze, gdy patrzę, jak moje dzieci stają się ospałe, gdy myślę o mężu, uwięzionym i związanym, doznającym katuszy...

I tak ciągnęła się ta rozmowa godzina za godziną. Luet wiedziała, że gdy minie jej gniew, zamilknie, pogodzi się z sytuacją, a potem przyzna zapewne, że wszystko skończyło się najlepiej, jak mogło. Lecz jeszcze się nie skończyło. I skoro tak było najlepiej, trudno

sobie wyobrazić, jak mogło być najgorzej - albo choćby najlepiej w drugiej kolejności. To jedyne, czego nigdy nie wiesz: co by mogło się stać. Ludzie się łudzą, mówiąc „gdyby”. Gdyby tylko nie uruchomił się alarm. Gdyby tylko Nafai nie był taki pyskawy za młodu. Nafai bardzo lubił „gdybać”, Luet dobrze to wiedziała, bo on przypisywał każdą winę sobie. Lecz nic nigdy nie jest wynikiem tylko jednej okoliczności, a usunięcie lub zmiana jednej przyczyny nie zawsze daje odmienny skutek.

Kiedyś przestanę czuć ten głęboki, nieracjonalny gniew wobec Nadduszy, lecz nie teraz, kiedy Nafai leży w okrutnych więzach, moje dzieci sapią ciężko po każdym przełknięciu, a mściwy Elemak sprawuje władzę nad ludźmi na tym statku.

Gdybyśmy tylko wszyscy oparli się Nadduszy i nie prowadzili szkoły podczas podróży.

W duchu wrzała; przeklinała Nadduszę; wymyślała długie, bezlitośnie cięte przemowy, których, jak wiedziała, nigdy nie wygłosi przed Elemakiem, Mebbekewem ani żadnym z ich sprzymierzeńców. Innym jednak pokazywała spokojną, beznamietną twarz. Wiedziała, że to nade wszystko rozdrażni Elemaka i jego zauszników. Jej widok, to, że nie wydaje się zaniepokojona, ich zaniepokoi; tylko tyle mogła zrobić. Tak niewiele.

Oni. My. W myślach zaczęła nazywać sojuszników Elemaka i ich rodziny Elemakitami, a tych, którzy uczestniczyli w szkole podróźnej, Nafaritami. Normalnie takich przyrostków używano w odniesieniu do narodów lub plemion. Czy nie jesteśmy jednak odrębnymi plemionami, tu na tym statku, nieważne jak nielicznymi?

Elemak nakazał, aby rodziny Nafaritów spożywały posiłki wspólnie w bibliotece, a potem on lub Meb odprowadzali każdą rodzinę po kolei do jej ciasnych kwater i zamykali drzwi na głucho. Podczas ich nieobecności Vas z Obringiem pilnowali reszty. Luet w czasie posiłków przyglądała im się uważnie. Wydawało się, że rola nadzorców nie bardzo im odpowiada. Z powodu wstydu? Czy nie mieli pewności, że daliby sobie radę w siłowej konfrontacji?

Niektóre z elemakickich kobiet nieudolnie próbowały zagaić rozmowę z Luet, lecz udawała, że ich nie widzi. Odchodziły wściekle, szczególnie Kokor, młodsza córka ciotki Rasy, która wypaliła oschle: „Sama to na siebie ściągnęłaś w każdym razie, zadzierając nosa, bo kiedyś nazywali cię wodną wieszczką”. Ponieważ to nie miało zupełnie żadnego związku z konfliktem, było jasne, że Kokor daje upust dawnym urazom w stosunku do Luet. Trudno było się z niej nie śmiać.

Milczenie Luet wobec elemakickich kobiet nie było podyktowane urażoną dumą. Luet wiedziała doskonale, że one nie mają nic wspólnego z decyzjami mężczyzn, że żona Meba,

Lal, i żona Elemaka, Eiaadh, są do głębi zażenowane postępowaniem mężów. Wiedziała jednak także, że jeśli pozwoliłaby im okazać współczucie, gdyby pozwoliła im przekroczyć niewidzialną granicę między Elemakitami a Nafaritami, poczułyby się znacznie lepiej, wręcz komfortowo - bo wyciągnęły rękę do biednej żony Nafaia. Luet nie chciała, by czuły się komfortowo. Przeciwnie, chciała, by czuły się tak niekomfortowo, że zaczną skarżyć się mężom, presja narosnie, aż inni zaczną się lękać niezadowolenia i pogardy żon tak bardzo, jak bali się tego ze strony Elemaka, a sam Elemak zacznie myśleć, że swymi czynami przynosi więcej szkody swej rodzinie niż zysku tej skrzywionej części swego umysłu, w której mieściła się nienawiść do Nafaia.

Rzecz jasna, nigdy nie można było wykluczyć, że ta dodatkowa presja ze strony żony jeszcze wzmoże nieustępliwość Elemaka. Tak więc Luet całkowicie ignorowała elemakickie kobiety i tylko obserwowała sytuację.

Dziwnie traktowano Zdoraba i Shedemei. Eskortowano ich wszędzie jak Luet, Hushidh i Issiba, Rasę i Volemaka, lecz w bibliotece nie byli pod takim samym baczny nadzorem jak reszta. Zapraszano ich z dziećmi do stołu Elemakitów i pozwalano rozmawiać swobodnie między sobą.

To doprowadziło Luet do wniosku, że alarm, który otworzył wszystkie komory letargiczne, nie był przypadkową awarią, że Zdorab zdołał jakoś zostawić nie jeden, ale dwa sygnały pobudki, a Naddusza nie znalazła tego drugiego. Niemożliwe, by Shedemei o tym wiedziała; trudno było uwierzyć, że sam Zdorab o tym wiedział, bo czy nie włączył się do uczenia dzieci w szkole podróźnej? Czy jego syn i córka nie dorośli razem z innymi dziećmi? Jaki pokretny miał umysł, skoro chętnie współpracował z Nafaritami, wiedząc przez cały czas, że sygnał pobudki zagrozi życiu Nafaia i dramatycznie podzieli tę grupę? Nie, to było nie do pomyślenia. Zdorab nie mógł tego zrobić. Nikt nie mógł być tak dwulicowy, tak...

A jednak widziała Zdoraba tam, obok syna, Roky, naprzeciw Lalyi, żony Meba. Shedemei siedziała osobno. Jej wstyd był niemal namacalny. Trzymała Dabyę przy sobie i odzywała się tylko zapytana. Na nikogo nie patrzyła, wbijała wzrok w talerz podczas jedzenia, a potem szybko wychodziła. Luet chciała bardzo poprosić Chveyę lub Hushidh, by oceniły relacje, wybałały, po której stronie plasuje się lojalność Zdoraba, lecz zabroniono jej rozmów z Hushidh, a Chveyę również trzymano z dala od reszty. Oykiba też oddzielono od innych dzieci; ich dwoje z pewnością zasłużyło sobie na szczególną uwagę Elemaka.

Wieczorem drugiego dnia Luet usłyszała pukanie, otworzyła drzwi pokoju swojej rodziny i zobaczyła za nimi Zdoraba. Bliźniacy spali, oddychając szybko, acz regularnie. Starsze dzieci - Zhatva, Motiga i Izuchaya - leżały na łóżkach, odpoczywały, żeby oszczędzać

tlen; wszyscy mieli nakaz robić tak w miarę możliwości, a ponieważ już odczuwali deficyt tlenu, było to jedyne polecenie Elemaka, które spełniali z ochotą.

Luet patrzyła na Zdoraba w milczeniu, czekając, aż się odezwie.

- Muszę z tobą pomówić.

Zastanawiała się, czy nie zamknąć mu drzwi przed nosem. Lecz wtedy odtrąciłaby go, nie usłyszawszy wpierw, co ma do powiedzenia. Cofnęła się i pozwoliła mu wejść. Potem wychyliła się na korytarz i ujrzała, że Vas i Obring ich obserwują. A więc nie była to potajemna wizyta. Chyba że te dwa zuchy miały jednak odwagę sprzeciwić się wyraźnym rozkazom Elemaka.

Zamknęła drzwi.

- To byłem ja - zaczął Zdorab. - Wiem, że to wiesz, ale musiałem sam ci powiedzieć. Elemak radził mi mówić, że nie mogłem usunąć tego programu pobudki, nawet gdybym chciał, ale mogłem. I nie chciałem. Na sam koniec, gdy kładli mnie spać, próbowałem krzyknąć do Shedy i Nyefa, żeby się zatrzymali, żeby otworzyli moją komorę, żeby...

Widział, że jego słowa w ogóle nie robią na niej wrażenia. Odwrócił wzrok w stronę drzwi.

- Nie mogłem przewidzieć, jak to się potoczy. Ja tylko... Myślałem, że Elemak uzna to za fakt dokonany. Że znajdzie sposób, aby reszcie dzieci przypadły ostatnie trzy lata szkolenia. Coś w tym rodzaju. Wasze dzieci miałyby za sobą sześć i pół roku, a jego trzy i pół przed sobą. Ja nie... tyle przemocy, Nafai tak okrutnie związany, a teraz system podtrzymywania życia... powietrze się kończy... przekonaj Nadduszę, by ustąpił i pozwolił połowie z nas wrócić do snu.

A więc o to chodziło. Elemak ze swymi współnikami wykorzystywali Zdoraba. Miał namówić ją, by ocaliła ich przed skutkami ich własnych poczynań.

- Powiedz Elemakowi, że gdy Nafai odzyska wolność i kontrolę nad statkiem, on i jego ludzie będą mogli w dowolnym momencie wrócić do komór. A może powinienam powiedzieć: ty i twoi ludzie?

Ku jej zdziwieniu w oczach Zdoraba błysnęły łzy.

- Ja nie mam swoich ludzi. Może nawet nie mam już żony. Ani dzieci.

A więc Shedemei nie wiedziała. Cóż, nic dziwnego.

- Nie oczekuję od ciebie współczucia - ciągnął, już opanowany. - Chcę tylko, byś zrozumiała, że gdybym wiedział...

- Gdybyś co wiedział? Że Elemak nienawidzi Nafaia? Że pragnie jego śmierci? Jakim cudem umknęła ci ta informacja, skoro wszyscy widzieliśmy Nafaia całego pokrwawionego

po ostatnim spisku Elemaka?

W oczach Zdoraba błysnął gniew.

- Tym razem nie Elemak spiskował!

- Nie, tym razem to Naddusza - przyznała Luet. - I ty. W istocie udało ci się wziąć udział w konspiracji po obu stronach. - Nagle ją olśniło. - Och, ale o to właśnie chodziło, nie?

- Jestem tu odszczepieńcem - tłumaczył. - Shedya i ja nie jesteśmy z nikim spokrewnieni.

- Shedya jest jedną z siostrzenic cioci Rasy.

- To nie więzi krwi, to...

- To coś bliższego.

- Ale nie w moim przypadku. Mój syn, moja córka... oni tak czy owak zostaną wciągnięci w rodzinną waśń między Nafaiem i Elemakiem. Nie jestem taki jak Volemak i jego synowie, nie jestem silny fizycznie, nie jestem... męski według miary, jaką ocenia się mężczyzn. Jak mogę chronić moje dzieci? Sądziłem, że jeśli ułożę sobie dobre stosunki zarówno z Nafaiem, jak i z Elemakiem...

- To niemożliwe. Zwłaszcza teraz, dzięki tobie.

- Zrobiłem to, co uważałem za najlepsze dla moich dzieci. Myliłem się. Teraz żadna strona mi nie ufa, a moje dzieci też za to zapłacą. Myliłem się i nie próbuję ukryć, co zrobiłem ani jak złe to było. Ale nie próbowałem zdradzić ciebie ani Nafaia. Robiłem to, co uważałem za najlepsze dla moich dzieci.

- Niech ci będzie - odparła chłodno. - Ulżyłeś sobie. Wysłuchałam cię, a jeśli kiedykolwiek pozwolą mi odezwać się do kogoś poza moimi dziećmi, na pewno powiem wszystkim, że powodowała tobą jedynie altruistyczna troska o dzieci.

- Mebbekew mówi, że jesteś oziębła.

- A wiemy, jak świetnie Meb zna się na ludziach.

- Ale nie ma racji - dodał. - Nie jesteś oziębła. Ty płoniesz.

- Dziękuję ci za ten przegląd żywiołowych metafor mojego charakteru.

- Tylko pamiętaj, Luet. Wyrządziłem ci krzywdę. Wiem to i jestem twoim dłużnikiem, wielkim i dogonnym. Nie jestem człowiekiem niehonorowym z natury. Postąpiłem tak, jak ludzie tacy jak ja zawsze musieli postępować - w imię elementarnego przetrwania. Teraz mną gardzisz, ale kiedyś nadejdzie chwila, gdy będziesz potrzebowała mojej pomocy. Przyszedłem powiedzieć ci, że gdy ta chwila nadejdzie i gdy ty lub Nafai mnie poprosicie, zrobię wszystko, czego chcecie.

- Dobrze. Powiedz Elemakowi, żeby rozwiązał mojego męża.

- Wszystko, czego chcecie, co jest w mojej mocy. Już prosiłem Elemaka, żeby rozwiązał Nafaia. Kokor i Sevet tego żądały. Twoja najstarsza córka napluła mu w twarz i nazwała eunuchem, który musi więzić lepszych od siebie, by poczuć się prawdziwym facetem.

Luet głośno wciągnęła powietrze.

- Uderzył ją?

- Tak. Ale nic jej nie jest. Wszyscy byli zbulwersowani tym, co zrobił, a odtąd już się do niej nie zbliżył. I o ile to cię pocieszy, myślę, że kiedy pobił Chveyę, własna żona odwróciła się od niego.

Niewątpliwie taki był właśnie zamiar Chveyi.

- Elya zawsze odpowiadał czynami na słowa - zauważyła Luet. - Ucisza mówiącego, ale dowodzi zarazem, że powiedziano prawdę.

- Nawet ty, z tym twoim upartym milczeniem... kobiety wciąż o tym mówią. A Shedya dołączyła do twego bojkotu rozmów. Wszyscy chcą, żeby Elemak zmienił taktykę. Pomyślałem, że chciałabyś to wiedzieć. Ty, Chveya z Oy kibem, wytrwale milczący Nafai - stawiacie dzielny opór, który sprawia, że zwolennicy Elemaka czują się... zawstydzeni.

Luet potaknęła ponuro. Chciała to usłyszeć. Lecz to, że tu przyszedł i jej to powiedział, nie znaczyło, że są przyjaciółmi.

- Przez ostatnie dwa dni byłem świadkiem aktów prawdziwej odwagi - ciągnął. - Sam nigdy jej nie miałem, nie taką, która wychodzi naprzód otwarcie, nawet gdy jest się bezsilnym, i rzuca wyzwanie silniejszemu. Chveya. Oy kib. Moje życie mogłoby ułożyć się inaczej, gdybym choć raz tak postąpił. - Zaśmiał się cierpko. - Pewnie bym już nie żył.

Luet przyszło do głowy, że nie wie prawie nic o Zdorabie, o jego dzieciństwie. Mówił tak, jakby od zawsze żył bez przyjaciół i w strachu. Czemu?

Chcąc nie chcąc, musiała przyznać, że z jego perspektywy sprawy mogły wyglądać inaczej. Ona nie miała wyboru - musiała robić wszystko co w jej mocy, by pomóc Nafaiowi i Nadduszy pokonać Elemaka, bo jeśli nie wygrają, nic jej już nie pozostanie. Zdorab jednak potrafił sobie wyobrazić przyszłość, w której Elemak zwycięży; to nie było niemoralne, że próbował zapewnić sobie i swoim dzieciom miejsce w jego obozie.

Problem w tym, że może skończyć bez miejsca po obu stronach. A do tego sytuacja zmierzała.

Gdy Luet odezwała się ponownie, robiła to nieco cieplejszym tonem:

- To, co powiedziałeś, nie trafiło w próżnię. Jeśli martwisz się o przyszłość, mogę ci powiedzieć z pełnym przekonaniem, że nikt z nas nie będzie się na tobie mścił, a już na

pewno nie na twoich dzieciach. Wciąż mają swoje miejsce przy naszym boku, jeśli to tam chcą być.

- Elemak tym razem przegra - ocenił. - Kwestia tylko, ilu zginie, zanim się podda.

- Mam nadzieję, że nie będzie żadnych ofiar.

- Mogłem tu przyjść z czystej interesowności. Nie masz powodu, by mi ufać. Oszukałem was. Uważaliście mnie za jednego ze swoich, a ja was zdradziłem. Nigdy mi tego nie wybaczycie. Ja na pewno sobie nie wybaczę. Ale możesz liczyć na jedno: jeśli ty lub Nafai kiedykolwiek będziecie mnie znów potrzebowali, będę na wasze rozkazy. Bez względu na wszystko. Nawet jeśli zginę, próbując wam pomóc.

Luet z trudem zdusiła pogardliwą, drwiącą odpowiedź.

- Nie robię tego dla siebie - ciągnął Zdorab. - Ani dla was, tak naprawdę. Ja... tylko tak mogę odzyskać szacunek moich dzieci. Wszyscy dowiedzą się, co zrobiłem, wcześniej czy później. Dlatego nie próbuję zataić tej rozmowy przed twoimi dziećmi, które leżą tam, nie śpiąc, z zamkniętymi oczami. Moje dzieci będą się mnie wstydziły, nawet jeśli nikt im nie będzie dokuczał z tego powodu. Kiedyś odzyskam ich szacunek. To właśnie dla mnie znaczy przetrwanie. Myślałem, że to kwestia pozostania przy życiu, ale się myliłem. I tak nikt nie żyje wiecznie. Chodzi raczej o to, jak cię pamiętają. Jak po śmierci jesteś oceniany przez dzieci. To jest przetrwanie. - Spojrzał jej prosto w oczy. - A ja umiem przetrwać.

Wyszedł.

W ciszy po zamknięciu się drzwi szeptem odezwał się Zhatva:

- Cieszę się, że nie jestem na jego miejscu.

- Nie bądź taki pewien. Nasze miejsce nie jest teraz znowu takie wygodne - odparła Luet z ironią.

- Chciałbym być tak odważny jak Veya.

- Nie, nie, Zhyat, nie myśl tak. Ona była w sytuacji, gdy odwagą mogła coś zdziałać. Ty nie. Jeśli kiedykolwiek nadejdzie czas, gdy będziesz potrzebował odwagi, znajdziesz ją w sobie. Wystarczająco dużo. Ile tylko ci trzeba. - W myślach dodała: Niech ten dzień, gdy będziesz potrzebował odwagi, nigdy nie nadejdzie. Lecz już wtedy, gdy to mówiła, wiedziała, że jednak nadejdzie ten dzień. Zadrżała.

Och, Nafaiu, powiedziała w myślach. Gdybyś tylko mógł mnie usłyszeć, tak jak Naddusza mnie słyszy. Gdybyś tylko wiedział, jak bardzo cię kocham, jak bardzo boli mnie myśl o tym, przez co przechodzisz. I nic nie mogę zrobić, tylko dbać o dzieci. Staram się wierzyć w Nadduszę i mechanizmy ludzkiej natury, że sprawią jakiś cud i cię uwolnią. Gdybyś umarł, jakie czeka mnie życie? Nawet jeśli wszystkie dzieci będą bezpieczne, nawet

jeśli przeżyją i wyrosną na dobrych, silnych, wspaniałych ludzi, to będzie za mało, jeśli stracę ciebie. Naddusza połączyła nas jak pionki w swojej grze, lecz więź między nami jest silna, o wiele mocniejsza niż sznur, którym cię skrępowali. Bez ciebie czuję się tak, jakbym sama była związana, spętana w duchu, niezdolna do ruchu, bez tchu.

Położyła się. Im mniej tlenu będę wdychać, tym więcej nam zostanie, tym więcej zostanie dzieciom. Muszę spać. Muszę zachować spokój.

Nie była jednak spokojna i nawet gdy w końcu odpłynęła w niespokojny sen, serce jej łomotało, oddychała szybko, urywanymi haustami, jakby wróg wyprowadzał szybkie ciosy, a ona ledwie robiła uniki.

W trakcie pierwszego posiłku trzeciego dnia Elemaka nie było w bibliotece. Gdzie się podziewał, nikt nie ośmielił się spytać. Nikomu to też nie przeszkadzało. Gdy go nie było, pozostawała ostrożność; prawdziwy lęk powracał dopiero z nim. Nie dlatego, że ktoś wierzył w życzliwość Meba, Obringa i Vasa - Meb się rozkoszował małymi okrucieństwami, a Obring cieszył się ze statusu jednego z ludzi u władzy. Wszyscy jednak wiedzieli, że obaj zdradziliby Elemaka w mig, gdyby uznali, że to im się opłaci. Vas zaś wydawał się nienawidzić tego, co robił; aczkolwiek był Elemakowi posłuszny, wypełniał polecenia zaradnie i dobrze.

Tego dnia, gdy Elemaka nie było, jego rządowi rzucono pierwsze otwarte wyzwanie. Volemak, spojrzawszy ukradkiem na Rasę, wstał i zwrócił się do grupy:

- Moi przyjaciele i rodzino - zaczął.

- Siadaj i milcz! - warknął Mebbekew.

Volemak wbił w swojego drugiego syna wzrok iście gadziego spokoju i odparł:

- Jeśli chcesz mnie uciszyć, to spróbuj, proszę bardzo. Lecz pod nieobecność siły fizycznej powiem, co myślę.

Meb zrobił krok w stronę ojca. Natychmiast, mimo braku zachęty, podnieśli się Yasai, najmłodszy syn Volemaka, Zaxodh, najstarszy syn Issiba, i Zhatva, najstarszy syn Nafaia. Choć nie znajdowali się w pobliżu Volemaka, groźba była jasna.

Meb zaśmiał się szyderczo.

- Myślicie, że boję się waszych dzieci?

- Radziłabym ci uważać - odezwała się Rasa. - Oni żyją w niedociążeniu od sześciu lat, a ty wciąż trzymasz się niepewnie na nogach.

- Podejdź, Obringu - odparł Meb.

Obring postąpił w stronę Volemaka. Teraz wstał drugi syn Nafaia, Motiga. I Padarok, syn Zdoraba. I Zdorab.

- Vas - rzekł Meb - możesz udawać, że cię to nie obchodzi, ale to mi wygląda na bunt.

Vas skinął głową.

- Obring, idź po Elemaka.

- Sami sobie poradzimy! - warknął Meb.

- Widzę. Już świetnie sobie radzimy.

Obring wyszedł z biblioteki.

- Ten spór jest nie na miejscu - podjął Volemak. - Naddusza mnie wezwał na pustynię i ja przez cały czas przewodziłem tej wyprawie. Tak, codzienne sprawy powierzałem Elemakowi, ale tymczasowo, w uznaniu dla jego umiejętności i doświadczenia. W analogiczny sposób dowództwo nad statkiem na czas tej podróży powierzyłem Nafaiowi, bo jemu Naddusza przekazał powłokę gwieźdnego sternika. Nie zmienia to faktu, że jestem jedynym prawowitym przywódcą tej grupy, a gdy dotrzemy na Ziemię, nie powierzę władzy nikomu innemu. Ani Elemak, ani Nafai nie będą rządzić, dopóki żyję.

- Czyli jak długo, staruszk? - zadrwił Meb.

- Dłużej niżbyś chciał, ty padalcu - odpowiedział łagodnie Volemak. - Wyraźnie widać, że Elemak sobie nie radzi. Dzięki groźbie użycia siły i współpracy trzech bezwolnych brutalni - spojrzął Vasowi w oczy - i dlatego, że Nafai poddał się niewoli, by ocalić życie swoich małych dzieci, Elemak wydaje się zwycięzcą. Wszyscy mamy jednak świadomość, że będzie musiał poddać się realiom - statek nie zdoła utrzymać nas wszystkich w stanie świadomości, a Naddusza nie pozwoli mu wprowadzić nikogo w letarg, dopóki Nafai pozostaje związany. Proszę was więc teraz o solenną przysięgę, was wszystkich, że podporządkujecie się mojej władzy i niczyjej innej, gdy ten kryzys przeminie. Póki żyję, nie będzie wybierania między Nafaiem a Elemakiem, lecz jedynie posłuszeństwo wobec mnie, zgodnie z waszym uroczystym przyrzeczeniem. Złóżcie tę przysięgę. Każdy, kto przyrzeka podporządkować się mojej władzy po tym kryzysie, niech wstanie i powie „tak”.

Z miejsca wszyscy mężczyźni, którzy stali, oprócz Vasa i Mebbekewa, chórem wyrazili swą zgodę. Rasa, Hushidh, Luet i Shedemei również od razu wstały, a z nimi młode kobiety, które uczęszczały do szkoły podróźnej; ich wysokie głosy zawtórowały niskim tembrom mężczyzn. Issib podniósł się powoli i powiedział „tak”.

- Zakładam - ciągnął Volemak - że gdyby Oy kib i Chveya nie byli przetrzymywani w odosobnieniu, także przyłączyliby się do tej przysięgi, a więc ich również zaliczam do grona prawowitych obywateli mojej społeczności. Gdy Nafai odzyska wolność, jego również poproszę o złożenie tej przysięgi. Czy ktoś wątpi, że się na to zgodzi? I że dotrzyma raz danego słowa?

Nikt się nie odezwał.

- Pamiętajcie tylko, że proszę was o uznanie mojej władzy dopiero po zakończeniu obecnego kryzysu. Nie proszę, byście się narażali, już teraz stawiając opór Elemakowi. Jeśli jednak nie złożycie przysięgi już teraz, nie będziecie obywatelami kolonii, którą założę na Ziemi. Możecie, rzecz jasna, ubiegać się o przyjęcie do niej w późniejszym terminie, a wtedy poddam to pod głosowanie obywateli. Jeśli jednak już teraz złożycie przysięgę, będziecie obywatelami od samego początku.

Ku zaskoczeniu wszystkich odezwał się Vas:

- Składam przysięgę. Gdy ten kryzys minie, twoja władza będzie jedyną, jaką uznam, dopóki będziesz żył. I zrobię wszystko co w mojej mocy, byś żył jak najdłużej.

Usłyszawszy to, żona Vasa, Sevet, podniosła się razem ze swym trojgiem małych dzieci i powiedziała:

- Składam przysięgę.

A jej dzieci powtórzyły to za nią.

Ci, którzy nie wstali, wyraźnie czuli się zakłopotani, będąc w mniejszości.

- Elemak nie będzie z ciebie zadowolony - rzekł Meb do Vasa.

- Ostatnio Elemak nie jest zadowolony z niczego - odciął się Vas. - Ja chcę tylko spokoju i sprawiedliwości.

- Mój ojciec też brał udział w tej intrydze Nafaia, wiesz? - przypomniał Meb. - Raczej nie jest bezstronny.

- Wiem, że niektórzy z was są niezadowoleni z powodu dzieci, których nie położono spać, by szkolić je w czasie podróży - podjął Volemak. - Niestety, Elemak nigdy nie pozwolił nam tego wyjaśnić. Ci, których dzieci uczestniczyły w tym szkoleniu, zgodzili się na to za namową Nadduszy. Nafai bardzo się temu opierał. Naciskaliśmy na niego, póki się nie ugiął. Te dzieci wybrał Naddusza, a one i my dobrowolnie się temu poddaliśmy. Rezultat nie jest znowu taki nieszczęsny. Zamiast mieć garstkę dorosłych i wiele bezproduktywnych dzieci, podzieliliśmy młodsze pokolenie, tak że w przyszłości będziemy mieli stałą populację młodych dorosłych. Wszelkie minusy, jakie dostrzegacie w tej chwili, znikną, gdy uświadomicie sobie, że was czeka więcej lat życia na Ziemi niż tych, którzy nie poszli spać w czasie podróży.

Lal podniosła się, sprawiając, że to samo zrobiły jej dzieci.

- Siadaj, suko! - ryknął Meb.

- Moje dzieci i ja będziemy obywatelami twojej kolonii - stwierdziła. - Składamy przysięgę.

Mebekew ruszył w jej stronę, ale zastąpił mu drogę Vas.

- Nie czas teraz na przemoc - uspokajał. - Ona jest wolnym obywatelem i ma prawo wyrazić swoje zdanie.

Mebbekew stracił rękę Vasa ze swojej piersi.

- To wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia, gdy wróci Elemak! - zagrzemiał.

Tuż przy nim powstała Eiadh. Jej pierworodny, Protchnu, natychmiast pociągnął ją za rękaw, chcąc usadzić z powrotem.

- Po tym kryzysie poddam się twojej władzy, Volemak - powiedziała.

Protchnu odwrócił się do reszty dzieci i zakrzyknął:

- Nie ważcie się przysięgać!

Dzieci wyraźnie bały się jego gniewu.

- Widzę, że młodsze dzieci są zastraszane, by nie złożyć przysięgi - stwierdził Volemak. - Dostaną więc szansę później, by zrobić to dobrowolnie.

- Nigdy jej nie złożą! - wrzasnął Protchnu. - Czy tylko ja jeden jestem tutaj lojalny wobec mego ojca?! To on powinien nam przewodzić!

Kokor wstała razem z dziećmi.

- My też będziemy obywatelami - rzekła. - Po zakończeniu kryzysu.

- Będziecie, jeśli złożycie przysięgę - odparł Volemak.

- Tak, to miałam na myśli, oczywiście - poprawiła się. - Składam przysięgę.

Jej dzieci potaknęły lub mruknęły na znak zgody.

Od strony drzwi odezwał się spokojny głos Elemaka:

- No i pięknie. Wszyscy dokonali wyboru. A teraz siadać!

Kokor natychmiast opadła na miejsce, ponaglaając dzieci, by zrobiły to samo. Inni również siadali, oprócz Volemaka, Rasy i Eiadh, która odwróciła się do męża.

- To koniec, Elya - powiedziała. - Tylko ty nie wiesz jeszcze, że nie masz szans wygrać.

- Wiem tyle, że nie pozwolę, by Nafai rządził mną ani nikim innym - odciął się.

- Nawet jeśli twoje dzieci miałyby się przez to udusić?

- Jeśli ten najdroższy komputer Nafaia postanowi zabić najsłabszych z nas, nie mogę go powstrzymać. Ale nie przeze mnie zginą.

- Innymi słowy, nic cię to nie obchodzi - zauważyła. - Dla mnie jest to ostateczny dowód, że nie nadajesz się na przywódcę tej kolonii. Bardziej zależy ci na własnej dumie niż na przetrwaniu naszych maluchów.

- Dość, kobieto!

- Nie, to ty zrobiłaś już dość. Dopóki nie skończysz z tą dziecinną demonstracją

męskości, nie jesteś moim mężem.

- Och, nie odnowisz ze mną kontraktu, tak? - odparł Elemak ze złośliwym uśmiechem.

- I co ty o tym myślisz, Proya?

Protchnu podszedł do ojca.

- Myślę, że nie mam matki.

- To się dobrze składa - stwierdził Elemak - skoro nie mam ojca i żony. A czy nie mam też przyjaciela?

- Ja jestem twoim przyjacielem - odezwał się Obring.

- Jestem z tobą - zawtórował mu Meb. - Ale Vas złożył przysięgę.

- Vas obieca zrobić wszystko, o co go tylko poproszą - zauważył Elemak. - Lecz jego słowo zawsze było nic niewarte. Wszyscy to wiedzą.

- Popatrz na swoich przyjaciół, biedaczyno - rzekła Sevet ze śmiechem. - Jeden naiwny ośmiolatek. A dalej kto? Meb! Obring! Obaj byli do niczego w Basilice.

- Co innego śpiewałaś, gdy zapraszałaś mnie do swego łóżka! - odparł jej Obring.

- Wtedy w ogóle nie chodziło o ciebie - stwierdziła z pogardą. - To była sprawa między mną a moją siostrą, a wierz mi, srogo zapłaciłam za ten błąd. Vas wie, że od tej pory byłam mu wierna, tak w sercu, jak i w czynach.

Dzieci na tyle duże, by zrozumieć wyjawiane tu skandale rodzinne, dostały właśnie nowy temat do rozmów na później. Obring i Sevet mieli romans? I jak Sevet za to zapłaciła? I co miała na myśli, mówiąc, że to była sprawa między nią a Kokor?

- Starczy - przerwał im Elemak. - Staruszek odstawił już swoją szopkę, ale nie miał odwagi prosić was, byście teraz wystąpili przeciw mnie. Tylko w jakieś wyimaginowanej przyszłości będzie wami rządził. On wie, jak i wy wszyscy, że teraz rządzą ja. I wierzcie mi, nigdy nie zobaczycie przyszłości, gdy będzie inaczej. - Odwrócił się do Obringa. - Zostańcie tu i zatrzymajcie wszystkich w bibliotece.

Obring uśmiechnął się szeroko do Vasa.

- Chyba nie będziesz mi już więcej rozkazywał.

- Vas wciąż jest strażnikiem - stwierdził Elemak. - Nie ufam mu, ale robi to, co mu każą. A odtąd będzie robił to, co ty mu każesz, Obringu. Mam rację, Vas?

- Tak - przyznał Vas cicho. - Zrobię, co mi każą. Ale też dotrzymam wszystkich obietnic.

- Tak, tak, człowiek honoru i takie tam - zadrwił Elemak. - Dobra, Meb, zabierzmy ojca i jego żonę do Nafaia. A skoro już przy tym jesteśmy, zabierzmy też kobietę, która twierdzi, że nie jest już moją żoną.

- Co chcesz zrobić? - zapytała Rasa z pogardą. - Zwiążesz nas tak jak Nafaia?
- Skądże znowu. Mam szacunek dla starych ludzi. Ale za każdą osobę, która złożyła tę twoją żalosną przysięgę, ojciec, Nafai dostanie baty. A wy będziecie patrzeć.

Volemak spiorunował go wzrokiem.

- Żałuję, że zanim cię spłodziłem, nie zostałem wykastrowany albo zabity.
- Cóż za smutna myśl - odciął się Elemak. - Wtedy nigdy nie spłodziłbyś swego najdroższego synka Nafaia. Choć jak się nad tym zastanowić, to mam wątpliwości, czy w jego poczęciu w ogóle brało udział męskie nasienie. On zupełnie wdał się w matkę, ta mała córusia mamuni.

Chwilę później Elemak i Mebbekew pchnęli Volemaka i Eiadh w dół drabinki i przez korytarz do magazynu, gdzie więziono Nafaia. Rasa bezradnie szła za nimi.

*

Nafai właściwie nie spał przez kilka ostatnich dni. A nawet jeśli spał, to czuł się jak na jawie, tak żywe miał sny. Czasem widział w nich swoje najgorsze obawy - bliźniaki z trudem łapiące powietrze, w końcu przestają oddychać... ich otwarte oczy, rozdziawione buzie... próbował we śnie zamknąć ich oczy i usta, lecz wciąż się otwierały, jak tylko odsuwał rękę.

Czasem jednak śnił o innych czasach, lepszych czasach. Jak wstawał rano w domu ojca, wbiegał pod prysznic i odkręcał zimną wodę. Wtedy tego nie znosił, lecz teraz wspominał to z rozrzewnieniem. Ten czas niewinności, gdy najgorsze, co mogło ci się przytrafić, to lodowata woda na twojej głowie i plecach, a najgorsze, co mogłeś zrobić komuś innemu, to dogadywać mu, aż się zezłości na tyle, że przestanie się śmiać i przejdzie do rękoczynów. Tyle że teraz w ogóle się nie śmiali, w ogóle sobie nie wybacжали, a zimna woda byłaby przyjemnością, gdyby te czasy jeszcze kiedyś wróciły. Skąd mogłem wtedy wiedzieć, zastanawiał się, że irytacja Elemaka przerodzi się w taką nienawiść? Że nadejdą dla nas takie złe dni? Złośliwie mu docinałem, bo chciałem zwrócić jego uwagę, to wszystko. Był jak bóg, taki silny, a ojciec tak bardzo go kochał. Chciałem jedynie, by mnie zauważył, by powiedział mi, że mnie lubi, że sądzi, iż pewnego dnia mógłbym wybrać się z nim w karawanie do jakiejś dalekiej krainy i wrócić do domu z egzotycznymi roślinami, które ojciec by sprzedał. Chciałem jedynie, żeby mnie szanował, żeby objął mnie ramieniem i powiedział: „To jest mój brat, patrzcie na mego brata, mogę na niego liczyć, on jest moją prawą ręką”.

Kto inny mógł być twoim bratem, Elemaku? Meb? Jego wybrałeś? Czy jestem ci tak wstrętny, że wolałeś jego niż mnie?

Wybrał Meba, bo może nim rządzić, odezwał się Naddusza. Ciebie nienawidził, bo jesteś od niego silniejszy.

Tak, z powłoką gwiazdnego sternika jestem silniejszy.

Wiesz, że możesz go powalić w każdej chwili.

Nie, nie mogę. Powłoka może. Ty możesz. Ale nie ja. Ja jestem związany tutaj i bolą mnie nadgarstki i kostki.

Sam zdecydowałeś się ich nie leczyć. Wiesz, że powłoka może to zrobić w mig.

On chce, żebym cierpiał. Jeśli zobaczy moje rany od więzów, może to go zadowoli.

Zadowoli go tylko twoja śmierć.

Niech i tak będzie.

Nie pozwolę ci umrzeć. Jak tylko stracisz przytomność, kontrola nad powłoką wróci do mnie, a ja cię ulecę.

Zostaw mnie w spokoju, kiedy śpię. Nie chcę teraz żadnych snów od ciebie, a już na pewno żadnych twoich machinacji.

Lubisz ból?

Nienawidzę bólu, który czuję, bo mój brat mnie nienawidzi. W dodatku tym razem na to zasłużyłem.

Nigdy nie zasługujesz na cierpienie za to, że mi pomagasz.

Och, a ja myślałem, że to ty mi pomagasz, każąc nam nie kłaść tych dzieci spać.

Pomagałem ci, żebyś mógł pomóc mnie. Nie udawaj głupiego i nie przekomarzaj się ze mną jak dziecko.

Naprawdę do mnie mówisz? Czy to też mi się śni?

Tak. I tak.

Więc jeśli to sen, czemu nie mogę się obudzić?

Gdy tylko powiedział to w myślach, obudził się. A raczej śniło mu się, że się obudził, wiedział bowiem od razu, że wciąż śpi, może jeszcze głębiej. A w tym śnie, myśląc, że się obudził, poczuł, że więzy topnieją, i podniósł się na nogi. Drzwi otworzyły się pod jego dotykiem. Szedł przez korytarze, tu i ówdzie widząc leżących ludzi, ciężko dyszących z otwartymi ustami, a żaden nie zwracał na niego uwagi, jakby był niewidzialny. Ach, teraz rozumiem, pomyślał. Jestem martwy i mój duch przemierza te korytarze. Wtem jednak w swoim śnie uświadomił sobie, że bolą go nadgarstki i kostki i ma problemy z utrzymaniem równowagi, więc jednak nie jest martwy.

Dotarł do drabinki i wspiął się na górę, na najwyższy poziom statku, gdzie wytwarzano pole osłonowe. Lecz drabinka tam się nie kończyła. Biegła w górę, a następny otwór nie wychodził na gładką plastikową podłogę statku, lecz na kamienną posadzkę. Postawił na niej stopy i odczuł wielki ciężar swojego ciała, kroczyć boleśnie, bo grawitacja

wróciła do normy. Było ciemno. Jaskinia. Tu i tam słyszał kroki, ale się nie zbliżały ani nie oddalały. Jedynie tupot, kilka jego kroków, a potem kolejny tupot. To nic, pomyślał. Chodźcie za mną, nie boję się was, wiem, że tam jesteście, ale wiem też, że nie zrobicie mi krzywdy.

Doszedł do korytarza i ujrzał światło palące się w jednej z niewielkich bocznych komór. Wkroczył do niej i ujrzał wiele figur pięknie wyrzeźbionych z gliny, ustawionych na każdej półce skalnej i na całej podłodze. Gdy jednak przyjrzał się bliżej, zauważył, że posągi są tu i ówdzie wygładzone, różne detale zostały pozacierane. Któż mógł zniszczyć tak wspaniałe dzieła? Zniszczyć, a jednak ukrywać je tu jak skarb?

Wtedy dostrzegł rzeźbę wysoko w górze, z tyłu i daleko od światła, rzeźbę większą niż inne, niezniszczoną. W odróżnieniu od reszty głów, przedstawiających albo zwierzęta, albo jakieś potwory, była to głowa człowieka. Znał tę twarz. Widział ją w każdym lustrze, odkąd został mężczyzną.

Teraz kroki zbliżyły się, wolno, z szacunkiem. Poczuł dotyk małej ręki na udzie. Nie spojrzał; nie musiał. Wiedział kto to.

Tyle że wiedział to tylko we śnie. W rzeczywistości nie miał pojęcia, kto to może być, i próbował zmusić śnionego siebie, by się odwrócił, by spojrzał w dół, zobaczył, kto dotyka jego nogi. Nie mógł jednak się schylić. Tak naprawdę był wygięty w tył, a jego szyję z obu stron oplatał sznur, i słyszał kroki, teraz już głośnie, a nie szybkie i drobne. Rozbłysło oślepiające światło.

Zamrugał i otworzył oczy. Teraz już obudzony, a nie jedynie śniący, że się obudził.

- Czas na mój spacer? - zapytał.

Szybki świszczący dźwięk, a potem ostry ból w ramieniu. Wbrew woli krzyknął.

- To jeden - usłyszał głos Elemaka. - Powiedz mi, Raso, ilu naliczyłaś? Ilu złożyło przysięgę?

- Sam załatwiam swoje brudne sprawy - odparła matka.

- A może to były setki, co?

I znów świst. I znów rozdzierający ból, tym razem w żebrach na plecach. Jedno z nich złamało się; czuł, że kość dźga go, gdy oddychał. A jednak nie mógł przestać oddychać, musiał ciężko sapać, bo już nie dostawał dość tlenu, nie mógł wciągnąć powietrza na tyle głęboko, by nie zemdleć.

Ulecz się, nakazał Naddusza.

- Nie odliczam tych od całości, dopóki nie powiesz mi, ile to może być - stwierdził Elemak.

- Sam sobie policz - odrzekła Rasa. - To byli wszyscy oprócz Protchnu, Obringa i Mebbekewa. Wszyscy, Elemaku. Pomyśl o tym.

- On siebie nie leczy - zauważyła Luet.

Nafai usłyszał jej głos i wezbrał w nim gniew. Czy Elemak myślał, że Luet jest taka słaba, że złamie w niej ducha, pokazując, jak jej mąż cierpi? Co próbował osiągnąć? Musiał przekonać Nadduszę - albo poddać się mu. Coś jednak się stało. Jaka przysięga?

- Zauważyłem to - przyznał Elemak. - Jego nadgarstki ani kostki się nie goją. Sam już nie wiem, czy to dlatego, że powłoka teraz nie działa, czy on celowo się nie leczy, bo chce wzbudzić we mnie litość, żebym poluzował więzy, a wtedy jakoś się uwolni i mnie zabije.

Świst. Kolejne uderzenie, tym razem w kark. Nafai jęknął z bólu: przez kilka chwil był drętwy od szyi w dół i pomyślał: „Złamał mi kręgosłup”.

Ogłuszający cios, i tyle. Trochę uszkodzonych nerwów, odezwał się Naddusza.

Czemu po prostu mnie nie zabije?

Dlatego, że wciąż mam na niego jakiś wpływ. Wystarczający, by go zdekoncentrować, gdy jego myśli zwracają się ku temu, żeby cię dobić.

To przestań. Pozwól mu mnie zabić. Wtedy odniesie zwycięstwo i zapanuje pokój, a wszystkim będzie żyło się lepiej.

Elemak tego nie wie, ale jeśli cię zabije, już nigdy nie będzie mógł cię pokonać.

A co, śmierć to nie pokonanie?

On chce, żeby ojciec powiedział: „Ty, Elemaku. Ciebie wybieram”. A jeśli umrzesz, Nafaiu, Volemak nigdy nie będzie mógł wybrać jego zamiast ciebie.

W takim razie, jeśli masz trochę przyzwoitości, każ Volemakowi wypowiedzieć te magiczne słowa i niech to wszystko się skończy.

W tym sęk, Nafaiu. Elemak nie uwierzy, nawet jeśli ojciec to powie. Bo wie, że to nieprawda. On wie, że nie jest takim dobrym ani przyzwoitym, ani pocziwym, ani silnym człowiekiem jak ty, więc nawet gdyby jego ojciec powiedział: „Elemaku, wybieram ciebie”, będzie to kłamstwo, bo wie, że Volemak nie jest takim głupcem, by cenić go wyżej od ciebie.

Jestem zbyt zmęczony, by znaleźć w tym sens. Odejdź i daj mi umrzeć.

Spowodował bardzo poważne obrażenia tym ostatnim ciosem.

Tym w szyję?

To było trzy ciosy temu. Teraz krwawisz wewnętrznie.

O tak. Czuję to.

Ulecę cię.

Nie.

Zanim utrata krwi spowoduje obrażenia wewnętrzne.

Nie lecz mnie, dopóki nie wyjdzie z pokoju. Daj mi choć tyle godności.

Godności? Chcesz umrzeć za godność?

To sprawa między nim a mną. Nie chcę, by zobaczył, że się w to mieszasz, że mi teraz pomagasz.

Twoja дума jest niewiarygodna. To sprawa między nim a tobą?

O nie, to sprawa między nim a mną, i zawsze tak było. Tak jak było to między Moozhem a mną. Tak jak między tobą a mną. I między Luet a mną. A gdy dotrzemy na Ziemię, to będzie sprawa między wami wszystkimi a Opiekunem Ziemi.

Och! Naprawdę boli.

Leczę cię, to dlatego.

Powiedziałem: nie.

Trudno się mówi.

- Patrzcie - zauważył Elemak. - Jego noga się prostuje. Chyba dowiedzieliśmy się, ile bólu może znieść, zanim poprosi swego niewidzialnego przyjaciela, żeby ocalił mu tyłek.

- Patrzę - odparł Volemak chłodno. - I widzę tchórza okładającego skrepowanego człowieka metalowym prętem.

Głos Elemaka przerodził się w krzyk:

- Ja jestem tchórzem?! To nie ja mam powłokę! To nie ja mogę magicznie się uleczyć, jak tylko skaleczę się w palec! To nie ja mam moc strzelania w ludzi prądem, kiedy tylko chcę zmusić ich do posłuchu!

- Tchórza albo brutala nie czyni z ciebie moc, którą posiadasz - stwierdził Volemak - lecz to, jak jej używasz. Myślisz, że skoro powłoka jest związana sznurem, nie ma takiej mocy jak zawsze? Choć tak źle traktujesz Nafaia, choć tak źle traktujesz nas wszystkich, on wciąż woli cię nie zabijać.

- Zrób to, Nyef - odparł Elemak łagodnie. - Jeśli masz moc, żeby mnie zabić, zrób to. Przecież już kiedyś zabiłeś. Nieprzytomnego pijaka leżącego na ulicy, jeśli dobrze pamiętam. Mojego starszego przyrodniego brata, jeśli dobrze pamiętam. To twoja specjalność, zabijanie ludzi, którzy nie mogą się bronić. Lecz ojciec myśli, że ja jestem brutalem. Czy to naprawdę brutalność łamać kości komuś, kto może się w mig uleczyć? Zobacz, mogę roztrzaskać ci czaszkę i...

Rozległ się wściekły wrzask kobiety i odgłos szamotaniny. Potem łomot ciała; kolejny wrzask. Nafai próbował otworzyć oczy.

- Luet - wyszeptał.

- Luet nie może siebie uleczyć, prawda? - rzekł Elemak. - Powinna o tym pamiętać, zanim spróbuje ze mną walczyć.

- Zużywasz tylko powietrze, którego twoje dzieci potrzebują do oddychania - odezwał się Nafai.

- W każdej chwili możesz to zakończyć, Nyef - odparł Elemak. - Wystarczy, że umrzesz.

- A potem co? - zapytał Volemak. - Zacziesz jedynie nienawidzić następnego najlepszego człowieka w kolejności - i z tego samego powodu. Bo jest lepszy od ciebie. A gdy i jego zabijesz, znajdziesz kolejnego lepszego od siebie. I tak będzie już zawsze, Elemaku, bo każdy akt okrucieństwa czyni cię coraz mniejszym i mniejszym, w końcu będziesz musiał zabić każdego człowieka i każde zwierzę, a na siebie będziesz patrzył z taką odrazą, że nie będziesz mógł tego znieść...

Pręt grzmotnął Nafaia prosto w twarz. Cios wgniótł wszystkie kości z przodu czaszki, a potem wszystko pociemniało.

Chwilę później... a może całe godziny i dni później Nafai odzyskał przytomność. Jego twarz była cała. Zastanawiał się, czy jest sam. Zastanawiał się, co stało się z ojcem i matką. Z Luet. Z Elemakiem.

Ktoś był w pokoju. Ktoś oddychał.

- Już ci lepiej. - Szept. Trudny do rozpoznania. Nie, nietrudny. Elemak. - Naddusza znów wygrywa.

Potem światła znów zgasły, drzwi się zamknęły, Nafai został sam.

*

Eiadh cicho śpiewała maluchom, Yisti, Menyi i Zhivyi, kiedy przyszedł do niej Protchnu. Słyszała, jak wchodzi do pokoju, jak drzwi rozsuwają się i zasuwiają za nim. Nie przestała śpiewać.

Gdy światło powróci raz jeszcze

Czy będę pamiętać, jak widzieć?

Czy poznam twarz mojej matki?

Czy ona mnie pozna?

Gdy światło powróci raz jeszcze

Niczego nie będę się lękać;

Zamykam więc oczy i śnię o dniu

W tym mroku tutaj.

- Śpiew to marnotrawstwo tlenu - stwierdził Protchnu półgłosem.

- Tak jak i płacz - odpowiedziała cicho. - Troje dzieci nie płacze teraz, bo jedna osoba śpiewa. Jeśli przyszedłeś, żeby mnie uciszyć, to odejdz. Zgłoś moją zbrodnię ojcu. Może rozzłości się na tyle, że mnie pobije. Może pozwoli ci pomóc.

Wciąż nie odwróciła się do niego. Słyszała, że jego oddech stał się cięższy. Szarpany, być może. Była jednak zaskoczona, że gdy znów się odezwał, głos miał wysoki z ledwie tłumionego szlochu:

- To nie moja wina, że zwróciłaś się przeciw ojcu.

Tak bardzo zabolęło ją to, że wyrzekł się jej wtedy w bibliotece, iż w ogóle się do niego nie odzywała i unikała myślenia o nim. Protchnu, jej pierworodny, mówiący takie okropne słowa własnej matce. Wydawał się wtedy tak okrutny, tak bardzo podobny do Elemaka, że odnosiła wrażenie, jakby go nie znała. Lecz miał tylko osiem lat. Źle się stało, że został tak rozdarty pomiędzy skłóconymi rodzicami.

- Nie zwróciłam się przeciw twojemu ojcu - wyjaśniła. - Tylko przeciw temu, co robi.

- Nafai nas oszukał.

- Naddusza nas oszukała. I rodzice tamtych dzieci. Nie tylko Nafai.

Protchnu zamilkł. Może trafiła mu do przekonania? Lecz nie, po głowie chodziło mu coś zupełnie innego.

- Kochasz go? - spytał.

- Tak, kocham twojego ojca. Ale gdy pozwala gniewowi zapanować nad sobą, staje się okrutny. A ja tego nie pochwalam.

- Nie chodziło mi o ojca.

Było jasne, że spodziewał się, iż ona już będzie wiedziała, o kogo chodzi. Najwyraźniej skądś mu przyszło do głowy, że ona kocha kogoś innego.

I, rzecz jasna, miał rację. Była to jednak miłość beznadziejna, z którą nigdy i przed nikim się nie zdradzała.

- A o kogo?

- O niego.

- Powiedz imię, Proya. Imiona nie są magiczne. Nie otrujesz się, jeśli je wypowiesz.

- Nafai.

- Wujek Nafai - poprawiła go. - Miej szacunek dla starszych.

- Kochasz go.

- Chciałabym wierzyć, że kocham wszystkich moich szwagrów, a ty kochasz wszystkich swoich wujków. Byłoby miło, gdyby twój ojciec kochał wszystkich swoich braci. Ale może ty widzisz to inaczej. Spójrz na śpiącego Menyę. Jest twoim młodszym bratem, a Nafai jest młodszym bratem twojego ojca. Powiedz mi, Proya, czy zamierzasz któregoś dnia związać małego Menyę i metalowym prętem porachować mu kości?

Protchnu rozplakał się nie na żarty. Ustupując, Eiadh wyciągnęła do niego ręce, objęła go i zmusiła, by usiadł koło niej na łóżku.

- Nigdy nie skrzywdzę Menyi - wychlipał. - Zawsze będę go bronił i nie pozwolę, żeby coś mu się stało.

- Wiem, Proya. Ich pokrewieństwo jest nieco inne niż między twoim ojcem a Nafaiem. Ich dzieli dużo większa różnica wieku. Nie mają tej samej matki. A Elemak miał kiedyś brata, który był nawet starszy.

Protchnu zrobił wielkie oczy.

- Myślałem, że ojciec był najstarszy.

- On jest najstarszym synem twojego dziadka, Volemaka, który nosił tytuł Wetchika w krainie Basilika. Ale matka Elemaka miała innych synów, zanim poślubiła Volemaka. A najstarszy z nich nazywał się Gaballufix.

- Czy ojciec nienawidzi wujka Nafaia, bo zabił Gaballufixa?

- Nienawidzili się nawzajem już wcześniej. A Gaballufix próbował zabić Nafaia i twojego ojca, i Issiba, i Meba.

- Czemu miałby chcieć zabić Issiba?

Eiadh zauważyła z rozbawieniem, że Protchnu nie zastanawiał się, czemu ktoś miałby chcieć zabić jego wujka Meba.

- Chciał rządzić Basiliką, a synowie Wetchika stali mu na drodze. Twój dziadek był bardzo bogaty i wpływowy w Basilice.

- Co znaczy „bogaty”?

Cóż ci uczyniłam, moje biedne dziecko, że nawet nie wiesz, co znaczy to słowo? Wszelkie bogactwo i piękno zniknęły z życia, a ponieważ nigdy nie zaznałeś niczego prócz biedy, nawet słowa opisujące wygodne życie straciły dla ciebie znaczenie.

- To znaczy, że masz więcej pieniędzy niż... - Rzecz jasna, nie znał też słowa „pieniądze”. - To znaczy, że masz piękniejszy dom niż inni ludzie. Większy dom i piękne ubranie, wiele różnych strojów. I chodzisz do lepszych szkół, z mądrzejszymi nauczycielami, i masz lepsze jedzenie, i masz go więcej. Masz wszystko, czego chcesz, i więcej.

- Ale wtedy powinieneś się dzielić z innymi - stwierdził Protchnu. - Mówiłaś mi, że

jeśli ma się więcej, niż się potrzebuje, należy się dzielić.

- I dzielisz się. Ale... nie zrozumiesz, Proya. To życie straciliśmy na zawsze. Nigdy tego nie zrozumiesz.

Na kilka chwil zapadła cisza.

- Matko... Nie nienawidzisz mnie, bo wybrałem ojca? Wtedy w bibliotece?

- Każda matka wie, że nadejdzie taki dzień, gdy jej synowie wybiorą swojego ojca. Na tym polega dorastanie. Zupełnie się nie spodziewałam, że dojdzie do tego, gdy będziesz taki młody, ale to nie twoja wina.

Cisza. Potem Protchnu odezwał się naprawdę cicho:

- Ale ja wcale go nie wybieram.

- Nie, Protchnu, nie sądziłam, że kiedykolwiek spodobają ci się jego akty okrucieństwa. Nie jesteś takim chłopcem. - W istocie jednak Eiadh tego się obawiała. Widziała, jak Proya na Harmonii się bawił, jak terroryzował resztę chłopców, doprowadzając niektórych do płaczu bezlitosnymi żartami, a potem śmiejąc się z nich. Przerażało ją, że syn jest taki niemiły dla mniejszych i słabszych od siebie. A mimo to była dumna z tego, jak im przewodził, jak oni go podziwiali, jak nawet Oy kib cioci Rasy ustępował mu pola i pozwalał wieść prym wśród chłopców.

Czy w ogóle może istnieć jedno bez drugiego? Przywództwo bez nieczułości? Duma bez okrucieństwa?

- To oczywiste, że wybierasz ojca - ciągnęła Eiadh. - Człowieka, którego kochasz, bo naprawdę jest dobry, odważny, silny. To jego wybrałeś tamtego dnia.

Czuła, że Protchnu poruszył się w jej objęciach, gdy zbierał się w sobie, by powiedzieć najtrudniejsze:

- On jest nieszczęśliwy bez ciebie - rzekł.

- Czy przysłał cię tu, żebyś mi to powiedział?

- Sam siebie przysłałem.

A może to Naddusza ciebie przysłała? Czy Luet nie mówiła, że Naddusza wybrała ich wszystkich? Że każdy z nich jest wyjątkowo podatny na jej sugestie? A skoro tak, to czemu jedno z moich dzieci nie miałoby podobnych talentów jak ten, który objawił się u Chveyi?

- Skoro twój ojciec jest nieszczęśliwy beze mnie, niech uwolni Nafaia, przywróci pokój na statku, a wtedy już nie będzie musiał cierpieć beze mnie.

- Nie może przestać. Nie bez twojej pomocy.

On ma tylko osiem lat? I tak wiele rozumie? Może ten kryzys obudził w nim jakąś ukrytą moc empatii. Naddusza wie, że mnie w jego wieku zupełnie brakło zrozumienia i

współczucia dla kogokolwiek. Byłam moralną próżnią, zainteresowaną tylko tym, kto był najpiękniejszy, kto śpiewał najlepiej, kto kiedyś stanie się sławny, a kto jest bogaty. Gdybym tylko wcześniej wyrosła z tej dziecinności, może bym dostrzegła, który z braci jest lepszym człowiekiem, jeszcze zanim poślubiłam Elemaka, wtedy gdy nastoletni Nafai był mną zauroczony. Popełniłam straszny błąd. Myślałam o Elemaku - dziedzicu Wetchika, najstarszym synu jednego z najbogatszych i najbardziej szanowanych ludzi w Basilice. A kim był Nafai?

Ach, gdybym była naprawdę mądra, nie poślubiłabym żadnego z nich i pozostałabym w Basilice. Choć jeśli Volemak ma rację, Basilika już nie istnieje, obrócona w gruzy, a garstka ocalałych rozpierzchła się na wszystkie strony świata.

- Jakiej pomocy potrzebuje twój ojciec?

- Potrzebuje czegoś, co pozwoli mu zmienić zdanie bez przyznawania się do błędu.

- Jak każdy - mruknęła pod nosem.

- Matko, czasem trudno mi jest oddychać. Budzę się rano i czuję się tak, jakby ktoś naciskał mi na pierś. Nie mogę głębiej odetchnąć. Czasem kręci mi się w głowie i upadam. A i tak radzę sobie lepiej niż inni. Musimy pomóc ojcu.

Wiedziała, że to prawda. Ale po tej scenie w bibliotece nie była w stanie mu pomóc. Teraz jednak, przy wsparciu Protchnu, mogła to zrobić. Czyżby ten ośmiolatek miał aż taką moc?

Ośmiolatek, ale dużo widział. Zrozumiał, co trzeba zrobić, i wziął na siebie odpowiedzialność. To nappełniło ją nadzieją. I nie tylko na najbliższą przyszłość. Grupa na pewno się podzieli wraz ze śmiercią Volemaka, może szybciej, i gdy do tego dojdzie, Elemak zostanie władcą jednej części. Będzie zły, rozgoryczony, pełen pogardy i skory do przemocy. Lecz nie będzie żył wiecznie. Pewnego dnia miejsce przywódcy po nim zajmie ktoś inny, a najbardziej prawdopodobnym kandydatem był ten ośmiolatek. Jeśli z biegiem czasu nabędzie mądrości, a nie gniewu jak jego ojciec, to gdy przejmie schedę jako przywódca, będzie niczym jesienne deszcze dla miast na równinie, przynosząc ulgę po suchej spiekocie lata.

Dla ciebie, Protchnu, ukorzę się przed Elemakiem. Dla twojego dobra, żebyś miał przyszłość, żebyś pewnego dnia mógł zająć miejsce, które natura ci przeznaczyła.

- Przyjdź do mnie w czasie następnej pory posiłku w bibliotece - powiedziała mu. - Z tobą u boku zrobię to, co zrobić trzeba.

*

Elemak towarzyszył im w trakcie posiłku, teraz już nie spuszczał ich z oka, odkąd Volemak skorzystał z jego nieobecności, by odebrać przysięgę. Ostatnio jedli w bardzo

uszczuplonym gronie. Po tym, jak zobaczyli Elemaka katującego Nafaia, Volemak i Rasa zalegli w łózkach. Brak tlenu dawał im się we znaki równie mocno jak najmłodszym dzieciom. Nie mieli siły się ruszyć, a według relacji Lal i Sevet, które ich doglądały, ciągle na zmianę tracili i odzyskiwali przytomność, przeważnie mając w delirium. „Oni umierają” - szeptały kobiety podczas posiłków na tyle głośno, że Elemak z pewnością mógł usłyszeć. Nie reagował.

W trakcie posiłku w południe czwartego dnia po przebudzeniu Elemak siedział sam nad nietkniętym jedzeniem, gdy Protchnu wstał od stołu i podszedł do matki. Elemak patrzył za nim, twarz mu pociemniała. Lecz Protchnu nie usiadł przy matce. Poszedł po nią. Był od niej o głowę niższy, ale go posłuchała. Powoli zbliżyli się do stołu, przy którym siedział Elemak.

- Matka chce ci coś powiedzieć - zaczął Protchnu.

Nagle Eiadh wybuchła płaczem i opadła na kolana.

- Elemaku, tak mi wstyd! - wyłkała. - Zwróciłam się przeciw własnemu mężowi.

Elemak westchnął.

- To na nic, Eiadh. Wiem, jaka dobra z ciebie aktorka. Jak Lalya. Umiesz płakać na zawołanie. Odkręcasz i zakręcasz kran.

Rozpłakała się jeszcze mocniej.

- Czemu miałbyś mi uwierzyć lub znów mi zaufać? Zasluguję na wszystkie złe słowa, które chcesz mi powiedzieć. Ale jestem twoją oddaną żoną. Bez ciebie jestem nikim. Wolę zginąć, niż żyć bez ciebie. Proszę, wybac mi, przyjmij mnie z powrotem.

Elemak wahał się między wiarą a sceptycyzmem. Jak wszyscy był otepiały z powodu niedotlenienia. Wolno zamrugał, patrząc na nią.

- Wiem, kto jest najsilniejszy - ciągnęła, szlochając. - Nie ten, kto polega na sztuczkach i maszynach, na kłamstwach i oszustwach. To ty jesteś uczciwy.

Wykrzywił usta z pogardy dla jej oczywistego pochlebstwa. A mimo to go urzekła. Ktoś rozumie. Nawet jeśli ona wyrzuca z siebie jedynie puste słowa, już nikt ich nie cofnie.

- Ale kłamcy zyskali przewagę. To oni przetrzymują nasze dzieci jako zakładników, nie ty. Czasem człowiek musi uciec się do zła, by ocalić swe dzieci.

Większość ze słuchających wiedziała, że dociera do nich zniekształcona prawda. A jednak chcieli, żeby dano jej wiarę, chcieli, żeby Elemak uwierzył, bo wtedy zyskałby sposób, żeby się poddać, nie tracąc przekonania o własnej szlachetności. Pozwólmy mu wierzyć w taką wersję historii, żeby nasza historia mogła toczyć się dalej.

- Myślisz, że pragnę, by Nafai znów zaczął się tu szarogęścić? On i ta jego roziskrzona

powłoka, przez którą sam wygląda jak maszyna - chętnie prześpię resztę podróży, żeby nie musieć go oglądać. Obudzę się już na Ziemi, z tobą u boku. Nasze dzieci wciąż będą małe, wychowamy je. One urosną. Czas minie. A ty nadal będziesz moim mężem i wspaniałym człowiekiem w oczach wszystkich, którzy znają prawdę.

Elemak patrzył na nią uważnie. A raczej próbował. Od czasu do czasu widział nieostro.

Protchnu zrobił krok do przodu i powiedział cicho, tak że niewielu poza Elemakiem mogło go słyszeć:

- Wybierz czas bitwy - szepnął. - Nauczyłeś mnie tego w Vusadce. Wybierz czas bitwy.

Elemak odpowiedział równie cicho:

- Oni już wygrali, Protchnu. Zanim się obudziłem, zdążyli ograbić cię z twego dziedzictwa. Jesteś taki mały.

- Zrób, co trzeba, żebyśmy wszyscy przeżyli, ojczu. Pewnego dnia nie będę już mały, a wtedy zemścimy się na naszych wrogach.

Elemak wbił w niego wzrok.

- Naszych wrogach?

- Co zrobili ojcu, zrobili też synowi - wyszeptał Protchnu. - Ja nigdy, nigdy, nigdy, nigdy, nigdy nie zapomnę.

Determinacja, nienawiść w głosie syna dała Elemakowi nadzieję. Podniósł się. Wszyscy patrzyli za nim, gdy wziął Protchnu za rękę i poprowadził ku drabinie na środku pokoju. Odwrócił się.

- Meb. Obring.

Przywołani wstali powoli.

- Chodźcie ze mną.

- A kto wtedy będzie pilnował tych ludzi? - zapytał Obring.

- Mam to gdzieś - odparł Elemak. - Już dość się na nich napatrzyłem.

Opuścił się po drabinie, za nim Protchnu, a dalej Obring i Meb.

Jak tylko zniknęli, kobiety zebrały się wokół Eiadh. „Dziękujemy” - mówiły cicho. „Postąpiłaś odważnie”. „Byłaś cudowna”. „Dziękujemy”. „Dziękujemy”.

Nawet Luet ujęła ją za rękę.

- Dziś byłaś najwspanialszą z kobiet. To koniec. Dzięki tobie.

Eiadh ukryła twarz w dłoniach i zapłakała. Usłyszała bowiem, co Protchnu powiedział do Elemaka, słyszała nienawiść w jego głosie i wiedziała, że Protchnu nie odgrywał roli tak

jak ona. Jej syn przeniesie nienawiść ojca na kolejne pokolenie. Wszystko na próżno. Ukorzyła się na próżno.

- Na próżno - mruknęła.

- Nie na próżno - pocieszyła ją Luet. - Dla naszych dzieci. Powiem to raz jeszcze, Eiadh. Dziś byłaś najwspanialszą z kobiet.

Przyklękła przy niej; Eiadh wczepiła się jej ramię i płakała gorzko.

*

Zapaliło się światło. Oczy Nafaia szybko się przystosowały. Elemak, Mebbekew, Obring i syn Elyi, Protchnu. Widział nienawiść na ich twarzach.

Przyszli mnie zabić.

Ta myśl nie przyniosła mu ulgi. Pomimo słów desperacji skierowanych do Nadduszy nie chciał umrzeć. Lecz zgodziłby się na to, gdyby w efekcie nastąpił pokój.

Ku jego zaskoczeniu Elemak przyklękła i zaczął gmerać przy węzłach wokół jego kostek. Mebbekew zajął się więzami na nadgarstkach.

Skóra była poraniona w tych miejscach, więc te zabiegi były bolesne. Kiedy skatowany Nafai stracił przytomność, powłoka za sprawą Nadduszy go uleczyła, ale potem znów przestał pozwalać goić się ranom i przy uwalnianiu przeżywał tortury.

- Złożyliśmy przysięgę - cicho powiedział Elemak. - Przysięgę, którą ojciec odebrał od wszystkich na statku. On jest jedynym przywódcą kolonii. Nie ma zastępców ani głównych doradców, ani żadnej takiej fikcji maskującej władzę. On będzie rządził. Złożyłem przysięgę, tak samo jak Meb i Obring. I mój syn Protchnu. Póki Volemak będzie żył, będziemy go słuchać i nikogo innego.

- To dobra przysięga - odparł szeptem Nafai. Nie dodał: „Szkoda, że nie złożyliście jej wcześniej i nie trzymaliście się jej tak, jak ja to robiłem od dziecka. To by nam oszczędziło wielu problemów”.

- Ty prosto stąd pójdziesz, żeby też ją złożyć - rzekł Meb.

Więzy przy szyi, więzy, które wyginały ciało w pałąk, nagle puściły.

Plecy przeszył ból. Nafai jęknął.

- Nie histeryzuj - burknął Meb z pogardą. - Wiemy, że mogłeś to błyskawicznie wyleczyć, gdybyś chciał.

Zdrętwiałe nogi i ręce wydawały się ciężkimi drągami, niemrawymi, nieposłusznymi poleceniom. Nafai z wielkim trudem podniósł się na kolana. Opierając się o ścianę, w końcu stanął na niepewnych nogach.

- Gdzie jest ojciec? - zapytał. - Muszę iść i złożyć przysięgę.

- Oy kib i Chveya też jej jeszcze nie złożyli - przypomniał Obring.

- To idź po nich - obcesowo rzucił Elemak. - Wciąż czekasz, aż powiem ci, co masz robić? Ja już tu nie rządę.

- Ja też nie - dodał Nafai.

Lecz to nie była prawda. Powłoka już przekazywała mu informacje.

- W bieżącej rezerwie jest dość tlenu, by przywrócić prawie normalny poziom na dwie godziny. Przez ten czas krew wszystkich zdąży się natlenić, a my wszyscy wejdziemy w stan zawieszenia funkcji życiowych. Statek odnowi zapasy, zanim ktokolwiek się obudzi.

Elemak zaśmiał się złośliwie.

- I co, nie obiecasz nam, że zostaniesz w komorze aż do przylotu na Ziemię?

- Zamierzam kontynuować szkolenie - oznajmił Nafai. - Jeśli ojciec powie, że powinienem.

- Nie wątpię, że powie, co tylko będziesz chciał.

- Jeśli tak myślisz, to wcale nie znasz mnie ani jego. Bo ojciec powie, co tylko będzie chciał Naddusza, i nic więcej.

- Och, nie kłóćmy się, Nafaiu - stwierdził Elemak z przesadną sympatią. - Musimy być teraz przyjaciółmi.

Nafai szedł w milczeniu, często opierając się o ściany korytarza, wdzięczny za niedociążenie.

- Naprawdę tego chcesz dla Protchnu, Elemaku? Karcić go stale tą dietą nienawiści?

- Nienawiść to najbogatszy z posiłków. Daje ci siłę, napełnia mocą. A ja mam cały bufet, by obdzielić nim moje dzieci.

- Niech między naszymi dziećmi będzie pokój, Elya.

- Między twoimi dużymi dziećmi i moimi maluchami? Oczywiście, że będzie pokój, taki jak między lwem i muchą.

Dotarli do drzwi pokoju Volemaka i Rasy dokładnie w chwili, gdy Obring powrócił z Chveyą i Oy kibem. Chveya bez słowa objęła swego ojca, a on oparł się na niej, gdy wchodzili do środka.

Nafai uklęknął przy łóżku i złożył przysięgę, trzymając przy tym ojca za rękę. Po nim to samo zrobili Chveya i Oy kib.

- A więc dokonało się - powiedział Volemak słabym głosem.

- Wszyscy przysięgli. Dajcie nam teraz tlen i pozwólcie spać.

Po raptem paru sekundach wszyscy zaczęli czuć różnicę. A zaraz później poczuli się odurzeni powietrzem, oszołomieni jego nadmiarem. Wkrótce ich ciała przystosowały się,

oddechy wróciły do normy i było tak, jak gdyby nigdy nic złego się nie stało. Matki płakały nad maluchami, teraz już oddychającymi normalnie. Dzieci zaczęły się śmiać, krzyczeć i biegać, bo wreszcie miały siłę.

Nim jednak minęły dwie godziny, śmiech i krzyki umilkły. Rodzice ułożyli swoje dzieci do snu. Potem Zdorab i Shedemei zrobili to samo z wszystkimi dorosłymi, oprócz Nafaia, który trzymał się z boku, by niepotrzebnie nie drażnić Elemaka, i tych, którzy żalowali jego porażki.

Nafai i Shedemei znów stali nad komorą, w której leżał Zdorab.

- Wybacz mi, Nafaiu - kajał się.
- Już ci wybaczyłem. Luet mi wyjaśniła twój plan. I jak potem żałowałeś.
- Żadnych więcej niespodzianek - obiecał Zdorab. - Jestem z tobą aż do śmierci.
- Przysięgę złożyłeś mojemu ojcu - przypomniał Nafai. - Ale cieszę się z twojej przyjaźni i ją odwzajemniam.

Gdy został sam z Shedemei, Nafai mógł w końcu się uleczyć.

- Tego nikt by się nie spodziewał - zagadnął.
- Czego?
- Że błąd Zdoraba doprowadzi do czegoś, co inaczej byłoby niemożliwe.
- Czyli?
- Spodziewałem się, że jak tylko dotrzemy na Ziemię, Elemak wznieci bunt i rozpęta się wojna. Myślę, że Naddusza też się tego spodziewał. A teraz wojna już za nami i sędzę, że ten pokój się utrzyma.
- Dopóki twój ojciec nie umrze - dobitnie stwierdziła Shedemei.
- Ojciec nie jest jeszcze stary. To daje nam czas. Kto wie, co nas czeka w nadchodzących latach?
- Nie chcę tego.
- Trochę za późno, żeby teraz się rozmyślić.
- Nie chcę być świadkiem konfliktu. Walki. Jestem tu po to, by zająć się ogrodnictwem, majstrować przy ziemskiej florze i faunie. Taki sen zesłała mi Opiekunka Ziemi. Nie to co wam. Ja jestem tylko ogrodniczką.
- Tylko? Będziesz najważniejszą osobą wśród nas.
- Musisz wiedzieć, że cię okłamałam, Nafaiu. Gdy powiedziałam ci, że kuzyni mogą bezpiecznie się z sobą wiązać. Tak jak Zdorab, zataiłam to i owo.
- Nic nie szkodzi. Wszyscy coś zatajają, czy o tym wiedzą, czy nie.
- Ale wasze dzieci... konsekwencje mogą być przerażające.

- Nie sędzę.

Skrzywiła się.

- A więc Naddusza powiedziała mi, co powiedzieć?

- Zasugerował - poprawił. - I każde słowo było prawdą.

Shedemei zaśmiała się sardonicznie.

- A przynajmniej tak prawdziwe, jak wszystkie inne słowa Nadduszy.

- Ufam mu.

- Ufaj jej, że powie wszystko, co trzeba, by osiągnąć swoje cele Tylko na tyle można jej ufać.

- Shedy, cele Nadduszy są moimi celami, mogę więc ufać mu w pełni.

Poklepała go w policzek.

- Teoretycznie jesteś już tak stary jak ja, skoro prawie w ogóle nie spałeś podczas podróży, ale muszę ci coś powiedzieć, Nyef. Jeszcze wiele nauki przed tobą.

Wskoczyła do komory. Nafai uruchomił proces zawieszenia funkcji życiowych. Pokrywa się zasunęła. Patrzył, jak Shedemei powoli zasypia w hermetycznej przegrodzie. Znów został sam.

Mogę utrzymać podaż tlenu na tym poziomie jeszcze tylko przez około piętnastu minut, a potem koniec, usłyszał w myślach głos Nadduszy.

Spieszę się.

Wszystko ułożyło się całkiem dobrze, nie sądzisz?

Mam pomysł. Po prostu nie mów do mnie przez jakiś czas. Pozwól mi zasnąć jedynie z własnymi myślami w głowie.

Jeśli chcesz. Ale będziesz się czuł raczej dziwnie.

Dam sobie radę.

Nigdy w życiu nie poszedłeś spać beze mnie.

Szkoda więc, że nie jesteś lepszym kompanem.

Śmiało, złość się na mnie. Ale pamiętaj, że nie przeze mnie Elemak jest, jaki jest. Gdyby wybrał lepiej, gdyby był lepszym człowiekiem z natury, wtedy on by nosił powłokę gwieźdnego sternika.

Chciałbym, żeby tak było.

Tak, mówisz poważnie. Ty naprawdę nie chcesz mieć odpowiedzialności ani władzy. A mimo to przyjąłeś i jedno, i drugie, bo ktoś musiał, a tylko ty mogłeś to zrobić. Nie wbrew swojej woli, lecz wbrew swoim chęciom, wbrew rozsądkowi. I dlatego poprowadziłem cię ku powłoce. Bo jeśli rozumiałbyś wtedy, czym ona jest, nigdy byś po nią nie sięgnął.

Jestem tylko marionetką, której potrzebujesz, czy tak?

Wcale nie. Marionetki są mi zbędne. Ja potrzebuję życzliwych przyjaciół i sprzymierzeńców.

Pozwól mi iść spać, a może gdy się obudzę, znów będę życzliwy.

Miłych snów, przyjacielu. Przed nami jeszcze długa droga.

*

Panoramiczny wizjer w bibliotece ukazywał glob Ziemi - niebieski i biały, tu i ówdzie upstrzony cętkami brązu i zieleni. Ponieważ przespali start, nigdy nie widzieli świata w postaci kuli unoszącej się w mroku nocy.

- Jak księżyc - stwierdziła Chveya.

Oykib złapał ją za rękę. Podniosła wzrok na niego i uśmiechnęła się. Ostatnie trzy i pół roku były zarazem cudowne i niezdrowe, bo wiedziała, że on ją kocha, ale podczas podróży nie mogli się pobrać ani mieć dzieci. Nie rozmawiali o tym, co czują - tak było łatwiej obojgu. Reszta młodych wiązała się z sobą równie dyskretnie. Lecz teraz, gdy przeprowadzali rekonesans, krążąc po orbicie Ziemi, zapoznając się z odczytami instrumentów, studiując mapy, szukając miejsca do lądowania, czekając na decyzję Nadduszy albo na sen od Opiekuna, mówiący im, co mają robić, Oykib nie mógł się powstrzymać, by nie myśleć o Chveyi, o tym, co ich czeka. Nowy świat, ciężka praca, nie wiedzieć jakie zagrożenia ze strony chorób, zwierząt i pogody - lecz wszystkiemu temu przeciwstawiała się myśl o Chveyi w jego ramionach, o dzieciach, o włączeniu się w cykl życia tej planety.

- Niegdyś uciekaliśmy z tego świata w hańbie i lęku - ciągnęła Chveya. - Niegdyś go zbrukaliśmy i powybijaliśmy siebie nawzajem.

Nie musiała dodawać obawy, że to może się powtórzyć. Każdy z nich wiedział, że czas prawdziwego pokoju kiedyś się skończy, że nawet jeśli przysięga złożona Volemakowi wytrzyma upływ czasu, napięcie wciąż będzie wyczuwalne za fasadą uprzejmości. A jak długo Volemak pożyje? Wtedy znów może dojść do wojny. Ludzka krew znów może zostać przelana na Ziemi.

Oykib słyszał, jak Chveya przemawia do Nadduszy. Czemu nas tu sprowadziłaś, skoro nie jesteśmy wcale lepsi ani mądrzejsi niż ci, którzy stąd odlecieli?

- Ależ jesteśmy lepsi i mądrzejsi - powiedział Oykib.

Odwróciła się do niego zdumiona.

- Co ty robisz? Wtedy, podczas kryzysu, mówiłeś z takim rozeznaniem. O tym, czego chciała Naddusza. O tym, czego chciał Nafai, mimo że nawet z nim nie rozmawiałeś. Jak ty to robisz?

- Podsluchuję - przyznał. - Od dziecka słyszę wszystko, co się mówi na kanałach Nadduszy. To co on mówi. Co ty mówisz.

Wyglądała na zszokowaną. Czy to prawda? - zapytała Nadduszę. To okropne!

- Teraz już wiesz, czemu nigdy nikomu nie powiedziałem. Choć na pewno pokazałem to wyraźnie podczas kryzysu. Dziwne, że nikt się nie domyślił.

- Ale to, co mówię Nadduszy... to poufne.

- Wiem. Nie prosiłem się o to. Samo przyszło. Dorastałem, wiedząc o wiele więcej, niż dziecko powinno wiedzieć. Rozumiem innych w stopniu... cóż, powiedzmy tylko, że wolałbym nie wiedzieć, co naprawdę ich dręczy. Albo co Naddusza musi robić, by powstrzymać tych, którzy nigdy z nim nie rozmawiają, przed zrobieniem najgorszych rzeczy, jakich pragną. Niełatwo dźwigać to brzemię.

- Wyobrażam sobie. A raczej nie. Nie potrafię. Nawet teraz nie próbuję sobie tego wyobrazić. Staram się tylko przypomnieć sobie, co mówiłam Nadduszy, jakie moje sekrety znasz.

- Zdradzę ci jeden sekret, który znam, Veya. Wiem, że spośród wszystkich ludzi na tym statku nikt nie jest tak uczciwy i dobry jak ty, nikt nie jest bardziej kochający ani delikatny wobec uczuć innych. Nikt z ludzi na tym statku nie jest bardziej pogodzony z sobą, nikt nie dokłada mniej do ciężaru wstydu i winy, który z sobą noszę. I ze wszystkich ludzi na tym statku tylko z tobą chciałbym być blisko już zawsze, bo wszystkie twoje sekrety są jasne i dobre, i kocham cię za nie.

- Nie wszystkie, ty kłamczuchu.

- Wprost przeciwnie. Te złe sekrety, których tak się wstydzisz, są takie niewinne, że dla mnie, a widziałem prawdziwe zło bez osłonek, dla mnie nawet twoje najmroczniejsze, najbardziej wstydlive sekrety są zachwycające.

- Czyżbyś dawał mi do zrozumienia, że chcesz się ze mną ożenić?

- Jakby to była jakaś tajemnica dla ciebie! Przecież wyczuwasz połączenia między ludźmi tak jak ciocia Hushidh. I kto tu narusza czyją prywatność?

- Ja nie znam twoich sekretów, Okya. - Wzięła go w ramiona. - Wiem, czego chcesz. Wiem, jak bardzo mnie kochasz. Widzę, że łączą nas jasne nici splecione tak mocno, że nie ma ucieczki, póki któryś z nas żyje. Jesteś moim więźniem, a ja cię nigdy nie puszcze, będę bezlitosna.

- Te więzi to wcale nie jest niewola, Veya. To wolność. Przez całą tę podróż byłem zniewolony, bo nie mogłem cię mieć. Gdy wyjdziemy na ten nowy świat, ten stary świat, i w końcu będę z tobą związany otwarcie, i będziemy mogli zacząć nasze życie razem - wtedy

będę naprawdę wolny.

- Moja odpowiedź brzmi: „Tak”.
- Wiem. Słyszałem, jak mówisz Nadduszy.

CZĘŚĆ II

PRYZIEMIENIE

OBSERWATORZY

Młody mężczyzna miał wiele zajęć, wiele obowiązków, których wymagała od niego społeczność, nawet jeśli był już mężem, i to takiej wspaniałej kobiety jak Iguo. Z racji niezwykle awansu społecznego ludzie oczekiwali od pTo wyczynów, oczekiwali, że będzie wzorem młodego mężczyzny.

No, może nie wszyscy. Wielu spodziewało się po nim w najlepszym razie rozczarowania, a skandalu w najgorszym. Był zbyt młody. Iguo poślubiła takiego zwykłego chłopaka tylko dlatego, że jej prababka Upua związała się z Kitim. Stało się to poniekąd tradycją kobiet z tego rodu, że wychodziły za mężczyznę, który był zbyt młody - ale pTo nie był Kitim, jak wielu często mu wytykało.

- Nie jesteś Kitim, wiesz? - rzekł wtóry pTo, Poto.

- Ty się cieszysz, że nie jestem - odpowiedział pTo. - W roku, w którym stworzył swoją rzeźbę i Upua go wybrała, jego wtóry zmarł.

- Tylko nie rób czegoś szalonego. Oni ci niczego nie wybaczą. Jeśli będziesz genialny, powiedzą, że jesteś arogancki. Jeśli noga ci się powinie, powiedzą, że przeceniłeś swoje możliwości. Jeśli będziesz przyjazny, powiedzą, że jesteś zarozumiały. Jeśli będziesz powściągliwy, powiedzą, że jesteś wyniosły.

- Równie dobrze mogę więc robić, co chcę.

- Pamiętaj tylko, że moje imię szargasz. Jeśli ty jesteś szaleńcem, to kim ja jestem?

- Bezbronną ofiarą mojego szaleństwa - odpowiedział pTo. - Chcę polecieć do wieży.

Spoczywając na grubym konarze drzewa, pilnowali stada tłustych indyków. Ptaki były dość potulne, zbyt głupie, by rozumieć, jaki los chcieli zgotować im ludzie. Zagrożenie płynęło ze strony czartów, które z upodobaniem kradły zwierzęta z ludzkich stad. Te leniwe stworzenia nigdy nie robiły nic pożytecznego. Kopały nory w ziemi i drażyły dziuple w pniach drzew. W porze wylęgu pojawiały się całą hurmą, kradnąc czasem nawet jedną trzecią noworodków z danego roku - dlatego tak wielu straciło swoich wtórych. Przez resztę roku ograniczały się do ataków na stada.

- My tu stoimy na czatach - przypomniał mu Poto.

- I patrzymy nie na to, co trzeba - upierał się pTo. - Pradawni w wieży są najważniejsi na świecie.

- Boboi mówi, że są naszymi wrogami.

- Jeśli nie mają być naszymi przyjaciółmi, czemu przodkini mojej żony ukazała się twarz Pradawnego?

- Żeby nas ostrzec.

- Pradawni znają sekrety, a jeśli się z nimi nie zaprzyjaźnimy, przekażą je czartom. Wtedy naprawdę staną się naszymi wrogami.

- To zabronione - stwierdził Poto - a my tu mamy swoje obowiązki, i choć młodo się ożeniłeś, nie jesteś Kitim.

PTo wiedział, że jego wtóry ma rację. Zazwyczaj ją miał. Lecz pTo nie był w stanie dać za wygraną, bo wiedział, że jeśli on nie dowie się czegoś o Pradawnych, nikt inny tego nie zrobi. Nikt się nie ośmieli.

- Nie jestem Kitim - przyznał - ale jestem też jedynym mężczyzną, który się nie boi, że wszystkie kobiety mogłyby go odrzucić z powodu złamania zakazu Boboi co do Pradawnych.

- Nie tylko ty jesteś żonaty.

- Wiesz, o co mi chodzi. Starsi nie chcą tam iść. Zrobili się trochę powolni, trochę ociężali. Dla nich to zbyt niebezpieczne, żeby zejść do samego serca ziem czartów.

Jeden z indyków postanowił, jak to indyki, że jakaś pilna sprawa wzywa go w krzaki i nagle zaczął uciekać z gulgotem. Poto bez słowa sfrunął z konaru na dół i, wrzeszcząc, zamarł w powietrzu naprzeciw krnąbrnego ptaka. Indyk zatrzymał się, patrząc tępo na człowieka trzepoczącego skrzydłami w powietrzu. Poto opadł na ziemię, a potem wyskoczył w górę, równocześnie kopiąc indyka w głowę. Głupi ptak pisnął, zawrócił i popędził z powrotem do stada.

Gdy Poto wrócił na gałąź, pTo nie mógł się powstrzymać.

- To, co właśnie zrobiłeś temu indykowi, to samo Boboi robi wszystkim mężczyznom.

Poto westchnął.

- Zmiłuj się, pTo.

- Mówię tylko, Poto, że ja idę. Możesz strzec stada sam.

- Strzeżemy dwójkami, bo jeden człowiek jest potrzebny, by strzec indyków, a drugi, by strzec tego pierwszego przed atakiem z zaskoczenia.

- To chodź ze mną - odparł pTo. - Nie wstydzę się przyznać, że boję się iść sam.

- Ja w ogóle boję się tam iść.

- W takim razie żegnaj, mój wtóry, mój lepszorozumny. Może moja Igua cię poślubi, gdy umrę. - W dawnych czasach obaj byłiby jej mężami. Nieraz pTo żałował, że to się zmieniło.

- Tak, dla ciebie wszystko jest poezją - rzucił Poto lekceważąco, lecz pTo nie był głuchy na ciepłe uczucie za jego przykrymi słowami.

- Moja śmierć, gdy nadejdzie, będzie taką, o jakiej śpiewają poeci.

- Lepiej mieć życie, które twoje dzieci wspominają z radością, niż śmierć, którą poeci opiewają w pieśniach.

- Trudno uwierzyć, że nie jesteś stary, gdy cytujesz takie bzdury.

- Idź, jeśli musisz.

PTo natychmiast poderwał się z gałęzi. Po kilku chwilach szybowania wzniósł się, zataczając krąg nad koronami drzew. Zakrzyknął w dół do Poto:

- Uważaj na siebie, panie Posłuszny!

- Nie! - odkrzyknął Poto, naprawdę rozgniewany. - Nie będę pracował za ciebie!

PTo leciał dalej nad doliną. Wiedział, że inni go zobaczą. I powiedzą, że jest wynaturzony, bo nie kocha swojego wtórego - choć Poto był dość wysoko w górze doliny, więc nic mu nie groziło. Niech mówią, co chcą. Boboi się myliła. Z lekceważeniem Pradawnych wiązało się wielkie ryzyko. PTo im się przyjrzy, dowie się czegoś o nich, spróbuje nawiązać rozmowę. Pozna ich język. Zostanie ich przyjacielem. Wróci do domu z ich sekretami. Lepiej przynieść wiedzę niż zwykłe błyskotki. Kolekcja artefaktów Pradawnych nie była wielka, lecz zebranie jej zajęło wiele pokoleń. Wszystko było bezwartościowe, bo nic z tego nie miało żadnego znaczenia. Potrzebna była wiedza, sekrety, które Pradawni muszą wyjawiać. I nie czartom, lecz im.

Nie było daleko. PTo nawet nie zdążył się zmęczyć, gdy wieża ukazała się w polu widzenia. Nieraz widział ją z daleka i za każdym razem nie mógł się nadziwić. Kto mógł ukształtować coś tak gładkiego i wysokiego? Była jasna niczym promyki słońca na wodzie, a drzewa wyglądały jak krzaki kłaniające się jej w hołdzie.

Czemu Pradawni osiedli wśród czartów, a nie ludzi? Czy to możliwe, że Pradawni są piekielnikami i w ogóle nie pochodzą od bogów? A jednak nie wystrzelili z ziemi. Przybyli z nieba. Jak w takim razie mogli być piekielnikami?

Mogli nimi być, bo postawili swoją wieżę tuż obok lasu dorodnych, starych drzew. Wszędzie wokoło widać było oznaki czarciego miasta. Martwe drzewa tu i tam; tu i ówdzie wgłębienia od starych tuneli, które się zawaliły; a nieopodal - kamieniste wzgórza mieszczące kilometry jaskiń, w których odprawiano obsceniczne, kanibalistyczne rytuały. Pradawni musieli widzieć to wszystko, musieli wiedzieć, a mimo to zbudowali własną osadę tam, gdzie czarty mogły ich obserwować, nie wychodząc ze swoich nor. Czemu Pradawni mieliby to robić, jeśli nie pragnęli zaprzyjaźnić się z czartami. Pewnie już to zrobili. Już było za późno.

Jeśli rzeczywiście jest za późno, to zobaczę oznaki ich przymierza, dowiem się czegoś o zagrożeniu, wrócę do swoich i złożę relację. Gdy niebezpieczeństwo będzie wystarczająco wyraźne, przestaną słuchać Boboi. Wtedy przyjdziemy tu na wojnę, a nie po naukę, a Pradawni zapewne strącą nas z nieba za pomocą magii. Pradawni żyją w wieży, która stoi na podstawie z ognia. Nawet największy wojownik ludzi będzie dla nich nie bardziej irytujący jak komar.

Nie może być wojny. Musi być przyjaźń. Muszę znaleźć sposób, by była to przyjaźń.

Czarty na pewno już go zauważyły. Latanie było zbawieniem ludzi, lecz również ich zgubą, przynajmniej za dnia. Mogli wzbić się w powietrze, by uciec przed wrogiem; lecz wróg mógł spojrzeć w niebo i zauważyć, że nadlatują. Wiele mówiło się o różnicach. Ludzie są otwarci i szczerzy, czarty - skryte i przebiegłe. Ludzie żyją w królestwie słońca i gwiazd, czarty - w królestwie larw i robactwa. Ludzie są lekcy jak powietrze, a zatem eteryczni, podobni bogom; czarty zaś tęgie i ociężałe, przyziemne, podobne kamieniom.

To jednak nie zmieniało faktu, że jeśli czart już raz dorwał człowieka, mógł złamać każdą z jego kości łatwo jak gałązkę. Z czartami nie dało się walczyć wręcz. Jeden rzut włócznią - tylko na tyle człowiek mógł liczyć. Potem musiał albo odlecieć, albo zginąć. Nie mógł podnieść kamienia, by spuścić go na głowę czarta, w każdym razie nie na tyle dużego, by wyrzucić jakąś krzywdę.

Nie mógł podnieść nawet własnego dziecka, gdy było w tym nieporadnym wieku, za duże, by dźwigać je w locie, a za młode jeszcze, by samemu latać. O tej porze roku przychodziły czarty, a rodzice musieli dokonać strasznego wyboru: które dziecko poniosą razem w bezpieczne miejsce. Niekiedy udawało się wrócić na czas, by uratować drugie. Niekiedy starsze dzieci nie były jeszcze z nikim związane i mogły ocalić drugiego bliźniaka. Tak uratował się Poto, bo on i pTo byli trzeciorodnymi. Prawdziwą rzadkością był pierworodny, którego wtóry wciąż żył.

Tak więc czarty go obserwowały, zastanawiając się, czemu tu jest. I śliniły się, ani chybi, na myśl o jego mięsie. Cóż, pTo był młody i dość szybki, by nikt nie mógł go ująć. Wciąż był na tyle lekki, by przysiąść na dalekich gałęziach, na które czarty nie mogły się wspiąć. Uszy nadal miał tak czułe, że mógł usłyszeć chrobot palców wbijających się w korę drzewa. Istniało niebezpieczeństwo, że wpadnie w zasadzkę, lecz jeśli będzie ostrożny, nic mu nie grozi.

Wtedy nawiedziła go niepokojąca myśl: Każdy mężczyzna i każda kobieta ujęci przez czarty musieli myśleć dokładnie tak samo aż do chwili, gdy nagle uświadamiali sobie, że się mylili.

Pradawnych było bardzo mało, ale zbudowali wielką osadę. Mieli monstrualne domy - całe drzewa ścięto i rozszczepiono, by zrobić ściany i dachy. Kilka budynków zrobiono z dziwnych substancji, których pTo nigdy wcześniej nie widział. Trudno było zrozumieć, do czego te budynki służyły. Ten wielki to pewnie sypialnia - lecz czemu jest tylko jedna? Czy ich niesparowane samice i samce sypiali pod jednym dachem? Nie może być!

Wybrał punkt obserwacyjny - cienką gałąź, dość mocną, by można było się z niej wzbic do lotu, z wieloma liśćmi ukrywającymi go przed oczami Pradawnych. Sprawdził pień, ale był na tyle cienki, że czarty nie mogły go jeszcze wydrążyć, nie musiał się więc obawiać ataku z zaskoczenia przez ukryte drzwi w drzewie. Jeśli czart chciał się do niego dostać, musiałby wspinać się po pniu, a wtedy pTo by go usłyszał.

Chyba że jednak nie usłyszysz, a oni mogli wydrążyć tak cienkie drzewo...

pTo zignorował obawy i zajął się obserwacją. Do zachodu słońca zdążył poznać wiele dziwnych nowych rzeczy. Najbardziej zadziwiające było to, że wszyscy dorośli wydawali się mieć małżonków, a każda para mieszkała we własnym domu. Największy budynek był używany za dnia przez kilku dorosłych i wszystkie młodsze dzieci; najwyraźniej Pradawni prowadzili szkołę. Ale w czterech ścianach? Odcięcie dzieci od świata po to, by ich o nim uczyć, nie miało dla pTo żadnego sensu.

Innym spostrzeżeniem pTo było to, że wszyscy mieszkają w domach z drewna; konstrukcje z tej dziwnej, gładkiej substancji służyły tylko jako magazyn albo w jakimś bardziej tajemniczym celu, gdyż rzadko je odwiedzano, a i wtedy tylko po to, by wziąć jakieś narzędzie albo odnieść je z powrotem.

Pradawni trzymali trochę zwierząt w zagrodach, lecz bardzo niewiele, i to dziwnych. Dwa wyglądały jak kozy, ale były wielkie. Kolejne dwa przypominały krowy, lecz były malutkie. Było tam też stado wilków - a przynajmniej szczekały, skowyczały i wyły jak wilki... i wałęsały się swobodnie między Pradawnymi. Co za istoty z tych Pradawnych? Przyjaciele wilków! Czy nie obawiali się o bezpieczeństwo dzieci? A może ich dzieci rodziły się silne? Nie, wcale nie - pTo widział, że są bezradne; kilku Pradawnych dźwigało dzieci w nosidłach.

Zrazu pTo pomyślał - z rozczarowaniem - że wszystkie dzieci są same. Dopiero późnym popołudniem zorientował się, że dwa maluchy są identyczne i mają tych samych rodziców. A więc mieli wtórych! A jednak tych dwóch nie zawsze było razem - i dlatego pTo tak późno się zorientował. Ledwie jedna para wśród wszystkich dzieci. Czy inne pary były rozbite? Albo czy to możliwe, że tylko niektóre dzieci rodziły się w parach, a reszta po prostu pojedynczo? Pradawni byli zwierzętami?!

Później to przemyśli. Gdy już nauczy się ich języka, może znajdzie sposób, by zadać tak nietaktowne pytania. Na razie mógł tylko patrzeć. Szczególną uwagę zwróci na tę parę, by zobaczyć, jak będą w stanie przeżyć dzieciństwo tak często oddzieleni od siebie. Czy oni są o tak wiele silniejsi od nas - zastanawiał się pTo - czy też po prostu brak im prawdziwej czułości?

Za dnia zauważył, że większość dorosłych spędzała dużo czasu na wielkiej wykarczowanej polanie, gdzie pozaczyli ziemię licznymi rzędami rowków, jakby rozluźniając ziemię, by stworzyć wielką rzeźbę - choć gleba była tu sypka i nigdy nie utrzymałaby kształtu. Po kilkugodzinnej obserwacji zaświtało mu w głowie, że ta poorana ziemia jest jedynie wczesnym stadium czterech dziwnych łąk z trawą o różnej długości na każdej. Na tamtych czterech bowiem trawa zdawała się rosnać w rzędach. Były też miejsca, gdzie celowo zasadzono inne rośliny, a kilku Pradawnych poszło do jednego z nich, by zebrać arbuzy, które potem rozkrojono i podzielono między pracujących.

To był pierwszy sekret, który pTo poznał od Pradawnych - zamiast zapamiętywać co rok, gdzie rosną najlepsze rośliny, i dbać o złożenie w ziemi ofiary z owoców i korzeni, żeby matka oddała im nowe rośliny w następnym roku, ofiary te można było zabrać z ich pierwotnego miejsca i zgromadzić niczym stado indyków czy kóz, tak by można je było zarazem pilnować i troszczyć się o nie, i to w zaledwie kilka osób. Oczywiście wiązałoby się z tym także niebezpieczeństwo - wystarczy, że czarty znajdą taką sztuczną łąkę jak ta i zaczną się do czasu przyjścia zbieraczy. Możliwe więc, że ludzie nie mogli wykorzystać akurat tego sekretu Pradawnych.

A co ważniejsze - czarty mogły niemal na pewno. Lecz z drugiej strony mogły łatwo poznać sekret ludzi - pędzenie stad, by chronić je przed drapieżnikami i prowadzić je do dobrego jedzenia. Zamiast tego czarty nauczyły się jedynie wyszukiwać ludzkie stada i kraść z nich zwierzęta. Tak jak niewątpliwie już zamierzały zwędzić owoce i nasiona z łąk Pradawnych.

Co było najdziwniejsze? To, że nikt nie pilnował. Niektóre dzieci na zmianę stały na dwóch łąkach: tej, gdzie wszystkie trawy dojrzewały równocześnie, i tej, którą dopiero co zaorano, gdzie ptaki chciały wygrzebać nasiona. Tam dzieci czekały, aż ptaki wylądują, a potem biegły, by je odgonić.

Na ptaki to uważają, lecz nie na czarty.

Czy to znaczyło, że Pradawni ich sobie zjednali? A może ich podbili i zmusili do posłuszeństwa?

Albo - czy to możliwe? - są tak nieostrożni, że jeszcze nie zauważyli, że czarty ich

obserwują?

Przecież Pradawni musieli widzieć to, co pTo widział. Kilkanaście różnych czarcich brygad wyszło spod ziemi lub pojawiło się na gałęziach, by obserwować. PTo widział kilka czartów, które jego też zauważyły, i był pewien, że obmyślają jakiś plan, by go dopaść, a przynajmniej odpędzić. Czarty to spryciarze. Czy Pradawni są po prostu mało spostrzegawczy? Jakim cudem stali się tak potężni, jeśli byli zbyt głupi, by zauważyć coś tak ważnego jak to, gdzie znajdują się czarty, na co patrzą, gdzie zastawiają pułapki?

Słońce zaszło.

Teraz przyszedł czas, gdy czarty zrealizują ten czy inny plan, który obmyślały przez cały dzień. I w nocy zajmą się też okradaniem Pradawnych. Już teraz pTo widział w blednym świetle, że zbierają się na skraju łąki; a mimo to Pradawni nie wszczynali alarmu, wystawili na warcie tylko jednego samca krążącego wokół z lampą w rękach (nigdy jej nie rozlewając!). Lampa - bez sensu. Jakby krzychał: „Nadchodzę, zejdźcie mi z drogi, ukryjcie się przede mną, bym nie mógł was widzieć!”.

PTo usłyszał cichy dźwięk skrobania i poczuł drganie gałęzi. Przez chwilę kusiło go, by zaczekać, zabawić się z tym czartem, udawać, że nie wie, że się do niego skrada. Potem jednak pomyślał: Może to jedyne ostrzeżenie, jakie otrzymam. Może ten czart jest bliżej, niż myślę. A jeśli zostanę tu choć chwilę dłużej...

Wzbił się w niebo, a wtedy tuż za sobą usłyszał syk zawodu. Głośny i bliski, niemal poczuł czarci oddech na plecach. Właśnie tak umierają ludzie, pomyślał. Czekają odrobinę za długo, zanim poderwą się do lotu.

Zanurkował, potem wzniósł się na tyle wysoko, by móc szybować przez kilka chwil. Był trochę odrętwiały, chętnie by zaczął się rękami i nogami o gałąź i wisiał do dołu głową - lecz wtedy mógłby zasnąć. Nie, odrętwienie było ceną za wytrzymanie całego dnia w bezruchu. Choć czy musiał być tak ostrożny? Pewnie gdyby nawet zatańczył i zaśpiewał piosenkę, Pradawni i tak nie zwróciliby na niego uwagi.

Wiedział, że teraz już czarty będą na łące Pradawnych, lecz czuł, że musi podjąć ryzyko i zebrać próbki roślin. Najpierw poleciał na najdojrzalsze pole i od razu uznał je za ekstremalnie niebezpieczne. Łodygi, nie dość mocne, by go utrzymać, były na tyle wysokie, by utrudniać lot. Co gorsza, wiatr bez przerwy nimi szeleścił, tak że pTo nie usłyszałby cichych szmerów, które czarty by wzbudzały, przedzierając się przez trawę. Nie miał odwagi przysiąść tam na ziemi - każdy czart w trawie by go zobaczył, a on nie widziałby żadnego. Niewykлучzone że znalazłby się akurat kilka łokci od któregoś i zupełnie by o tym nie wiedział, póki silne ręce nie zacisnęłyby się na jego nogach i rękach albo nie wpiły w mocną,

cienką skórę jego skrzydeł.

Nie miał odwagi zlecieć na ziemię, a jednak to zrobił, bo nie zamierzał wracać do domu bez trofeum. Sekrety, które poznał, były największym skarbem, jaki mógł przynieść, lecz łatwiej będzie mu przeciwstawić się krytyce Boboi, jeśli będzie miał też coś w rękach. Sfrunął więc na ziemię i niezwłocznie zaczął rwać łądygi możliwie najbliżej gruntu. Nie tracił czasu, by się rozejrzeć. I tak nie mógłby nic dojrzeć. Jeśli jakiś czart znalazł się blisko, pTo był zgubiony, nieważne, czy patrzył, czy nie; a jeśli czarty czyhały gdzieś dalej, zatrzymanie się i szukanie ich w nieprzeniknionej trawie dałoby im tylko czas, by się do niego zbliżyć.

Ile łądyg? Jedna. Dwie. Trzy. Na każdą poświęcił kilka chwil, by ją zerwać i położyć obok pierwszej. Cztery. Pięć. Ilu łądyg potrzebował? Sześć. Siedem. Czy wszystkie były dojrzałe? Czy może poniesie do domu same niedojrzałe i okryje się wstydem? Osiem. Dziewięć.

Dość. Koniec. Leć.

Zbierając łądygi w jednej nodze, przysiadł, a potem z całej siły wyskoczył w górę. Jego skrzydła ledwo mogły rozwinąć się w gąszczu roślin, musiał więc rozpostrzeć je na pełną długość, gdy podniósł się nad łądygi, a wtedy włożył całą siłę w to, żeby wzbić się w górę. Przez koszmarną chwilę unosił się na poziomie wierzchołków łądyg, poruszając się naprzód, lecz nie zwiększając pułapu. Pod sobą widział oczy - cztery, sześć, osiem - błyszczące w świetle księżyca, skaczące ku niemu, gdy je mijał. Gdyby czarty były wyższe albo pTo wolniejszy, leżałby teraz wśród traw, a one rozrywałyby jego ciało na strzępy, a potem zniosły jego kawałki do swych nor, by podzielić się nimi ze swoimi brudnymi, ziemię żrącymi partnerami.

Lecz one nie były wyższe, a pTo nie był wolniejszy, więc wzbił się w powietrze i, łopocząc skrzydłami, skierował się do osady Pradawnych. Musiał dotknąć jednego z budynków, które nie były zrobione z drewna. To było mniej ryzykowne mimo wszystko. Żaden z czartów nie zakradł się jeszcze do wioski, a ten Pradawny z lampą zapewne go nie zauważy. Co więcej, na dachu nic nie przeszkodzi mu w odlocie.

Pod jego ciężarem dach się ugiął nieco. Ponieważ pTo mógł uczepić się tam tylko nogą, w której nie trzymał łądyg, musiał się schylić i dotknąć ręką, by poczuć teksturę. Dach został spleciony niczym prowizoryczne gniazdo, niczym kosz, tyle że splot był zaskakująco zwarty i drobny. Nawet woda nie mogła przeniknąć przez coś tak ciasno zbitego. A z czego zrobione były włókna, nie miał pojęcia.

Lśniły w świetle księżyca. Czemu Pradawni mieliby zabijać drzewa, by budować swe domy, skoro potrafili utkać tak piękny i doskonały dach jak ten?

Potem dał się uwieść ostatniej pokusie - podleciał do podstawy wieży i dotknął jej. Zupełnie nie przypominała tamtego utkanego domu. Nie ustępowała pod ręką; była jak kamień, choć nie taka chłodna. Gdy lekko uderzył w nią palcami, z wnętrza doszedł cichy brzęk, jaki słyszał w kilku artefaktach z kolekcji w jego osadzie. A więc choć to prawda. Pradawni wprawiają muzykę w swoje dzieła.

Zaskoczył go dźwięk - niczym głos, tylko głośny i głęboki. Był tak przerażony, że bez namysłu wzniosł się do lotu. W powietrzu zawrócił, by zobaczyć, czyj to był głos. Bo to na pewno był głos. Jednego z Pradawnych. Samca. Jak to możliwe, że podszedł do niego tak cicho? Pradawni byli głośni we wszystkim, co robili, jak głusi ludzie. Ten też krzyknął jak ktoś głuchy, głosem donośnym i gromkim. A mimo to udało mu podejść do pTo tak cicho, że...

Tak cicho, że najwyraźniej wcale do niego nie „podszedł”. Musiał siedzieć w cieniu wieży. Od początku. Ile zauważył? Czy widział łodygi, które pTo ukradł? Czy teraz będzie się gniewał? Czy przez tę kradzież Pradawni staną się wrogami jego ludu?

Przez chwilę pTo myślał: Nie powiem nikomu, że Pradawni mnie widzieli.

Lecz od razu odrzucił tę myśl. Jeśli kiedykolwiek zostaniemy przyjaciółmi Pradawnych, będą pamiętali te łodygi, które ukradłem z ich łąki. Wtedy poniosę karę. Ale moi pobratymcy będą już wtedy wiedzieć, że moja kradzież została zauważona. Będą wiedzieć, że powiedziałem im prawdę o wszystkim, co zrobiłem - nawet o błędzie, że mnie dostrzeżono. Wielu zgani mnie za nierozwagę, ale nikt nie będzie wątpił w moją uczciwość ani twierdził, że zmieniłem moją opowieść tak, żeby się wybielić. Lepiej mieć zaufanie ludzi niż ich szacunek. Mając zaufanie, można zyskać szacunek później; nie mając go, na szacunek nigdy nie można zasłużyć, to jak trucizna.

Zmęczony bezruchem przez cały dzień, lękając się powrotu do domu, pTo z trzepotem skrzydeł leciał ku dolinie, gdzie żył jego lud.

*

Oykib obserwował, jak wielki nietoperz zatacza krąg nad nim, a potem odlatuje w górę kanionu. Wiedział, że inni uznają to za początek spełniania się starych snów pochodzących od Opiekuna Ziemi. Lecz dla Oykiba było to coś więcej. Usłyszał bowiem Opiekuna mówiącego do tego przybysza - i zrozumiał go.

Ten głos był dziwny. Cichszy niż głos Nadduszy, mniej wyraźny. Opiekun przemawiał bardziej obrazami niż myślami, bardziej pragnieniami niż emocjami. Oykibowi trudniej go było zrozumieć; minęło kilka tygodni od ich przylotu na Ziemię, zanim zdał sobie sprawę, że w ogóle coś słyszy. Rozmowy między ludźmi a Nadduszą były o wiele

wyraźniejsze. Głos Opiekuna przypominał odległy grzmot albo lekki powiew w liściach - bardziej się go czuło, niż słyszało. Lecz gdy już go wychwycił, zaczął nasłuchiwać. Siedząc w cieniu statku w zapadającym zmroku, mógł się skupić, stopniowo pozwalając donośniejszemu głosowi Nadduszy przycichnąć.

Nie było to łatwe, bo Opiekun rzadko przekazywał coś ludziom. Sen od święta, czasem jakieś pragnienie. Prowadził jednak niemal ciągły dialog z kimś innym. Z wieloma innymi, którzy jakby otaczali osadę Rodina - lecz jak daleko lub blisko byli, nie potrafił zgadnąć. Prawdziwym problemem było zrozumienie, o czym mówiono. Sny, pragnienia, które podsłuchiwał, nie miały żadnego sensu. Zrazu myślał, że to tylko kwestia zamętu. Było ich za dużo i tyle. Potem, gdy zaczął rozróżniać jeden sen od drugiego, gdy mógł już śledzić konkretny wątek komunikacji, zorientował się, że ta dziwność była immanentną cechą przekazów. Opiekun słał tym kimś pragnienia, których Oy kib nigdy nie czuł, których nie mógł zrozumieć; a wtedy nagle pojawiała się coś wyraźnego - pragnienie, by zaopiekować się dzieckiem. Życzenie, by nie skompromitować się na oczach przyjaciół. A im dłużej słuchał, tym więcej zaczął rozumieć, czym były te dziwniejsze pragnienia: chęć kopania, darcia drewna rękami. Chęć wysmarowania się gliną. To nie miało sensu, a jednak gdy Oy kib siedział w cieniu statku i nasłuchiwał, te pragnienia nim owładnęły i poczuł się... odmieniony. Inny. Przestał być sobą.

Ostatnio rozmawiał o tym z Chveyą, gdyż ona też dostrzegała kątem oka niewyjaśnione nitki, które nie łączyły jednego człowieka z drugim.

- Ale przecież nie mogę widzieć czegoś takiego - powiedziała mu wtedy. - Widzę tylko nitki łączące ludzi, których widzę, a przynajmniej znam. A jednak nie widziałam nikogo, do kogo te nitki mogłyby prowadzić.

- Albo widziałas ich kątem oka - zasugerował Oy kib. - Widziałas ich, nie wiedząc, co widzisz.

- Jeśli tak, to jest ich mnóstwo, wszędzie wokół wioski i na polach, a my ich nie widzieliśmy. Ani razu, nigdy. To naprawdę głupia myśl.

- Ale oni naprawdę są wokół cały czas.

- Wokół, ale daleko. Mówiłeś, że to, co słyszałeś, jest ciche.

- W porównaniu z Nadduszą. To jak próbować usłyszeć daleki koncert, gdy ktoś gra na piszczałce tuż koło ciebie.

- Widzisz? Sam powiedziałaś: „daleki koncert”.

- A jeśli ktoś nas obserwuje?

- A nawet jeśli, to co? - odpowiedziała mu Chveya. - Niech sobie obserwują.

Opiekunka też ich obserwuje.

Oczywiście, wszyscy, którzy wierzyli w prawdziwość snów, szukali skrzydlatych lataczy i ryjących nory gryzoni - jak Hushidh i Luet je nazwały? Aniołów i kopaczy. Lecz we wszystkim tym, co słyszał Oy kib, we wszystkich tych przeblyskach czyichś nitek lojalności i troski nie słyszeli ani nie widzieli niczego, co mogłoby im powiedzieć, którym z tych osobliwych gatunków ze snów byli ich ciekawscy sąsiedzi. Jeśli to był któryś z nich.

Oy kib był coraz bardziej poruszony snami i pragnieniami, które do niego napływały. Żądza zjedzenia czegoś ciepłego i słono-krwistego, wciąż drgającego życiem - gdy po raz pierwszy zrozumiał tę jedną, zebrało mu się na wymioty z obrzydzenia dla samego siebie, że mógł pragnąć czegoś takiego. I choć wiedział, że ta chęć pochodziła spoza niego, i tak go prześladowała. To ciepłe, słono-krwiste coś, co chciał zjeść żywcem, było - jak rozumiał - miękkim, delikatnym niemowlęciem. Wyobrażał je sobie jakoś pokrętnie - oślepiający blask nieba, skórzasta, trzeszcząca kotara. Podobnie jak cała komunikacja między Opiekunem a tymi nieznanymi, nic nie było naprawdę jednoznaczne. Lecz Oy kib wiedział jedno: była to modlitwa jednego z tych stworzeń do Opiekuna Ziemi, modlitwa o żyjące ciało maleństwa.

Co za potwory z tych ludzi?

Nie mógł o tym powiedzieć nikomu, bo ujawniłby, że przez wiele lat podsłuchiwał całą ich najbardziej poufną komunikację z Nadduszą. Wtedy wszyscy poczuliby się śledzeni, skrzywdzeni. A mówiąc Chveyi, rozbudziłby w niej obawę o bezpieczeństwo ich dziecka dojrzewającego w jej łonie; o bezpieczeństwo maluchów, które co dzień uczyła w szkole.

Choć więc przekazał jej większość z tego, co podsłuchał, nie mógł powiedzieć o najgorszym; przez ostatni tydzień nie potrafił jej wyjaśnić, czemu budził się w środku nocy spocony ani czemu ostatnio prawie się nie odzywał do nikogo.

Ta noc przyniosła wiele odpowiedzi. Gdy bowiem ten nietoperz ze skórzastymi skrzydłami opadł na dach pobliskiego namiotu magazynowego, Oy kib wyczuł zupełnie inny rodzaj istoty. To stworzenie również otrzymywało prawie nieprzerwany strumień komunikacji od Opiekuna w jeszcze innym nieznanym języku pragnień, jednak wyraźniejszym, choć też bardziej bojaźliwym. Przewijały się tam pytania, i to formułowane w pojęciach, które Oy kib potrafił zrozumieć. Nie rozumiał słów, lecz wiedział, że tego języka można się nauczyć.

Pragnienia rozumiał bardzo dobrze. Życzenie, by nie zawieść innych; chęć ochrony żony i dzieci; głód poznania sekretów.

Gdy Oy kib obserwował tę istotę na dachu namiotu, ujrzał obraz tego, czyje sekrety to latające stworzenie próbowało rozszyfrować. Niemal równocześnie w jego myślach zagościły

dwa wyobrażenia. Mglisty obraz ludzkiej głowy z niewypalanej gliny, ogromnej i potwornej; a potem, o wiele wyraźniej, obraz Nafaia. Tyle że to nie był Nafai. To było stworzenie takie jak tamto, ale z rzadkimi kępkami włosów i postrzępionymi skrzydłami, niezdolne do lotu, a mimo to szanowane.

Nafai, choć zarazem nie-Nafai.

Wtedy nagle zrozumiał. Pradawni. To jest słowo tej istoty na określenie nas, istot ludzkich. To my jesteśmy Pradawni.

Czyżby oni wiedzieli, iż ludzie kiedyś już żyli na Ziemi? Nonsens. Niczego nie można pamiętać przez czterdzieści milionów lat. Zresztą te istoty nie rozwinęły jeszcze inteligencji, kiedy ludzie ostatnio chodzili po Ziemi.

Potem nietoperz uniósł się z dachu i przeleciał szybko przez polanę, lądując u podstawy statku. Tam, dotykając metalu, a potem stukając w niego palcami, przemawiało do Opiekuna - nie, śpiewało do Opiekuna, w takim radosnym było nastroju. Oy kib czuł nabożny zachwyt i radość tego stworzenia. Naszła go wyraźna myśl: Oni wprawiają muzykę w swoje dzieła.

Zrozumiał to, mimo że słowa były w języku, którego nigdy wcześniej nie słyszał. Nie wypowiedziano żadnego prawdziwego dźwięku, a jednak wiedział w głębi swej pamięci, jak brzmiałby głos tego stworzenia. Wysoki i dźwięczny, bogaty w subtelne, przeciągłe samogłoski, acz bez spółgłosek trących, nosowych, nawet szczelinowych. Jedynymi spółgłoskami były te zwarte, choć nie mniej dźwięczne niż podwójne staccato flecisty robiącego arytmiczne pauzy w melodii za pomocą języka. Te wszystkie T, K, G, P, B i D oraz spółgłoska gardłowa, której, jak wiedział, nie miał szans z siebie wydobyć. Czasem te spółgłoski wymawiało się z dodatkowym wypuszczeniem powietrza; a innym razem urywało. Był to piękny język.

Co ważniejsze, wyrażane pragnienia nie były mroczne ani okrutne, a Opiekun nie starał się tego stworzenia powściągnąć. Nie odwoził go, lecz zachęcał, wzmacniając jego pragnienia. Ten kontrast stanowił taką ulgę dla Oy kiba po dniach zamętu i mroku, że powiedział: „Nareszcie Opiekun sprowadził do nas przyjaciela”.

Zapomniał już, jak ostrożne i czujne jest to stworzenie - nie, ten anioł. Nie zdawał sobie sprawy, że anioł nie zauważył go w ciemnościach. Lecz jak tylko usłyszał własny głos, wiedział, że był zbyt donośny, zbyt nagły. Anioł wyskoczył w powietrze niemal na wysokość człowieka, a potem uderzał skrzydłami w popłochu, by uciec od zagrożenia.

Lecz przerażenie nim nie ośwładało. Zawrócił, szybując, jakby próbował lepiej przyjrzeć się człowiekowi. Cóż, patrz, ile chcesz, pomyślał Oy kib, stojąc z otwartymi i

rozłożonymi szeroko rękami. „Nie zrobię ci krzywdy” - przekazywał postawą ciała.

I powiedział do Opiekuna: „Pomóż mu zrozumieć, że nie jestem jego wrogiem”.

Nie było odpowiedzi, jak zwykle. Inni dostawali sny i wyszeptane, ciche słowa porady; on mógł tylko je podsłuchiwać, nigdy nie otrzymał ich bezpośrednio dla siebie. Tym razem jednak, z wciąż świeżym wspomnieniem anielskiego języka i pragnień, nie żałował tego braku. Może był to lepszy dar - słyszeć innych.

Gdy anioł uleciał w nocne niebo, w świetle księżyca wznosząc się w górę kanionu, Oy kib okrążył statek i poszedł do domu. Widział błysk latarni. Kto był dzisiaj na warcie? Meb? Vas? Jeden z Elemakitów w każdym razie.

Obring. On zawsze szedł, wymachując latarnią, przez co nie mógł zauważyć żadnych podejrzanych ruchów, gdyż lampa rzucała ruchome cienie. Oy kib słyszał kiedyś, jak Elemak strofował za to Obringa, który tylko się zaśmiał i rzekł: „Tu nie ma czego zobaczyć, Elya. A zresztą teraz wszyscy słuchamy Volemaka, a nie ciebie, pamiętasz?”.

Elemak pamiętał. Nigdy nie rozmawiał z Nadduszą ani nie wznosił do niego modłów, lecz klął, a sama intensywność przekleństw nadawała im formę komunikacji z Nadduszą, tak że Oy kib mógł je usłyszeć. Ciche przekleństwa, niewypowiedzane na głos. Elemak nad sobą panował. Na końcu była jednak mantra: „Zawsze dotrzymuję słowa. Nie złamię przysięgi”.

Oy kib nie miał wątpliwości, o jaką przysięgę chodziło Elemakowi - tę złożoną ojcu, że będzie mu posłuszny. Lepiej niż inni - prócz Hushidh i Chveyi, które widziały linie lojalności w grupie rozpostarte niczym mapa - Oy kib zdawał sobie sprawę, że pokój w tej kolonii jest powierzchowny. Wszyscy wiedzieli, kto należy do Elemakitów, a kto do Nafaritów; osada była praktycznie podzielona przez środek, Nafarici mieszkali na wschodzie, Elemakici na zachodzie. Kolonia nigdy nie będzie zjednoczona. Obyś żył w zdrowiu, Volemaku. W zdrowiu i długo. Oby nie doszło do wojny między nami, póki moje dzieci nie zdążą się bezpiecznie urodzić i podrosnąć. Żyj wiecznie. Tylko ty jesteś powrozem trzymającym to żniwo w jednym pęku.

Tak więc Obring trzymał straż, choć nieudolnie, podczas gdy Oy kib słyszał mroczne pomruki i potworne modlitwy dochodzące z mroku i nie miał odwagi nikomu o nich powiedzieć.

Czy dziś w nocy była w nich jakaś nowa niecierpliwość? Jakies poczucie triumfu z domieszką strachu? Śmiałość, to było to. Ktoś ośmielał się na coś, na co nikt nigdy wcześniej się nie ośmielił. A Opiekun słał nieprzerwany strumień rozpraszających bodźców. Coś się dzieje. Co? Przemów do mnie, Opiekunie! Przemów do mnie, Nadduszo!

Gdy Oy kib wszedł do domu, Chveya już spała. Często tak było. Wstawiała o świcie,

pracowała ciężko przez cały dzień, jakby jej ciąża nie powinna robić różnicy w jej rozkładzie dnia. Potem nieraz wracała do domu i zasypiała w ubraniu tam, gdzie akurat siedziała albo leżała. Pewnego razu Oy kib wrócił i znalazł ją śpiącą na stojąco - nie opierała się o nic, z zamkniętymi oczami stała niczym maszt pośrodku jedynej izby domu.

Dziś leżała na łóżku, ale kompletnie ubrana, z nogami zwisającymi nad podłogą. Nie chciał żony budzić - lecz nogi by jej zdrętwiały, a gdyby obudziła się w nocy z pełnym pęcherzem, mogłyby jej nie utrzymać.

Zresztą to ważne. To, co stało się dziś w nocy, anioł, który przybył do osady, do statku i go dotknął. Wyrazistość jego głosu do Opiekuna i głosu Opiekuna do niego. To, że Oy kib słyszał jego język i go rozumiał. I pomruki, i poruszenie wśród innych, mroczniejszych istot, które otaczały wioskę.

Podniósł jej stopy na posłanie. Chveya się obudziła.

- Och, znowu? - mruknęła. - Chciałam na ciebie poczekać.

- To nic. Spij, kiedy możesz, potrzebujesz tego.

- Ale jesteś zły.

- Szczęśliwy i zaniepokojony - poprawił. Potem powiedział jej o wszystkim, co się stało i co to według niego mogło oznaczać.

- A więc anioły zaczynają do nas przychodzić - podsumowała.

- Więc są ci inni, tam w ciemnościach, to szczurze stwory, kopacze.

- Myślę, że masz rację.

- Czy Hushidh nie przyśniło się, jak one kradły dzieci?

- A ty czujesz, że coś jakby pękło tej nocy? - zapytała Chveya. - Sądzę, że musimy ostrzec resztę. Wystawić dodatkowe warty.

- I co mamy im powiedzieć? Jak to wyjaśnić?

- Nie musimy niczego wyjaśniać. Gdy poprosimy dziadka, by podwoił, potroił dziś strażę, zrobi to, nawet jeśli powiemy, że to tylko przecucie. On szanuje przecucia.

Podeszli do drzwi, lecz gdy tylko je otworzyli, doszedł ich krzyk z elemakickiej strony osady. Ludzki krzyk. Przepojony bólem całego świata.

POSZUKIWACZE

Krzyczała Eiadh. Po kilku chwilach otoczyli ją dorośli. Teraz już przestała krzyczeć, z wielkim trudem panowała nad sobą, tłumacząc:

- Zhivya zniknęła! Z kołyski. Obudziłam się i zobaczyłam te niskie cienie, biegnące. - Zgroza przesyciła jej głos. - Trzymały za rogi jej kocyka. Moje dziecko ukradły zwierzęta!

Gdzie był wtedy Elemak? Nie w domu z nią, to na pewno. Teraz pojawił się, klęknął przy progu.

- Spójrzcie na ten ślad. Zrobiło go zwierzę. Nie, dwa zwierzęta. Weszły i wyszły. Były znacznie obciążone, gdy wychodziły. - Wstał. - Widziałem latające stworzenie, które pofrunęło na pola, potem w górę na dach namiotu składu żywności, a jeszcze później w dół za statek. Odleciało w górę kanionu. Bez wątplenia po swoich przyjaciół. - Dotknął śladu stopy. - To... coś... mogło zostawić ten ślad. Idę za nim.

Oykib spojrzał na ślad i wiedział, że Elemak się myli. Stopy anioła były jak ręce, trochę też przypominały potężne obcęgi, a te ślady zostawiło stworzenie z bardziej płaskimi stopami i długimi, szponiastymi palcami. Stopami biegacza albo kopacza. Nie stworzenia, które lata, które czepia się gałęzi.

- Tego tropu nie zostawił anioł - stwierdził Oykib.

Elemak podniósł na niego wzrok pełen nienawiści.

- To Elemak umie czytać ślady zwierząt, Oykibie - wtrącił się Nafai.

- Ale ja widziałem tego anioła...

- Elemak też - odparł Nafai. - A tu chodzi o jego córkę. - Odwrócił się do brata. - Powiedz nam, co mamy zrobić, Elemaku.

Chveya ukryła twarz na ramieniu Oykiba. Reagowała tak, gdy Nafai mówił dokładnie nie to, co trzeba - co zdarzało się zadziwiająco często. Z pozoru miał rację; to było w pełni uzasadnione, że wszyscy zdali się na osąd Elemaka w tej kwestii. Powinien już jednak wiedzieć, iż Elemak nie będzie wdzięczny za to, że Nafai wziął go w obronę.

Oykib wiedział, że anioły nie zabrały dziecka. Porywacze nie umieli latać. Trzeba było ich szukać na ziemi. Co gorsza, mieli chrapkę na mięso niemowlaka. Poszukiwania były więc sprawą ze wszech miar pilną, a tropienie latających stworzeń spowoduje niepotrzebną zwłokę.

Matka jakby słyszała te myśli. Położyła rękę na ramieniu Oykiba.

- Cierpliwości, synu. Wiesz swoje i zostaniesz wysłuchany we właściwym czasie.

We właściwym czasie? Oy kib spuścił oczy na Chveyę. Zaciskała usta; była tak zmartwiona jak on.

Elemak organizował już ekipę poszukiwawczą, przydzielając mężczyznom rejony poszukiwań.

- Wszyscy dorośli tu są? - odezwał się Volemak. - To kto pilnuje dzieci, gdy wiemy już, że nie są bezpieczne w swoich domach?

Kobiety, które były matkami, czym prędzej pobiegły do swoich domów.

- Elemaku - rzekł Volemak. - Zostaw kilku mężczyzn do ochrony wioski pod waszą nieobecność.

Elemak zgodził się od razu.

- Zatrzymaj Nafaia. I Oy kiba, będzie mógł do woli opowiadać wam o swoich teoriach. Ale daj mi resztę mężczyzn.

- Ja jestem mężczyzną - mruknął Yasai.

Oy kib powstrzymał się przed powiedzeniem: „Tak, jeśli mlecz jest drzewem”. To nie pora na docinki. A Yasai był mężczyzną.

- W razie ataku będziemy potrzebowali ich więcej - przekonywał Volemak. - Może tych młodszych.

Teraz Elemak nie chciał ustąpić.

- Nafaia ma powłokę gwiazdnego sternika. I zostają starsi chłopcy. Próbuje wytropić stworzenia, które latają. Potrzebuję do tego jak najwięcej ludzi.

- Ja mogę chronić osadę - zaproponował Protchnu, próbując wyglądać na więcej niż dziewięć lat.

Elemak spojrzał na niego z poważną miną.

- Będziesz musiał. Bez sprzeciwu rób wszystko, co powie ci dziadek.

Protchnu skinął głową. Oy kib nie mógł nie pomyśleć, że gdyby Elemak kiedykolwiek zastosował się do swojej rady, wszystkim żyłoby się o wiele szczęśliwiej przez ostatnich kilka miesięcy.

Chwilę później Elemak wyruszył, z mężczyzn zostawiając tylko Nafaia, Issibę, Volemaka i Oy kibę.

- Witajcie w gronie bezużytecznych - zadrwił Issib.

- Bez użytecznych? Skądże znowu - odparł Volemak. - No dobrze, Oy kibie. Powiedz nam, co wiesz.

- Widziałem dziś anioła. Tego samego, co Elemak. Ale był ledwie kilka metrów ode

mnie i widziałem jego łapę. Nie mógł zostawić tego śladu.

- To kto go zostawił? - zapytał Nafai.

- Są inni - włączyła się Chveya. - Widziałam ich tylko przelotnie. Hushidh także. Oni są wszędzie wokół nas. Ale nisko, w zaroślach. Tak jak powiedziała Eiadh: niskie cienie. Czasem pośród drzew.

- Wiesz to i ich nie widziałaś? - zdziwił się Issib.

- Widzę powiązania między nimi. Niewyraźnie. Nic lepszego nie mamy.

- Za mało - ocenił Nafai. Zmroził Oyikiba wzrokiem. - Przestań kręcić, Oyikibie, i mów, co naprawdę wiesz.

Po raz pierwszy Oyikibowi przyszło do głowy, że może nie ukrywał swojego sekretu tak dobrze, jak mu się wydawało.

- Wiem tyle, że w tym aniele nie było złej woli. W jego umyśle jesteśmy Pradawnymi, darzy nas szacunkiem i podziwem. Ale są inne stworzenia, obserwują nas od miesięcy, a niektóre z nich... - Rzucił okiem na Eiadh i zdał sobie sprawę, że musi ostrożnie ważyć słowa.

- Niektóre z nich mogą być niebezpieczne dla Zhivyi.

- Te, które nazywaliśmy kopaczami - domyślił się Nafai.

Volemak potaknął.

- I żyją w pobliżu.

- I co, weźmiemy łopaty i zaczniemy kopać wszędzie wokoło? - parsknął Issib.

- Nory mają wejścia - zauważył Nafai.

- Przeszukiwaliśmy całą okolicę - odezwał się Protchnu. - Nigdy nie widzieliśmy żadnych otworów w ziemi.

- Czemu nie postąpimy zgodnie z rozsądkiem? - zapytał Oy kib. - Tak Elemak by zrobił, gdyby nie był taki pewny, że porywacze potrafią latać. Idźmy za śladami.

Trop kopaczy urywał się niemal natychmiast w gąszczu ich własnych śladów, które powstały, gdy biegli zaalarmowani krzykiem Eiadh. Wcale nie pomogło to, że kobiety wyciągały właśnie maluchy z łóżek i zbierały je razem w budynku szkoły. Jednak pomimo wrzawy Volemak zdołał rozdzielić latarnie wśród mężczyzn i starszych chłopców, a kilka minut później Protchnu zawołał:

- Tutaj! Nie skręcali, biegli w linii prostej.

Faktycznie, trop nieco dalej znów był widoczny. Protchnu powiodł mężczyzn i chłopców tym śladem ku skrajowi lasu.

- Czekajcie - zarządził Volemak. - Nafai, Oy kib, rozdzielcie się na boki i miejcie oczy otwarte. Nie chcę, żeby Protchnu wszedł w jakąś pułapkę.

Niosąc latarnie w jednej ręce, a w drugiej narzędzia ogrodnicze jako prowizoryczną broń, oddział tropicieli przekroczył granicę lasu. Czterech dorosłych mężczyzn, grupka chłopców i młodych kobiet, które jeszcze nie miały dzieci - to miało przejąć lękiem serca wrogów. Jak tylko weszli do lasu, tropienie stało się trudniejsze; ślady nie odciskały się zbyt wyraźnie na podłożu z liści. Protchnu potrzebował kilku minut, żeby posunąć się ledwo o sześć kroków w głąb lasu, a potem zgubił ślad.

Poruszając się wolno i ostrożnie, rozeszli się coraz szerszym kręgiem w poszukiwaniu kolejnych tropów. Wtem Oy kib usłyszał ciche wołanie Protchnu. Chłopiec patrzył w górę na gałęzie.

- Ale jestem głupi! - skarcił się i natychmiast pobiegł tam, gdzie trop się urywał.

Oy kib pognał za nim.

- Myślisz, że ponieśli dziecko po drzewach?

- W górę i do środka jednego - poprawił Protchnu. - Pamiętasz te puste pniaki, które znaleźliśmy przy ścinaniu drzew?

- Shedemei powiedziała, że to jakaś choroba...

Chłopiec zdążył już jednak wdrapać się na drzewo i teraz naciskał na pień tu i ówdzie.

- Protchnu, chyba nie szukasz ukrytych przejść, co?

- Spaliliśmy puste drzewa, bo nie mogliśmy ich użyć do budowy - przypomniał chłopiec. - Powinniśmy je przebadać. Ślady prowadzą prosto do tego drzewa i znikają. Oni przecież musieli gdzieś pójść. - Nagle znieruchomiał z szerokim uśmiechem na ustach. - Tu trochę się ugięło. Unieś pochodnię, wujku Oy kibie. Znalazłem wejście. - Wbił ostrze motyki w szczelinę w korze, podważył i kawał kory otworzył się niczym drzwi. Aż do tej chwili zdawał się jednolitą częścią pnia.

- Protchnu, przypomnij mi, żebym nigdy nie nazywał cię głupim - ucieszył się Oy kib.

Chłopiec jakby go nie słyszał. Już wsadził nogi do otworu.

Oy kib odstawił latarnię i podskoczył lekko w górę, łapiąc go za rękę.

- Nie! - krzyknął. - Nie chcę ratować dwojga dzieci Elemaka!

- Tylko ja mogę się przecisnąć! - odkrzyknął Protchnu, starając się wyrwać z uchwytu Oy kiba.

- Proya, błysnąłeś geniuszem, więc teraz się nie wydurniaj! Nie możesz zejść do ich nory! Nie wiesz nawet, czy będzie tam dość miejsca, by się zamachnąć motyką. Wyciągnij nogi, zanim tamci obetną ci stopy!

Chłopiec posłuchał niechętnie.

Reszta zdążyła się już zebrać wokół drzewa. Nafai niósł siekierę, Oy kib również. Gdy

Prochnu zszedł z drzewa, zaczęli uderzać w pień. Po kilku minutach drzewo się przewróciło.

Teraz otwór był na tyle szeroki, że każdy z dorosłych mógł przecisnąć się przez niego na dół. Opuściwszy latarnię, Nafai oznajmił, że komnata jest dość wysoka, aby człowiek mógł w niej stanąć, a tunele na tyle przestronne, że ludzie mogli z nich skorzystać - na czworakach.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł w tej chwili - ocenił Volemak.

- Nie mamy czasu do stracenia, ojczu - przekonywał Nafai.

- Wstań i rozejrzyj się, Nyef.

Unieśli latarnie i zobaczyli, że na drzewach i na ziemi są setki kopaczy, potrząsają palkami i włóczniami o grotach z kamienia.

- Chyba mają nad nami przewagę liczebną - zażartował Issib.

- Są brzydcy - ocenił syn Sevet, Umene. - Cali różowi i bez włosów.

- Ich brzydota to najmniejszy z naszych problemów - stwierdził Volemak.

- Jakiś pomysł, kto jest ich przywódcą? - zapytał Nafai.

- A czy Chveya nie poszła z nami? - odparł Oy kib.

Ona już przepatrywała kopaczy. Zmarszczyła brwi, potem wskazała jednego.

- Tam jest, z tyłu.

Nafai zdjął koszulę przez głowę, obnażając plecy i pierś. A gdy to zrobił, jego skóra zaczęła się jarzyć, lśnić. Powłoka gwiazdnego sternika, zwykle niewidzialna, teraz emanowała światłem, przeistaczała Nafaia w boga - przynajmniej w oczach tych kopaczy. Oy kib usłyszał kakofonię modlitw i klątw.

- To działa - powiedział cicho. - Mięśnie zwieraczy się rozluźniają. Gdy ta noc się skończy, będzie tam kawał superżywej ziemi.

Kilku chłopców się zaśmiało. I żaden z dorosłych.

- Którego z tych małych potworków szukam? - spytał Nafai.

Chveya zbliżyła się do niego, uważając, żeby nie dotknąć świecącej skóry. Teraz wypatrzyła w tłumie przywódcę, wielkiego, silnego osobnika z naszyjnikiem z kostek.

- Tego z rytualnym wisiosem.

Nafai uniósł dłoń i wskazał przed siebie. Jego palec zaślnił - wystrzeliła iskra i przywódca kopaczy legł jak długi na ziemię, drgając w konwulsjach.

- Nie zabiłeś go, prawda? - zaniepokoiła się Chveya.

Oy kib prawie jej nie słyszał. Tumult struchlałych modlitw go ogłuszył. Przerazenie kopaczy było zabarwione wściekłością i żądzą zemsty. Bali się Nafaia, lecz go nienawidzili i chcieli zniszczyć.

- Jeśli myślisz, że robisz sobie przyjaciół... - mruknął Oy kib.

- Oy kib, ty mów - odparł Nafai, ignorując ich komentarze. - Ja jestem zajęty udawaniem boga. Nie mogę pozwolić, by zobaczyli, że mam problem z komunikacją. Zresztą tylko ty masz jakąś szansę zrozumieć ich reakcje.

Oy kib był zdumiony.

- Ja mam do nich mówić? Przecież nie znam ich języka.

- Podłapałeś trochę z języka aniołów, nie? Naddusza tak mówił.

- Ale ja nigdy nie rozumiałem... ani nie słyszałem nawet ich...

- Zaraz usłyszysz.

A więc Naddusza wie, kim jestem i co potrafię robić, pomyślał Oy kib. Tylko czy wie, jak wiele zrobić nie mogę?

Postąpił naprzód i zbliżył się do przywódcy, któremu inne kopacze już pomagały się podnieść.

- Dziecko - powiedział. Na migi pokazał, jak kołysze dziecko w ramionach. Kopacze obserwowały już ludzi na tyle długo, by zrozumieć, co oznacza ten gest.

Król kopaczy coś wybełkotał. Ich język zaskoczył Oy kiba. Był przeciwieństwem języka aniołów - same spółgłoski syczące, szczelinowe, nosowe, z dźwięcznością nie muzyki, lecz mamrotania i plucia. Czy dla mnie brzmi to jak zły i oślizgły język tylko dlatego, że wiem o ich modlitwach i żądзах?

Gdy król kopaczy przemawiał do swoich poddanych, Oy kib nie rozumiał nic, rzecz jasna. Po kilku chwilach kopacze wyciągnęły z grupy czterech swoich żołnierzy i rzuciły ich pod nogi Nafaia. Teraz Oy kib wyraźnie zdołał poczuć przerażenie, przekleństwa i modlitwy tej czwórki.

- To są porywacze - zinterpretował. - Chyba oddają ci ich, żebyś ich ukarał.

Nafai natychmiast odwrócił się plecami do ofiarowanych.

- Powiedz im, że chcę dziecka, nie zemsty.

- Och, i mam to zrobić na migi? - zadrwił Oy kib. Lecz i tak spróbował, używając tego samego gestu na określenie dziecka, a potem pokazując, by zabrano tych czterech.

Kopacze najwyraźniej jednak myślały, że ten gest oznacza coś innego. Na komendę króla czterech innych wysunęło się naprzód i przyłożyło groty włóczni do gardel porywaczy.

- Nie! - krzyknął Oy kib, słysząc wtórujący mu głos Chveyi.

Nafai odwrócił się i jednym wymachem roziskrzzonej ręki posłał osiem kopaczy na ziemię. Potem jakby w amoku zaczął celować w drzewa, aż gdzieś pomiędzy gałęziami zatlił się ogień.

- Jest za mokro, by wzniecić prawdziwy pożar - szepnął Oy kib.

- Na to liczę - odparł Nafai. - Myślisz, że chcę puścić naszą osadę z dymem?

Kopacze jednak były przekonane, że doświadczyły właśnie gniewu bogów i że ich las czeka zguba. Król przypadł do stóp Nafaia. Zaraz przekręcił się na plecy i rozłożył ręce i nogi na bok, odsłaniając brzuch.

W głowie Oykiba zaroilo się od modlitw, a teraz, ponieważ znał już kontekst, zrozumiał więcej ze słów króla.

- On błaga boga - ciebie - by go zabił i oszczędził jego lud.

- A więc jest godnym królem - szepnął Nafai. - Powiedz mu, że chcemy odzyskać dziecko, nic więcej. Ale najpierw uszanuję jego ofiarę. - Stał w rozkroku nad leżącym królem i dotknął jego piersi ostrzem siekiery. - Co ty na to? - zapytał. - Oni są brutalnym ludem, nie? Poradź coś, wymyślam rytuał z marszu.

- Żadnej krwi - zasugerował Oy kib. - To nie byłoby nie w porządku. Rytuałami krwi zajmuje się drugi król.

- Drugi król? - zdziwił się Nafai.

Chveya też była zaskoczona, lecz zaraz to potwierdziła:

- Taka sama lojalność jak z tym wiąże ich z innym... Ale jest też ktoś jeszcze. Ktoś, wobec kogo sam król czuje respekt. Ktoś pod ziemią.

- Żadnej krwi - powtórzył Nafai. - To co powinienem zrobić?

- Daj mu siekiere - zaproponował Oy kib. - Nie śmie na to liczyć, lecz chce jej nade wszystko. Da ci w zamian swoją włócznię i wisior z kości.

Nafai pozwolił trzonkowi siekiery wysliznąć się z dłoni.

- Nie! - krzyknął Protchnu za nim. - Nie oddawaj swojej broni! Nigdy nie oddaje się swojej broni!

- Cicho bądź, Proya - łagodnie skarcił go Volemak.

Król kopaczy przetoczył się na brzuch i stanął na nogi. Nie mógł podnieść żelźca, trzymając za koniec rękojeści, bo trzonek nie był dopasowany do jego ręki. A więc kopacze nie zdołają użyć siekiery jako broni.

Król schylił się po swoją włócznię i zaoferował ją Nafaiowi.

- Co to będzie znaczyło, jeśli ją wezmę? - zapytał Nafai.

- Nie wiem - odparł Oy kib. - Myślisz, że ta wiedza przychodzi mi do głowy razem ze słowniczkiem i przypisami?

Nafai przyjął włócznię. Teraz król zdjął przez głowę naszyjnik z kości i wyciągnął go do Nafaia.

- Nie podobają mi się te kości - rzekł Nafai niepewny, czy przyjąć ten dar.

- Mnie również - przyznał Oy kib. - Czas znów zażądać Zhivyi.

- A to czemu?

- Bo nie podoba mi się, jak on modli się o to, żebyś przyjął ten wisior. On naprawdę bardzo chce, żebyś go wziął, ale raczej nie dlatego, że cię kocha.

- W porządku. Powiedz mu, że chcę odzyskać dziecko.

Oy kib stanął między Nafaiem a królem, uniemożliwiając przekazanie naszyjnika. Król przysiadł na zadzie. Wyglądał na... czy to był gniew? Oy kib uznał, że gniew. Pokazał gestem kołysanie dziecka, potem krzyknął - nie, ryknął - prosto w twarz króla:

- Przynieście Zhivyę albo zabijemy was wszystkich, wy odrażające, gołe, różowe sukinsyny!

- Skoro i tak cię nie rozumiem - odezwała się Chveya - to czy nie mógłbyś używać języka, którego nie będziemy musieli później tłumaczyć małym chłopcom?

- On próbuje zakomunikować wściekłość - stwierdził Nafai. - To działa?

- Och, tak. Obaj z pewnością zyskujecie panowanie nad sytuacją. Nie lubią was jednak.

- Łamią mi serce, doprawdy.

- Złam włócznię - podpowiedział Oy kib.

- Co?

- Właśnie tego się boi, stojąc tam z siekierą w ręce. Boi się, że złamiesz włócznię.

Nafai połamał drzewce włóczni o kolana. Trzask pękającego drewna zawibrował w powietrzu.

Król kopaczy od razu chwycił siekierę w obie ręce i próbował połamać. Nie mógł. Trzonek był zbyt gruby.

- Zrób coś jeszcze, w czym ci nie dorówna - zasugerował Oy kib. - Musi ulec dwukrotnie.

Nafai schylił się i podniósł kawałek włóczni z grotem na końcu. Ostrzem szybko i głęboko ciął się przez brzuch. Krew trysnęła w twarz króla, a Oy kib ujrzał z przerażeniem, że Nafai przebił się przez mięsień, odsłaniając wnętrzności. Zaraz jednak powłoka gwieźdnego sternika zasklepiała ranę, nie zostawiając blizny.

Król kopaczy odwrócił siekierę w ręce, jakby zastanawiał się nad wypruciem własnych trzewi.

- Nie chcę, żeby się zabił - powiedział Nafai. - Nie mam mocy, żeby go uleczyć.

- Bez obaw - odparł Oy kib. - Zrobiłeś dokładnie to, co trzeba. Jedyna rzecz, której król wojny zrobić nie może, to upuścić własnej krwi dla ludu. Nie pytaj dlaczego, wiem tylko, że

to jest ten dylemat, który próbuje teraz rozwiązać.

- Ktoś inny nadchodzi - przerwała mu Chveya.

W armii kopaczy rzeczywiście nastąpiło poruszenie.

- To nie król krwi - rzekł Oy kib. - To matka.

- Królowa?

- Sądzę, że to samica króla wojny, tak - odparł. - Ale jest kimś więcej. Oni wszyscy ją nazywają matką.

- Jak to, królowa szczurów? - zdziwiła się Chveya. - Coś jak królowa roju pszczół czy mrówek?

- To ssaki - przypomniał jej Oy kib. - Chyba chodzi o godność religijną. Jak król krwi i król wojny. - Potem niepewnie wydał z siebie dźwięk, który słyszał w myślach. - Emeezem.

- Co to? - zapytał Nafai.

- Jej imię. A jej godność to Ovovoi.

- Powtórz to imię - poprosił Nafai. - Muszę to powiedzieć poprawnie za pierwszym razem.

- Emeezem. Ale nie jestem całkiem pewien.

Nafai uniósł brodę i wrzasnął niczym nawoływacz na targu:

- Emeezem!

Kopacze zamilkły jak jeden mąż. Pojedyncza sylwetka wyłoniła się z lasu i powoli zbliżyła się do Nafaia.

Widać było, że to samica, ale miała bujniejsze owłosienie niż większość samców. Nie nosiła żadnych ozdób, dzięki pasmom siwizny we włosach wydawała się słaba i krucha, lecz dostojna.

- Ona błaga boga, żeby jej wybaczył. Nie znała zamiarów głupiotkich samców.

- Chcę odzyskać dziecko - powiedział Nafai.

- Ona to wie. Jej kobiety już go szukają - wyjaśnił Oy kib. Potem nagle zrozumiał, co próbowała dojrzeć z tak wielkim trudem. - Chveya, podnieś latarnię do twarzy Nafaia.

Chveya usłuchała, a królowa kopaczy zasłoniła oczy i zwinęła się w kulkę na ziemi.

- Teraz może już umrzeć szczęśliwa - tłumaczył Oy kib - bo w końcu ujrzała twarz żywego boga.

- Moją twarz? - Nafai nie dowierzał.

- Tak mi się wydaje. To ty masz bezpośrednią łączność z Nadduszą. Ja z trudem się w tym orientuję.

- Nie marudź. Naddusza nie słyszy tego co ty. Twoja więź z Opiekunem jest lepsza niż

jego.

Oykib poczuł ciepło rozlewające się po całym ciele. Duma i strach, osobliwe połączenie. Naddusza potrzebuje mnie, mojej pomocy - to była ta duma. Lecz strach był silniejszy - jeśli popełnię błąd, nie ma nikogo, kto mógłby mnie poprawić.

Emeezem podniosła się z ziemi.

- Przez całe życie czekała na ciebie - ciągnął Oykib, próbując zrozumieć obrazy, które przemknęły mu przez głowę; chyba były to jej wspomnienia z dzieciństwa. - Ona myśli, że to ty uczyniłeś ją królową. Bo ją uznałeś.

- Kiedy?

- Gdy była małą dziewczynką. Nie rozumiem tego, ale widzę cię w jej wspomnieniach.

- Jej więź z tobą jest niewiarygodnie silna - dodała Chveya. - Silniejsza niż jej więź z mężem. To naprawdę niesamowite, ojcze.

- Błaga cię, żebyś oszczędził życie jej męża. On też nic nie wiedział. Syn króla krwi porwał Zhivę.

Emeezem wyszczała i wyparskała gniewny rozkaz do męża, a on podniósł się na nogi i wykrzyczał niemal te same słowa. Chwilę później promieniejący dumą samiec wystąpił naprzód, nonszalanckim gestem odrzucając broń. Podszedł i stanął przed Nafaiem, lecz nie uklonił się ani w żaden inny sposób nie okazał szacunku.

Król wojny i Emeezem wymamrotali rozkazy do niego, ale nie dał po sobie poznać, że ich słyszał.

Królowa odwróciła się do Nafaia i wyrzuciła z siebie stek obelg - tak to brzmiało.

- Ona błaga cię, żebyś zabił Fusuma - przetłumaczył Oykib. - Tak nazywa się ten młody. To on wszystko uknuł, mimo że wszyscy mieli zakaz robienia nam krzywdy.

- Nie zabiję go - stwierdził Nafai.

- Coś zrobić musisz - odparł Oykib. - On jest najbardziej winny. Król wojny nie ośmielił się go tknąć, bo jest synem króla krwi, i dlatego wydał ci czterech faktycznych porywaczy. Ale ty jesteś bogiem, Nyef. Musisz mu coś zrobić albo... no, nie wiem. Zapanuje chaos. Apokalipsa. Coś bardzo niedobrego w każdym razie.

- Nie podoba mi się to. A jeśli go wezmę jako jeńca?

- I wsadzisz do naszego bezpiecznego więzienia? - zadrwiła Chveya. - Dobrze, że od razu je wybudowaliśmy.

- Nie jeniec więc. Zakładnik?

- Poraż go - odpowiedział Oykib. - Oni są przerażeni, bo się wahasz.

- Chcę tylko, by Zhivya wróciła do nas. Nie chcę żadnych trupów.

Volemak podszedł i stanął obok Nafaia.

- Pokłoń mi się - rzekł. - Czy co tam uchodzi za pokłon w ich kulturze.

- W takim razie stań na czworakach i pocałuj ojca w brzuch - poradził Oy kib.

- Żartujesz! Nie tak król wojny okazał szacunek mnie.

- On złożył siebie jako niegodną ofiarę. A ty masz pozdrowić ojca jako twojego króla i rodzica.

- Zrób to - polecił Volemak. - Oni nie wiedzą, że nie mam mocy powłoki. Muszą zobaczyć, że ty również przyjmujesz rozkazy od kogoś innego. A to im powie, że choć jesteś potężny, jeszcze nie zobaczyli pełni naszej potęgi.

Nafai stanął na czworakach. W tej pozycji nie mógł ustami dosięgnąć brzucha ojca. Oderwał ręce od ziemi i unióś się na tyle, by przycisnąć twarz do koszuli Volemaka.

Wśród kopaczy rozszedł się szmer.

- Możesz rozświecić się jeszcze jaśniej niż teraz? - zapytał Volemak.

- Tak.

- A zatem jak dotknę twojej głowy, rozpal się na całego.

Volemak teatralnym gestem rozłożył ręce i położył je na głowie syna. Nafai eksplodował światłem. Nawet ludzie głośno westchnęli, a kopacze zakrzyknęły ze zgrozą.

- Dobra robota - pochwalił Volemak. - Tak myślałem, że musimy podkreślić postrzeganie naszej potęgi. A teraz powal tego dumnego szczeniaka. Nie zabijaj go, tylko ogłusz.

Nafai podniósł się, wciąż promieniejąc, i wyciągnął rękę, wskazując na Fusuma.

Syn króla krwi nie skulił się, nawet nie drgnął. Patrzył wyzywająco w twarz Nafaia. Wtem powietrze między nimi zaskwierczało, Fusum rozrzucił kończyny sztywno na boki i padł wstrząsany drgawkami.

- Masz naturalne wyczucie dramatyzmu - ocenił Volemak. - A teraz powiedz Oy kibowi, żeby kazał zanieść tych dziewięciu ogłuszonych kopaczy do statku.

- Do statku? - zdziwił się Nafai.

- Nie pokazuj im, że się ze mną spierasz - ostro skarcił go ojciec. - Słuchaj bez dyskusji. Będą zakładnikami. Shedemei może ich trzymać w odurzeniu albo nawet wprowadzić w letarg i przeprowadzić nieinwazyjne testy. Zaufaj mi.

- Ufam ci, ojczu. Wybacz, że się zawahałem. - Nafai odwrócił się do Oy kiba i demonstracyjnie poinstruował go zgodnie z poleceniami Volemaka.

Z początku to wydawało się absurdalne, by powtarzać mu słowa ojca, które wszyscy

słyszeli. Jednak w miarę jak Nafai to robił, cała sytuacja nabrała mocy obrzędu. To była manifestacja władzy. Król. Syn króla. Służący syna. Przedstawienie dla kopaczy. I dla ludzi, zwłaszcza chłopców. Zwłaszcza dla Protchnu. Widzisz, Proya, to jest potęga i władza, pomyślał Oy kib. Właśnie tak powinno to wyglądać i dlatego twój ojciec jest takim nieudacznikiem, bo nigdy nie potrafił zaakceptować rządów kogoś innego nad sobą. Ci, którzy nie chcą być rządzeni, nie są godni rządzić nikim innym.

Gdy więc Nafai skończył recytować polecenia, Oy kib ze szczególną celebrą wskazywał na każdego z nieprzytomnych kopaczy i sygnalizował innym, że mają ich zanieść do statku.

Królowa zrozumiała znaczenie tej sceny. Fuknęła coś ostro do męża, króla wojny, on zaś przywołał żołnierzy czekających wśród drzew. Chwilę później kopacze zebrali się czwórkami wokół nieprzytomnych i podnieśli ich z ziemi.

Wtedy z lasu odezwały się inne głosy. Emeezem zawołała w odpowiedzi i cztery samice kopaczy wyłoniły się z zarośli. Każda trzymała róg koca, na którym leżała roześmiana Zhivya, ciesząca się z przejażdżki.

- Szybko - rzekł Volemak. - Protchnu, biegnij do osady po Eiadh. Sprowadź ją tutaj! - A do Nafaia powiedział: - Nie bierz dziecka. Niech czekają. Oddadzą Zhivyę do rąk matki.

W milczeniu czekali. Wydawało im się, że minęły wieki, choć nie mogło to trwać więcej niż pięć minut. W końcu Protchnu powrócił z Eiadh, która krzyknęła z radości i pochwyciła Zhivyę.

- Moja maleńka, cała i zdrowa, roześmiana - zaśpiewała, śmiejąc się, płacząc i raz po raz okręcając się wkoło.

- Już dobrze - stwierdził Volemak. - Nafaiu, powiedz Oy kibowi, by im przekazał, że mają zanieść zakładników na statek. I każ Dazyi ich tam zaprowadzić, żeby mogła wyjaśnić Shedemei, co trzeba zrobić. Chcę, żeby zostali nieprzytomni i żeby ich dokładnie przebadano.

Dazy, niegdysiejsze Pierwsze Dziecko, podeszła do nich.

- Rozumiem - powiedziała.

- Najwyraźniej nie na tyle dobrze, by wiedzieć, że chciałem, by Nafai wydał ci rozkaz - upomniał ją Volemak, nie patrząc na nią.

Nafai odwrócił się do Dazyi i powtórzył polecenie Volemaka. Dazy, rumieniąc się, usłuchała i odprowadziła w stronę statku kopaczy niosących dziewięciu nieprzytomnych.

Hierarchia władzy została już wyraźnie ustanowiona. Królowa Emeezem zwracała się teraz bezpośrednio do Oy kiba. Problem w tym, że nie postrzegala go jako boga i gdy do niego mówiła, jej słowa nie były modlitwą. Nie były komunikacją z Opiekunem ani z Nadduszą,

więc Oy kib słyszał jedynie niezrozumiałe pomruki.

- Nie potrafię ich zrozumieć, póki nie myślą, że mówią do boga - rzekł.

- Pokaż, że nie chcesz ich słuchać - podpowiedział mu Volemak. - A gdy zamilknie, wskaż na Nafaia.

Oy kib tak zrobił. Królowa to zrozumiała i powtórzyła swoje słowa Nafaiowi. Oy kib znów ją rozumiał.

A może nie.

- Ona błaga cię, żebyś poszedł i zobaczył, jak dobrze... dbali o twoją...

- Dokończ - poprosił Nafai.

- To nie ma sensu.

- O co mojego dbali?

- Twoją głowę.

- Gdzie chce, żebym poszedł?

- To jest pod ziemią. Ona chce, żebyś zszedł z nią pod ziemię.

Nafai odwrócił się do Volemaka i z emfazą powtórzył wszystko, co powiedział mu Oy kib. Volemak udawał, że słucha ze srogą miną.

- Najpierw każ odejść żołnierzom - polecił. - A potem zejdź z nią do tuneli. Jeśli zamierzają nas zdradzić, tylko ty będziesz bezpieczny, bo masz powłokę gwiazdnego sternika.

- Muszę wziąć z sobą Oy kiba - odparł Nafai. - Ja ni w ząb nie rozumiem, co oni mówią.

Volemak wahał się tylko chwilę.

- Uważaj na niego.

NORY

To zadziwiające, że bóg zechciał zniżyć się do takiego stopnia. Emeezem ośmieliła się go prosić, bo była stara i nie znała strachu, a życie nauczyło ją, by mieć nadzieję nawet w sytuacjach beznadziejnych. Bóg uznał ją tak wiele lat temu, gdy była brzydkim, niegodnym dzieckiem - teraz uznał ją znowu i poszedł za nią do tuneli.

Opuścić królestwo światła i wejść w mrok, dlatego że poprosiła! Pozwolić jasnemu blaskowi swego nieśmiertelnego ciała rozświetlić ziemiste ściany głębokich świątyń! Miała ochotę śpiewać, tańczyć przez całą drogę w dół tuneli. Jednak prowadziła boga do jego świątyni, trzeba było zachować godność.

Szczególnie przez wzgląd na Mufruzhuuzha; on dzisiaj potrzebował godności. Nikt nie będzie miał mu za złe tego, co się stało - w końcu to Fusum uknuł plan porwania dziecka, doprowadzając do śmiertelnej konfrontacji, do której Muf nie dążył i której nie pragnął. A stanął naprzeciw boga z podniesionym czołem - wszyscy zobaczyli, że nie zna strachu, gdy oddał swe serce w ofierze. Potem, gdy bóg kazał mu dorównać swoim niemożliwym wyczynom, zmuszając Mufę do zrobienia tego, co zrobić mógł - jeśli w ogóle ktokolwiek - tylko król krwi, cóż, nikt nie mógł go winić za to, że się zawahał, że stał beczynnym. Nie miał wyjścia.

Tak czy owak to było dla niego upokarzające, że żona musiała wystąpić naprzód i uwolnić go z opresji. Mniejsza z tym, że rzadko zdarzało się, by żona króla wojny piastowała też godność matki korzeni. Okrył się hańbą, gdy jego żonę uznał bóg, który przed nim stawiał jedynie nierozwiązywalne zagadki.

Czy jednak Emeezem mogła coś na to poradzić, że dziecko znalazło się w jej rękach? Muf nie wiedział, gdzie je ukryto - dopiero gdy siostra Fusuma zorientowała się, jakiej okropności dopuścił się jej brat, wyjawiała Emeezem prawdę, a zanim to się stało, Muf już stał przed obliczem boga. To był po prostu nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Mufruzhuuzh nadal był królem wojny. Bóg przywróci wszystko do normy.

Był tak duży, że musiał na czworakach iść przez tunele. Rzecz jasna, mógłby kroczyć wyprostowany, zrywając dachy tuneli, po prostu się przez nie przedzierając. Lecz postanowił nie burzyć tuneli, by lud wciąż miał z nich użytek. Cóż za dobroć! Cóż za szczodrość wobec takich szarych, pełzających w ziemi robaków jak my!

Wokół słyszała tupot tysięcy stóp, gdy kobiety i mężczyźni mknęli do każdego

otwartego przejścia z nadzieją, że choć rzucą okiem na boga, gdy będzie ich mijał. Emeezem widziała ręce wyciągające się ku światłu bożego ciała; rodzice podnosili swoje dzieci, żeby światło boga je pobłogosławiło. A bóg wciąż za nią szedł, wciąż jaśniejący.

Dotarli do komnaty, gdzie tak wiele lat temu Emeezem - nie, wtedy po prostu Emeez - po raz pierwszy ujrzała niepokalaną głowę boga. Tu się zatrzymała i upraszała jaśniejącego, by im wybaczył, że tak długo trzymali go w ciemnicy.

Słyszała, jak bogowie rozmawiają. Potem jaśniejący polizał palec i dotknął nadproża drzwi, tym samym namaszczając płynem swego ciała wejście. To było coś więcej niż zwykłe przebaczenie. Z ulgą zaintonowała pieśń błagalną, a wielu innych dołączyło do niej. Usłyszała jeden męski głos śpiewający: „Umieściliśmy twą cudowną głowę w ciemnościach, nie adorując cię, w glinie bowiem nie mogliśmy dojrzeć twego światła. Lecz zwróciłeś nam wody życia i zniósłeś światło do trzewi ziemi. O szlachetny, o wielki!”. Inni zawtórowali mu: „O szlachetny! O wielki! O szlachetny! O wielki!”.

Bóg wyświadczył im grzeczność, stojąc nieporuszony, nieruchomy aż do końca pieśni. Potem Emeezem ruszyła dalej, prowadząc go w górę korytarza ku świątyni, którą z jej inicjatywy wybudowano dla niego. Ponieważ wizerunek głowy był tak wielki, uznała wówczas, że bóg jest bardzo wysoki, dlatego sprawiła, że jej lud wykopał głęboką świątynię, ale tak, aby dach sięgał do szczeliny w skale, więc nieco światła słonecznego rozwidniało komnatę. A w najjaśniejszym punkcie tego miękkiego, rozproszonego blasku, na piedestale z kości niebomiesów umieściła jego głowę.

Teraz panowała noc i gdy bóg wchodził do świątyni, wpadało do niej niewiele światła. Lecz on przyniósł je ze sobą, oświetniając każdy róg pokoju, gdy podniósł się na nogi. Za nim weszli inni, skupili się pod ścianami, obserwując, jak podchodził do piedestału, gdzie stała rzeźba. Teraz zobaczy, jak go wielbili, gdy zrozumieli, że ta dziwna, wielka głowa jest znakiem potęgi, a nie słabości. Czyż pierwszego roku nie złożono mu w ofierze całego wiosennego zbioru malutkich niebomiesów, tak że jego piedestał stał się tak wysoki jak każdego innego boga? Czyż nie oddawali mu też więcej niż należną część niebomiesów, rozkrajając je i dzieląc pomiędzy ludzi na jego chwałę co roku od tamtej chwili? A mimo to nikt nie korzystał z jego głowy w okresie godów, rozumieli bowiem, że nie należy go wielbić w taki sposób.

Bóg z wolna podszedł do wyrzeźbionej twarzy i zatrzymał się przed nią. Oblicze z gliny pojaśniało w blasku jego ciała. Wyciągnął ręce, wzniosł głowę do źródła nikłego, naturalnego światła księżyca oświetniającego tę komnatę i padł na kolana przed rzeźbą.

Rozumiem, pomyślała Emeezem. Pokazujesz nam, jak należy oddawać ci cześć. Nie

możemy zrobić tego dokładnie tak jak ty, bo nasze kolana zginają się inaczej. Będziemy jednak dotykali tej twarzy tak, jak ty jej dotknąłeś. Czy był jakiś powód, dla którego dotknąłeś akurat warg? Czy to zawsze powinny być wargi? Czy też mamy dotykać tej części, od której chcemy uzyskać błogosławieństwo? Musisz mi powiedzieć. Może później, jeśli raczysz skalać swe wargi naszą mową lub gdy twój podwładny półbóg zechce mówić naszym nieczystym językiem. Dotkniemy twojej twarzy, spojrzemy na światło, a potem przysiadziemy na tylnych nogach przed twym obliczem i będziemy się w nie wpatrywać. Tak, zapamiętam. Wszyscy zapamiętamy.

*

Shedemei była zarazem przerażona, obrzydzone i zafascynowana widokiem kopaczy, które wkroczyły do wioski, niosąc swoich pobratymców ogłuszonych przez Nafaia. Musiała odsunąć uczucia na bok i poprowadzić kopacze do statku. W lot pojęła zamiar Volemaka; widział, jak Shedemei badała kilka zwierząt, które ożywili, i wiedział, że ona może nauczyć się wiele o jakimś stworzeniu za pomocą wyposażenia statku. Musieli koniecznie poznać fizyczną budowę kopaczy, lecz żaden z nich nie mógł doznać uszczerbku.

Tyle że chyba to nie był dobry pomysł, żeby ukazać kopaczom wnętrze statku. Shedemei wiedziała, że Nafai wzbudził w nich nabożną trwogę, robiąc użytek z mocy powłoki gwiazdnego sternika. Może gładkie i lśniące powierzchnie w statku wzmocnią ten efekt; a może nie. Z pewnością ryzykownie było pokazać kopaczom, że ludzie są tylko ludźmi, że wszystkie cuda przez nich czynione zawdzięczają narzędziom i maszynom, a nie przyrodzonym im boskim mocom.

Te obawy musiały jednak poczekać na inny dzień. Volemak podjął decyzję - prawdopodobnie najlepszą. Shedemei się podporządkuje. Pokój, którym cieszyli się przez kilka miesięcy po przylocie na Ziemię, zasadzał się na uznaniu jego autorytetu; usłuchałaby go, nawet jeśli zupełnie by nie miał racji. Pragnęła pokoju. Szansy, by robić swoje, nie musząc się martwić, po której jest stronie i kto bierze górę w tej nieustannej rodzinnej waśni między dziećmi Volemaka i Rasy.

Pierwszym zadaniem po wyjściu kopaczy żołnierzy było uśpienie nieprzytomnych, żeby nie obudzili się w nieodpowiedniej chwili. Minęło czterdzieści milionów lat ewolucji, odkąd flora i fauna na Ziemi i na Harmonii się różnicowały, lecz elementarna chemia życia powinna być taka sama. Niewielka dawka najbezpieczniejszego środka usypiającego zapewne wystarczy. Shedemei komunikowała się z komputerem medycznym, ważąc każde z ciał po kolei. Gdy dawki zostały dobrane, przycisnęła waciki do różowej skóry.

Różowej, bezwłosej skóry - czemu te gryzonie straciły futro? Podejrzała, że nie stał

za tym żaden głębszy powód ewolucyjny; to była specyfika kulturowa. Upowszechnił się jakiś standard piękna i tylko osobniki, które wykazywały tę cechę, mogły się rozmnażać. Wkrótce różowa skóra zaczęła przeważać, a pogardzone, gdy owłosienie stało się udziałem mniejszości. W innym razie ta cecha nie miała sensu. Skóra kopaczy nie miała melaniny. Nie dziwnego, że musiały trzymać się cienia i tuneli, w odróżnieniu od swoich pradawnych szczurzych przodków - nie mogły się narażać na oparzenia słoneczne.

Gdy już uśpiła wszystkich dziewięć, miała zamiar od razu zacząć ich skanować. Wtedy jednak ogarnęła ją przemożna senność i uświadomiła sobie, że po całej nocy bez snu była to raczej kiepska pora, by brać się do poważnych badań. Na wózku przeniosła po kolei każdego kopacza do komór letargicznych. Nastawiła je na tryb normalnego podtrzymywania życia, żeby nie przeszły w stan letargu - istniało za duże ryzyko, że dawka właściwa dla tego stanu okazałaby się nieodpowiednia dla kopaczy i później nie dałoby się ich już obudzić.

Potem poszła do swojej koi. Tylko na krótką drzemkę. Kilka godzin i odzyska formę. To przypomniało jej, jak żyła w Basilice, zanim przekonali ją - nie, wrobili, wmanewrowali, zmusili - by dołączyła do exodusu Volemaka na pustkowia. Gdy wówczas była na tropie jakiegoś genu, potrafiła pracować przez całą dobę, robiąc sobie krótkie przerwy na drzemkę. Ekscytująca praca badawcza była o wiele ważniejsza niż spanie czy jedzenie. Shedemei wcale nie chciała zmienić swego losu.

Cóż, jej los został zmieniony - i nie była z tego powodu niezadowolona. Basilika legła w gruzach wskutek imperialnych ambicji Moozha, więc życie naukowca nie mogło toczyć się dalej starymi torami. Lecz nawet gdyby miasto wciąż stało, Shedemei opłaciło się wyruszyć na pustynię. Urodziła dwoje dzieci - Padaroka i Dabrotę, których imiona znaczyły „Dar” i „Dobroć”, a i dzieci wyrosły na ludzi godnych tych imion. Za męża dostała Zdoraba, nieśmiałego i skomplikowanego mężczyznę, który nigdy nie pożądał kobiety, a jednak dał jej dwójkę dzieci i był wspaniałym towarzyszem przez te lata. Pomimo jego braku pożądania, pomimo jej braku zainteresowania własną seksualnością pomogli sobie nawzajem dołączyć do wielkiego strumienia życia, tworzenia. Czy to nie byłoby smutne, gdybym się poświęciła manipulowaniu i kształtowaniu życia, a sama nie wzięła w tym udziału? To zostało mi oszczędzone i cieszę się z tego.

Rokya i Dabya dorośli. Rokya poślubił córkę Hushidh, Dzę; a Dabya - syna Luet, Zhatwę. Wkrótce zostaną rodzicami. Już jej nie potrzebowali. Zdorab nigdy jej nie potrzebował tak naprawdę. Lubił ją, pewnie, nawet kochał, lecz mógł żyć bez niej. Czemu więc nadal tu jestem? - zastanawiała się. Nie chcę widzieć, jak ta grupa się rozpada. Nie chcę patrzeć, jak moje dzieci będą zmuszone wybrać którąś ze stron. Nie chcę tu być, gdy krew się

poleje, gdy ktoś zginie. Nie chcę nawet martwić się o wynik. Chcę tylko mieć święty spokój, zajmować się roślinami, zwierzętami, badając, jak zróżnicowały się ekosystemy, coraz lepiej rozumiejąc, jak życie samo się tworzy. Chcę wiedzieć, czemu ogromne bydlę wędruje po równinach na północ od tego masywu. Chcę wiedzieć, czemu dwa gatunki rozumne wyewoluowały tak blisko siebie, a jeden nie zniszczył drugiego. Chcę wiedzieć, czemu Naddusza sprowadziła nas akurat tutaj, a nie gdzieś, gdzie moglibyśmy założyć kolonię bez ingerencji w życie aniołów lub kopaczy.

Chcę, żeby mój sen się spełnił.

Ach, tak, to było to najbardziej żarliwe marzenie. Sen, który zesłała jej Opiekunka Ziemi tak wiele lat temu, sen o ogrodzie w niebiosach. Rzecz jasna, już się spełnił. Nasiona i embriony, które przyleciały razem z nią, zaczynały odgrywać rolę w życiu tej planety. Czy jednak sen nie mógł być bardziej dosłowny? Chciałaby wzlecieć na statku z powrotem w niebo i okrążać Ziemię, badając ekosystemy, opracowując wariacje, modyfikacje i hybrydy form życia z Harmonii i Ziemi, lądując tylko od czasu do czasu, by zbierać próbki i odczyty, a także wprowadzać nowe organizmy do tego świata. Wtedy naprawdę byłaby ogrodnikiem Ziemi, mając całą planetę do zabawy. Byłabym w tym dobra, szepnęła do Nadduszy. Nie musiałabym uczestniczyć w konflikcie. Nie chcę martwić się rozgrywkami i lojalnością. Chcę tylko poznawać, zmieniać, tworzyć, transformować. Taki jest mój talent. Nie mam daru dogadywania się z ludźmi. Dałam ci to, czego ode mnie potrzebowałaś. Teraz pozwól mi mieć to, czego chcę.

Zgoda, usłyszała Shedemei głos Nadduszy.

Poczuła, jak niepokój i tęsknota z niej ulatują. Teraz mogła już zasnąć.

*

Oykib cieszył się, że w końcu może stanąć prosto po czołganiu się, schylaniu i przechodzeniu jak kaczka przez długie niskie tunele. A w dodatku otaczające ich kopacze wciąż wołały do bogów, słyszał ich ciche błagania, psalmy i peany, jakby wszystkie śpiewały mu wprost do uszu.

Pomimo tej wrzawy zaczynał uczyć się niektórych słów, niektórych struktur w ich języku. Z początku stały się one dla niego muzyką, słyszał rytmy i melodie pomagające przekazywać znaczenia i uczucia. To musi być to, co psy słyszą w ludzkiej mowie, pomyślał. Muzyka naszych głosów mówi im, czy jesteśmy rozgniewani, szczęśliwi, smutni czy przestraszeni. Nigdy wcześniej nie musiał uczyć się obcej mowy, więc aż do teraz nie wiedział, jakie to łatwe. Miał do tego dryg. A może po prostu łatwiej nauczyć się języka, gdy ma się jakieś pojęcie o mówiących, zanim spróbuje się pojąć ich słowa.

Teraz, stojąc w komnacie świątyni, gdzie światło z powłoki rozjaśniało każdy zakamarek, mógł przyjrzeć się kopaczom zgromadzonym wokół ścian. Ich pochodzenie od szczurów było niewątpliwe, tak samo jednak jak fakt, że przez tysiące pokoleń dzielących ich od przodków zmieniały się o wiele bardziej niż ludzie w Basilice. Ryjki i wąsy wciąż były wydętne, lecz o wiele mniej niż u ich protoplastów, a szczeka zmieniała kształt, umożliwiając im mowę. Oy kib miał wielką ochotę podyskutować z Shedemei o tym, czemu służyła reszta zmian morfologicznych.

- Oy kibie - odezwał się Nafai.

No tak, miał coś do zrobienia. Nieco zawstydzony, że się zamyślił w tak nerwowej chwili, stanął obok starszego brata.

- Tak?

Nafai wpatrywał się w rzeźbę stojącą na piedestale z małych kostek. To była głowa człowieka. A twarz z pewnością przedstawiała Nafaia.

- Kiedy mogli to zrobić?

Oy kib próbował rozeznaczyć się w wielu modlitwach wznoszonych wokół i stopniowo wyłuskał z nich trochę informacji.

- Oni tego nie zrobili - stwierdził. - Oni nie tworzą własnych bogów. Mówią, że bogowie jakby tworzą się sami. Wychwalają cię za to, że podarowałeś im tak idealną kopię swojej głowy.

- Naprawdę jest idealna - przyznał Nafai. - Może trochę młodsza.

- Ona ma sto lat.

- Niemożliwe.

- Pięćdziesiąt lat temu królowa znalazła ten posąg w małej komnacie na uboczu, którą ty... pobłogosławiłeś, czy co tam zrobiłeś.

- Pobłogosławiłem, mam nadzieję.

- A wtedy ta rzeźba miała już pięćdziesiąt lat. Wygląda na to, że związek królowej z tym posągiem był punktem zwrotnym w jej życiu. Dzięki tobie poślubiła króla wojny. Bo ją uznałeś.

- Jesteś pewien, że dobrze rozumiesz?

- Wcale nie jestem pewien - odparł Oy kib. - Tak samo jak co do wszystkiego innego. Mamy dużo czasu, by się w tym połapać. Lecz jedno wiem: ta głowa jest starsza niż którekolwiek z żyjących kopaczy. A one stanowczo twierdzą, że jej nie stworzyły, choć jak ci ich gliniani bogowie mogą tworzyć się sami, nie mam pojęcia. Podkreślają to, jak doskonale zachowały się rysy twarzy. Stało się tak dlatego, że kopacze wielbiły cię inaczej niż innych

bogów. One nie... to trochę odrażające... nie ocierały się o twoją głowę po to, by się rozmnażać.

- A więc reszta ich bogów jest wykorzystywana w obrzędach płodności.

- Obrazy, które do mnie docierają, są dość paskudne.

- Religijne rytuały nie zawsze są piękne - zauważył Nafai. - Szczególnie widziane z zewnątrz przez niewiernego. A więc one posługują się resztą rzeźb w rytuałach godowych, ale moją zostawili w spokoju.

- Bo byłeś taki brzydki. - Oy kib nie mógł zamaskować wesołości w swym głosie.

- Dla nich na pewno. Wyobraź tylko sobie, co by myślały, gdyby to była twoja głowa.

- Dzieci jak nic wybiegłyby z krzykiem z jaskini.

- To co mam zrobić z tą rzeźbą?

- Wymyśl jakiś rytuał na poczekaniu, Nafaiu. Jak dotąd nieźle ci szło.

Nafai padł na kolana przed posągiem i zaimprovizował całkiem prosty i nieszkodliwy coś jakby hołd. Gdy skończył, wstał i uśmiechnął się do Oy kiba.

- To trochę zawstydzające - rzekł. - To, że rozumne istoty mnie czczą. Choć są tacy, którzy na pewno by powiedzieli, że po cichu pragnąłem tego przez całe życie.

- Więc nie mów im, że one cię czczą.

- Nie mogę czegoś takiego ukryć. Moja twarz wyrzeźbiona sto lat temu. A skoro ja na pewno jej nie wyrzeźbiłem, zrobił to ktoś inny. I ten ktoś wiedział, jak wyglądam.

- Opiekun, oczywiście.

- Tak, ale nie rozumiesz? To znaczy, że Opiekun tu na Ziemi wiedział coś o nas w czasie, gdy... gdy informacje nie mogły w żadnym razie dotrzeć do niego, przenosząc się z prędkością światła. Przy tej prędkości Opiekun musiałby zobaczyć moją twarz niemal osiemdziesiąt lat przed moim urodzeniem.

- A więc nie wiemy wszystkiego o fizyce. Co raczej nie dziwi, skoro Naddusza nie pozwalał ludziom poznać za wiele nauki i technologii.

- Ale ja zawsze zakładałem, że Opiekun jest jakiegoś rodzaju komputerem jak Naddusza. Ludzie stworzyli Nadduszę u szczytu swego technicznego rozwoju, tak samo jak statki. A wtedy nie wiedzieli nic o komunikacji szybszej niż światło.

- Zatem ktoś nauczył się więcej.

- Kto, Oy kibie? Ludzie zniknęli z Ziemi. Kto zbudował Opiekuna, jeśli ma moce daleko wykraczające poza to, co ludzkość była zdolna stworzyć w swoim szczytowym punkcie?

- Może nie wszyscy ludzie zniknęli.

- Może - przyznał Nafai. - To ci zagadka. Tymczasem naprawdę chciałbym wydostać się z tego ciemnego, stęchłego lochu. Niedługo świt, jestem padnięty.

- Sam nie pogardziłbym drzemką.

- Jak więc mam się stąd wyprosić?

- Improvizuj - zasugerował Oy kib.

- Ależ się cieszę, że wziąłem cię ze sobą, takich mądrych rad mi udzielasz - zadrwił Nafai.

*

Zaczynało świtać, gdy ekipa Elemaka dotarła do miejsca, gdzie kanion przechodził w lekką depresję, a dalej w siodło pierwszego łańcucha górskiego. Wspinali się w ciemnościach powoli, chociaż mieli latarnie. Może zresztą latarnie im przeszkadzały. Oraz to, że Mebbekew i Obring szli w zawody o najdłuższy, najobrzydliwszy ciąg wulgaryzmów, ilekroć się potykali, ilekroć droga wyglądała na szczególnie ryzykowną albo... z jakiegokolwiek innego powodu.

Zdorab nienawidził ich słuchać. W istocie, teraz to sobie uświadomił, po prostu nienawidził ich, nawet gdy jakimś trafem akurat siedzieli cicho. Nienawidził tego, jak traktują kobiety. Nienawidził tego, jak traktują mężczyzn. Nienawidził tego, jak myślą. Nienawidził tego, jak nie myślą. Trudno było zgadnąć, którego z nich nienawidził bardziej. Obring był głupi i brutalny z natury. Nie z własnej woli. Mebbekew zaś był całkiem bystry, tylko udawał głupca. On też zdawał się czerpać przyjemność z okrucieństwa, lecz w odróżnieniu od Obringa nie szukał ku temu okazji - tylko korzystał z wszelkich sposobności, by być głupim i okrutnym. Który z nich był więc bardziej odrażający?

Jak to się stało, że znalazłem się tutaj? - zastanawiał się Zdorab. O świcie w górach na Ziemi, w pogoni za latającym stworzeniem, które nie zostawiło żadnego śladu i mogło wcale nie być nigdzie w pobliżu? Czemu nie śpię w miękkim fotelu w basilikańskiej bibliotece? Czemu uczestniczę w tak forsownej wyprawie w towarzystwie właśnie takich ludzi, których zawsze najbardziej nienawidziłem, jeszcze w Basilice? i czemu przyjmuję od nich rozkazy, co gorsza?

Wiedział, że inni myślą podobnie. No, może nie marzyli o miękkich łóżkach w Basilice. Młodszy mężczyźni nigdy nie widzieli tego miasta ani żadnego innego. Niemniej jednak przepełniało ich zniechęcenie, wiedzieli bowiem, że latające stworzenia żyją gdzieś bardzo wysoko. Poza zasięgiem. A jeśli faktycznie porwały córkę Elemaka, mieli ją uratować? Nieśli ze sobą różne narzędzia rolnicze. Oddajcie nam naszą małą, łajdaki, albo opielemy wam grządki?!

Zdorab nie mógł nie uśmiechnąć się do siebie na tę odrobinę sarkazmu. W tej chwili gniewnie spojrzał na niego Elemak.

- Co cię tak bawi?

- Błąkałem się myślami po innym świecie - usprawiedliwił się Zdorab, pokornie zniżając głowę. Była to poza, której nauczył się już wiele lat temu. Zwykle skutecznie broniła go przed gniewem brutalni. - Przepraszam.

- Nie musisz. Każdy świat jest lepszy od tego.

A więc on też już nie znosił tej sytuacji. Jakby swoim knuciem i spiskowaniem w Basilice sam nie przyczynił się do tego, że się tu znaleźli.

Jednak Zdorab nic już więcej nie dodał. Rozejrzał się wokół. Na tej wysokości powietrze było odczuwalnie chłodniejsze, a podszycie nie tak bujne. W dolinie za siodłem podnosiła się lekka mgła, niczym rzeka płynęła pomiędzy drzewami. Następny rząd szczytów zadziwiał pięknem, a za nim wznosiły się szczyty tak wysokie, że okrywała je czapa śniegu. W ciągu lat, które Zdorab spędził w Basilice, parę razy śnieżyło, ale na ziemi nigdy nie leżało więcej niż kilka centymetrów białego puchu - i zawsze topniał najwyżej w dzień. Na tych turniach nie topniał nigdy. Co kiedyś powiedziała Shedemei? Góry tak nowe i wysokie, że to cud, iż płaszcz Ziemi nie załamywał się pod ich ciężarem. Jedenaście tysięcy metrów. Naddusza mówił, że na Harmonii nie było gór tak wysokich, a jak pokazywały jego archiwa, nie było takich także nigdy przedtem na Ziemi. Te powstały stosunkowo niedawno, wypiętrzone przez płytę oceaniczną wpychaną pod to, co stanowiło niegdyś wąski przesmyk między dwoma kontynentami. Teraz był to ogromny masyw, najwyższy punkt na planecie, a na jego obrzeżach dało się znaleźć każdy typ klimatu i krajobrazu. Na zachodnim wybrzeżu góry były tak wysokie, że ich cień do cna wyjałowił glebę. Na wschodzie zaś było takie miejsce, gdzie deszcz padał niemal bez przerwy, dzień i noc, w lecie i w zimie, tak że były tam same nagie skały, z rzadka porośłe mchem.

Czemu ja i Shedemei nie możemy opuścić osady i badać tej nowej planety? Oni nas nie potrzebują. Nie chcemy być z nimi. Nasze dzieci są już dorosłe, założyły rodziny. Miło będzie ich odwiedzać od czasu do czasu, lecz matki ani ojca im już nie trzeba. Gdy już będę miał wnuki, mogę im nucić głupiutkie piosenki i huśtać je na kolanach. Dwa razy do roku.

Myśl o małych dzieciach przypomniła mu, czemu tu byli. Czemu spędzili tę noc bez snu, wspinając się pod kanion po ciemku. Rozejrzał się po dolinie i dostrzegł w pierwszym świetle brzasku, że drzewa tętnią życiem. Latające stworzenia wzbijały się w powietrze, przelatując krótki dystans, a potem opadając w liście. Wydawało się, że każde niesie coś w łapach.

- One się nas boją - cicho stwierdził Elemak.
- Skąd możesz to wiedzieć? - zapytał Mebbekew.
- Bo ewakuują osadę. Patrzcie, przenoszą swoje młode.
- Gdy młode jest trochę większe, potrzeba dwóch dorosłych, żeby je przenieść - zauważył Zdorab.

- Bystre masz oko - pochwalił Elemak. - Musiały być w czwórkę, żeby zabrać Zhivę. A jeśli myślą, że mogą przede mną uciec, zanosząc swe młode w bez...

- Mogą - wtrącił się Vas lekceważąco. - Mogą nam uciec w każdej chwili, właśnie zanosząc swe młode w bezpieczne miejsce. I co zrobisz, będziesz skakał po drzewach, aż ich dogonisz?

Elemak powoli odwrócił się do niego.

- Wracaj, jeśli nie interesuje cię to zadanie.

Vas od razu przeprosił:

- Jestem zmęczony, Elemaku. Zbyt zmęczony, by wiedzieć, co mówię.

- To zamknij gębę. A oczy miej otwarte.

Zdorab westchnął i odwrócił się od tej wzruszającej sceny. Oto prawdziwa przyjaźń. Jedynymi ludźmi, którzy nienawidzili Elemaka bardziej niż wrogowie, byli jego przyjaciele. A mimo to podążali za nim, bo wiedzieli, że ich potrzebuje i nie może ignorować, tak jak zrobiłby Nafai. Pewnie dzięki temu niktzemnicy nakłaniają innych do podążania za sobą, pomyślał Zdorab. Nie mogą przekonać do siebie dobrych ludzi, więc muszą brać tych, którymi nie zainteresowałby się żaden dobry człowiek. Cud, że zło wciąż istnieje na świecie, skoro ludzie, którzy się go dopuszczali, zazwyczaj nie mogą znieść siebie nawzajem.

Uwagę Zdoraba przyciągnął ruch na drzewie. Nietoperz siedział tam na gałęzi.

- Patrzcie!

- Widzę go - odparł Elemak.

- Co on robi? - zapytał Yasai.

- Wszyscy mamy tyle samo oczu - przygadał mu Elemak. - Patrz, a zobaczymy razem.

Raptem anioł sfrunął z drzewa na małą polanę prowadzącą pod górę tam, gdzie stali ludzie. Rozłożył skrzydła, a Zdorab miał wtedy szansę dokładnie mu się przyjrzeć. To stworzenie ma pysk potwornie brzydki, lecz to nie było wielkim zaskoczeniem, w końcu wywodziło się od jakiegoś gatunku nietoperza. Prawdziwą niespodziankę stanowił fascynujący kompromis osiągnięty przez ewolucję. Jego przednie i tylne kończyny były niemal komicznie cienkie. Po obu stronach ciała od kostek do nadgarstków rozciągały się skrzydła, przytwierdzone do dwóch zdeformowanych palców obu przednich łap. Pozostałe

trzy jednak miały normalny rozmiar, co czyniło kończynę chwytną. A głowa była nieproporcjonalnie wielka. Zadziwiające, że to duże stworzenie mogło latać.

Szło w ich kierunku. W jego kroku brakowało gracji, wyraźnie lepiej czuło się na gałęziach lub w powietrzu. Nigdy nie będzie długodystansowym chodźcą, nie na tych stopach.

Tych stopach.

Zdorab wiedział dość, by ugryźć się w język. Młody Yasai niestety nie.

- Oy kib miał rację - wypalił. - Nie ma mowy, żeby takie stopy zostawiły ślady w osadzie.

Elemak powoli odwrócił się ku niemu.

- Może więc nie to coś zostawiło ślady. Myślałeś, że nie wziąłem pod uwagę takiej możliwości? To nie zmienia jednak faktu, że ten stwór szpiegował dla porywaczy. Jeśli nie ma Zhivyi, to wie, gdzie ona jest. - Elemak postąpił w dół ku temu stworzeniu.

A ono natychmiast się zatrzymało, a potem zrobiło coś nad wyraz niezwykłego. Sięgnęło ręką do stóp i wyjęło stamtąd kilka łodyg zboża. Potem położyło je na trawie, ostentacyjnie wskazując na każdą, jakby je liczyło. Skończywszy, cofnęło się o krok.

- To zboże z naszego pola - zauważył Obring.

- Dopiero zauważyłeś? - zadrwił Yas.

- A co za różnica? - zapytał Meb.

- Ono myśli, że dlatego tu przyszliśmy - stwierdził Padarok, syn Zdoraba. - Bo ukradło nasze zboże. I nam je oddaje.

- A od kiedy to jesteś ekspertem od przerośniętych nietoperzy? - zachnął się Elemak.

- To ma sens - upierał się Padarok.

Zdorab dał znak ręką, próbując go uciszyć.

- Nie, nie będę milczał, ojciec. To wszystko jest niedorzeczne. Anioł zabrał trochę zboża z pola i nie wie nic o Zhivyi. Gdyby ktoś z nas się zatrzymał i zastanowił choć przez chwilę, nie spędzilibyśmy całej nocy, wspinając się po górach w pogoni za niewinnym człowiekiem.

Elemak złapał Padaroka pod brodę. Syn Zdoraba, podobnie jak ojciec, nie wyrósł na wysokiego mężczyznę i był drobnej budowy. W silnym uścisku Elemaka wyglądał jak szmaciana lalka.

- Człowiekiem?! - żółdkował się Elemak. - Nazywasz to coś „człowiekiem”?!

- Tak mi się powiedziało - wyrzucił Padarok.

- Ten człowiek, jak go nazywasz, wie, gdzie jest moja córka!

Wtedy Elemak uniósł Padaroka za głowę i nim potrząsnął. Chłopak zwiotczał. Przez chwilę Zdorab się obawiał, że to spowodowało uszkodzenie mózgu, może nawet go zabiło. I choć widział, że syn otwiera oczy, rozpalił się w nim wściekły gniew. Ku własnemu zdziwieniu Zdorab się zorientował, że trzyma kosę nad ramionami Elemaka, przy jego szyi, i wypowiada niewiarygodne słowa:

- Puść mojego syna. Natychmiast.

Elemak odwrócił się powoli i zmierzył Zdoraba jaszczurczym wzrokiem.

- A jeśli nie, odetniesz mi ręce?

- Tylko jeśli nie trafię w szyję.

Elemak puścił Padaroka.

- Nie groź mi, Zdorabie. Nawet jeśli ty zapomniałeś, kto jest naszym wrogiem, ja wciąż pamiętam. - Szybkim ruchem wyrwał Zdorabowi kosę z rąk. Przez chwilę stał z uniesioną kosą, jakby się wahał, kogo ciąć - Zdoraba czy Padaroka. Jednak rzucił kosę na ziemię i podszedł do czekającego stworzenia.

Biedactwo wyraźnie skuliło się pod jego gniewnym spojrzeniem, lecz nie ruszyło się z miejsca. Elemak wyciągnął stopę i wdeptał łodygi zboża w błotnistą trawę.

- Nie obchodzi mnie zboże. - Schylił się i chwycił stworzenie za ramię. - Gdzie moja córka?! - zagrmiał.

- W jakim języku ma ci odpowiedzieć? - rzucił Padarok kąśliwie. - A może powinien ci narysować mapę w powietrzu?

Proszę, nie drażnij go, nie prowokuj, Rokya... Zdorab pomyślał te słowa, lecz ich nie wypowiedział. Ponieważ był też dumny. Przez całe życie płaszczył się przed takimi ludźmi, żeby nie zrobili mu krzywdy. A syn się nie ukorzył. Może i odziedziczył mój wzrost, pomyślał Zdorab, ale charakter ma po matce.

Elemak ryknął gniewnie. Zdorab zobaczył z przerażeniem, jak ramię anioła złamało się po obu stronach chwytu Elemaka, a równocześnie oba skrzydła naderwały się i zaczęły krwawić. Stworzenie krzyknęło raz, a potem zamilkło. Połamane zwisało bezsilnie w ręce oprawcy.

- Ojej, ojej, facet czasem zapomina, ile ma krzepy - zażartował Meb.

- Dobra robota - stwierdził Padarok z przekąsem. - Teraz, jak już jest martwy, będzie z niego świetny przewodnik.

Elemak odrzucił przetrącone zwierzę od siebie. Uderzyło w pień drzewa z płaskiem, na chwilę przywarło do niego, a potem opadło na ziemię bez życia.

- Gdzie moja córka?! - wrzasnął Elemak. - Oni zabrali moją córkę!

Jego wściekłość była tak wielka, że wszyscy się odsunęli o krok.

Wszyscy oprócz Padaroka.

A to oznaczało, że to na nim skupi się ślepa furia Elemaka.

Zdorab bez namysłu postąpił naprzód.

- My już wracamy na dół, Elemaku. Wszyscy się staraliśmy. Ale nie ma mowy, żebyśmy ją znaleźli, jeśli tam jest. Jeśli zabicie bezbronnego stworzonka miało poprawić ci humor, już to zrobiłeś. Nie musisz więcej zabijać.

Elemak odzyskał panowanie nad sobą.

- Nigdy ci nie wybaczę, że to powiedziałeś - stwierdził.

- Nie ma tu nikogo, komu byś nie obiecał, że nigdy mu nie wybaczysz - zauważył Zdorab. - Ale my ci wybaczymy, Elemaku. My wszyscy mamy dzieci. To mogło spotkać każdego z nas. Gdybyśmy mogli zwrócić ci córkę, tobyśmy to zrobili.

- Gdybyście mogli zwrócić mi córkę, byłbym już zawsze waszym pokornym sługą - rzekł Elemak i oddalił się, schodząc z siodła w dół kanionu.

Obring i Meb natychmiast ruszyli za nim, lecz obaj zatrzymali się, mijając Zdoraba.

- Kto by pomyślał, że mały pizdun ma jednak w sobie trochę ikry - rzekł Obring, śmiejąc się szyderczo.

- Trzymaj tak dalej - powiedział Meb - a kiedyś, kto wie? Może nawet naprawdę ci stanie. I wtedy będziesz półmężczyzną. - Poklepał Zdoraba po głowie i podążył za Elemakiem w dół.

Padarok podszedł do ojca i uściskał go.

- Dziękuję. Myślałem, że złamie mi kręgosłup.

- Widzieliśmy, co chciał ci zrobić, Rokya, bo zrobił to temu aniołowi.

Wtem spod drzewa, gdzie Elemak rzucił to biedne stworzenie, zawołał Yasai:

- Żyje!

- To może powinniśmy je dobić, by skrócić jego męki - zasugerował Zhatva, najstarszy syn Nafaia.

Wszyscy zebrali się wokół anioła.

- To nie pies - skarcił go Yasai. - Oykił mówił, że to stworzenie jest rozumne. To osoba, nie zwierzę. Shedemei może je uleczyć.

Anioł raz po raz wolno mrugał jednym okiem.

- Jesteś pewien, że to nie odruch? - zapytał Xodhya.

Yasai już ściągał z siebie koszulę.

- Pomóżcie mi go na tym ułożyć. Tak, żeby nie złamać mu szyi.

- Już jest złamana - stwierdził Motiga.
- Ale może rdzeń kręgowy nie został przerwany. - Potem Yasai gwizdnął z zaskoczenia. - Ale ten anioł jest lekki.
- To go boli - zauważył Vas. - Mruży oczy z bólu.
- Ale nie narzeka - odparł Zdorab. - Dzielnie znosi cierpienie.
- Tak, prawdziwy z niego mężczyzna - rzucił Zhatva bez ironii. Temu stworzeniu należał się podziw.
- A co będzie, jeśli Elemak zauważy, że go niesiemy? - zapytał Motya.
- Mam taką nadzieję - bąknął Padarok. - To stworzenie nie zagrażało mu w żaden sposób, a patrzcie, co zrobił. Nawet gdyby to był pies...

Nie musiał kończyć. We czterech podnieśli koszulę. Reszta wzięła latarnie i razem zaczęli powolną podróż w dół kanionu.

*

Eiadh usłyszała radosne okrzyki dzieci i wiedziała, że Elemak z mężczyznami wreszcie powrócili z nocnych poszukiwań. Elya na pewno będzie wyczerpany i trochę sfrustrowany, że jego wyprawa okazała się daremna. Ale widok Zhivyi mu to wszystko wynagrodzi.

Zhivya spała, zapewne zmęczona wczorajszymi atrakcjami. Eiadh podniosła ją delikatnie; dziecko się poruszyło, ale spało dalej. Oby nic nie pamiętało z tego zdarzenia. Zhivya była dość duża, by robić pierwsze kroki, lecz na pewno nie na tyle, by wspomnienia wryły się w jej pamięć. Nie powinno być żadnych koszmarów o kopaczach wiszących groźnie nad kołyską ani o podróżach przez długie, ciemne tunele. Nie trzeba się martwić.

Zhivya obudziła się, gdy Eiadh niosła ją na skraj wioski, gdzie był Elemak - rostry, postawny, imponujący. Przypomniała sobie, czemu zakochała się w nim, gdy jeszcze była głupiotką, płytką dziewczyną w Basilice. Owszem, nie miał siły charakteru ani altruizmu, które podziwiała u innych mężczyzn, a jego temperament oznaczał, że ona i dzieci musiały mieć się w domu na baczności. Ale był jej mężem i nie była nieszczęśliwa z tego powodu. Zwłaszcza dzisiaj, gdy ich córka została uratowana przed tymi potworami z podziemi.

Zbliżywszy się, zobaczyła, że Volemak opowiada mu, co zaszło; podczas rozmowy Volemak rzucał na nią okiem, Elemak również, widząc, że ma dziecko. Posłał jej uśmiech. Mógł być bardziej radosny, ale to pewnie efekt zmęczenia.

Nagle zauważyła gorączkowe poruszenie. Yasai, Rokya, Xodhya i Zhyat nieśli coś na koszuli - koszuli Yasaia, jako że on miał nagi tors. Volemak pokierował ich do statku, gdzie Shedemei badała zakładników. Co tam nieśli? Chyba nie skrzywdzili żadnego anioła,

prawda?

Usłyszała jak Volemak strofuje Elemaka.

- Nie był uzbrojony? - pytał Volemak. - W ogóle wam nie zagrażał?

- Mówiłem ci, myślałem, że wie, gdzie jest moja córka!

- Więc go okaleczyłeś? Nawet jeśli za nic miałeś to, że musimy żyć tutaj i wrogo nastawiłeś do nas plemię rozumnych stworzeń, mogłeś pomyśleć, że znęcanie się nad jedyną osobą, która mogłaby ci pomóc, jest wręcz niewiarygodną głupotą!

Volemak za bardzo się wścieka, pomyślała Eiadh. Elemak nie lubi połajanek, zwłaszcza publicznych. Dotychczas był wierny przysiędze posłuszeństwa, ale po co kusić los?

Rzecz jasna, ona nie widziała rannego anioła. Co Elemak mu zrobił?

- Och, tak, jestem wręcz niewiarygodnie głupi - odciął się Elemak. - Ale twój wzorowy bohater z magiczną powłoką nie poszedł w góry, tylko bawił się w boga ze zgrają szczurów!

- Odzyskał twoją córkę. On, Oykib, Protchnu i ja. Osaczały nas setki uzbrojonych kopaczy, a ty zabrałeś z osady prawie wszystkich mężczyzn zdolnych do walki.

- Gdybyś nakazał mi zostawić ich trochę... - zaczął Elemak, lecz ojciec wpadł mu w słowo:

- O tak, posłuchałbyś i od razu oskarżył, że chcę, by twoja córka zginęła. Cóż, Elya, ona żyje. I nie dzięki tobie. Zobaczymy, czy ten niewinny anioł miał tyle szczęścia.

- Co mam zrobić, paść na kolana i bić pokłony Nafaiowi? On ma być też moim bogiem?

Tego było już dla Eiadh za wiele.

- Mógłbyś mu podziękować - wtrąciła nieśmiało. - On zwrócił nam Zhivę.

- Nie on - zachnął się Elemak - tylko powłoka gwiazdnego sternika. Gdybym ja miał powłokę, spisałbym się co najmniej tak samo dobrze.

- Nieprawda. Byłbyś z powłoką w górach, ani chybi strącając za jej pomocą anioły z nieba, a my tutaj zostalibyśmy zaatakowani i wybici do nogi przez kopaczy.

- Skąd miałem wiedzieć, że dziecko zabrały jakieś stworzenia, których nigdy wcześniej nie widzieliśmy?

- Oykib próbował ci powiedzieć, ale nie chciałeś słuchać. To jeden z powodów, czemu nie jesteś zdolny nami rządzić. Nigdy nie słuchasz, tylko decydujesz na podstawie tego, co już wiesz. Cóż, Elemaku, nie wiesz wszystkiego. - Eiadh wiedziała już, że powiedziała za dużo. Wściekłość na jego twarzy była przerażająca. Nie patrzył tak na nią, odkąd... odkąd złożyła przysięgę Volemakowi w trakcie podróży.

- A więc tak wita mnie żona po powrocie do domu - odparł oschle.

- Chciałam powitać cię radością - broniła się, zniżając głowę. - Przepraszam.

Ponieważ się ukorzyła, Elemak mógł skierować gniew przeciw innym.

- Nie miałem racji i tyle - stwierdził lekceważąco. - Nie słyszałem jakoś, żeby któryś z was się ze mną spierał!

Odpowiedzieli mu milczeniem.

- Więc nie krytykujcie mnie, skoro nie mieliście dość rozumu, by wpaść na lepszy pomysł.

- Wszyscy mieliśmy lepszy - cicho stwierdził Padarok. - Wszyscy wiedzieliśmy, że się mylisz. Wiedzieliśmy to od początku.

Jego słowa były niczym policzek.

- To czemu za mną poszliście?

- Bo twoja córka zniknęła - odpowiedział Padarok.

- To nie znaczyło, że miałem rację. To pewnie znaczyło, że moja ocena sytuacji nie jest najlepsza.

- Tak, właśnie o to mi chodziło.

- Poszliście za mną, ponieważ moja ocena sytuacji nie była dobra? Wszyscy wiedzieliście, że się mylę, i poszliście za mną, ponieważ się myliłem? - Elemak z pogardą kiepsko kamuflował dezorientację.

- Chodź do domu - prosiła Eiadh.

- Nie, chcę to zrozumieć - upierał się. - Chcę zrozumieć, czemu są tak głupi, że świadomie poszli za kimś, kto według nich się mylił.

- Elemaku, proszę...

- Nie poszliśmy za tobą, bo się myliłeś - powiedział w końcu Yasai. - Tylko dlatego, że zachowywałeś się irracjonalnie. Nie wiedzieliśmy, co zrobisz, jeśli cię nie posłuchamy.

- O czym ty mówisz? Liczyło się tylko znalezienie mojej córki.

- Naprawdę? - odezwała się Eiadh. - Gdyby tak było, zatrzymałbyś się i wysłuchał Oykiba, gdy próbował ci powiedzieć, że Zhivye nie zabrały anioły. Proszę, przestań się wyklócać. Wszyscy wrócili do domu cali i zdrowi.

Elemak strącił rękę, którą położyła na jego ramieniu.

- Nie traktuj mnie jak dziecko.

- Nie złość się - uspokajała. - Odzyskaliśmy Zhivye. Dziś powinniśmy się cieszyć, a nie gniewać. Może nawet podziękujesz tym, którzy ją nam zwrócili.

- Mam dziękować? Bo Naddusza dał Nafaiowi jedyną skuteczną broń? Bo oni ruszyli

za mną w głupią pogoń w góry, ponieważ wiedzieli, że jest głupia?

- Nie, Elemaku - rzekł Padarok. - Ruszyliśmy za tobą, bo baliśmy się, że zrobiłbyś komuś z nas to, co w końcu zrobiłeś temu niewinnemu aniołowi. I nasze obawy nie były bezpodstawne. Mało brakowało, a zrobiłbyś to mnie, gdyby ojciec cię nie powstrzymał.

- Myślisz, że dałem ci spokój z powodu jego żalosnych gróźb? - odpowiedział z pogardą Elemak czerwony z gniewu czy może ze wstydu.

- Nie wiem, czemu dałeś mi spokój - przyznał Padarok. - My nigdy nie potrafimy powiedzieć, co zrobisz. Więc słuchamy cię, gdy jesteś zły albo wzburzony, bo się ciebie boimy. A jeśli zastanowisz się nad tym, nie pozwalając, by gniew zaćmił ci rozsądek, zrozumiesz, że mamy powód się bać.

- Wracajmy do domu, Elya - znów błagała Eiadh.

Elemak jednak był zdeterminowany, by doprowadzić wątek do końca.

- Pozwolilibyście Zhivyi umrzeć, bo tak bardzo się mnie boicie, że nie śmieliście się ze mną sprzeczać?

Padarok pokręcił głową.

- Wiedzieliśmy, że Nafai ją odzyska, jeśli to w ogóle możliwe.

- Nafai? - warknął Elemak ze złością. - Nafai! Nafai! Nafai! Zaufaliście jemu! Oddaliście życie mojej córki w jego ręce! A co on wie, ten głupi, pyszałkowaty chłopaczek, ten smarkaty krętacz, ten...

- On ją uratował! - wrzasnęła Eiadh. - Ty durny, gniewny głupcze, mieli rację, że mu zaufali! - Jej krzyk przestraszył dziecko, które zaczęło płakać. Lecz Eiadh nie mogła się teraz powstrzymać. - I oni wiedzieli, że jeśli tu zostałeś, zrobiłbyś w gniewie coś głupiego i wywołał katastrofę, więc lepiej, że byłeś w górach, gdzie nie mogłeś rozpętać wojny między nami a kopaczami. Teraz rozumiesz, Elemaku? Teraz, gdy zmusiłeś nas do tego, żebyśmy powiedzieli ci więcej, niż chcieliśmy, czy zrozumiesz w końcu, kim dla nas jesteś? My wiemy, że jeśli trzeba zrobić coś z wyczuciem, lepiej, żeby ciebie tu nie było, bo ty zawsze, zawsze, zawsze zrobisz komuś krzywdę jak temu aniołowi!

Przez chwilę Eiadh czuła podniecenie, że w końcu wygarnęła mu prawdę, że utarła nosa temu zadufanemu mężczyźnie, który tak bardzo komplikował jej życie.

Potem zobaczyła coś, czego nigdy wcześniej nie widziała. Elemak nie wpadł w furję. Ramiona mu ciężko opadły. Wyraźnie uszło z niego powietrze. Na nikogo nie patrzył, nikomu nie spojrzał w oczy. Odwrócił się i zniknął w lesie.

- Przepraszam, Elya! - zawołała za nim. - Byłam zła, wcale tak nie myślę.

Jednak wszyscy wiedzieli, że powiedziała prawdę. Wreszcie Elemak to usłyszał.

Wrócił następnego dnia. Cichy, potulny. Inny człowiek. Złamany. Eiadh próbowała go przeproszać, gdy byli sami w domu, lecz on wtedy wychodził. Spali w jednym łóżku, ale on jej nie dotykał. Odpowiadał dzieciom, gdy zadawały mu pytania, i czasem bawił się z nimi, śmiał się jak za dawnych czasów. Nie przychodził jednak na żadne z zebrzań dorosłych, a gdy Eiadh próbowała włączyć go w decyzje dotyczące ich domu, zawsze odpowiadał to samo: „Rób, co chcesz. Mnie to obojętne”.

I chyba naprawdę było mu obojętne. Robił swoje na polach, ale nie miał już żadnych pomysłów, co inni powinni robić. Po prostu robił to, o co go proszono. Pracował ciężko. Bardzo ciężko. Lecz wciąż zdawał się niewidzialny.

Zabiłam go, myślała Eiadh.

A może zrobiłam pierwszy krok ku temu, żeby go uleczyć.

Będę trwała przy tej nadziei, postanowiła. Jest nieodgadniony, cichy, zamknięty w sobie, bo się zmienia, przechodzi metamorfozę w dojrzałego, mądrego, opanowanego, dobrego człowieka.

Takiego jak Nafai.

PRZYJACIELE

Shedemei poprosiła Volemaka o spotkanie wszystkich zaangażowanych w kontakty z dwoma gatunkami rozumnych. „Trzeba podjąć decyzję” - powiedziała mu, więc po wieczornym posiłku zebrali się w bibliotece statku: Volemak i Shedemei, rzecz jasna, a wraz z nimi Nafai i Luet, Issib i Hushidh oraz Oy kib i Chveya.

- Zaprosiłem Elemaka - wyjaśnił Volemak na wstępie - bo na Harmonii zdobył tyle doświadczenia w relacjach z obcymi kulturami i zagranicznymi przywódcami. Nie chciał przyjść, ale i tak zamierzam go poprosić, by zajął się kopaczami. To one wchodzi nam na głowę...

- Raczej my wchodzimy im - poprawił Nafai.

Volemak zrobił pauzę, jakby swym milczeniem mówił: „Kiedy ten chłopak dorośnie na tyle, żeby nie stroić sobie żartów podczas poważnych dyskusji?”. Luet nachyliła się do Nafaia i dźgnęła go palcem w nogę. Wyszczrzył się do niej jak głupi.

Volemak podjął wątek:

- I koniecznie musimy wypracować jakiś realny układ dotyczący koegzystencji. Nie wiem jak wy, ale ja w noc porwania zobaczyłem silnie skonfliktowaną społeczność kopaczy: uprowadzenie zorganizowane przez syna króla krwi, zestawione z adoracją ze strony żony króla wojny. Sam fakt, że żona... jak jej na imię?

- Emeezem - odpowiedział Oy kib.

- Fakt, że Emeezem powiodło się tam, gdzie...

- Mufruzhuuzh.

- Gdzie Muf... jakiś tam zawiódł, mogło osłabić jego pozycję. A więc istnieje grupa, która chce pozbyć się ludzi z Ziemi, a może dwie - Mufy i spiskowców, którzy przeprowadzili porwanie. Elemak może być nieoceniony w osiągnięciu pewnego rodzaju porozumienia z tymi wrogami.

- O ile to robi - stwierdziła Hushidh. - On nie jest teraz z nikim za mocno związany. Nawet z Protchnu, bo chłopak nie może przestać przechwalać się przy ojcu, że to on odkrył wejście do miasta kopaczy na drzewie.

- Byłaś przy tym? - zapytał Volemak.

- Słyszałam od świadków.

- A więc to plotka.

- Plotka z pierwszego pokolenia - zażartowała. - Bardzo dokładna. Najlepsza jakość.

Volemak uśmiechnął się, potem powtórzył stanowczo:

- Plotka.

- Myślę - odezwał się Nafai - że Elemak najlepiej zajmie się kopaczami.

- Jedna osoba nie będzie się tym zajmować - stwierdził Volemak. - I wyświadczyć nam wszystkim przysługę, Nafaiu. Nie zdradzaj, że popierasz pomysł, by Elemakowi przypadło to zadanie.

Nafai potaknął, nagle poważny. Luet nie dała się zwieść. Wiedziała - on już rozumie, że nie powinien dalej próbował być miły dla Elemaka. Dopiero co wczoraj Luet starała się mu to znów wyjaśnić, a on jej przerwał i tłumaczył swoje:

- Elemak nie widzi mojej chęci dania mu władzy jako zaufania czy życzliwości, on to uważa za protekcyjność i zarozumialstwo, wiem. Ale ja naprawdę podziwiam jego umiejętności i ufam, że świetnie sprostą każdemu zadaniu. Nic nie poradzę, że cały czas mam ochotę wyciągnąć do niego rękę.

- Dla ciebie to wyciąganie ręki - tłumaczyła Luet cierpliwie chyba po raz pięćdziesiąty. - Dla niego to wbijanie mu kolejnej szpili.

Nafai nie mógł tego ścierpieć.

- Wtedy wszyscy pomyślą, że się dąsam albo że nie chcę, żeby on cokolwiek robił. A ja naprawdę chcę, żeby coś robił, więc muszę to mówić, nie? By wszyscy wiedzieli, że nie chowam do niego urazy.

- Nie możesz mi po prostu zaufać i milczeć w każdej kwestii dotyczącej Elemaka?

Dał jej słowo honoru - znowu - że nic nie powie ani do Elemaka, ani o jego roli w grupie. A tu proszę, nie minął nawet dzień od ostatniego razu, gdy go prosiła i on znów jej obiecał, a już złamał obietnicę.

Volemak wrócił do głównego tematu spotkania:

- Tak czy owak, nie tylko jedna osoba będzie zajmowała się kopaczami. Potrzebujemy możliwie najwięcej różnych perspektyw... a nie zapominajmy o pracy przy zbiorach oraz gromadzeniu jedzenia i nasion na porę suchą. To wszystko to jednak dopiero wstęp. Shedemei prosiła mnie o to spotkanie. Zakładam, że ma dla nas raport o biologii aniołów i kopaczy, a to niezły punkt wyjścia.

- To nie jest raport - zaczęła Shedemei. - Raczej lista pytań. Wstępne skanowanie pokazało, że podobnie jak wszystkie inne zwierzęta i rośliny, które przebadaliśmy, anioły i kopacze wykazują jedynie naturalne typy zmian ewolucyjnych względem swoich przodków sprzed czterdziestu milionów lat. Kopacze pochodzą od szczura polnego powszechnego w

południowym Meksyku, a anioły od pospolitego gatunku nietoperza. Genetyczna wariacja jest rzędu zaledwie pięciu procent względem oryginału w obu przypadkach. Miną wieki, zanim będziemy mogli choćby zabrać się do badania zapisu kopalnego, ale tu możecie zobaczyć, jak zmieniło się ciało kopacza, by móc utrzymać cięższą głowę, a ręce rozwinęły się tak, by umożliwić chwytanie wielkich, ciężkich narzędzi - nie tracąc zarazem naturalnej mocy kopania, wspinania się i, muszę dodać, zabijania bez żadnych narzędzi w ogóle.

Przełączyła obraz na wyświetlaczu komputera ze szkieletów szczura i kopacza na szkielety nietoperza i anioła.

- Anioły miały bardziej skomplikowane zadanie - zachować zdolność latania, podtrzymać cięższy mózg i rozwinąć siłę manualną do korzystania z narzędzi. Ich kompromis polega na zachowaniu użycia nóg jako silnych rąk. Gdy stoją na jednej nodze, stawy biodrowe umożliwiają im wystarczający obrót, by zamachnąć się siekierą. Ale górne kończyny, które u nietoperzy mają tylko szczątkowe łapy, rozwinęły się w dobre instrumenty manualne. Nie mogą udźwignąć wielkiego ciężaru i, jak pokazał nam pewien niefortunny incydent, ramiona łamią się dość łatwo pod silnym naciskiem. Tak więc ręce nie są używane do cięższych czynności fizycznych. Raczej do bardzo delikatnych, precyzyjnych prac.

Usiadła i wbiła w nich baczne spojrzenie.

Luet w końcu uświadomiła sobie, co sugeruje genetyczka.

- Chcesz powiedzieć, że te posągi w mieście kopaczy stworzyły anioły?

- Ręka kopacza jest niezdolna do tak precyzyjnej pracy - odparła Shedemei. - Przebrałam kopacze, gdy były półprzytomne. One nie potrafią robić niczego, co nie wymaga dużej siły. Rzeźbienie w miękkiej glinie wymaga wielkiego opanowania, delikatnego nacisku. Kopacze tego nie potrafią. One by rozgniotły glinę na miazgę.

- Może badałaś tylko żołnierzy i robotników fizycznych - zauważył Issib.

- Zauważyliście jakiś dymorfizm pod ziemią? - zapytała Nafaia i Oykiba.

- Żadnego - odparł Nafai.

- A one przyznały, że same nie stworzyły tych posągów - dodał Oykib.

- Ale to są ich bogowie - odezwała się Chveya. - Bogowie, którym oddają cześć, ofiarowując im kości martwych dzieci aniołów. To wydaje się nielogiczne.

- Masz rację - przyznała Shedemei. - Ale to trafia w samo sedno najważniejszych pytań. Pierwsze brzmi: czemu dwa inteligentne gatunki rozwinęły się w swoim sąsiedztwie i nie zniszczyły siebie nawzajem? Według archiwów w bibliotece z tej samej linii co ludzie wyewoluowało też kilka innych gatunków rozumnych - człowiek heidelberski i parantropy, jak ich zwano - lecz pitekantry w gruncie rzeczy wyeliminowały parantropy, a człowiek

współczesny wytepił heidelberskiego.

- Mogły ich wchłonąć - poprawił Issib.

- Jakkolwiek było, tam, gdzie udał się człowiek współczesny, nie było już parantropów, pitekanthropów ani człowieka heidelberskiego. Czemu więc anioły i kopacze przetrwały razem?

- Bo nie rywalizują o zasoby? - rzuciła Chveya.

- Moja prymuska - pochwaliła ją Shedemei z uśmiechem. - Ale kopacze jedzą młode aniołów. I wielbią rzeźby, które one tworzą. Więc to nie jest tak samo jak, na przykład, z ośmiornicami i orłami, które po prostu nie rywalizują z sobą w żaden sposób. Anioły są zdobyczą dla kopaczy. A jednak przetrwały.

- Miłośnicy sztuki - bąknął Nafai.

To brzmiało jak kolejny żart, a Luet była gotowa go szturchnąć, lecz Shedemei odpowiedziała, jakby to była poważna sugestia:

- Sądzę, że masz rację, Nafaiu. Myślę, że chodzi tu o coś biologicznego, a te rzeźby mają z tym jakiś związek. Czy nie mówiłeś, Oykiebie, że dowiedziałeś się, iż posągi są w obrzędach powiązane z godami i rozmnażaniem?

Oykib zarumienił się i spojrzał ukradkiem na swoją żonę, a potem na Nafaia.

- Nie wstydz się, Okya - rzekł Volemak. - Nafai uznał za rozsądne powiedzieć nam o twoim talencie. Nie każdemu, tylko ludziom w tym pokoju. Nie ma powodu, żeby wszyscy inni popadli w paranoję z powodu swoich modlitw.

Issib uśmiechnął się złośliwie.

- My, oczywiście, jesteśmy nieskazitelni i nie przeszkadza nam, że ktoś nas szpieguje.

- Issya próbuje powiedzieć - ciągnął Volemak - że godzimy się z tym, iż ktoś ma zdolność poznawania naszych tajemnic. Ale ty od dzieciństwa wykazywałeś się tak niezwykłą dyskrecją, że nie boimy się ciebie.

- Ja się boję - odparła Chveya. - I tylko dlatego pozwoliłam ci się zapłodnić.

- Veya! - oburzyła się Luet. Czemu ta dziewczyna musi być taka ordynarna?

- W każdym razie, Oykiebie, to prawda? - zapytała Shedemei.

- Tak. Niektóre z tych... pobożnych myśli... są wręcz pornograficzne. Większość posągów została starta tak, że niektóre są zwykłymi grudami gliny. Oni je wielbią, ocierając się o nie całym ciałem.

- To bardzo ciekawe - oceniła Shedemei. - Nie zaobserwowałam takiego zachowania u szczurów ani u innych gryzoni. A wy spotkaliście się z czymś takim w swoich badaniach?

- Ty jesteś biologką, Shedy - zauważyła Hushidh. - Jeśli ty się nie spotkałaś, możesz

być pewna, że my tym bardziej.

- Skoro już jesteśmy przy temacie tego, kto co wie - odezwała się Luet - to chciałabym wiedzieć, czemu tu jestem. Nie ma tu cioci Rasy ani męża Shedyi, więc nie robimy tego parami. Shuya i Veya są potrzebne, by zrozumieć anioły i kopacze, bo widzą rzeczy, których język nie może oddać. Metoda Oykiba jest inna, ale efekt taki sam. Nafai ma powłokę i to jego twarz widnieje na rzeźbie, w mieście kopaczy. Issib nie może pracować na polach i ma dryg do języków, i nikt nie radzi sobie z Indekssem lepiej od niego, więc bardzo przyda się przy badaniach i rozmowach. A czemu ja tu jestem?

- Czyżbyś nie wierzyła w siebie, moja kochana? - zapytał Nafai z udawaną troską.

- Jesteś tu - odpowiedział jej Volemak - bo jesteś sobą. Nie każdy musi mieć specjalizację do tego, co zamierzam. A ty najlepiej komunikujesz się z Nadduszą.

- Przecież macie Indeks. Nie powinno mnie tu być.

- Cicho bądź, Luty - rzekła Hushidh wesoło. - Swoją niską samooceną tylko marnujesz nam wszystkim czas.

- Cierpliwości - podjął Volemak. - Zmierzam do czegoś i niebawem zrozumiesz. - Zrzucił ilustracje Shedemei z wyświetlacza, zastępując je mapą najbliższej okolicy. - My jesteśmy tutaj - wskazał - a tu są kopacze. A hen tam dalej, anioły. Spróbujcie zgadnąć, którą kulturę poznamy lepiej.

- Szczególnie jeśli znowu przyjdzie im chętka na porwania - bąknął Issib.

- Sądzę, że to może prowadzić do niedobrego rezultatu - ciągnął Volemak. - Po pierwsze, bez wątpienia bardziej zbliżylibyśmy się do gatunku, który poznalibyśmy lepiej, a to mogłoby być poważnym błędem. Po drugie, i być może ważniejsze, anioły z pewnością by uznały, że jesteśmy bliżsi kopaczom i dlatego byłyby nieufne wobec wszystkiego, co byśmy zrobili. Może wrodzy. Rozumiecie?

Issib skinął głową.

- Chcesz, żeby część z nich poszła i zamieszkała wśród aniołów.

- To brzmi tak nieodwołalnie - jęknął Nafai.

Tym razem Luet go szturchnęła.

- Nie część z nich, Issya - odparł Volemak. - Część z was.

Issib zdawał się rozgniewany.

- Nie ja - burknął. - Nie krzesło.

Luet rozumiała. Nie znoślić być bezradny. Na pustyni Hushidh musiała go nosić, sadzać na lewitujące krzesło i pomagać mu przy załatwianiu potrzeb fizjologicznych - to było wystarczająco okropne, gdy mieli jeszcze małe dzieci, lecz teraz byłoby to nieznośnym

upokorzeniem. Tu, w pobliżu statku, jego magnetyczne lewitery działały równie dobrze jak w Basilice, dając mu niemal normalną swobodę ruchów. Nie miał zamiaru z tego rezygnować.

- Wysłuchajcie mnie do końca - podjął Volemak. - Przemyślałem to, a jeśli posłuchacie spokojnie, zgodzicie się z moimi wnioskami. Po pierwsze, nie sądzę, że powinniśmy wysłać do aniołów bardzo wielu z nas, bo potrzebujemy większości naszych sił tutaj, do pracy w polu i zakładania kolonii. Wysyłam więc tam tylko dwie pary i ich małe dzieci. Nie mogę wysłać Shedemei, bo ona musi być tutaj, blisko statku. Muszę jednak wysłać kogoś, kto jest równie metodyczny jak ona i równie dobrze obeznany z biblioteką. A to sugeruje ciebie, Issibie.

- To sugeruje każdego tutaj i co drugiego spośród ludzi, których tu nie ma - odparował.

- Chveya i Hushidh mają mniej więcej ten sam talent - powiedział Volemak. - A ten talent jest niezastąpiony. Zatem jedna zostanie tutaj, a druga pójdzie tam.

- Oykib jest nieoceniony, jeśli chodzi o uczenie się języków - zauważył Issib. - Jego tam pošlij.

- Potrzebuję go tutaj. Chcę, żeby uczył się języka kopaczy razem z Elemakiem.

Wszyscy to zrozumieli - nie byłoby dobrze, gdyby Elemak pełnił rolę jedyne go tłumacza. Volemak nie chciał tego powiedzieć otwarcie, ale Elemakowi nie mogli do końca ufać. A biorąc pod uwagę to, jak się zachowywał od nocy porwania, i tak może nie przyjąć zadania pracy z kopaczami.

- Zresztą - dodał - kopacze znają Oykiba.

- Znąją też Nafaia.

- Nie kłóć się ze mną o to, Issya - poprosił Volemak. - Oni widzą w Nafaiu boga. Dlatego bardzo ważne jest, żeby nie widzieli go za często. Niech oddają cześć tej glinianej głowie, a on sam niech zostanie dla nich zagadką.

- Innymi słowy - odezwał się Nafai - nikt, kto mnie zna, nie może mnie czcić.

- Mniej więcej.

- Ja ciebie czczę - powiedziała Luet aż nazbyt słodkim tonem.

Nafai posłał jej aż nazbyt słodki uśmiech.

- A co do twojego awersji do krzesła - Volemak zwrócił się do Issiba - to Nafai i ja jesteśmy niemal pewni, że możemy zamontować przekaźnik gdzieś na tamtym szczycie, więc twoje lewitery będą tam działały.

- Chyba że wejdę za drzewo.

- Na przekaźnik składają się cztery instalacje, więc zawsze jest paralaksa - uspokoił

brata Nafai. - To musiałoby być naprawdę wielkie drzewo.

- Jeśli lewitery będą działały, zgodzę się - rzekł Issib.

- I tak się zgodzisz - oznajmił Volemak stanowczo. - Po prostu będziesz bardziej poirytowany, jeśli zasiądziesz w krześle. Ale dostaniesz Indeks. Uznaj to za nagrodę pocieszenia.

- No to będzie nas tam czworo. Bracia, którzy poślubili siostry - podsumował Nafai.

- I ja wciąż będę bezużyteczna - dodała Luet, próbując mówić beznamiętnie, lecz bez powodzenia.

- Nie bardziej niż Nafai - pocieszył ją Volemak. - I nie mniej. Świecąca skóra nie zaimponuje aniołom tak bardzo jak kopaczom. Ich pierwszy kontakt z nami zakończył się aktem bezmyślnego okrucieństwa. Nawet z Hushidh i Issibem w roli doradców potrzeba będzie delikatnych zabiegów, by w ogóle was przyjęli. Yasai i Padarok zapewnili mnie, że ranny anioł nie stwarzał groźby przemocy. Ale to nie znaczy, że inne są koniecznie pokojowo nastawione. W końcu to istoty rozumne. Jeśli sądzić po ludziach i kopaczach, możemy się spodziewać, że anioły też potrafią być mordercami.

- To po prostu wybijmy ich wszystkich - rzucił Nafai.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zgrozą.

- To był żart.

- Postaraj się nie żartować sobie tak przy aniołach - skarcił go Volemak.

Nafai wydawał się zniesmaczony.

- Gdy jestem za coś odpowiedzialny, nie wygłupiam się, ale teraz ty prowadzisz spotkanie.

- Doceniam twoją chęć pomocy - odparł Volemak. - Czy ktoś ma coś jeszcze?

- Ja mam - odezwała się Shedemei. - To się dotyczy zwłaszcza tych czworga, którzy pójdą do aniołów, ale też wszystkich, którzy będą zajmowali się kopaczami. Musicie na wszystko zwracać uwagę. Nie tylko czym się od nas różnią, ale też w czym są do nas podobni. Musicie to natychmiast zapisać, wszystkie wasze obserwacje, bo im dłużej będziecie z tym zwlekać, tym bardziej się do nich przyzwyczaiacie i tym bardziej prawdopodobne, że przestaniecie to zauważać. Issib ma Indeks, a ja komputery tu na statku, więc składajmy raporty co noc.

- Kiedy to wszystko robimy? - zapytał Oy kib.

- Praca z kopaczami zaczyna się od razu - stwierdził Volemak. - Lecz dopóki nie będziemy mogli zabrać zdrowego anioła z powrotem do jego ludu, nie wybieramy się w góry. Na razie więc was czworo na zmianę będzie zajmowało się tym poranionym biedakiem.

Spędzajcie z nim tyle czasu, ile Shedemei uzna za wskazane. Zaprzyjaźnijcie się z nim, jeśli możecie. I nigdy nie zabierajcie tego koleżki tam, gdzie mógłby natknąć się na Elemaka. Elya będzie miał dostęp do statku jak zwykle, ale poproszę go, żeby omijał pokład, gdzie Shedemei przywraca anioła do życia. To powinno wystarczyć.

Shedemei miała tylko jedno do dodania:

- Chcę zwłaszcza wiedzieć wszystko, co tyczy się seksu. Rozmnażanie i przetrwanie to są dwie kluczowe siły napędowe ewolucji. Nie rozumiem biologii ani kultury tych istot, dopóki się nie dowiem, co jest nieodzowne dla ich kopulacji, rozrodu, odżywiania i obrony. Z jakiegoś względu te rzeźby odgrywają rolę w obu kulturach.

- Sztuka to życie - zaintonował Nafai. - A życie to sztuka.

Luet szturchnęła go raz jeszcze, z całej siły. Jęknął. Miała nadzieję, że zostawiła mu siniaka.

Shedemei i Issib zostali sami przy ekranie komputera i poświęcili kilka chwil, by dokładnie obejrzeć skany ciał kopaczy i aniołów.

- Chciałam to poruszyć przy całej grupie - zaczęła Shedemei - ale spotkanie potoczyło się w innym kierunku. Nie wiedziałam, co Volemak planuje, lecz najważniejsze, żebyś ty był tego świadom, żebyś mógł poszukać wyjaśnienia, gdy będziesz już w górach z aniołami.

- Nie zgodziłem się tam pójść - bąknął Issib.

Shedemei spojrzała na niego zdumiona. Zrezygnował z oporu.

- No dobra, pokaż mi.

- Tutaj, u samców kopaczy. I tutaj, w naszym jedynym aniele, także samcu.

- Nie wiem, co pokazujesz.

- Ja też nie. To mały organ, może gruczoł, w ogóle nie jestem pewna jego funkcji. Ale nie występuje u ludzi ani u żadnego innego gatunku, który przebadalam.

- A więc są inne.

- To nie takie proste. Różne gatunki stworzenia mogą mieć te same organy, bo pochodzą od wspólnego przodka. Ale może to być rezultat konwergencji ewolucyjnej - podobne wymagania środowiskowe sprawiły, że gatunki rozwinęły podobne strategie, żeby im sprostać. Jeśli mają identyczny organ z racji wspólnego przodka, czyli pokrewieństwa, powinien on występować też u wszystkich innych gatunków, które wyewoluowały z tego samego źródła w tym samym czasie. Ale go nie ma, Issibie. Żaden inny gatunek gryzonia ani nietoperza nie ma niczego choć zbliżonego do tej struktury w tym miejscu ani w pobliżu. Nie ma teraz i nie miało czterdzieści milionów lat temu, gdy sporządzono najstarszą bazę danych biologicznych na tym statku. Tego tam nie ma.

- A więc konwergencja ewolucyjna.

- Tyle że, z wyjątkiem struktury szkieletowej i mięśniowej, konwergencja ewolucyjna jedynie daje organy o zbliżonych funkcjach. Nie znam powodu, dla którego miałyby być w tym samym miejscu.

- Chyba że mają związek z rozmnażaniem u samców i mogą funkcjonować jedynie tuż nad moszną.

- Właśnie. Chcę więc, abys poszukał, i sama też będę szukać powodu, dla którego te dwa gatunki, i tylko one, mają ten organ. Bo niby czemu dwa gatunki rozumne na Ziemi miałyby łączyć akurat to podobieństwo?

- Bo jest związane z ich inteligencją? - zasugerował.

- Ta myśl się od razu nasuwa - przyznała Shedemei. - Ale nie mieliśmy okazji przyjrzeć się samicom. One też są inteligentne, a jeśli nie mają tej struktury...

- Albo innej o analogicznej funkcji...

- Rozumiesz problem. Ten organ skądś się wziął i ma jakąś funkcję, i występuje jedynie u tych dwóch gatunków rozumnych, a może tylko u ich samców. Może mieć coś wspólnego z inteligencją. Albo z seksem, zważywszy na umiejscowienie.

Issib wyszczerzył się szeroko.

- Może one są bardziej podobne do ludzi, niż nam się wydawało.

Shedemei popatrzyła na niego spode łba.

- Chodzi ci o to, że samcza inteligencja ma związek z testosteronem?

- Ja bym to powiedział dosadniej.

- Nie wątpię, skoro sam jesteś samcem. Ale tak jak sugerowałeś, ludzkie samce myślą swoimi samczymi przydatkami, a nie mają tego dziwnego małego organu.

- To był tylko żart, Shedemei, a nie poważna naukowa sugestia.

Shedemei uśmiechnęła się leciutko.

- Wiem, Issibie. Ja też żartowałam.

Zaśmiał się. Nieco wymuszenie.

- Poszukaj jakiegoś wyjaśnienia - poprosiła Shedemei. - Ja wprowadzę wszystkie moje spostrzeżenia do bazy danych, żebyśmy mogli dzielić się informacjami za pośrednictwem Indeksu przez cały czas, gdy będziesz w górach.

- Jeśli tam będę - poprawił.

- Tak czy siak.

*

Podczas gdy Issib i Shedemei naradzali się przy jednym z ekranów komputera,

Chveya wzięła Luet na stronę.

- Czemu ojciec zachowywał się tak dziecinnie podczas spotkania? To żenujące.
- Dziecinnie? - zdziwiła się Luet. - Ja tak o tym nie myślę. On zawsze był taki.
- Ja nigdy go takiego nie widziałam. I to nie jest śmieszne.
- Dla niego jest. I dla mnie też.
- W ogóle go nie rozumiem.
- Pewnie. On jest twoim ojcem.

Chveya była już niemal przy drabinie, gdy Luet wpadła na prawdziwą odpowiedź na prawdziwe pytanie córki.

- Veya, moja droga, powód, czemu nigdy nie widziałas go takiego, jest całkiem prosty. On tak się zachowuje, gdy jest szczęśliwy.

Chveya uniosła brew, skinęła głową w zamyśleniu, a potem chwyciła się drabinki i ześliznęła się po niej niczym dziecko.

- Uważaj! - krzyknęła za nią Luet. - Pamiętaj, że jesteś w ciąży!

- Och, mamó, nie krzycz na mnie! - Głos Chveyi poniósł się echem po wszystkich pokładach statku.

I ona wyrzuca ojcu, że zachowuje się dziecinnie? Luet pokręciła głową, po czym złapała za drabinę i zeszła na dół szczebel za szczeblem.

*

Poto do góry nogami zwiślał z gałęzi, otulając się skrzydłami niczym Pradawni swoimi ubraniami. W cierpliwym milczeniu przysłuchiwał się tyradzie Boboi. Wszyscy zgadzali się z jej racjami. Było ich tak wielu, a żaden nie wziął strony Poto. Żona pTo, Iguo, z chęcią zabrałaby głos w jego obronie, lecz żonie nie wolno było udzielać się w takich okolicznościach, bo wszyscy wiedzieli, co powie. Zwiślała do góry nogami z tej samej gałęzi co Poto, lecz milczała.

Gdyby Poto był sam, i tak miałby dwa argumenty, które by za nim przemawiały. Po pierwsze, wiadomo, co każdy był winien swojemu wtóremu. Boboi mogła przekonywać, że pTo z pewnością nie żyje, że Pradawni już są rozgniewani, więc nie prowokujmy ich bardziej; Pradawni zabrali ciało pTo do domu tylko po to, by nakarmić nim czarty - lecz w głębi serca każdego mężczyzny i każdej kobiety w tym gronie kłębiły się głębokie i skomplikowane uczucia, które każdy żywił do swojego wtórego lub swojej wtórej. Uczucia Poto były trudne do uporządkowania. PTo poleciał na dół wbrew radzie Poto; i też wbrew jego radzie poszedł sam stawić czoło Pradawnym i zaoferować im zwrot skradzionego zboża. PTo był jednak też jego wtórym, a gdy Poto patrzył, jak gniewny brodaty olbrzym łamie i rwie ciało pTo niczym

suche gałązki, ledwo powstrzymywał się przed rzuceniem się na Pradawnego z krzykiem, choć to by oznaczało pewną śmierć i było surowo zabronione. Gdy nie możesz uratować jednego schwytanego, nie dawaj im drugiego. Próbował być w pełni posłuszny prawom i mądrościom swojego ludu; inni pochwalili go potem za to, że wówczas milczał, lecz dla niego było to niewielką pociechą. PTo, ty głupcze! - krzyczał w duchu. A potem: PTo, mój wtóry, gdybym tylko mógł zginąć dla ciebie!

Bo czy nie jemu było pisane umrzeć? Gdy mieli dwa lata - za duzi, by któreś z rodziców mogło ich sami ponieść - czarty przypuściły atak i znalazły kryjówkę jego rodziny. Oboje rodzice bez zastanowienia chwycili pTo za stopy, by zanieść go do schronienia gdzieś wyżej. To był długi lot. Poto znajdował się sam na gałęzi, a jeden z czartów wspinał się szybko ku niemu. Wiedząc, że rodzice wybrali jego wtórego, Poto niemal się nie ruszył; czemu miałby cenić swoje życie, skoro rodzice go nie cenili? Jednak instynkt był zbyt silny. Wtórował mu krzyk oddalającego się pTo: „Żyj, mała duszyczko!”. Dla rodziców Poto był niczym, więc nie będzie żył dla nich. Będzie żył dla pTo.

Drobiąc, przesunął się na najdalszy kraniec gałęzi. Czart zaśmiał się z niego i zaczął wspinać się na gałąź, powoli, ostrożnie. Zginała się coraz niżej i niżej pod jego ciężarem. Poto widział innego czarta czekającego pod gałęzią, by schwycić go, jak tylko znajdzie się dostatecznie nisko.

Czart poniżej skoczył i jego straszliwe kopiące ręce musnęły głowę Poto. Dzieci w takiej chwili wpadały w panikę i próbowały latać, lecz nie mogły się unieść, a czarty miały świetną zabawę, ścigając je, gdy trzepotały słabymi skrzydłami przy ziemi. Te, które próbowały latać, zawsze łapano, zawsze znoszono do czarcich tuneli, gdzie były pożerane podczas potwornych, barbarzyńskich obrzędów.

Poto nie próbował latać. Zebrał się na odwagę i przybliżył się do czarta na gałęzi. Tym samym wzniosł się ponad wysokość, którą czart poniżej mógł dosięgnąć przy skoku. Zarazem jednak znalazł się niemal w zasięgu czarta na górze. Ten na gałęzi dwa razy dotknął stóp Poto, ale za drugim razem tak bardzo się wychylił, że stracił równowagę, a w tym momencie Poto buchnął gałęzią. Czart zaskomlał i spadł. Zanim zdołał wspiąć się znowu, rodzice Poto wrócili i ponieśli go do bezpiecznej kryjówki. Tam pTo powitał go uściskiem i wysłuchał opowieści o strasznej przygodzie. Od tej pory Poto zawsze wiedział, że oszczędzono mu życie, żeby mógł czuwać nad wybranym wtórym; wszyscy to szanowali, wiedząc, że gdyby Poto nie było pisane chronić pTo, czarty by go tamtego dnia zabrały.

Drugim ważkim argumentem po jego stronie było to, że wszyscy wiedzieli, iż niezależnie od decyzji zgromadzenia Poto poleci szukać pTo i go uratować, nawet zaofiaruje

siebie w zamian, o ile pTo wciąż żyje. A więc zgromadzenie tak naprawdę decydowało nie o tym, czy Poto pójdzie, lecz czy jego wyprawa nie jest tak niebezpieczna, że powinni porwać jego skrzydło, aby mu to uniemożliwić. Byłaby to straszna kara, gdyż pozbawienie człowieka możliwości latania to ostateczne upokorzenie. Tak traktowano mężczyznę, który wziął kobietę siłą, a kara ta zawsze prowadziła do tego samego końca: okrutnej, haniebnej śmierci z rąk czartów podczas ich kolejnego wypadu. Ponieważ nie był niemowlakiem, najeźdźcy nie zniosą go do jaskiń. Pożrą go od razu, wcześniej nawet nie zabiją. Rzucenie im podartoskrzydłego na przynętę mogło ocalić życie kilku niemowlaków - tylko do tego nadawał się taki przestępca.

Byłoby to czyste okrucieństwo, gdy jedyną przewinę Poto stanowił zamiar uratowania swojego wtórego niezależnie od decyzji zgromadzenia. A chciał przeciwstawić się zgromadzeniu - okryłby się hańbą, gdyby okazał, że bardziej szanuje prawo niż swojego wtórego. Tak jak żona powinna błagać o ratunek męża i dlatego nie dopuszczano jej do głosu, tak samo oczekiwano od mężczyzny, że oprze się wszelkim obawom, prawom, niebezpieczeństwom i mądrościom, by polecieć na ratunek swojemu wtóremu. Czy więc złamie prawo, czy nie, i tak czekała go kara, jakby je złamał. Gdyby lud Poto nie ukarał, znaczyłoby to, że uważają go za najbardziej odrażające ze stworzeń - człowieka, który nie chce zaryzykować wszystkiego dla swojego wtórego. Już lepiej być podartoskrzydłym.

Tak więc zgromadzenie musiało zdecydować, czy podrzeć Poto skrzydło, czy pozwolić mu narazić bezpieczeństwo ludu i zlecieć na dół, aby zmierzył się z Pradawnymi.

W końcu Boboi zamilkła, ostatni z jej stronników przemówił. Ilu ich było? Mniej niż połowa zgromadzenia, lecz niewiele mniej. Jeśli choć kilkoro z tych dotychczas milczących zagłosuje za nią, Poto spotka kara, a pTo pozostanie sam wśród Pradawnych.

Przyszła jego kolej. Ludzie byli już zmęczeni. Będzie się streszczał.

- Nie sądzę, że wszyscy Pradawni są naszymi wrogami. Byli bardzo źli na pTo, inaczej nie przyszliby w góry, żeby go znaleźć. Odrzucili jego ofiarę, to prawda. Lecz ten, który go zaatakował, działał sam. Widziałem, jak inni odwracali się od niego albo wyciągali ręce, żeby go powstrzymać...

- A skąd wiesz, co Pradawni w ogóle zamierzali?! - wtrąciła się Boboi.

Zgromadzenie pisnęło gniewnie w proteście, że Boboi ośmieliła się mu przerwać. Wszak wcześniej Poto w niczym nie uchybił wymogom grzeczności. Speszona wysokim skrzekiem Boboi odwróciła twarz od zgromadzenia.

- Nie tylko ja tam byłem - podjął Poto. - Jeśli ktoś widział, że inni Pradawni chcieli zrobić pTo krzywdę, niech przemówi od razu, wyrażam zgodę.

Nikt nie odważył się mu zaprzeczyć, gdy przemawiał w imieniu swojego wtórego.

- PTo nie był martwy. Widziałem, jak odważnie otwierał oczy, by pokazać nam, że żyje. A Pradawni, widząc, że żyje, nie pożarli go, choć nie był dzieckiem. Traktowali go łagodnie i położyli na ich własnej skórze, znieśli go w dół. Nie mam pojęcia, co zamierzali. Ale Pradawni nie są czartami, mimo że nie mają włosów pod skórą, może więc nie są czartami w sercach. Przybyli z nieba, prawda? Może więc już nie gniewają się na pTo, a jeśli pójdę wstawić się za nim, pozwolą mi go zabrać do domu albo opiekować się nim aż do śmierci.

Próbował przypomnieć sobie, jakich jeszcze argumentów użyła Boboi.

- Nie sędzę, że Pradawni gniewają się na nas wszystkich, inaczej nie poprzestaliby na skrzywdzeniu samego pTo. Był świt, na pewno widzieli strażniczki latające nad osadą. Wiedzieli, gdzie mogą nas znaleźć, ale nie podeszli bliżej. Czyli nie winią wszystkich za czyny jednego. A więc nie ściągnę niebezpieczeństwa na lud, nawet jeśli okażą mi wrogość, gdy do nich przyjdę.

Co jeszcze? Większość z racji Boboi sprowadzała się do tego, a jej liczni stronnicy w kółko powtarzali to samo.

- Ludu zgromadzenia - zaczął podsumowanie. - Mogę dodać tylko jedno: mój wtóry nie zrobił nic gorszego jak pójście w ślady Kitiego, znamienitego przodka jego żony. Ich obu ciągnęło do Pradawnych. Wprawdzie Boboi oświadczyła, że nikt nie powinien chodzić do Pradawnych, dopóki zgromadzenie o tym nie zdecyduje, lecz zgromadzenie jeszcze nie zabroniło tego, co pTo zrobił. Sprowadził niebezpieczeństwo na nas wszystkich, postąpił lekkomyślnie, ale też odważnie. Działał nie z myślą o sobie, ale o tym, co uważał za dobro ludu. Czy można go potępiać? Czy jego wtórego należy okaleczyć, by nie mógł stanąć u jego boku? Sędzę, że każdy tu obecny, nawet Boboi, byłby dumny, będąc wtórym kogoś tak odważnego jak mój pTo. Pozwólcie mi być dla niego prawdziwym bratem i przyjacielem. Niebezpieczeństwo grożące ludowi jest nieznane. Czy niewiadome zło powinno nas powstrzymać przed uczynieniem wiadomego dobra?

Poto powoli okręcił się na gałęzi i rozpostarł skrzydła, gotów na podarcie, gdyby głosowanie okazało się niepomysłne dla niego. Słyszał, jak stronnicy Boboi opadają na ziemię. Ilu? Zrobili to szybko, wszyscy naraz, a potem już nikt więcej. Tak łatwo podjęli decyzję. Może to oznaczało, że tylko jej najzagorzalsi popiecznicy za nią zagłosowali.

A może nie.

*

Chveya obudziła się pierwsza, jak zwykle. Niegdyś potrafiła co dzień sypiać dłużej od

Oykiba, lecz w ciąży jej pęcherz zmniejszył pojemność, musiała wstawać przed brzaskiem. A nie było sensu próbować zasnąć ponownie.

Usiadła na stołku i wsparta o ścianę ich jednoizbowego domu próbowała wyobrazić sobie Basilikę, Miasto Kobiet. Matka mówiła jej o budynkach, o tysiącach budynków, tak blisko siebie, że stykały się ze wszystkich stron oprócz frontu. A czasem ludzie wznosili nowy dom tuż przed twoim, całkiem odcinając go od ulicy, chyba że stać cię było na najęcie zbirów, żeby ich przegonili. Czasem budowano nawet w poprzek ulicy, zupełnie ją blokując - chyba że rozgniewani przechodnie rozbierali ściany kamień po kamieniu.

Trudno było sobie wyobrazić takie miasto, tak wielu mieszkańców. Przez całe życie Chveya знаła tylko ludzi z ich kolonii. Jedyni nowi ludzie, jakich spotykała, to dzieci, które się rodziły. Jedyne domy, jakie widziała, to te, które zbudowali własnymi rękami - i te niemożliwe, magiczne budynki kosmodromu. A to nie było miasto, bo wszystko tam znała od zawsze.

Kopacze jednak miały miasto, prawda? Było pod ziemią, choć prowadziły do niego tunele wydrążone w drzewach. Chveya wyobraziła sobie, w jaki popłoch wpadły kopacze, gdy przybysze z Harmonii zaczęli ścinać drzewa, poszerzając łękę, na której wylądowali. Tunele prowadzące do drzew przeznaczonych do wycinki trzeba było zasypać, żeby ludzie niczego nie podejrzewali.

Miasto kopaczy było ogromną siecią połączonych komnat. Chveya wiedziała, że to nie bajka. Dostrzegała więzi między kopaczami, więzi prowadzące pod ziemię. Zapewne tego prawdziwego miasta nigdy nie zobaczy, nigdy nie przeczołga się przez te tunele - w ciemnościach. Jej skóra nie świeciła na zawołanie tak jak skóra ojca. Tam cały czas panowałyby nieprzenikniony mrok. A ją otaczaliby nieznajomi. Nie chodziło o to, że byli obcy, podobni do zwierząt, lecz o to, że ich nie znała, nie wiedziała, czego się spodziewać. Nawet Elemak, nawet Meb i Obring, choć niebezpieczni i niegodni zaufania, wydawali jej się bezpieczniejsi, bo ich znała. Kopacze były jej zupełnie obce.

I podobnie musiało być w Basilice. Nikt nie mógł znać aż tylu ludzi, więc chodziło się ulicami pośród nieznajomych, którzy nie wiadomo o czym myślą, czego pragną. Może chcą zniszczyć ciebie i tych, których kochasz...

Jak oni to robili, ci ludzie, którzy tam mieszkali? Jak mogli znosić życie wśród obcych? Czemu po prostu nie chowali się w swoich domach, nie barykowali drzwi i nie skomleli ze strachu?

A czemu ja tego nie robię? - pomyślała Chveya. Teraz, wiedząc, że otaczają mnie kopacze, których nie znam, których postępów nie mogę przewidzieć, którzy są władni

zniszczyć mnie i wszystkich, których kocham - czemu mimo to chodzę do łóżka w nocy i wstaję rano?

Ktoś przed wejściem klasnął cicho w ręce.

Wstała i podeszła do drzwi. To był Elemak.

- Oy kib na nogach? - zapytał.

- Mmm, nie - odparła. - Ale już powinien wstać.

- Nie śpię - odezwał się zaspany Oy kib z łóżka.

Chveya zaprosiła Elemaka do środka. Stał, dopóki Oy kib nie wskazał najstarszemu bratu, by usiadł w nogach łóżka.

- Z czym przychodzisz? - zapytał Oy kib.

- Volemak chce, żebyśmy zajął się tym kopaczem zakładnikiem.

- A chcesz?

- Zrobię, co muszę - odparł Elemak. Uśmiechnął się złośliwie. - Złożyłem przysięgę.

- W takim razie obaj mamy nauczyć się jego języka.

- Ty już zacząłeś. Chciałbym, żebyś nauczył mnie tego, co wiesz o tym języku.

- Nie za wiele jeszcze. Tylko kilka słów. Wciąż nie znam struktury.

- Cokolwiek wiesz, chciałbym się tego nauczyć. I chciałbym, żeby Protchnu też się tego nauczył. Możesz dać nam korepetycje z języka kopaczy?

- To dobry pomysł - przyznał Oy kib.

Ktoś biegł na zewnątrz. Tupot nóg. I zaraz w drzwiach stanął Protchnu.

- Ojcie!...

Elemak wstał.

- Anioł siedzi na dachu domu Issiba - wydusił Protchnu.

- Kto jest na warcie? - zapytał Oy kib, wciągając ubranie.

- Motya. Prosił, żeby ciebie sprowadzić, ojcie.

- Mnie? - zdziwił się Elemak.

- No, dorosłych.

- Nie miał na myśli mnie.

Protchnu popatrzył wyzywająco.

- Ale ja tak.

- Idź po Volemaka.

Chveya zdziwiła się, że Elemak tak dobrze rozumiał swoją obecną rolę w tej grupie - i wydawał się z nią godzić. Wiedziała, że jego więzi z innymi są ostatnio bardzo wątłe, lecz ta z synem jest jasna i silna. A jednak pozwolił mu zobaczyć własną pokorę. To na pewno

przysporzy Protchnu wielkiego bólu, lecz Elemak się z tym nie krył i...

Chyba że chciał się upewnić, że Protchnu poczuje ten ból.

Nie, nie chciała wierzyć, że Elemak ma jakiś misterny plan, który zakładał rozniecenie głębokiej urazy w sercu syna.

Oykib był już ubrany i wychodził. Nic nie wskazywało na to, że Elemak zamierza pójść za nim.

- Nie jesteś ciekawy? - zapytała Chveya, wychodząc za Oykibem.

- Już widziałem jednego.

Gdy dotarli do domu Issiba, anioł stał na dachu sztywno, nieruchomo. Issib i Hushidh z dziećmi patrzyli na niego z dołu; inni ludzie też się zbierali.

- Wydaje się przerażony - zauważyła Chveya.

- Nie z naszego powodu - stwierdził Oykib. Wskazał drzewa. Cieniste sylwetki kopaczy migały wśród drzew, wśród zarośli. - Ich określenie na anioły to *mveevo*. Mięso z nieba.

- One jedzą anioły?!

- Wołaj dzieci. Powiedzmy tylko, że stosunki międzynarodowe między kopaczami a aniołami są na nieco prymitywnym poziomie.

Chveya dostrzegła, że anioł na dachu ma najjaśniejszą, najsilniejszą więź, jaką kiedykolwiek widziała, a ta więź prowadzi do statku.

- On tu jest z powodu tego drugiego, rannego - powiedziała.

- Chyba tak.

- Na pewno.

- Modli się, żebyśmy nie oddali go czartom i pozwolili znaleźć... brata. Więcej niż brata.

- To go tam zabierzmy. - Chwyciła krawędź dachu i zaczęła się wspinać po ścianie z nieheblowanych bali.

- Veya, jesteś w ciąży! - zganił ją poirytowany Oykib.

- A ty nie wchodzisz?

Kilka chwil później oboje znaleźli się na dachu. Anioł spojrzał na nich, ale się nie poruszył. Oykib wyciągnął rękę. Chveya również.

Anioł rozpostarł skrzydła, rozkładając się niczym parasol. Efekt był oszałamiający. Z małego, rozdygotanego stworzonka przemienił się nagle w wielki, groźny cień. A więc tak wyglądałby ten ranny, gdyby był silny i zdrowy. Groźny pozornie, gdyż ciało miał tak cienkie i wątłe pod pokrywą skrzydeł. Jedynie głowa była duża, ciężka.

- Cóż, nie możemy go zanieść - stwierdzi Oy kib. Zrobił przyzywający gest i anioł postąpił niezgrabnie naprzód. - Nie jest chodzącym zwierzęciem, to pewne.

- Nie jest zwierzęciem - odparła Chveya. - To bardzo odważna i przerażona istota rozumna. Ona kocha swojego brata.

- Swojego sobowtóra. Nie, trochę inaczej. Swojego wtórego.

- No to go tam zaprowadźmy. - Usiadła na skraju dachu, machnęła nogami i zeskoczyła. Oy kib za nią. Kilka chwil później anioł przysiadł na krawędzi, a potem sfrunął na dół. Dzieci pisnęły i odbiegły trochę dalej.

Chveya widziała, że kopacze w lesie nieco się zbliżyły, lecz nie śmiały wkroczyć na terytorium ludzi.

Oy kib wyjaśnił Nafaiowi i Volemakowi, co on i Chveya postanowili.

- Czego możemy się spodziewać, gdy zobaczy, jak poważnie ranny jest jego brat? - zastanawiał się Nafai.

- I co ważniejsze - odparł Volemak - czego możemy się spodziewać, jeśli nie pozwolimy mu zobaczyć brata?

Nafai potaknął. Oy kib i Chveya poprowadzili anioła do statku.

*

PTo budził się kilka razy, odkąd Pradawni go zabrali, lecz każda pobudka była jak sen. Dryfował, unosząc się na plecach, jakby powietrze się zagęściło i bez trudu podtrzymywało go w górze. Nie mógł się skupić dość, by poruszyć nawet ustami. A gdy uniósł powieki, zobaczył samicę Pradawnych, też unoszącą się, powoli wpływającą w jego pole widzenia. A nad sobą niebo neutralnej barwy, jakby chmury nie zdecydowały jeszcze, czy chcą być burzowe, czy spokojne. Czuł lekkie podmuchy nie wiadomo skąd - być może spod niego. Nie dochodziły go żadne zapachy, oprócz własnego potu i stęchłej woni Pradawnej.

Potem znowu zapadł w sen, a raczej w pustkę.

Czy to śmierć? Czy Pradawni zabierają nas do boga nieba? Czy to życie w chmurze?

Po którejś już pobudce uświadomił sobie, że to musi być wewnątrz wieży Pradawnych, a niebo nie jest niebem, lecz dachem. A więc czy wieża jest tunelem, jak u kopaczy, tyle że zbudowanym nad ziemią? Czy raczej osłoniętym gniazdem, jak pleciona strzecha, którą ludzie stawiali nad łęgowskimi, gdzie niemowlaki czepiały się futra swoich matek?

Czy Pradawni są tacy jak my, ludzie, czy tacy jak czarty?

Jak czarty, bo ten Pradawny w wielkiej furii podarł pTo i porzucił go na pewną śmierć.

Jak ludzie, bo inni Pradawni ostrożnie i czule dźwignęli pTo na plecione jak strzecha skóry, które wkładali na swoje ciała i zdejmowali do woli. Jak ludzie, bo wciąż był żywy, niejedzony, nieposzarpany na kawałki, nawet niewięziony.

Albo trzecia możliwość. Może są jak bogowie. Wszak nie czuł bólu. Przyszedł dzień, gdy ból powrócił. Wtedy pTo po raz pierwszy obudził się naprawdę. Już się nie unosił w powietrzu. Odzyskał czucie w kończynach, mógł poruszać palcami. Niektórymi. Odwrócił głowę - tak, mógł odwrócić głowę, mógł przesunąć plecy na tyle, by zobaczyć, że wokół jego złamanych kości coś zawieszono, łącząc je niczym szczep z pniem drzewa. To złączenie było tak ciężkie, że nie mógł go unieść. Stamtąd dochodził tępy ból.

Czemu pozwolili bólowi wrócić? Czy to zapowiedź śmierci? Czy mnie osądzono i uznano za niegodnego? Czy może postanowili pozwolić mi wrócić do życia? Zobaczyć znów swojego wtórego, swoją żonę, swój lud...

Wyjający, huczący dźwięk - ach tak, to mowa Pradawnych. Było w niej trochę muzyki, ale też te czarcie dźwięki, syki i pomruki.

A potem usłyszał swoje imię wymówione z miłością, z troską.

- PTo!

Rozpoznał ten głos od razu, choć to niemożliwe, żeby był prawdziwy.

- Poto? - odpowiedział.

Z szelestem skórzastych skrzydeł pojawił się jego wtóry.

- Mówiłem ci, żebyś nie szedł do wieży Pradawnych.

- A teraz sam tu przyszedłeś.

- Boboi chciała podrzeć moje skrzydła, by mnie powstrzymać. Nawet myślałem, że ucieknę, nie czekając na werdykt. Ale chciałem, byś mógł wrócić z honorem, jeśli przeżyjesz. Poczekalem więc, a ludzie opowiedzieli się za mną. Za nami, pTo. Oni cię szanują. Za to, jak zniosłeś karę tego gniewnego Pradawnego.

- Był najokropniejszym stworzeniem, jakie w życiu widziałem - przyznał pTo. - Z pewnością okropniejszym niż czarty.

Poto pokręcił głową.

- Spoglądałem czartom w twarz i tym Pradawnym również.

- Ale czarty, Poto, nas nie nienawidzą, one po prostu nas łakną. Nie masz większej nienawiści nad nienawiść Pradawnych.

- Oni mnie do ciebie przyprowadzili, mój ty najpiękniejszy wtóry - odparł Poto. - Wiedzieli, kim jestem i czego chcę, i mnie do ciebie przyprowadzili.

Głos Pradawnej zabrzmiał ponownie. PTo zobaczył, że weszło czterech innych.

Jednego rozpoznał - samca, którego widział pamiętnej nocy, gdy dotknął wieży.

- To ten, który widział, że ukradłem trawy - powiedział pTo.

- Musiał narobić krzyku.

- Ale to nie on jest tym gniewnym?

- Teraz się nie gniewa. Nie jak tamten. Och, obym już nigdy więcej nie widział Pradawnego w gniewie!

*

- W końcu coś zrozumiałem - odezwał się Oy kib. - Coś jakby modlitwa. Połowa z tego, co mówią kopacze, jest skierowana do bogów. Byłoby mi łatwiej, gdyby anioły były równie pobożne.

- Ale co powiedział? - zaintrygowała się Shedemei.

- Życzył sobie już nigdy więcej nie oglądać tego gniewnego. Tego gniewnego Pradawnego. - Zaśmiał się. - Pradawni to my, oczywiście. Starożytni, którzy wrócili.

- To nie jest śmieszne, lecz bardzo ważne. Luet albo Nafaiu, czy możecie pójść po Hushidh i Issiba? Muszą ich poznać, skoro mają pośredniczyć w kontaktach z aniołami.

- Dobrze, ja pójdę - zaoferował się Nafai.

- Nie, Nafaiu, to głupie, ja pójdę - odparła Luet.

- Ja pójdę - rzucił Oy kib.

- Zostań tutaj - stwierdziła Shedemei. - Może zrozumiesz coś jeszcze.

Nafai wyszedł.

- Ten język to same pluski i śpiew, tak? - zauważyła Luet. - Jak bąbelki w strumieniu. Jak...

- Powiedz, matko? - poprosiła Chveya.

- Jak muzyka Jeziora Kobiet, gdy unosiłam się w nim na granicy wieszczonego snu.

- Może Opiekunka Ziemi była w stanie przesyłać ci ich śpiewy.

- Cicho! - przerwała im Shedemei. - Ci dwaj są chyba bliźniakami. Spójrzcie, są identyczni. Jak dwie krople wody.

- Każdy nazywa drugiego swoim wtórnym - wyjaśnił Oy kib. - To coś znacznie więcej niż brat.

- Moi bliźniacy mogą czuć to samo wobec siebie - powiedziała Luet - gdyby tylko dzieci w ich wieku mogły wyrazić swoje uczucia.

- Cii...! - syknęła Shedemei. - Słuchaj, Oy kibie. A wy obserwujcie.

Lecz Chveya musiała dodać jeszcze jedno:

- Nie ma między ludźmi miłości tak silnej jak łącząca tych dwóch.

*

- Jesteś bez wątpienia najgłupszy ze wszystkich ludzi - rzekł Poto.

- Przyjmuję ten zaszczyt - odparł pTo. - A ty jesteś najwierniejszy ze wszystkich.
Niech jakaś kobieta zobaczy siłę i moc w tobie i pojmie cię za męża.

*

- Ten ranny modli się, żeby jakaś samica doceniła siłę tego zdrowego i skojarzyła się z nim. Nie, złączyła - przetłumaczył Oy kib.

- Poślubiła - zasugerowała Chveya.

- Możliwe. Słowa mają splatanie i wiązanie w podtekście.

- Coś wiem o splataniu. Jemu chodzi o małżeństwo. Ten ranny jest żonaty, łączy go silna więź z kimś, kogo tu nie ma, z kimś w górach.

- Mają jakieś imiona? - zapytała Shedemei.

- Oczekujesz, że wyduszę z siebie te dźwięki? - zapytał Oy kib.

- Będziesz musiał wcześniej czy później. Równie dobrze możesz spróbować.

- Imię tego zdrowego to o-o z krótkimi spółgłoskami pomiędzy. To-to. Po-to.

- A tego drugiego?

Oy kib zaśmiał się niepewnie.

- Takie samo. On nazywa się tak samo.

- Wtóry - bąknęła Shedemei.

- A nie, jest inne. ranny się nazywa Po-TO, a zdrowy PO-to.

*

- Cicho! - rzekł pTo. - Słuchaj.

- Czego?

- Pradawnych. Oni właśnie wymówili twoje imię.

Słuchali.

- Poto - powiedział Oy kib. - Poto. - Potem coś tam jeszcze wybełkotał, a potem imię znów wyraźnie się wybiło. - Poto. Poto.

- Oni chcą ciebie - zauważył pTo.

Poto zniknął z pola widzenia pTo, lecz było słyhać, jak mówi:

- Jestem Poto, Pradawny. Szukasz mnie? Niechaj mój wtóry nie zazna już więcej krzywdy! Jeśli masz więcej kary, mnie ją wymierz.

*

- On się do nas modli - przełożył Oy kib.

- Pięknie. Może będziemy bogami dla wszystkich - zadrwiła Shedemei.

- Jeśli chcemy znów podrzeć skrzydła, on prosi, żebyśmy podarli skrzydła jego, a nie jego wtórego.

- Skąd taki pomysł? - zdziwiła się Chveya. - Czy on myśli, że się gniewamy?

- Skąd może wiedzieć, co myśleć? - zapytała Luet. - Spróbuję mu pokazać.

Uklękła i przysunęła się do zdrowego anioła.

- Poto - powiedziała, wskazując na niego.

Odwrócił się do niej plecami i rozpostarł skrzydła. Nie na pełną szerokość - na tyle, że ukazał luźno wiszącą skórę.

- Dotknij skrzydeł - zasugerowała Shedemei. - Bardzo delikatnie. Są mocne, ale nie wiem, czy wrażliwe na ból.

Luet delikatnie musnęła błonę lotną. Była bezwłosa i gładka, niczym skóra obuwia, lecz o wiele cieńsza. Bardziej sprężysta.

Anioł zdawał się na coś czekać, a gdy nic się nie stało, odwrócił się i spojrzał na nią zdeorientowany.

- Poto - powtórzyła i teraz wyciągnęła rękę ku niemu, otwartą dłońią w górę.

Przyjrzał się jej ręce, potem przebiegł wzrokiem po twarzach, szukając wytłumaczenia. Może znalazł jakieś, jakiego nawet nie mogli się domyślać, a może sam zdecydował, co znaczy ten gest. Tak czy owak schylił się i przyłożył policzek do jej dłoni. Luet delikatnie podniosła drugą rękę i nią też dotknęła twarzy anioła. Trzymała tak tylko przez chwilę, a potem odjęła rękę.

Anioł przemówił cicho, lecz nie do niej, a do swojego bliźniaka.

*

- PTo, ona obwołała się moją ciotką, owiła mnie prawdziwie!

- Och, Poto, oby wszyscy nasi ludzie otrzymali taki dar od Pradawnych - odpowiedział pTo.

*

- Ten ranny modli się, żeby cały jego lud otrzymał takie błogosławieństwo od Pradawnych - wyjaśnił Oy kib.

- Bardzo ładnie - pochwaliła Shedemei.

- To za mało - odparła Luet. - Nie chcę, żebyśmy byli bogami dla tych ludzi.

Skłoniła się przed aniołem, oferując własną głowę, by ją wziął między dłonie.

*

- Co mam robić, pTo? - jęknął Poto w rozpacz. - Ona kłoni się mi jak ojcu, nawet nie obracając głowy na bok.

- Jeśli Pradawna żąda, żebyś był jej ojcem, zgódź to! Nie złość jej! Oni są straszni, gdy się złością.

- Ale ja nie mogę być jej ojcem. To się nie godzi.

- Godzi się - rzekł pTo. - Ona nie ma ojca. Umarł.

- A skąd to wiesz, Złamanoskrzydły?

- On nie żyje, Poto, wiem to. Widziałem to, gdy spałem. Widziałem to w moich snach.

- Nigdy nie widziałeś nawet twarzy tej Pradawnej, która klęczy przede mną.

- Widziałem. Widziałem ich wszystkich.

To była prawda. PTo nie pamiętał tego aż do tej pory, aż do chwili, gdy potrzebował tego wspomnienia, a wtedy do niego wróciło. Widział twarze ich wszystkich we snach. Nawet tego gniewnego, tyle że nie gniewnego, otoczonego przez maluchy, przez jego dzieci. A po jej głosie poznał, którą z nich była. Tą, którą widział z oboma swoimi pierwotnymi przycupniętymi na jej ramionach.

- Ona stanie kiedyś na łące w osadzie, a moje dzieci będą stały na jej ramionach.

- No dobrze. W takim razie uznaj ją za moją bratanicę.

- Córkę - upierał się pTo. - Ona nie ma ojca. Teraz ty będziesz jej ojcem.

- Nie mam żony. Jaka kobieta wyjdzie za mnie, jeśli będzie musiała tym samym zostać matką Pradawnej?

- Ta, która powinna być twoją żoną, i żadna inna - odparł pTo.

- Jesteś wybrany na ojca Pradawnej, a martwisz się o małżeństwo? Czy samotność aż tak ci doskwiera, mój drogi szalony wtóry?

*

- Są zaniepokojeni - mruknęła Luet.

- Tylko się nie ruszaj - stwierdził Oy kib. - Trochę z tego rozumiem. Myślę, że gdy wzięłaś jego głowę w ręce, to tak jakbyś uznała go za swojego krewnego. Przyjęłaś go do rodziny, otoczyłaś opieką. A teraz prosisz, by on ciebie adoptował.

- Mhm. Może to nie jest dobry pomysł.

- Nie ruszaj się i pozwól mu zdecydować - poprosiła Shedemei.

Rozmowa ustała. A wtedy Poto szeroko rozpostarł skrzydła i nie przyłożył rąk do obu stron głowy Luet, lecz owinał ją całą skrzydłami. Czuła, jak ją otulają, lekkie jak piórka. Wiedziała, że gdyby rozprostowała rękę, przedarłaby błonę lotną; wiedziała też, że porwanie skrzydła tego stworzenia zniszczyłoby nie je, a ją.

- On modli się, żeby był dla ciebie dobrym ojcem - wyjaśnił Oy kib.

- Ojcem? - zdumiała się Luet.

- Ma nadzieję, że godnie zastąpi twojego starożytnego ojca, który zginął gdzieś daleko.

- Jak to? - zdziwiła się Chveya. - Skąd on to może wiedzieć, matko?

- Mówi, że dopóki nie umrze, będzie cię bronił przed głodnymi czartami. To chyba część rytualnego języka adopcji. Tyle że odnosi się do niemowląt.

- Możesz mi powiedzieć, jak u nich mówi się „ojciec”? - zapytała Luet.

- Mmm... zobaczmy, czy wymówi je ponownie, gdy będę mógł...

Anioł coś jeszcze powiedział.

- *Bet* - powtórzył Oy kib.

- Co? - zapytała Chveya.

- *Bet* znaczy „ojciec”.

Gdy anioł złożył skrzydła, Luet przysiadła na piętach i spojrzała mu w oczy.

- Poto - powiedziała, wskazując na niego. - *Bet*. - Potem wskazała na siebie. - Luet.

*

- Co ona mówi? - zagadnął Poto. - Chyba mówi mi swoje imię, ale nie wiem, co to za dźwięk, jest taki dziwny.

- U-et - wydukał pTo.

- Nie, coś jest wcześniej. I to nie czarci dźwięk, tylko taki jakby zwrot muzyki. Wu-et. Ju-et.

*

- Próbuje wymówić twoje imię - zauważył Oy kib. - Oni chyba nie znają „I”.

- Wuet też może być - stwierdziła Luet. Skinęła głową, zgadzając się na imię, które Poto był w stanie wymówić. - Wuet - dodała, znów wskazując na siebie. A potem na niego. - Poto. *Bet* Poto.

- *Potobet* - poprawił ją anioł.

- *Potobet*.

Potem on znów na nią wskazał.

- *Wuetigo*.

- *Wuetigo*. - Wskazała na siebie.

Tak jak ona wcześniej, anioł skinął głową - był to jednak przesadny, niezręczny gest dla niego. Potakiwanie zapewne nie było sposobem, w jaki oni okazywali zgodę, lecz on przyswoił sobie jej zwyczaj.

- Bystry gość - oceniła.

Potem wskazała leżącego anioła.

- Po-TO? - zapytała.

- PTo - odparł Poto.

- PTo.

- *PTobet*.

- Aha. Jeśli jeden cię adoptuje, drugi bliźniak też zostaje twoim ojcem - domyśliła się Shedemei.

- Splatanie musi być ważne w ich kulturze - stwierdził Oy kib.

Z łóżka dobiegł ich głos rannego:

- *Wuetigo*. - A potem ku ich zaskoczeniu anioł wygiął język w łuk i z wielkim wysiłkiem rzekł: - *Luetigo*.

Zaśmiali się i klasnęli w ręce z radością. Z początku anioły wydawały się przestraszone. Potem jednak, widząc, że ludzie kiwają też głowami, Poto również zaczął uderzać dłońmi, jakby bił brawo.

Wtedy do pokoju wrócił Nafai z Issibem i Hushidh.

- Coś mnie ominęło? - zapytał.

- Niewiele - odparła Luet. - Poznaj moich nowych adoptowanych ojców, Poto i pTo. Tyle że ja muszę nazywać ich Potobet i pTobet, bo jestem ich córką. A oni mówią na mnie Luetigo.

- Luetigo oznacza, że jesteś ich ciotką - wyjaśnił Oy kib. - Pamiętaj, ty adoptowałaś ich pierwsza. Ten na łóżku - pu-TO...

- PTo - poprawiła go Chveya.

- Ten ranny jest bardzo wdzięczny, że po tym, jak zaszczyciłaś ich, uznając za swoich bratanków, zaszczyciłaś ich jeszcze bardziej, pozwalając im być twoimi ojcami. Dla nich to wielka sprawa. I chyba nieodwracalna.

- Tak - powiedziała Hushidh. - Ty też to widzisz, prawda, Chveya?

- Oni przyjęli cię do rodziny, matko - potwierdziła Chveya. - Jesteś związana z nimi tak jak ze mną. Oni nie żartują To nie jest zwykła formalność.

- Oni myślą, że to znaczy, iż wszyscy Pradawni będą przyjaciółmi... ludzi, aniołów... na zawsze.

- Świetnie! - ucieszył się Nafai. - To dobry początek. Dajmy tym dwóm trochę czasu dla siebie. Odetnij lekarstwo, Shedy, i chodźmy stąd na kilka godzin.

- Będzie cierpiał.

- Możesz dać mu coś, co nie pozbawi go przytomności?

- Tak. Ale czy jego bliźniak mi na to pozwoli?

Poto nie był zadowolony. Lecz kiedy Luet skłoniła się przed nim, pokornie wyciągając obie ręce, zdawało się, że anioł rozumie, iż narzędzie w ręce Shedemei nie stanowi żadnego zagrożenia. Podała lek pTo do goleni, a potem wszyscy ludzie wyszli.

*

- Oni nam ufają - stwierdził pTo.
- Albo obaj jesteśmy więźniami - odparł Poto.
- To ich sprawdź. Spróbuj odejść. Pozwolą ci, wiem to.
- Nie odejdę, póki ty nie będziesz mógł odejść ze mną.
- No to jesteśmy więźniami. Ale więzi nas tu moja słabość, a nie Pradawni.

Poto przyglądał się ranom swojego wtórego.

- Rozdarcie na twoim skrzydle... się goi! - powiedział zdumiony.
- Niemożliwe. Podartoskrzydły nigdy się nie goi. Podartoskrzydły jest żarłem dla czartów.

- A jednak. Oba końce rozdarcia złączono razem i między nimi tworzy się blizna, jak na owłosionej skórze. Pradawni mają moc gojenia skóry.

- Och, Poto! Któż teraz powie, że źle zrobiłem, schodząc tu do Pradawnych?
- Boboi - zauważył Poto z przekąsem.
- A ty?

- Powiem, że mój wtóry pokazał nam drogę. Powiem, że bez twojej odwagi, śmiałości i nieposłuszeństwa ludzie pozostaliby obcy wobec Pradawnych. Teraz Pradawni są naszymi przyjaciółmi. I jedna z nich jest naszą ciotką, a my jej ojcami.

*

Nauka języka kopaczy była dla Elemaka niczym powrót do lat młodości, do dni, gdy mierzył się z niebezpieczeństwami drogi, by zasłużyć na swoje prawowite miejsce jako dziedzic ojca. W tamtych czasach szybko uczył się nowych słówek, podchwytyjąc je od ludzi, których zatrudniał, od przewodników, właścicieli gospód. Kilka pierwszych języków wymagało prawdziwego wysiłku, lecz po jakimś czasie zaczął w nich dostrzegać prawidłowości, schematy. Bozhotz przypomina clime, tylko wszystkie „b” zmieniają się w „p”, a długie samogłoski - w dyftongi z końcowym „u”. Wystarczy odpowiednio ułożyć usta i uważać na kilka słów, które nie znaczą tego samego w innych językach - *olpoic* nie znaczy „dom” w bozhotz, więc nie proś mężczyzny, żeby zabrał cię do swojego *olpoic*, jeśli nie chcesz dostać nożem w żebra - ale można się dogadać. Po dłuższym czasie stało się to takie łatwe, że choć Elemak był dumny ze swych lingwistycznych talentów, mało się nimi przejmował.

Teraz był skompromitowany jako dziedzic ojca, nigdy nie będzie mógł znów ruszyć w świat - a nawet gdyby, nie było warto gdziekolwiek iść; żona wyrzekła się go przed całą ludzką populacją tej planety, a wszystko, co mu zostało, to uczyć się języka jakichś przerośniętych podziemnych gryzoni.

Ale to było w porządku. Nawet uczenie się podstaw od Oykiba było w porządku. Wprawdzie Oy kib to pupilek Nafaia, ale nie był samym Nafaitem. Elemak lubił Oy kiba. Wolałby nie widzieć, jak wyraźnie Oy kib mu nie ufa i się go boi. No cóż, fakt faktem, że trochę sponiewierał go tam w bibliotece na statku. Kwestia charakteru. Nie ma sensu tłumaczyć, że gniewał się na Nafaia, za jego zdradę. Nie ma też sensu się podlizywać i zabiegać o przyjaźń. Uczył się od Oy kiba podstaw obcej mowy, razem szukali reguł i schematów.

Bo one istniały. Nic z języków Harmonii nie miało tu zastosowania, rzecz jasna, bo mowa kopaczy rozwinęła się samoistnie, lecz wszędzie występują stałe elementy. Sposoby wyrażania czasu, żeby język mógł przekazywać przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, przyczynę i skutek, motywy i zamiary. W każdym języku muszą powstać rzeczowniki i czasowniki. A już w młodości Elemak wyrobił sobie „czucie” języka, jego melodii. Gdy chodzili na skraj lasu, by rozmawiać z czającymi się tam obserwatorami, widział wyraźnie, że kopacze lubią to, jak mówi, podoba im się jego głos i fakt, że jeden z bogów umie sobie radzić z ich mową.

Zdawał sobie sprawę, że Oy kib jest trochę zazdrosny. Wszak zaczynał jako nauczyciel, a teraz, po kilku tygodniach, role się odwróciły i to Elemak uczył gramatyki i wymowy, idiomów. Oy kib nie miał do tego ucha. Poznawał pierwszy obcy język, a Elemak - pięćdziesiąty. Trzeba jednak przyznać, że chwalił talenty Elemaka, nie opierał się zmianie w ich stosunkach nauczyciel-uczeń. Gdyby Nafai był tak powściągliwy...

W końcu nadszedł jednak czas, gdy Elemak czuł się na tyle pewnie, aby spróbować porozumieć się z zakładnikami na statku. Czterech z dziewięciu już zwolnili - żołnierzy, którzy byli gotowi na rozkaz króla wojny zabić porywaczy. Lecz pozostało czterech porywaczy i, co najważniejsze, syn króla krwi, Fusum, który zaplanował to wszystko.

- Chcę go zresocjalizować - powiedział Volemak. - Chcę, żeby to on zaniósł ludzką kulturę do kopaczy, bo to on próbował nas zniszczyć. Jego przyjaźń liczy się najbardziej.

Więc Elemak się z nim zaprzyjaźni.

- Ale zrobię to po swojemu, ojcie, albo nie zrobię w ogóle.

- Czyli jak?

- Fusum rozumie tylko przemoc i gniew, ojcie.

- Musimy więc nauczyć go żyć inaczej.

- Najpierw musimy wyraźnie określić, kto jest nauczycielem. A potem możemy zająć się uczeniem go innego sposobu życia.

Volemak miał wątpliwości, lecz w końcu się ugiął.

- Tylko nie rób mu krzywdy, Elya. Niczego, co by jeszcze pogłębiło istniejącą wrogość między nim a nami.

Więc Elemak go nie skrzywdzi. Nie trwale, w każdym razie. A w zamian za tę obietnicę ma wolną rękę w pozostałych sprawach. Wolną rękę i żadnego nadzoru.

Tyle że z początku będzie mógł spotykać się z Fusumem i resztą kopaczy tylko w statku, gdzie będzie pod obserwacją komputera, którego wciąż zwali Nadduszą, choć nie miał choćby małego ułamka mocy, jaką prawdziwy Naddusza dysponował na Harmonii. Cóż, niech maszyna sobie patrzy. Niech melduje o wszystkim Volemakowi, Issibowi i Nafaiowi. Nie będzie żadnych tajemnic. Zresztą Nyef i Issya byli zajęci troską o te dwa anioły. Paskudne stworzonka. Kości jak gałazki. Byli jednak tacy piękni w locie i skumali się z babą Nafaia, więc teraz stali się rodziną. Oczywiście Nafai był za głupi, by zrozumieć, że nie ma po co sprzymierzać się ze słabeuszami. Anioły są do niczego. Niebomięsy, tak nazywały je kopacze. Nie zostały do tej pory wybite do nogi tylko dlatego, że kopacze chciały sobie zapewnić stały dopływ ulubionego dania. Anioły to myśląca żywność, gulasz na skrzydłach - i z nimi Nafai i Issib chcą się zaprzyjaźnić.

Ach, ojcze, więc rozkazujesz mi bratać się z najsilniejszymi, najodważniejszymi i najbardziej niezależnymi spośród silnych, agresywnych kopaczy! Elemak niemal śmiał się na głos, myśląc o tym, jak zręczne zabiegi ojca, by zapewnić pokój, torują drogę przyszłości, w której Elemak będzie ekspertem od jedynych wojowniczych stworzeń na Ziemi, podczas gdy Nafai będzie za pan brat z ich ofiarami.

- Teraz zacznę pracę z zakładnikami - powiedział Elemak Oy kibowi. - Będziemy się obaj spotykać co dzień i porównywać to, czego nauczę się od nich o języku i kulturze, z tym, czego ty nauczysz się od wolnych kopaczy.

Oy kib zgodził się z tym i nigdy nawet słowem się nie zająknął, że chciałby chodzić z Elemakiem do statku, do zakładników. Dobry chłopak, wspaniały chłopak.

- Obudź najpierw czterech porywaczy - poprosił Elemak Shedemei. - Chciałbym przez jakiś czas z nimi poćwiczyć. Uczyć się od nich, słuchać ich rozmów w warunkach, nad którymi mogę panować, żeby nie mogli zwać w krzaki, gdy pytania staną się trudne.

- Kopacze są bardzo silne - ostrzegła go. - Silniejsze niż możesz sądzić.

- Ale ja sądzę, że są bardzo silne, więc chyba nie będę zaskoczony.

- Mówię tylko, że może nie chciałbyś być sam.

- Ależ też nie chciałbym sugerować im w żaden sposób, że się ich boję. Radziłem sobie z ludźmi niebezpieczniejszymi niż one, ludźmi z kultur, o których nic nie wiedziałem. To moja specjalność. Ja nie wtrącam się do tej twojej genetyki, prawda?

Shedemei obudziła po kolei każdego z czterech porywaczy. Elemak dbał o to, żeby jego twarz pierwszą zobaczyły po obudzeniu. Obchodził się z nimi srogo i nie dawał chwili wytchnienia. Czuli jego uścisk na ramionach, gdy pędził ich przez korytarze statku. Za kostki pchał każdego przed sobą w górę drabinki na pokład, z którego korzystał w charakterze swej szkoły, stołu negocjacyjnego i więzienia.

Spędził z nimi cztery tygodnie, ucząc się nowego słownictwa coraz bardziej złożonych reguł gramatycznych, którymi dzielił się z Oy kibem co wieczór, gdy kopacze były zamknięte. Poznawał również kulturę, funkcjonowanie podziemnego miasta. Król krwi był świętym, który wprowadzał chłopców do grona dorosłych mężczyzn. On też uświęcał ucztę małych niebomiesów, szczególnie wyróżniał mężczyzn, którzy zabili czysto, a nade wszystko tych, którzy przynieśli do domu zdobycz okaleczoną, lecz żywą. Król wojny ćwiczył młodych mężczyzn w walce, w skradaniu się, w zabijaniu; wyznaczał oficerów; prowadził kopacze na łupieżcze wyprawy, ale król krwi rozdzielał wszelkie zaszczyty, decydował, kto był wielki, a kto nic nie znaczył.

Mufruzhuuzh był kiedyś wspaniałym królem wojny, lecz niektórzy mówili, że popełnił błąd, żeniąc się z Emeezem. Rzecz jasna, nie miał wyboru. Został do tego zmuszony. To nie jego wina, że z powodu jej snów obrano ją matką głębi, panią podziemnego miasta. Lecz jej siła go osłabiała; za bardzo żonie ulegał, słuchał jej, gdy powinien był słuchać swoich ludzi. Powstała pustka.

Ojciec Fusuma, Shosseemem, powinien był ją wypełnić. Powinien wkroczyć do akcji i pomóc mężczyznom zdać sobie sprawę z własnej siły, zamiast pozwalać na dominację Emeezem. Lecz Shosseemem był równie sparaliżowany wizjami Emeezem jak Mufruzhuuzh. Ona powiedziała im przecież, że Niedotknięty Bóg przybywa z nieba. I przybył. Widzieli go wśród tych półbogów i bożków, widzieli, jak kroczył zdecydowanie, z dumą, i nie ośmielali się kwestionować autorytetu Emeezem, nawet gdy doradzała im uległość, bierność.

Patrzcie! - mówiła. Patrzcie i czekajcie! Poznajcie, zanim coś zrobicie! No to patrzyli, czekali, a wtedy pewnego dnia przyszedł do nich Fusum i rzekł: „Jesteście mężczyznami czy kobietami? Jeśli jesteście kobietami, to czemu nie macie niemowlaków przyssanych do piersi? A jeśli jesteście mężczyznami, to czemu wciąż patrzycie i czekacie, skoro widzieliście, gdzie trzymają dzieci i jak źle ich pilnują? Oni nie mają ani tuneli, ani gniazd, więc ich dzieci

cały czas są na powierzchni ziemi. Czemu jeszcze nie zabraliśmy ich do króla krwi?”.

„Bo król krwi nie prosi o nie. A król wojny nie rozkazuje nam działać”.

„Nimi rządzą kobiety. Ja jestem mężczyzną, a jeśli nie mam mężczyzny nade mną, rządę się sam. To nie są bogowie, nawet jeśli naprawdę przybyli z nieba. Czyż nie chodzą wysikać swojej uryny na ziemię jak my? Czyż nie jedzą, nie oddychają, nie wypróżniają się jak my? W czym niby są boscy?”.

- Takie kłamstwa opowiadał nam Fusum - uparcie tłumaczyły kopacze Elemakowi. - On nas oszukał. Gdybyśmy wiedzieli, że naprawdę jesteście bogami, tak jak wiemy teraz, nigdy byśmy go nie posłuchali. Wybacz nam, o potężny, niechaj gniew twego lśniącego boga ojca nas nie powali.

I tak dalej, i dalej, aż Elemak miał ochotę je udusić za nielojalność.

Jednak nie okazywał, że nie pochwala ich haniebnej zdrady względem Fusuma. Pozwolił im wierzyć, że chce, aby okazywały dożgonne oddanie lśnjącemu bogowi - Nafaiowi, kłamliwemu bękartowi. A gdy już uznał, że niczego więcej się od nich nie nauczy, powiedział Volemakowi, że jego zdaniem są gotowe, by przenieść je ze statku tam, gdzie Shedemei i Oy kib, Chveya i Yasai - i kto tam jeszcze chciał poznać zwyczaje kopaczy - mogli się nimi zająć.

Och, Volemak i inni byli bardzo zadowoleni z efektów pracy Elemaka. Te cztery kopacze były takie uległe. Tak starały się wszystkim przysłużyć. Tak chętnie dzieliły się informacjami i wiedzą. Posłano po ich żony, a one wyszły na powierzchnię i włączyły się do rozmów; wszyscy tak dobrze się dogadywali, ludzie i te cztery kopacze, które niegdyś wykradły dziecko z domu Elemaka.

- Jestem z ciebie dumny, synu - pochwalił go Volemak. - Zrobiłeś przyjaciół z tych, którzy skrzywdzili ciebie i twoją rodzinę. Dobra robota, tak trzymaj.

Elemak wiedział swoje. To byłoby coś haniebnego, gdyby było szczere. Lecz on znał prawdę o porywaczach. Nielojalne tchórze. Fusum zmusił je do tego, co zrobiły, a teraz były skłonne słuchać poleceń Elemaka. Jeśli Fusum ma trochę rozumu, zabije tych czterech zdrajców, jak tylko dojdzie do władzy.

Bo Fusum dojdzie do władzy. Tego Elemak był pewien. Im więcej słyszał od porywaczy, tym bardziej wydawało mu się, że zna Fusuma, wie, jak syn króla krwi myśli, co czuje, czego chce i co robi, by to osiągnąć.

Czego chciał? To proste: rządzić.

A co robi, by osiągnąć swój cel? Wszystko, co będzie trzeba.

Elemak znał Fusuma, owszem, bo był taki jak on. Tylko że syn króla krwi nie miał

dość oleju w głowie, by cierpliwie rozpoznać sytuację i czekać na właściwy moment, jak czynił Elemak.

I tak nadszedł dzień, gdy Shedemei wprowadziła komorę letargiczną Fusuma w stan gotowości.

- Chciałbym być z nim sam, gdy się obudzi - powiedział Elemak.

Uważnie zmierzyła go wzrokiem.

- A to czemu?

- Bo go znam. Kopacze wiele o nim mówiły. Ten osobnik jest niebezpieczny, a jeśli chcemy go poskromić, muszę pokazać mu, kto jest panem. Jeśli tu będziesz, zobaczy, że jest w to zaangażowany jakiś inny człowiek. Nie będzie wiedział, że to ja mam nad nim pełną władzę. Rozumiesz?

- Rozumiem. Ale się nie zgadzam.

- A jednak zostawisz mnie z nim samego.

- Zostawię, bo Volemak powiedział, żeby pozwolić ci załatwić to po twojemu.

Wyszła.

Po jakimś czasie pokrywa się odsunęła. Fusum mrugał, próbując rozeznaczyć się w otoczeniu. Elemak złapał go za gardło i podniósł niemal do pozycji siedzącej, wrzeszcząc w najbarwniejszym języku kopaczy:

- Porwałeś moją córkę! Chciałeś ją zjeść! Taki z ciebie wojownik, co to może walczyć z dziećmi, ale tchórzy przed mężczyznami?

Pierwszą reakcją Fusuma nie był strach, lecz gniew. Elemak się ucieszył, gdy syn króla krwi wyciągnął ramiona wciąż słabe od środków nasennych i próbował wyrwać mu serce z piersi. Bardzo dobrze. Nie jesteś beksą, prawda?

- I teraz mnie atakujesz, głupcze?! - Wciąż ściskając go za gardło, Elemak dźwignął kopacza w powietrze i rzucił nim o przeciwległą ścianę.

O tak, kopacz nie był kruchą zabaweczką jak anioł. Odbił się, nie łamiąc sobie niczego, obnażając zęby, gotów do walki mimo osłabienia i otumanienia. To nie była uczciwa potyczka, ale tego chciał Elemak. Tu szło o władzę i dominację, a nie o sprawiedliwość. Gdyby o nią chodziło, Elemak udusiłby kopacza we śnie.

Fusum rzucił się na niego - wysokim, sprężystym susem, który mógłby zaskoczyć Elemaka, gdyby już wcześniej nie nakłonił porywaczy, by zademonstrowali mu swoją technikę walki w pozorowanych gladiatorskich starciach. „Chcę tylko nauczyć się słów na to, co robicie” - tak im powiedział. Cóż, słów się nauczył. Ale też przygotował fizyczną kontrę. Tak więc Fusum nagle się zorientował, że został rzucony ponownie, tym razem w dół

korytarza. Sunął po podłodze aż do ściany.

Z warkotem znów rzucił się na wroga, lecz jego stopy ślizgały się po gładkiej powierzchni, nie mógł nabrać wystarczającego rozpędu, by zwalić Elemaka z nóg. Zanim środki odurzające przestały działać, był już fizycznie wyczerpany i upokorzony przez niezliczone porażki.

W końcu, gdy zupełnie opadł z sił, Elemak chwycił go za tylną łapę i zaciągnął przez korytarz do centralnej drabinki, a potem wniósł na górę. Podczas tej wędrówki w ogóle nie starał się chronić głowy i ciała kopacza przed bólem ani nie pozwolił Fusumowi zyskać dość swobody, by sam mógł się chronić. A gdy dotarł na miejsce, wrzucił króla krwi do małego pomieszczenia, wszedł za nim, zamknął drzwi i stał przy nich, śmiejąc się głośno.

Kopacze nie śmiały się w taki sposób jak ludzie, lecz najwyraźniej przesłanie dotarło. Fusum uniósł się na tylnych nogach, odsłaniając bezwłosy różowy brzuch.

- Złożysz mnie w ofierze jak mężczyznę? - zapytał. - Oto mój brzuch, wyrwij mi serce i wnętrzności i zjedz je na moich oczach. Dzięki temu uwolnię się od ciebie!

Elemak umiał rozpoznać odwagę.

- Wolałbym już zjeść własne odchody, niż kłaść swoje wargi krwią tchórza.

- A więc chcesz mnie ubić jak tchórza. Oto moje gardło. Poderżnij je, nie dbam o to. Życie nic dla mnie nie znaczy, gdyż teraz, gdy wy bogowie tu jesteście, mężczyźni są niczym. Nie ma mężczyzn. Są tylko kobiety i tchórze z dwoma ogonami.

Elemak roześmiał się znowu. Cóż za przekora! Obring płaszczyłby się i błagał o życie. Vas byłby ponury i cichy. Mebbekew próbowałby się ugadać, dobić jakiegoś targu. A Fusum był prawdziwym mężczyzną, starał się odrzec zwycięstwo Elemaka z poczucia radości i triumfu.

- Głupcze - rzekł Elemak w języku kopaczy. - Nie chcę cię zabijać. Chcę, żebyś był królem.

To uciszyło kopacza.

- Twój ojciec jest do niczego - ciągnął Elemak. - Emeezem nim trzęsie. Mufruzhuuzh nie jest wodzem na wojnę, równie dobrze mógłby być bezskrzydłym niebomięsem, tyle z niego pożytku. Myślałem, że twoi spiskowcy, ci porywacze są mężczyznami, ale to byle co, z ochotą cię zdradzili, sprzedali w zamian za własne życie i obwinili cię o wszystko. - Naśladował ich głosy, nadając im świszczące, kobiece brzmienie: - Och, Fusum nas oszukał. Zmusił nas. To nie była nasza wina. Nie wiedzieliśmy, że naprawdę jesteście bogami.

Fusum syknął w odpowiedzi, pryskając śliną w stronę Elemaka. To był najwyższy gest pogardy. Sprowokowałby walkę na śmierć, gdyby Elemak był kopaczem.

A on tylko się zaśmiał.

- Gdyby twoja ślina była trucizną, może i warto byłoby ją na mnie marnować. Plujesz po próżnicy. Jeśli chcesz ocalić swój lud, uchronić go przed naszym jarzmem, to jestem twoją jedyną nadzieją.

- Jeśli ty jesteś moją nadzieją, to nie mam żadnej.

- Naprawdę głupiec z ciebie. Ale cóż, przecież ja jestem bogiem, a ty pełznącym w ziemi robakiem.

- Nie jestem robakiem, a ty...

- No dalej, Fusumie, mój drogi chłopcze, dokończ.

Fusum pokręcił głową i milczał.

- Chciałeś powiedzieć: „A ty nie jesteś bogiem”, prawda? - rzekł Elemak. - Bądźmy ze sobą szczerzy.

- Czulem twoje ręce na sobie - odparł Fusum. - I nie były to ręce boga.

- Ach, z pewnością wielu bogów dotykało cię wcześniej, więc wiesz, jakie to uczucie, gdy dotykają cię ich ręce.

Fusum nie odpowiedział.

- Powiem ci, co czujesz, gdy dotykają cię moje ręce. Czujesz, że to ręce człowieka, który jest silniejszy, mądrzejszy, szybszy i bardziej przepełniony nienawiścią niż ty.

Fusum zmierzył go wzrokiem.

- Człowieka, mówisz.

- Mówię: „człowieka”. Nie boga - dopowiedział Elemak.

- Silniejszy, tak. Dziś. Szybszy dziś. Mądrzejszy, być może. Dzisiaj.

- Zawsze, Fusumie. W dziesięć tysięcy lat cały twój lud nie mógłby pojąć tego, co ja już wiem.

- Mądrzejszy. - Fusum przyznał mu rację. - Lecz na pewno nie bardziej przepełniony nienawiścią niż ja.

- Tak myślisz? To może porównajmy nasze historie, hm?

I tak zrobili. A gdy ten pierwszy, długi dzień ich znajomości dobiegł końca, gdy Elemak w końcu przyniósł Fusumowi jedzenie, nie byli już więźniem i strażnikiem, zakładnikiem i panem ani człowiekiem i bogiem. Byli sprzymierzeńcami, dwoma ludźmi pozbawionymi władzy wśród własnych ludów, zdecydowanymi jednak wykorzystać wzajemną przyjaźń, by uzyskać przewagę nad rywalami w swoich społecznościach. To będzie wymagało cierpliwości i planowania. To będzie wymagało czasu. Ale mieli czas, nieprawdaż? A z czasem można nauczyć się cierpliwości. Elemak już się nauczył, Fusum też

zdoła.

- Tylko pamiętaj - powiedział Elemak, gdy Fusum jadł, chlapiąc na boki i mlaszcząc. - Jeśli nadejdzie taki dzień, gdy pomyślisz sobie, że poradysz sobie beze mnie, zobaczę tę myśl w twoim umyśle, zanim sam ją zauważysz, a gdy zechcesz wbić mi nóż, zorientujesz się, że mój nóż już jest w tobie.

Fusum zaśmiał się chrapliwym, syczącym śmiechem mężczyzny.

- Teraz wiem, że mogę ci zawierzyć życie.

- Możesz - odparł Elemak. - Mówię tylko, że ja nigdy swojego nie zawierzę tobie.

*

Nafai, Luet i Hushidh wyruszyli ku osadzie aniołów, niosąc bagaże na plecach. Issib swoje ułożył na krześle, któremu nakazał za sobą podążać. Tydzień wcześniej Yasai i Oy kib wspięli się na upatrzone miejsce i rozstawili szereg przekaźników, dzięki którym Issib mógł z łatwością wzniesć się pod ścieżkę do kanionu. Zabrał jednak krzesło na wypadek niepogody lub gdyby w czasie snu ktoś ukradł jego lewitery.

Swoje małe dzieci zostawili pod opieką innych. Jeśli pierwszy kontakt z osadą aniołów przebiegnie pomyślnie, wybudują domy, a potem wrócą po dzieci, wtedy wezmą też nasiona, dodatkową odzież i materiały do nauczania. Mieli nadzieję, że zdążą przygotować farmę na czas pełnego okresu wegetacyjnego na tej wysokości. Jeśli wszystko się uda.

Poto i pTo lecieli przodem, co jakiś czas szybko wznosząc się w powietrze, potem krążąc z powrotem w dół tak, by ludzie mogli z nimi rozmawiać, gdy ich doganiali. Wszyscy byli świadomi, że wielu spośród aniołów odrzuciło pomysł zaprzyjaźnienia się z ludźmi - z Pradawnymi. Przygotowali jednak scenariusz, który ich zdaniem miał zjednać im aniołów albo chociaż ich przekonać, by pozwolili czworgu ludziom osiedlić się wśród nich. I gdy w końcu dotarli na tę samą łąkę, gdzie kości pTo zostały połamane, skrzydło podarte, krew rozlana, zatrzymali się i odegrali pantomimę.

PTo przysiadł na głowie Nafaia, a Poto na głowie Luet. Stopy opierały lekko, acz zdecydowanie, o szczęki ludzi. Rozpostarły skrzydła i owinięły wokół ramion Nafaia i Luet jak peleryny, jak namioty.

- Czuję się jak w gnieździe - zauważyła Luet.

Nafai potaknął. Nigdy nie widzieli anielskiego gniazda, lecz słyszeli ich opisy z ust pTo i Poto, patrzyli na wykonane przez nich rysunki, w końcu śnili o nich i budzili się z tych snów pewni, że Opiekun Ziemi ukazał im prawdę. Plecione i złożone z giętkich gałązek i traw, gniazda były w rzeczywistości dachami okrywającymi gałęzie, na których żony i młode spały, zwisając głowami w dół, owinięci własnymi skrzydłami.

Wiedzieli, że gdzieś z otaczających drzew anioły ich obserwują. Oceniają.

Issib poszybował naprzód, nie dotykając stopami ziemi; Hushidh szła za nim, cicho mówiąc, gdzie są anioły i które nie są silnie związane z pTo i Poto. Te należało przekonać, rzecz jasna, a Issib, stojąc w powietrzu - taka sztuczka nikomu innemu, nawet Nafaiowi nie mogła się udać - on ich oszałamiał, bóg niewątpliwy, jedyny, który potrafił latać.

- Gdzie podziewa się Iguo, gdy jej mąż wraca?! - głośno zawołał Issib w języku aniołów. Wiedział, że jego niski głos trudno będzie zrozumieć, ale mówił szybko, z nadzieją, że spółgłoski wystarczą, by anioły pojęły jego słowa.

Nikt nie wyłonił się z lasu, jeszcze nie.

- Jego skrzydło było podarte, lecz teraz nie ma w nim żadnego rozdarcia. Myślicie, że was skrzywdzimy, my, którzy potrafimy uleczyć podarte skrzydło dzielnego poszukiwacza?

Nadal nikt się nie pojawił.

- Gniewny Pradawny poranił pTo, bo myślał, że to wy, ludzie, porwaliście jego dziecko. Wtedy nie znaliśmy jeszcze podstępności czartów.

Luet sprzeciwiała się użyciu słowa aniołów na określenie kopaczy, lecz Issib upierał się, że muszą mówić do nich językiem, który rozumieją. „W końcu Elya i Okya nazywają aniołów niebomięsem, gdy mówią do kopaczy” - zauważył Issib. Wtedy wszyscy zgodzili się, że „czarty” z pewnością nie jest gorszym słowem.

Issib dalej zwracał się do niewidocznych aniołów:

- Teraz wiemy, że wasz lud nie schodzi z gór, by kraść nasze dzieci. Widzimy natomiast, że gdy jednego dzielnego człowieka spotka niezasłużona kara, jego wtóry, człowiek równie odważny, zejdzie, by go uratować.

Wreszcie kilka aniołów zdradziło swoją obecność, skacząc naprzód na wysunięte gałęzie drzew otaczających polanę. Niektóre stały wyprostowane na gałęziach, inne zwisały z nich głową w dół. Od patrzenia na nie kręciło się w głowie, lecz Issib mówił dalej:

- Teraz wiemy, że ludzie, którzy mogli powstrzymać dzielnego Poto, zdecydowali się pozwolić mu przyjść. To oni mieli nadzieję na przyjaźń z nami, z Pradawnymi sprowadzonymi do domu przez Opiekuna Ziemi.

O to też się spierali. Anioły nie znały pojęcia Opiekuna Ziemi, lecz Nafai przekonywał, że to imię trzeba wspomnieć już na początku. „Oni szybko się zorientują, że nie jesteśmy bogami - tłumaczył. - Niech nigdy nie mówią, że ich okłamaliśmy”.

„Tak jak okłamaliśmy kopaczy?” - zapytała wtedy Luet łagodnie.

„Nie próbujemy odzyskać porwanego dziecka od aniołów - zauważył Nafai. - Próbujemy zaprzyjaźnić się z ludźmi, którzy znają nas tylko z bezmyślnego okrucieństwa.

Nie pozwolimy, żeby widzieli w nas bogów, nawet jeśli zaimponujemy im tą sztuczką z lewitującym Issibem”.

Tak więc Issib wypowiedział teraz imię Opiekuna Ziemi, używając przekładu, który podały im pTo i Poto, gdy w końcu zrozumieli, kim jest Opiekun. A raczej gdy zrozumieli tyle, ile rozumieli ludzie, ile mogli im wyjaśnić dzięki swej podstawowej znajomości trudnego języka aniołów.

- Pradawni proszą was, żebyście wybaczyli nam pomyłkę. Wtedy was nie znaliśmy, ale znamy was teraz. Bo znamy tych dwóch dzielnych i prawych ludzi. A wy już znacie nas, bo widzicie zagojone skrzydło pTo. Pozwólcie nam wśród was zamieszkać. Najpierw jednak niech Iguo wystąpi, niech powita męża. Chodź i zobacz, Iguo, że to naprawdę pTo, którego do was przyprowadziliśmy uzdrowionego.

Potem czekali w bezruchu, w milczeniu, tylko pTo i Poto wydawały uspokajające pomruki. Cierpliwości. Zachowajcie cierpliwość. Niełatwo im zdecydować, czy pozwolić Iguo do nas przyjść.

Przyszła, frunąc niezgrabnie pod gałęziami, aż dotarła na polanę. Jej niezgrabność, jak wkrótce zobaczyli, wynikała z dwóch niemowlaków uczepionych futra na jej piersi.

pTo zachłysnął się ze zdziwienia, a Poto zaśpiewał z radości.

- Synowie! - zaświergotał. - Gdy połamany zdrowiał, żona dała mu synów! Teraz jego radość jest podwójna i podwójna raz jeszcze, gdyż powrócił do kobiety, którą zostawiał jako żonę, a teraz widzi ją jako matkę.

pTo sfrunął z głowy Luet i wylądował przed Iguo. Dwa anioły rozmawiały cicho, szybko, muzyka ich głosów brzmiała pięknie w duecie. Iguo badała porwane i połamane niegdyś skrzydło, a pTo przyglądał się dzieciom. Umiały chodzić i, mimo że mówiły niewyraźnie, nazywały go ojcem. Płakał bezwstydnie, mogąc dotknąć ich swoimi palcami i językiem, pozwolić im wspiąć się na brzuch i baraszkować pod pokrywą skrzydeł.

W końcu Iguo odwróciła się ku czekającym aniołom.

- To, czego nie da się uleczyć, zostało uleczone - oznajmiła. - To, co zostało stracone na zawsze, zostało odnalezione. Niech więc to, co niewybaczalne, będzie wybaczone, i niech przyjaźń zwiąże gości, którzy do nas przybyli, wplecie ich w nasze serca i nasze rodziny, nasze gniazda i nasze drzewa.

Była to formalna propozycja, na którą pTo i Poto radzili im czekać. Teraz doszło do głosowania. Tylko kilka aniołów opadło z drzew na ziemię, dając wyraz dezaprobacie lub wątpliwościom. A gdy decyzja zapadła, wszystkie, które powiedziały „tak”, zostając na drzewach, poderwały się do lotu, wznosząc się nad polanę, kłębiąc się, dokazując i śpiewając,

a potem nurkując w dół, po kilka naraz, by dotknąć ludzi, by zobaczyć ich rękami i nogami na równi z oczami, by usłyszeć ich głosy, gdy borykali się z trudnym językiem.

Nafaia nazywali Dapai, nie potrafiąc inaczej wymówić jego imienia. Luet nazywali Quet. Issib był „Ittibem”, a Hushidh - „Kucid”. PTo już wcześniej narzekał, że Pradawni chyba specjalnie wybrali swoje imiona tak, by jego lud nie mógł ich wypowiedzieć.

Jednak Dapai, Quet, Ittib i Kucid brzmiały wystarczająco podobnie. Anioły wymówiły ich imiona i przywitały ich. Z krzesłem wlokącym się z tyłu zeszli za szybującymi, kłębiącymi się aniołami do doliny, która była ich domem.

ZABIJANIE

Vas nie miał złych zamiarów. Był tylko spostrzegawczy. Przez miesiące, które minęły, odkąd Elemak pokieroszował latającą mysz, którą oni zwali aniołem, a Eiadh wyrzekła się go przed wszystkimi, Vas odnosił wrażenie, że chłód między Elemakiem a Eiadh nie zelżał. Najwyraźniej nie rozmawiali ze sobą, a Elemakowi udawało się prawie nie bywać w domu. Nie to, że Vas ich śledził. Po prostu, chcąc nie chcąc, zauważył, że Elemak przesiaduje w statku z kopaczami, ucząc się mruczeć i syczeć, a biednej Eiadh brakowało męskiego towarzysza.

Cóż, Vas też czuł się samotny. Sevet, jego droga żona, która regularnie zdradzała go w Basilice, teraz obrosła w sadło wskutek wielu ciąż. Co gorsza, zupełnie straciła ten promienny urok, który on kochał wtedy, gdy zawarła z nim kontrakt na kilka lat. W tamtych czasach była gwiazdą, śpiewaczką, popularną i powszechnie uwielbianą. Wszyscy Vasowi zazdrościli, że został jej mężem.

Lecz ona nie śpiewała od lat. Od tej nocy, gdy Kokor wróciła do domu i odkryła swego męża, Obringa, harującego w ponętnych lędźwiach Sevet. Koya, powodowana bardziej złością niż poczuciem sprawiedliwości, zaatakowała swą siostrę, Sevet, której nienawidziła najbardziej na całym świecie. Ciosem trafiła ją w krtani i odtąd Sevet nie wyśpiewała choćby nutki. Nie to, że był to uraz fizyczny. Mogła mówić i nuciła kołysanki kolejnym dzieciom. Ale śpiewanie, głosem pełnym i silnym, to już historia. Podobnie, rzecz jasna, jak sława, w której blasku Vas z taką radością się pławił. W Sevet nie widział więc już nic pociągającego. Niestety jednak zostali wplątani w jakąś absurdalną sytuację, musieli uciekać z Basiliki, przez co ich kontrakt małżeński nie wygasł, choć wszelkie uczucia wypaliły się tamtej nocy, gdy Sevet zdradziła go z Obringiem, mężem swojej siostry, tym żalonym, nędznym, durnym, wstrętnym robakiem.

Tak więc Vas był równie samotny co Eiadh, i z podobnych powodów - obydwójce zorientowali się, że ich partnerzy są pozbawieni ludzkiej przyzwoitości. Vas znosił swoje wyzute z miłości małżeństwo i nawet spłodził troje dzieci tej dziwce, a nikt się nie domyślał, że się jej brzydził. I nie chodziło tylko o jej tuszę czy utratę ich opromienionego sławą życia w Basilice - ale też o wyobrażenie jej nóg owiniętych wokół białych, nagich, obwisłych, owłosionych ud Obringa. A nie zrobiła tego, by zdradzić Vasa, lecz by zrobić na złość temu beztalenciu, swojej zepsutej siostrzyczce, Kokor. W ogóle o Vasie nie pomyślała.

To było wiele lat temu, minęło sto lat podróży międzygwiazdnej, nie wspominając o latach na pustyni i o kolejnym roku na tym nowym świecie, lecz Vas dobrze pamiętał, jakby to było wczoraj, i dobrze pamiętał obietnicę, którą złożył, gdy Elemak powstrzymał go przed zabiciem Obringa i Sevet, czym mógłby uratować swój honor. Poprzysiągł wtedy, że pewnego dnia, kiedy Elemak będzie stary, słaby i bezradny, Vas przywróci równowagę. Zabije Obringa i Sevet, a potem, z krwią wciąż świeżą na rękach, pójdzie do Elemaka, który zacznie szydzić: „Wciąż pamiętasz? Po tylu latach ich zabiłeś?”. A Vas odpowie: „Elemaku, to nie było dawno temu. To zdarzyło się w tym życiu. I w tym życiu wyrównuję rachunki. Z nimi - za ich zdradę. Z tobą - za to, że powstrzymałeś mnie, gdy pałałem żądzą zemsty. Kiedy człowiek ostygnie, potrzeba więcej krwi, by zemsta smakowała. Teraz twoja kolej, Elemaku. Giń z moich rąk, tak jak moja duma zginęła z twoich”.

Och, czy nie wyobrażał sobie tego dziesięć tysięcy razy? Wciąż i wciąż na nowo, gdy Elemak próbował zabić Nafaia lub Volemaka, a oni go upokarzali, Vas obserwował, mówiąc w duchu: „Nie zabijajcie go. Zostawcie go mnie”. Dziesięć tysięcy razy wyobrażał sobie, jak Obring będzie skomlał i błagał o litość, a Sevet będzie prychać z pogardą, nie wierząc, że ją zabije, aż dozna nieopisanego zaskoczenia, gdy wejdzie w nią nóż - och, to będzie musiał być nóż, broń dzierzona w ręce, aby poczuć, jak skóra pęka pod ostrzem, jak stał wrzyna się w ciało, drażąc je, szukając serca, a krew się leje, chlusta... Sevet charcze w ostatnim podrygu...

Ten dzień nadejdzie, pomyślał Vas. Ale najpierw warto się odpowiednio przygotować. Elemak miał za nic, że inny mężczyzna przespał się z jego żoną. Więc to będzie właściwe i sprawiedliwe, jeśli powiem mu, gdy będzie leżał umierający, w ostatnich chwilach świadomości: „A właśnie, Elemaku, mój przyjacielu, pamiętasz, co moja żona mi zrobiła? No cóż, twoja żona zrobiła to tobie, i to ze mną”. A Elemak spojrzy mi w oczy i zrozumie, że mówię prawdę, i wtedy uświadomi sobie, że jednak nie byłem bezwolną kukłą, za którą mnie uważał przez tak wiele lat.

Jedynym problemem z tym marzeniem była Eiadh. Nawet jeśli nie sypiała z Elemakiem, nie znaczyło to, że zwróci uwagę na Vasa. Nie był głupcem. Był spostrzegawczy, i tyle. Wiedział, że nastały dla niej dni smutku. Samotności. A on potrafił współczuć. Nie przyjdzie do Eiadh w gniewnie ani w poszukiwaniu zemsty na Elemaku, nie, skądże znowu. Przyjdzie do niej jak przyjaciel, zaoferuje silne ramie, pocieszy. Vas czytał książki. Wiedział, że tak to się dzieje. Eiadh się nie roztyła, mimo że urodziła dwa razy tyle dzieci co Sevet. Eiadh nadal śpiewała, nie z mocą, jak Sevet, lecz z urzekającą intymnością, głosem, który mógł obudzić wszystkie pragnienia w duszy mężczyzny - oj tak, Eiadh, słyszałem, jak śpiewasz, i wiedziałem, że pewnego dnia będziesz jęczeć, będziesz drzeć w reakcji na moje

pieszczoty.

- Tak? - zapytała Eiadh.

Nawet nie klasnął w ręce. Musiała zauważyć, że nadchodzi. Głupio wyszło.

- Eiadh...

- Tak? - zapytała ponownie.

- Mogę wejść?

- Coś się stało? - Chyba zaniepokoiła się o swe dzieci.

- Nie, nic, tyle że martwię się o ciebie.

Eiadh wydawała się zbита z tropu.

- O mnie?

- Mogę wejść?

Zaśmiała się, lecz przepuściła go przez drzwi.

- Oczywiście, ale nie mam pojęcia, czemu akurat o mnie się martwisz. Owszem, jestem bez przerwy zmęczona, ale na to wszyscy narzekają. Jeśli przyszedłeś pokroić warzywa na kolację, bardzo mi miło.

- Naprawdę potrzebujesz pomocy przy warzywach?

- Nie, tak mi się powiedziało. Szyję. Volemak się upiera, żebyśmy wszyscy nauczyli się szyć tymi okropnymi kościanymi igłami. Są grube, po każdym ściegu zostawiają dziury w materiale, ale on twierdzi, że kiedyś zabraknie nam stalowych i dlatego... dla mnie to nie ma żadnego sensu, nawet na pustyni nie musieliśmy... nudzę cię, prawda?

- Przepraszam. Nie nudzisz mnie, ale wsłuchiwałem się bardziej w twój głos niż w słowa, mam nadzieję, że mi wybaczysz. Elemak jest szczęściarzem, bo ma żonę, której mowa o sprawach błahych jest jak muzyka.

Wydawała się zdziwiona tym komplementem, lecz potem zaśmiała się cicho.

- Nie sądzę, że Elemak uważa się za wielkiego szczęściarza.

- Więc jest głupcem. Skoro odwraca się od takiej bogini, takiej piękności...

- Vas, czy ty próbujesz mnie uwieść?

Zirytowany mógł tylko zaprzeczyć.

- Nie, nie mogę... czy dałem ci do zrozumienia, że ja... och, tak mi wstyd. Przyszedłem, żeby porozmawiać. Czułem się samotny i myślałem, że może ty... ale jeśli myślisz, że nie powinniśmy być sami...

- Nic nie szkodzi. Wiem, że moja cnota jest przy tobie bezpieczna.

Vas zaprezentował swój najlepszy kpiarski uśmieszek.

- Najwyraźniej cnota wszystkich jest przy mnie bezpieczna.

- Biedny Vas. Coś nas łączy.

- Doprawdy? - Czy to możliwe, że czuła do niego miłość? Może nie powinien był zamiarowi uwiedzenia jej zaprzeczać tak szybko i emfaticznie?

- A poza tym, co oczywiste, nam obojgu pisane jest grać role drugoplanowe w naszych autobiografiach.

Vas zaśmiał się, bo miał wrażenie, że ona na to właśnie czeka.

- A to znaczy, że...

- Och, tylko to, że oboje jesteśmy przerzucani z miejsca na miejsce decyzjami innych ludzi. Czemu, u licha, w ogóle nas wzięto na pokład statku? Przychodzi ci do głowy jakiś powód? To kwestia czystego przypadku. Zakochania się w niewłaściwej osobie w niewłaściwym dniu w niewłaściwym punkcie historii.

- Tak - przyznał Vas. - Teraz cię rozumiem. Ale czy dwoje podrzędnych aktorów takich jak my nie może mimo wszystko grać we własnym przedstawieniu, na bocznej scenie, podczas gdy sławni aktorzy wygłaszają swoje pretensjonalne kwestie przed wielką widownią historii? Czy nie można skraść trochę szczęścia w ciemnościach, gdzie jedyna widownia to my sami?

- Nie jestem z tych, co to kradną w ciemnościach - odparła Eiadh. - Głupio wyszłam za mąż i zrozumiałam to niemal od razu. Ty też, obawiam się. Ale to nie znaczy, że narażę przyszłość moich dzieci, nie wspominając o własnej, dla jakiejś pociechy czy zemsty. Szukam przyjemności, gdzie mogę, w pełnym świetle, na oczach ludzi. Kochając swoje dzieci. Ty też masz dobre dzieci, Vas. Czerp z nich pociechę.

- Miłość moich dzieci to nie miłość, której pragnę. - Odważył się na bezpośredniość wobec niej, bo uświadomił sobie, że i tak przejrzała wszystkie jego sprytnie aluzje.

- Vas, od dawna cię podziwiam, bo znosisz wszystko tak cierpliwie. Umiem już dostrzec bez trudu, czyja siła jest lepsza, twoja czy Elemaka. I jeszcze podziwiam w tobie to, że potrafisz znieść swoją sytuację z gracją. Nie stawajmy się tacy jak oni. Nie zniżajmy się do ich poziomu, bo w końcu zasłużymy na to, co oni nam robią.

Vas był uważnym rozmówcą. Od razu zrozumiał, że ona nawiązuje do jakiegoś niedawnego zdarzenia, a nie do starej historii z czasów Basiliki. Chyba zakładała, że on wie coś, czego nie wiedział.

- Ty nigdy nie zasłużysz na to, co Elemak robi tobie - powiedział, licząc, że sprowokuje pożądaną odpowiedź.

I sprowokował.

- Ty też nie zasługujesz na to, co tobie robi Sevet. Myślałby kto, że już dawno

wyciągnęła naukę ze swoich błędów, ale niektóre kobiety nie uczą się niczego, podczas gdy inne są bardziej pojętne.

Vasowi zakręciło się w głowie. Tyle lat rozwodził się nad wspomnieniem zdrady z Obringiem i wcale nie przyszło mu do głowy, że Sevet może brać jeszcze kogoś do łóżka. Inna sprawa, że okazji nie brakowało. Gdy pracował daleko na polach; gdy stał na warcie; gdy wyruszał ze Zdorabem, korzystając z kapsuły statku, by przebadać okoliczne ziemie i sporządzić ich mapę. Sevet mogła... ale przecież nawet ona by tego nie zrobiła... nie po raz drugi, nie po tym, jak straciła tak wiele, straciła głos...

Lecz to nie ja pozbawiłem ją głosu, tylko Kokor. Jakie wnioski wyciągnęła Sevet? Że należy obawiać się gniewu Kokor, ale czy kiedykolwiek nauczyło ją, żeby bać się mnie?

Nadszedł czas, uświadomił sobie. Tym razem nie będzie Elemaka powstrzymującego jego rękę. Sevet i Obring umrą, a potem zajmie się Elemakiem i na zawsze uwolni Eiadh od tego potwornego męża. Gdy wszystkie przeszkody znikną, ona zwróci się ku mężczyźnie, który dał jej wolność.

Albo i nie. Czy będzie się nim w ogóle przejmowała? Nie starał się zaskarbić sobie niczyjej miłości ani aprobaty. Zbyt długo obywatł się bez nich, a teraz nadszedł czas na zmianę.

- Trudno uwierzyć, że ona wciąż daje się omamić Obringowi - stwierdził. - Zdawałoby się, że opadły jej klapki z oczu teraz, gdy stracił swój chłopięcy urok, o ile w ogóle go miał.

Zaśmiała się, lecz była zaskoczona. A cóż to mogło oznaczać?

Czyli nie Obring. Sevet zdradzała go, ale nie z Obringiem.

Raptem przypomniał sobie, co powiedziała wcześniej. O tym, że coś ich łączy. „A poza tym, co oczywiste.. Co było takie oczywiste? Tak oczywiste, że tylko on to przeoczył. Wszyscy muszą wiedzieć. Wszyscy.

Widać zauważyła, że sobie to uświadomił, bo zrobiła zboląłą minę.

- Och, Vas, myślałam, że wiesz, myślałam, że dlatego tu przyszedłeś, by się na nich zemścić. Ale ja nie byłam zła, rozumiesz, bo ja i tak nie chcę go w moim łóżku, więc nie obchodzi mnie, gdzie kładzie swoje spocone cielsko, i myślałam... nie wiem czemu, ale po prostu zakładałam, że ty traktujesz to podobnie, ale widzę, że nie, nie wiedziałeś, i przepraszam, ja...

Więcej nie słyszał, bo wstał i wyszedł z jej domu. Z domu Elemaka.

*

- Nie rób nic głupiego - powiedziała cicho.

A potem, wiedząc, że prawdopodobnie Vas jednak zrobi coś głupiego, poszła szukać

pomocy. Uprzedzi Volemaka, że zanosi się na awanturę. On będzie wiedział, jak temu zaradzić. Powinna pójść do niego już dawno temu. Cudzołóstwo było zbrodnią w ich niewielkiej społeczności - sam Elemak ogłosił to prawo na pustyni przed wielu laty. Eiadh nigdy się nie skarżyła, bo nie pragnęła, by był blisko niej, z tymi gniewnymi rękami, które połamały bezbronną, niewinną istotę, tymi rękami, które poniewierały i terroryzowały wszystkich na pokładzie statku. Lepiej było spać samej i marzyć o jedynym prawdziwym mężczyźnie, jakiego kiedykolwiek знаła. Mężczyźnie, który kiedyś, gdy był chłopcem, kochał ją, a przynajmniej wzdychał do niej. Mężczyźnie, który teraz nawet nie patrzył na nią z przyjemnością.

Nie przyszło jej na myśl, że Vas nic nie wiedział. Jak mógł nie wiedzieć? Czy mężczyźni są aż tak ślepi? A może uważał, że skoro on przestał pożądać żony, seksualne pragnienia Sevet naturalnie wygasną?

Będą kłopoty, a ktoś może zginąć! Zrozumiała to teraz, bo nigdy wcześniej nie widziała Vasa z takim wyrazem ślepej furii na twarzy. Widziała Elemaka takiego, lecz on nawykł do podobnych uczuć i umiał je tłumić. Vas nie miał takiej wprawy.

Po drodze do domu Volemaka mijała Mebbekewa. Rozwieszał skórę kozła, którego on i kilka kopaczy upolowali dzisiejszego ranka.

- Co ci tak spieszo? - zagadnął.

- Może zechciałbyś iść ze mną i pomóc. Vas właśnie się dowiedział o zdradzie Sevet i może być niebezpieczny.

Meb pobladł i Eiadh się domyśliła, że Sevet pozwoliła więcej niż jednemu mężczyźnie orać swoje poletko.

- Nie chodzi o ciebie - uspokoiła. - O tobie nie wie.

- A o kim? - zapytał zdumiony.

Zaśmiała się głośno.

- Czy wszyscy mężczyźni są tak głupi jak ty i Vas? Wam się zdaje, że macie księżyc na własność, bo nigdy nie widzicie, by ktoś inny na niego patrzył.

- A więc Vas chce zabić Elemaka.

- Idę do Volemaka. Musimy Vasa powstrzymać.

- Och, zaraz do was przybiegnę, obiecuję. Za nic bym tego nie przegapił.

*

Mebbekew jednak nie poszedł za nią do domu Volemaka. Wciąż z drewnianym młotem w rękach próbował odgadnąć, gdzie Vas mógł udać się najpierw. Do szopy z narzędziami, ani chybi. Raczej nie preferował walki gołymi rękami - nie, jeśli miał mordercze

zamiary. Znał swoje ograniczenia. Meb też. Vas zdecyduje się na coś ostrego z długim trzonkiem. A Meb będzie miał bardzo duży młot. Vas, człowiek honorowy, odezwie się do upatrzonej ofiary, wywoła jej imię, stanie z nią twarzą w twarz. Meb, nie mając honoru w ogóle, zajdzie go od tyłu. Albo zaczai się i zaatakuje z zaskoczenia. Nie wstydził się tego. Wiedział, że w otwartej walce nie miałby szans. Nie był wojownikiem. Był aktorem i - gdyby bóg nie okazał się głupim komputerem - nadal byłby w Basilice na scenie, zdobywałby sławę, wciąż nowe kobiety i nowych przyjaciół. A utknął tu, w tej zawieszanej wiosce, w brudzie, codziennie pokryty potem, kąsany przez owady, w dodatku szalał tu teraz bardzo rozgniewany mąż. Czy ten szaleniec wie, że Meb był niemal na pewno ostatnim mężczyzną, z którym spała jego żona?

Cas pójdzie do Sevet, oczywiście. Pójdzie do domu.

Jednak w domu Vasa nie było nikogo. Sevet gdzieś wyszła. Razem z resztą kobiet. No tak. O tej porze dnia to ona uczyła dzieci, jakby czytanie miało jeszcze jakieś znaczenie. Co mieli czytać? Najnowszą opowieść napisaną przez szczura w norze? Lecz to ratowało życie Sevet w tej chwili, więc nie było znowu takie złe. Sevet to bardzo wdzięczna kochanka. I trochę się w tym wprawiła w czasach swojej świetności, więc spanie z nią było miłą odmianą po Laly - lgnącej, mdłej, niewyżytej, chciwej, samolubnej, niezdarnej...

Co nie znaczyło, że Mebowi przeszkadzało sypianie z Lal, kiedy tylko miała na to ochotę. Wciąż był młody, a teraz, gdy Elemak nie nadzorował już przestrzegania nakazu wierności małżeńskiej, zdradami nie zainteresował się nikt poza samymi cudzołożnikami. To dobra strona tego, że prawo jest egzekwowane tylko przez tych, którzy w nie wierzą - mało prawdopodobne, by podejrzewali, że zasady są łamane, bo ich nieprzestrzeganie nie mieściło się w ich naiwnych główkach.

Jeśli Vas nie mógł się dostać do Sevet i jeśli nie wiedział o Mebie, na pewno uweźmie się na Elemaka. Czyli zmierza do statku.

Po drodze Meb minął dom Obringa i zauważył, że drzwi nie są zamknięte, choć Obring powinien odsypiać wczorajszą nocną wartę... Czy to możliwe? Czy Vas żywił urazę do Obringa tak wiele lat po fakcie? Czy może Vasowi wydawało się, że Sevet mogła jeszcze kiedyś przespać się z Obringiem, po tym paskudnym wieczorze, gdy Kokor ich nakryła? A może nowa zdrada obudziła w nim wspomnienie tej dawnej?

Nawet jeśli Obring smacznie sobie spał, nie chciałby przegapić zabawy, a Meb nie miałby nic przeciwko temu, by mieć przy sobie drugiego mężczyznę dla pewności, nawet jeśli byłby nim Obring, a więc tchórz, na którym nie można polegać. Sam taki jestem, pomyślał Meb, więc akurat tego raczej nie mogę mu mieć za złe.

Wszedł do domu i zobaczył Obringa na łóżku, z oczami szeroko otwartymi, z rękami skrzyżowanymi nad raną na piersi, choć wątpliwe, żeby zmarł z jej powodu. Z pewnością go wykończyło głębokie cięcie przez gardło. Bardzo elegancka robota. Rana na piersi mogła być od kilofa lub siekiery. Na pewno nie od motyki. Rana gardła przesądzała jednak, że była to broń z ostrzem. Kosa. Nie, jednak siekiera. Biedny Obring. Biedny ja, jeśli Vas postanowi dobrać się do mnie. Siekiera kontra młot? Lepiej poczekam, aż ojciec postanowi, co robić, niech Nafai wkroczy ze swoją magiczną powłoką i zafunduje nieszczęsnemu Vasowi elektrycznego pstryczka.

U licha, co oni poczną z mordercą?

Meb usłyszał jakieś podniesione głosy w oddali, w pobliżu domu Volemaka, lecz zignorował je i w te pędy pognął do statku. Vas się spieszy. Na którym pokładzie Elemak trzyma kopacza? Powinienem uważniej słuchać, co się do mnie mówi. Może dotrę tam na czas, żeby go uratować. A jeśli nie, może zdążę przygotować zasadzkę na Vasa. To by bardzo ładnie rozwiązało problem ojca, gdyby morderca był już martwy, jak się patrzy.

*

Elemak i Fusum prowadzili werbalny sparing, na zmianę rzucając i odpierając argumenty. Elemak mówił w języku kopaczy, a Fusum radził sobie, jak mógł, z ludzkimi słowami. Tak między sobą uzgodnili. Fusum miał nauczyć Elemaka najsubtelniejszych niuansów swojego języka, jeśli koniec końców Fusum będzie rozumiał, co mówią ludzie. „Skoro nie jesteście bogami - przekonywał Fusum - to wasz język nie jest święty i nie będzie grzechem, jeśli się go nauczę, prawda?”. A Elemak się zgodził.

Fusum nie miał jednak talentu ani wprawy Elemaka w uczeniu się obcych języków. Był poirytowany i przygnębiony, bo Elemak płynnie recytował długie zdania, a jemu udawało się tylko dukać najbardziej podstawowe odpowiedzi. Co jakiś czas z frustracji wyrzucał potok argumentów w ojczystym języku, zaraz jednak milknął na widok wyniosłego uśmiechu Elemaka i dalej borykał się z ludzką mową.

Elemak świetnie się bawił.

Aż do chwili, gdy w otwartych drzwiach pojawił się Vas z ociekającą krwią siekierą w rękach. Tego nie było w planach na dziś.

- Co robiłeś z siekierą? - zapytał Elemak. Ten żalosny kretyn chyba nie zabił Sevet, prawda? Ona teraz uczyła... nie zrobiłby tego na oczach dzieci, prawda? I kto mu powiedział? Po tylu miesiącach czemu powiedzieli mu akurat teraz?

- I tak zamierzałem cię zabić - odparł Vas. - Za to, że dawno temu powstrzymałeś mnie przed zabiciem Obringa i Sevet. Nigdy nie zapomniałem, jak mnie upokorzyłeś. Ale

ten... romans z Sevet. Czemu nie przeleciałeś jakiejś kopaczki, jeśli Eiadh nie wpuszcza cię do swojego łóża? To jest w twoim stylu, co? Parzenie się ze zwierzętami?

Elemak odezwał się do Fusuma w języku kopaczy:

- Możesz coś zrobić, żeby mi pomóc?

- Mów tak, żebym cię rozumiał! - zdenerwował się Vas.

- A co, nie uczyłeś się języka kopaczy jak dobry chłopczyk?

Fusum zdołał ułożyć odpowiedź na pytanie Elemaka w ludzkiej mowie:

- Chciałbym ci pomóc, ale ten szaleniec ma siekiere.

- Bardzo dobra decyzja, szczurku - rzekł Vas. - Nie dbam o to, czy twój mózg wylądował na podłodze, czy nie.

- On cię zabije, jak tylko zabije mnie - odezwał się Elemak w języku kopaczy - potem powie, że to ty uderzyłeś mnie siekierą, a on cię wyszarpał siekiere i zabił ciebie.

Fusum spojrzał na niego spode łba i odpowiedział w ludzkiej mowie:

- Siekiera już jest we krwi. On kogoś zabił poza statkiem.

- Kogo zabiłeś, Vas? - spytał Elemak. - Znam go?

- Obringa - przyznał Vas. - Poderżnąłem mu gardło. Po tym, jak przebiłem się do jego serca.

- Lepiej nie mogłeś. Rozbiłeś mu serce tak, jak on rozbił twoje. - Elemak się zaśmiał, chociaż siedział bezbronny na podłodze i zdawał sobie sprawę z zagrożenia.

- To cię śmieszy? - warknął Vas.

- I smuci, rzecz jasna. Biedna Sevet. Jak umrę, będzie musiała znów zadowalać się twoimi niezdarnymi, sporadycznymi podrygami w łóżku.

- Ją też zabiję.

- A potem kogo? Wszystkich? Już po tobie, Vas. Powinieneś być sprytniejszy. Powinieneś poczekać na właściwy moment.

- Czekałem już wystarczająco długo.

- Powinieneś upozorować wypadek. Albo sprytniej, powinieneś upozorować to tak, jakbyś próbował mnie ratować. Zabić nas po kolei, a nie wszystkich naraz siekierą. I masz krew Obringa na ubraniu. Ale z ciebie niezdara, Vas. Będą musieli cię za to zabić. Nie mogą pozwolić mordercy chodzić na wolności.

- Ty umrzesz pierwszy.

- Och, to na pewno. Dzięki temu będziesz się czuł o wiele lepiej, gdy oni będą, hm, dusili cię? Topili? Może Shedemei ma jakiś środek, który wykończy cię bezboleśnie we śnie. Możesz o mnie śnić, gdy będziesz wydawał ostatnie tchnienie.

- Nie boję się umrzeć.

- Szkoda. Bo ja tak. A wiesz dlaczego? Boję się, że może istnieć życie po śmierci. Boję się, że będę musiał żyć dalej, tyle że bez tego jakże wygodnego ciała. A jeśli dostanę drugie wcielenie? Jeśli wrócę z ciałem takim jak... twoje?

W to ostatnie słowo włożył jak najwięcej pogardy. Bez rezultatu.

- Nie dam ci się sprowokować do nieprzemyślanego działania - stwierdził Vas. - Wiem, że kombinujesz, jak odebrać mi siekierę, zanim ją wbiję w twoją głowę. Ale czemu miałbym celować w głowę? Potrafię przetrząść gałąź jednym uderzeniem; sądzisz, że równie dobrze poradzę sobie z twoją nogą?

- Nie, nie sądzę.

- Myślisz, że jesteś dość szybki, by mnie powstrzymać? Z pozycji siedzącej, ty głupcze?

- Nie muszę cię powstrzymywać.

- To dobrze. Bo nie możesz.

- Ale Meb może - odparł Elemak. - Stoi za tobą z bardzo wielkim młotem i chyba zamierza wbić ci głowę w ramiona jak kołek.

Vas nawet się nie odwrócił.

- Skoro już przywołujesz demony, żeby mnie nimi straszyć, to czemu nie Nafaia? On jest tu jedynym prawdziwym mężczyzną. Nie boję się Meba.

- Zupełnie się z tobą zgadzam - przyznał Elemak. - Meb jest straszny tylko wtedy, gdy stoi za tobą z młotem, a przeważnie to niewydarzony bobek kopacza. Słuchaj, Meb, to na nic. Nie dasz rady wbić jego głowy w ramiona, nie takiej miękkiej główki. Rozkwasi się jak arbuz. I zachłapie ściany.

- Nie fantazuj o mojej głowie - poradził mu Vas. - Zaraz polecą twoje nogi. - Uniósł siekierę.

- Jeśli to cię jakoś pocieszy - dodał Elemak - Meb także sypiał z Sevet.

Vas się zawahał z siekierą w górze.

Elemak mówił dalej:

- Twoja biedna żona jest najwyraźniej na tyle samotna, że zadowoli się wszystkim, co udaje mężczyznę, nawet Mebem, który jednak nie ma odwagi cię grzmotnąć. Po co ci więc ten młot, Meb? Na swędzenie w dupie? Zamachnij się tym w końcu, do cholery!

I Meb tak zrobił. Z naprawdę dużą siłą. Elemak miał rację co do zachłapania. Zrobił się nielichy bałagan, zwłaszcza że Vas runął na podłogę, a Meb wciąż walił go młotem w głowę, trzy, cztery, pięć razy, aż czaszkę rozbił na miazgę, a kawałki mózgu i kości

rozbryzgał po całym pomieszczeniu. Rzecz jasna, jak tylko się uspokoił i zobaczył, co zrobił, zwymiotował, jak gdyby głowa Vasa eksplodowała sama z siebie, a nie dlatego, że ją roztrzaskał. Elemak jednak nie martwił się o Meba. Zaciekawiał go Fusum, który zdejmował z siebie kawałki mózgu Vasa i je zjadał.

- Nie rozsmakowuj się w tym, Fusumie - ostrzegł Elemak w języku kopaczy.
- Prawie jak mózgi pekari - stwierdził syn króla krwi. - A w tych już zasmakowałem.
- Potnę cię na małe kawałeczki, jeśli kiedykolwiek skrzywdzisz człowieka.
- Nawet Nafaia?

A więc Fusum zauważył konflikty w ludzkiej społeczności, nawet mimo że Nafai spędzał większość czasu w górach, ucząc niebomięsów, jak uprawiać ziemię.

- Zwłaszcza Nafaia - odparł Elemak. - On jest mój.

Meb przestał wymiotować.

- O czym mówicie? Słyszałem, że wspomniałeś Nafaia.
- Och, Fusum i ja mówiliśmy tylko, jaka to szkoda, że jedyny pożyteczny czyn, jaki w życiu wykonasz, zmarnowałeś na Vasa.

- Zmarnowałem? - zaperzył się Meb. - Zabiłem swojego przyjaciela, żeby ocalić ci życie, a ty nazywasz to marnotrawstwem?

- Powstrzymałbym go - stwierdził Elemak z przekonaniem. Nie wiedział, czy tak by się stało w istocie, lecz był całkiem pewny, że Meb w to uwierzy. - A co do Vasa jako twojego przyjaciela... nie zamierzam płakać. Bo wciąż masz na sobie zapach Sevet z ostatniej nocy, gdy on był na warcie.

- Powiedział, co wiedział - odciął się Meb. - Zeszłej nocy nie miałem czasu dla Sevet. Po miesiącach nagabywań w końcu się ugiałem i pozwoliłem Eiahd kochać się ze...

Nie dokończył. Nagle był przyparty do ściany i podduszał go trzonek siekiery na szyi.

- Kłamiesz! - syknął Elemak. - Ale gdybym kiedyś pomyślał, że to prawda, błagałbyś mnie na koniec, żebym zabił cię szybko.

- To był żart, kretynie - bąknął Meb, gdy już odzyskał mowę.

- Nie będę wysłuchiwać twoich przeprosin. Musimy wyjaśnić śmierć Vasa ludziom, którzy w tej chwili wchodzą na drabinę.

- A co tu wyjaśniać? - zdziwił się Meb. - Uratowałem ci życie.

- Ach, ale czemu Vas próbował mi je odebrać? I czemu to cię tak obeszło?

- Próbował cię zabić, bo baraszkowałeś z jego żoną. A chciałem go powstrzymać, bo jesteś moim starszym bratem i cię kocham.

- Lepiej tego odegrać nie potrafisz, aktorzyno? - zagadnęła Eiahd, idąc korytarzem w

ich stronę. - Masz szczęście, że opuściliśmy Basilikę, zanim zdążyłeś upokorzyć się, próbując występować publicznie. - Volemak, Oy kib i Padarok szli za nią, niosąc narzędzia, z których byłaby całkiem przekonująca broń, gdyby nie spoczywały w rękach takich dobrotliwych pacyfistów. - Co tu się dzieje? - zapytała. - Gdzie jest Vas?

Wtedy zobaczyła na podłodze ciało z roztrzaskaną głową.

- Coś ty zrobił? - cicho zwróciła się do Elemaka.

- Ja to zrobiłem - pochwalił się Meb. - Gdy miał właśnie odciąć Elemakowi nogę.

Eiadh zupełnie go zignorowała, chłodno spoglądając Elemakowi w oczy.

- Ten człowiek nie żyje, bo nie mogłeś przeżyć miesiąca bez zapędzenia jakiejś kobiety do łóżka.

Elemak uśmiechnął się do niej.

- Nieprawda. Odkąd jestem twoim mężem, w moim łóżku nie było żadnej kobiety.

- Ty naprawdę jesteś zły. Naprawdę kochasz niszczyć. A nie jest to nawet wielkie zło, nawet nie takie spektakularne, pustoszące świat zło, o którym piszą w eposach. O nie, to, co masz w sercu, to liche, robakowate, malutkie zło.

- Głupstwa gadasz - odparł Elemak. - Jesteś nieprzytomna z radości, że wciąż żyję.

- Drugą najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam, było to, że pozwoliłam ci być ojcem moich biednych, niewinnych dzieci.

- A najgorszą? Mów śmiało, jestem odważny, jestem twardy. Mam na sobie krew i mózg Vasa, wszystko zniosę.

Eiadh wiedziała, że za chwilę wyjawি mu najstraszniejszą tajemnicę.

- Najgorszą rzeczą, jaką zrobiłam, było to, że nie poślubiłam Nafaia, gdy uświadomiłam sobie, że mnie kocha. Zrozumiałam swój błąd na długo przed tym, zanim poślubiłam ciebie, Elemaku. Jednak wzięłam z tobą ślub, a wiesz dlaczego? By zostać blisko Nafaia. Modliłam się, aby wszyscy moi synowie wyrosli podobni do niego, nie do ciebie. A ilekroć się ze mną kochałeś, zawsze wyobrażałam sobie, że to on. Ledwo się powstrzymywałam, by nie wykrzykiwać jego imienia.

- Dość już - wtrącił się Volemak. - Stało się tu dziś coś strasznego, a wy toczycie prywatne kłótnie.

Elemak posłusznie przerwał dyskusję i zaczął odpowiadać na pytania Volemaka. Słyszał jednak, co Eiadh mu powiedziała. Słyszał i nie zapomni.

*

Oy kibowi przypadło zadanie zanieśienia wieści o zabójstwach w góry. Shedemei mogła użyć komputerów statku, by przekazać to Issibowi za pośrednictwem Indeksu, lecz

Volemak uważał, że trzeba to zrobić osobiście. Na początku chcieli wysłać Chveyę, by powiedziała swoim rodzicom, lecz ona mogła w każdej chwili urodzić, więc wybrano jej męża. A on nie bardzo się do tego palił.

- Chciałbym tu zostać - tłumaczył. - Przemoc wisi w powietrzu.

- Myślę, że to koniec zabijania - stwierdził Volemak.

- A jeśli się mylisz?

- Bądź rozsądny - rzekł Zdorab. - Skoro Elemak nic nie zrobił, gdy miał Vasa i Obringa na zawołanie, to czy robi coś teraz, gdy tylko Meb stoi u jego boku? To koniec zabijania.

- Zabijanie nigdy się nie skończy - wtrąciła Rasa - jeśli cudzołóstwo będzie trwało bezkarnie.

- Powiedziałbym, że kara za cudzołóstwo została dobitnie zademonstrowana - zauważył Volemak.

- A ja bym się nie zgodziła. Twoi dwaj najstarsi synowie przyznali, że są cudzołożnikami, ale ich słowa obciążają moje dwie córki.

- To co chcesz, żebym zrobił? Skazał ich na śmierć? Pragniesz zobaczyć sześcioro martwych? Na Ziemię przybyło tylko szesnaścioro dorosłych!

- Co jest gorsze, Volemaks? Sześcioro martwych teraz i potwierdzone prawo? Czy dwóch martwych i martwe prawo?

- Jesteś zbyt surowa, matko - odezwał się Oy kib. - Kara śmierci za cudzołóstwo zdawała egzamin na pustyni, ale nie tutaj.

- Czy dlatego, że są tu drzewa i strumienie, cudzołóstwo jest mniej zgubne dla naszej społeczności? Sądziłam, że wychowałam cię na rozsądniejszego człowieka, Oy kibie.

- Dość już tej dyskusji - przerwał Volemak. - Oy kib musi pójść w góry, żeby przekazać wieści.

- Niech idzie z nim Eiadh - zdecydowała Rasa.

Popatrzyli na nią jak na wariatkę.

- Po tym, co powiedziała Elemakowi? - zdziwił się Oy kib. - Chcesz wydać na nią wyrok śmierci?

- A myślisz, że lepiej ją tu zostawić?

- Tak - odparł Volemak. - Bo gdyby poszła tam, gdzie jest Nafai, Elemak uznałby to za dowód, że między nimi jest jakiś romans. Raso, czy ty chcesz koniecznie, żeby sytuacja się pogorszyła?

Rasa była wściekła.

- Chcę, żeby sytuacja była lepsza za pięć lat, podczas gdy ty chcesz najwyraźniej, żeby była lepsza dziś, a przyszłość może się schować. - Wybiegła z biblioteki jak burza.

Volemak westchnął.

- Każdy przywódca ma swoich krytyków. Zazwyczaj jednak nie musi wracać do nich do domu nocami.

- Ona miała rację we wszystkim, co powiedziała - stwierdziła Shedemei. - Ale ty też miałeś rację we wszystkim, co postanowiłeś.

Volemak zaśmiał się ponuro.

- Czasami, Shedy, nie ma złotego środka.

- A ja go nie forsuję. Masz rację, w tej chwili nie możesz postanowić inaczej. Ale ona ma rację co do konsekwencji. Sevet i Kokor dalej będą spały z Elemakiem i Mebbekelem i zapewne z każdym jurnym samcem kopaczy, jaki przejdzie obok ich domów. Elemak i Mebbekel dalej będą zdradzali żony, a potem nienawidzili kobiet, które krzywdzą.

- I co ja niby mogę na to poradzić?

- Nic. Nic, tylko patrzeć, jak nasz społeczny porządek się rozpada.

- Czasem za dużo w tobie naukowca, ciociu Shedy - parsknął Oy kib.

- To niemożliwe. I zapominasz, że moje dzieci będą musiały żyć w nowym porządku społecznym, który właśnie tu stworzyliśmy. Jeśli się nad tym zastanowić, to jest moment zwycięstwa Elemaka nad jego ojcem. Pomimo przysięgi, pomimo wielu porażek Elemakowi w końcu udało się zniweczyć wszystkie dokonania ojca. Teraz to jest społeczeństwo typu Elemaka, bo reszta z nas nie jest na tyle bezduszna, by wyegzekwować prawo i Elemaka zabić.

- To prawda - przyznał Volemak. - Reszta z nas nie jest na tyle bezduszna. A ty?

- Nie - odrzekła natychmiast. - Tak jak powiedziałam, twoje decyzje są jedynymi, jakie można podjąć, choć katastrofalnymi w skutkach. Pozwólmy już Oy kibowi ruszyć w drogę i przygotujmy ciała do spalenia. A ja mam wielki bałagan na statku, trzeba tam posprzątać.

Oy kib wstał.

- Pójdę w góry, ale nie podoba mi się to, że zostawiam żonę w takiej chwili.

- Nic mi nie będzie - mruknęła Chveya.

- I bardzo mnie martwi coś, co nie ma nic wspólnego z Elemakiem, Mebbekelem, cudzołóstwem i całą resztą.

- Mów! - polecił Volemak. - Chętnie dowiem się czegoś nowego, co nie pozwoli mi w nocy zasnąć.

- Fusum widział, jak Vas umiera.

- Nigdy nie udawaliśmy nieśmiertelnych - przypomniał Volemak.

Oykib pokręcił głową.

- Fusum widział, jak Vas umiera. Pewnego dnia wszyscy się zgodzimy, że to było najgorsze wydarzenie dzisiejszego dnia.

Wrócił do domu, by spakować trochę chleba na podróż. Trasa w góry była coraz wygodniejszą drogą, bo stopniowo wycinali zarośla i niwelowali nierówności. Tak więc potrzeba było dwóch godzin, by dotrzeć do siodła na szczycie kanionu, i kolejnej godziny, by dojść przez las do osady.

Przeobraziła się przez ostatnie miesiące, podczas których Nafai i reszta uczyli anioły, jak zmienić życie na lepsze. Kiedyś anioły знаły położenie wszystkich użytecznych roślin w promieniu dwudziestu kilometrów od swojej osady; teraz ścięto dość drzew, by stworzyć pole, gdzie bataty i maniok, arbuzy i kukurydza mogły rosnąć w pełnym słońcu. Kiedyś anioły trzymały roślinożerców z dala od swoich chronionych roślin, a drapieżników z dala od swych domów, budując pułapki wzdłuż każdej ścieżki na granicy swojego terytorium; teraz ich pola otaczał płot, a indyki i kozły zamykano na noc w zagrodach. Anioły już miały dużo jedzenia i nadwyżki magazynowały.

Jednak rewolucja rolnicza nie była jedyna. Wydawało się, że anioły chcą naśladować ludzi we wszystkim. Wiele wybudowało już domy na ziemi, jak ludzie, choć nie miały dość siły, żeby postawić je równie solidnie i pierwszy silny wiatr musiał je zdmuchnąć. One też to wiedziały, dlatego podczas niepogody nadal sypiały wśród gałęzi drzew. To było jednak dla nich ważne, by mieć dom na ludzką modłę, a Nafai już dawno przestał przekonywać, że to bez sensu.

Oykib znalazł Nyefa i Hushidh pracujących z anielskimi wytwórcami narzędzi.

- Co się stało? - z miejsca zagadnęła Hushidh. - Kto umarł?

- Skąd wiesz? - zdziwił się Oykib.

- Widzę twoją twarz. Boisz się do nas odezwać.

- Ojciec? - zapytał Nafai. Gdyby Volemak umarł, wszystko by się zmieniło.

- Nie ojciec - odparł Oykib. - Vas zabił Obringa. Najwyraźniej dokonał zemsty za to, co zaszło między Obringiem a Sevet w Basilice. A gdy poszedł zabić Elemaka za bardziej bieżące zdrady, Meb zdołał się zakraść i go zabić.

- Elemak nie zabił nikogo?

- Może i by zabił, ale nie miał okazji. I jeszcze coś. Fusum patrzył, jak Mebbekew zabija Vasa. To stało się na jego oczach. Młotem, którym Meb wbijał kolki do rozwieszania

skór.

- A jak Vas zabił Obringa?

- Siekierą w pierś, a potem przez gardło. Czy to ważne?

- Ważne, czego nauczyli się kopacze - stwierdził Nafai.

Oykib uśmiechnął się ponuro.

- Z ust mi to wyjąłeś.

- Ale to nie wszystko, co masz nam powiedzieć, prawda? - zapytała Hushidh.

- Nie - odparł. A potem powtórzył im, co Eiadh w gniewie wyznała Elemakowi, że cały czas kocha się w Nafaiu, że chce, aby jej synowie wyrosli podobni do niego.

- Czemu od razu nie poderżnęła mi gardła? - skomentował Nafai.

- A potem sobie - dodała Hushidh. - Jeśli chodzi o Elemaka, was dwoje mogło równie dobrze dopuścić się cudzołóstwa. A nikt tak nie znosi cudzego cudzołóstwa jak inny cudzołożnik.

- Zabawne, przyznacie - rzekł Nafai - jak niewielu lat potrzebowaliśmy, by odejść od tego, jak było kiedyś w Basilice. Tam Eiadh po prostu nie odnowiłaby kontraktu z Elemakiem, a Sevet i Kokor miałyby już szóstych czy dziesiątych mężów i nikt by przez to nie zginął.

- Myślisz, że to było bardziej cywilizowane? Te same pasje były tuż pod powierzchnią, to samo pragnienie lojalności ze strony męża lub żony. Obring nie umarł za coś, co zrobił w dziczy. Umarł za to, co zrobił w mieście.

- Ale nie w mieście umarł - zauważył Nafai. - Mniejsza z tym. Skoro kopacze wiedzą, że ludzi można zabić, postarajmy się opowiedzieć tę historię również aniołom. Na szczęście nigdy nie musiałem tutaj udawać boga, więc nie będą aż tak zszokowane. Przyjdziemy na dół na pogrzeb, oczywiście. I zabierzemy z sobą kilku aniołów. Muszą zobaczyć ludzkie ciało trawione przez płomienie.

- Może nie powinniśmy dawać im tej lekcji...

- Czemu? Myślisz, że jakieś anioły marzą skrycie o wymordowaniu wszystkich ludzi?

- Skądże znowu. Ale sądzę, że niektóre anioły liczą, że powstrzymamy kopaczy przed pożeraniem ich dzieci i układaniem piedestałów z ich kości. To aniołów nie podbuduje, jak zobaczą, że ludzi można zabić.

- Zwłaszcza tak, jak zginął Vas - wtrącił Oykib.

Nalegali, żeby opisał im, co się stało, a potem wyraźnie żalowali, że to zrobił.

- W sumie dobrze, że anioły poznają nasze słabości - ocenił Nafai. - Muszą wierzyć we własną siłę oraz w troskę i mądrość Opiekuna Ziemi.

- Opiekuna? To oni o nim wiedzą? - zdziwił się Oy kib.

- Nie znali go pod tym mianem - wyjaśnił Nafai. - Ale wśród nich nigdy nie brakowało śniących. A Luet znalazła kilku podatnych na transy, które stosowała jako wodna wieszczka w Basilice. Opiekun do nich przemawia. A ja próbuję wymyślić broń, która pozwoliłaby im oprzeć się kopaczom, gdyby kiedyś doszło do wojny.

- Sądzisz, że nie zdołamy utrzymać pokoju między nimi?

- Sądzę, że nie zdołamy utrzymać pokoju między sobą. Pierwsze dwa zgony są tego dowodem.

- Czy to wstrętne z mojej strony, że nie będę tęskniła za Obringiem? - zapytała Hushidh.

- Bardziej bym się zdziwił, gdybyś tęskniła - rzekł Nafai. - Ale Vas chyba chciał być dobrym człowiekiem.

Oy kib parsknął.

- Gdyby chciał, toby był, Nafaiu. Ludzie są tacy, jacy być chcą.

- Cóż za nieżyczliwa opinia - stwierdziła Hushidh. - Ba, z tego co mówisz, można by pomyśleć, że ludzie są odpowiedzialni za własne czyny.

- A nie są? - zapytał Oy kib.

- A widziałeś kiedyś trzylatka robiącego jakieś głupstwo? Do kogoś będącego akurat w pobliżu krzyczy: „Patrz, co przez ciebie zrobiłem!”. Taką moralność znali Vas z Obringiem. Sevet i Kokor też.

*

W trakcie pogrzebu Kokor ciągle rzucała ukradkowe spojrzenia na Sevet, dorównując jej we wszystkim - łza za łzę, westchnienie za westchnieniem. Nie pozwolę, żeby ta stara krowa ciągnęła większe korzyści z wdowieństwa niż ja, postanowiła. Wszak to jej mąż zabił mojego. Ona go do tego popchnęła, bo była na tyle głupia, że wszystko się wydało. Ja spałam z Elemakiem nawet przed podróżą na Ziemię, a nikt się nie dowiedział. Sevet lubi być przyłapywana na swoich romansikach. Może tego chce. Może właśnie to ją rajcuje. Chce, by ludzie szaleli z bólu i gniewu przez to, co ona zrobiła i z kim to zrobiła.

Ze mną w Basilice jej się udało. Rzeczywiście mnie rozzłościła. A potem mogła przez lata zgrywać ofiarę, nigdy już nie śpiewając, choć odzyskała głos - i to zupełnie dobry - po paru miesiącach. Zawsze musi mi dogryzać tą muzyczną ciszą, ilekroć matka spogląda na nią i wspomina, jak kiedyś śpiewała „Miłosny sen Sogliadatai” albo „Śmierć otrutego wróbla”.

Stosy pogrzebowe rozpalono, a anioły wokół nich zaczęły skowyczeć potępieńczo. Paskudne stworzenia. Co one niby wiedzą o żalobie?

Lecz ich śpiew podsunął Kokor pomysł i od razu wprowadziła go w życie. „Śmierć otrutego wróbla” to była popisowa piosenka Sevet i pięknie licowała z tą chwilą, choć nie opowiadała o pogrzebie, lecz o końcu pięknej, acz niemożliwej do spełnienia miłości. A jedną z najlepszych aranżacji tej piosenki był duet Sevet i fletu. Kokor przysłuchiwała się jej wielokrotnie, chłonęła tę piosenkę całym sercem, ale nigdy nie ośmieliła się jej zaśpiewać publicznie z oczywistego powodu - to wyglądałoby tak, jakby zazdrościła siostrze i chciała z nią rywalizować. Tak czy owak znała każdą nutę. A teraz uświadomiła sobie, że pamięta też całą partię fletu.

I właśnie to zaczęła śpiewać, bez słów, pozwalając swojemu głosowi wznosić się i opadać zgodnie z melodią fletu. Nie potrafiła zaśpiewać aż tak wysoko, jak grał flet, rzecz jasna, ale Sevet z pewnością nie mogła zaśpiewać tak wysoko, jak śpiewała za młodu. Kokor nie śmiała choćby rzucić okiem na Sevet; niech wszyscy myślą, że po prostu daje wyraz rozpacz, gdy widzi ciało męża niknące w płomieniach.

Wyśpiewała całą partię fletu, a Sevet się nie dołączyła. Lecz Kokor widziała po reakcji innych - nawet anioły zamilkły, żeby jej posłuchać - że tym razem zdecydowała się postąpić właściwie, że ten jeden raz ją doceniali, a nawet byli jej wdzięczni. A gdy zaczęła partię fletu od początku, Sevet w końcu podjęła melodię. Teraz dziwne nuty śpiewane przez Kokor nabrały sensu w harmonii z głosem Sevet, a słowa pieśni wyciskały ludziom łzy z oczu. Ludzie płakali, gdy Sevet śpiewała w teatrach - jak mogli nie wylewać łez teraz, gdy wokół unosił się swąd palonego ciała, a małe dzieci Vasa i Obringa wypłakiwały swe oczęta, bo ich tatusiowie byli takimi miernotami. Kokor bardzo podobało się brzmienie jej głosu w duecie z siostrą. Bo głos Sevet się zmienił, stał się bogatszy i dojrzały, a głos Kokor zachował młodość i czystość dźwięków fletu. Siostry już nie czuły wzajemnej nienawiści. Ich głosy były różne, ale razem brzmiały pięknie.

Gdy pieśń dobiegła końca, stosowny krok był oczywisty. Obie wyciągnęły ręce i, szlochając rzewnie, wpadły sobie w ramiona. Kokor ucieszyła się, słysząc zbiorowe westchnienie żałobników. Siostry w końcu się pojednały! Mogła sobie wyobrazić matkę ściskającą rękę Volemaka i jego szepczącego do niej później: „Gdyby tylko moi synowie potrafili pogodzić się tak jak twoje córki”.

Gdy tak obejmowały się w chwili żałoby i przebaczenia, Sevet wyszeptwała Kokor do ucha:

- Zamierzam być teraz kochanką Elemaka, siostrzyczko, nie próbuj mnie powstrzymać.

Na co Kokor odszepnęła:

- Ja również. On jest takim ogierem, że starczy na nas obie.
- Dzielimy się po równo? - cicho zapytała Sevet.
- Założę się, że urodzę mu dziecko przed tobą - mruknęła Kokor.

Oczywiście nie miała zamiaru rodzić mu dziecka, lecz byłoby cudownie, gdyby Sevet to zrobiła i roztyła się jeszcze bardziej. Niech ta biedna krowa myśli, że rywalizujemy o rodzenie bękartów Elyi - po prostu pozwolę jej „wygrać” i zatrzymam prawdziwą nagrodę, czyli moje młodzieńcze ciało, niezniszczone, choć pozwoliłam Obringowi spłodzić mi piątkę dzieciaków. O ile cała piątka była jego.

Wypuściły się z objąć.

- Och, Kokor! - wyszlochała Sevet. - Siostro! - Znow wybuchnęła płaczem.

Cholera. Trudno to będzie pobić.

Kokor wyciągnęła rękę i zebrała łzę z policzka siostry, a potem uniosła jak lśniąca perełkę na opuszcze palca.

- Przeze mnie już nigdy nie będziesz musiała ronić łez, moja ukochana Sevyo.

Zbiorowe westchnienie widzów było całym aplauzem, jakiego Kokor potrzebowała. Znowu wygrałam, Sevet. Nie możesz się ze mną równać.

*

Zabójstwa Vasa i Obringa nauczyły Fusuma dwóch rzeczy.

Po pierwsze, że ludzie jednak są śmiertelni i można ich zabić, jeśli zastosować właściwą siłę przy użyciu stosownego narzędzia w odpowiedni sposób. Nie zamierzał wykorzystać tej informacji w najbliższej przyszłości, ale chciał poświęcić jej wiele refleksji w nadchodzących miesiącach i latach.

Po drugie, że zabijanie jest potężnie działającą metodą, której nie należy marnotrawić. Trzeba zabić odpowiednią osobę w odpowiednim czasie i zawsze po to, by osiągnąć ważny cel. To dlatego, gdy Fusum, w końcu uznany za zresocjalizowanego, powrócił do swego ludu, postarał się zostać przyjacielem i towarzyszem Nena. Jako najstarszy i najbardziej uzdolniony syn Emeezem i Mufruzhuuzha, matki głębi i króla wojny, Nen był jasną nadzieją następnego pokolenia. Mówił w języku ludzi niemal tak płynnie jak sam Fusum, nauczywszy się go dzięki bliskim kontaktom z Oy kibem. A gdy Emeezem i Mufruzhuuzh zmusili ojca Fusuma, króla krwi Shosseemema, by wspólnie z nimi ogłosił zakaz porwania i pożerania malutkich niebomiesów, Nen wystąpił naprzód i rozrzucił piedestał z kości, na którym dotąd spoczywał Niedotknięty Bóg. I Nen zawołał: „Niechaj wiecznotrwała przyjaźń zapanuje między naszym ludem a ludem nieba!”. O tak, Fusum wiwatował razem z innymi tamtego dnia. I niezmiennie się starał, by zasłużyć na miejsce u boku Nena jako jego najbardziej zaufany przyjaciel.

Potem pewnego dnia byli razem na łowach, niosąc tradycyjne włócznie o kamiennym grocie w jednej ręce, a w drugiej - sękate maczugi. Skradali się do pekari przez zarośla, gdy nagle Fusum dostrzegł swoją szansę. Jakaś pantera również czaiła się na to pekari, a jak powszechnie wiadomo, pantery chętnie urządzić sobie posiłek z jakiegokolwiek mięsa. Musiało być jednak żywe, więc gdy Fusum zaatakował, nie uderzył na tyle mocno, by zabić. Nen padł jak kamień, lecz niemal od razu dźwignął się na łokciach. Jęczał głośno. Fusum nie musiał rzucać kamienia, by przyciągnąć uwagę drapieżnika. Pantera skoczyła i jednym kłapięciem paszczy rozerwała Nenowi gardło. Wtedy Fusum wraził włócznie jej pod żebra, w serce. Dobry w tym jestem, pomyślał. Raz po raz walił koci łeb maczugą, by nikt nie myślał szukać śladów krwi, włosów i zapachu Nena na jego broni.

Kilka minut później, zataczając się i szlochając, wkroczył do miasta kopaczy. Wywrzaskiwał żal po śmierci przyjaciela, obwinał się, że zawiódł tego złotego chłopca, tego pięknego chłopca. „Nikt nigdy nie miał gorszego przyjaciela ode mnie! - krzyczał. - Zabijcie mnie, błagam! Nie chcę żyć ze śmiercią Nena na sumieniu!”. Jednak mężczyźni z miasta nie dopatrzili się żadnej winy po stronie Fusuma, a opowieść o jego głębokiej żałobie po śmierci ukochanego przyjaciela obiegła całą okolicę. Trochę z chwały Nena zostało więc przy Fusumie. A teraz, gdy Nen odszedł na zawsze, wielu zaczęło widzieć w synu króla krwi nadzieję na przyszłość.

SŁOWA

Nafai nie był pewien, czy ten sen wziął się od Opiekuna, od Nadduszy czy z własnych obaw. Może szło po prostu o to, że aniołów i kopaczy, tak jak własnych dzieci, nie mogli przekonać, że należy umieć czytać i pisać.

Bo po co? Czy od tego uprawy rosły lepiej? Czy to trzymało stada w zagrodach nocami? Czy odpędzało drapieżców? Czy przez to dzieci nie chorowały?

Gdy powiedział o tym Luet, nie wydawała się zaniepokojona.

- Nyef, my tu nie tworzymy drugiej Basiliki. Nie możemy. Musimy ich nauczyć, które zioła mogą zwalczyć zakażenia lub wyleczyć różne choroby. Musimy ich nauczyć podstawowych zasad sanitarnych, by nie zanieczyścili źródeł wody. Musimy...

- Musimy zachować w nich człowieczeństwo.

- Czy pisanie czyni nas ludźmi?

- Nie? To co w takim razie?

- Kopacze i anioły są rozumni. Są ludźmi. A nie czytają i nie piszą.

Czyli nie uważała tego za problem, którym warto się przejmować.

Ale czy nie nauczyli własnych dzieci czytać i pisać? Czy nie narazili się na śmierć podczas podróży, ucząc je obsługi komputerów, pozwalając im zagłębiać się w miliony tomów ludzkiej historii i wiedzy? A to wszystko miało zaniknąć w następnym pokoleniu.

A następne pokolenie już tu było. W trakcie tych pięciu lat od czasu lądowania całe pokolenie Chveyi i Oykiba założyło rodziny. Ich dzieci rosły. Czy w ogóle będzie potrzebna dla nich szkoła? Nie, zajmą się pracą, nabywając umiejętności praktycznych, niezbędnych dla przetrwania. Ramię w ramię z kopaczami i aniołami na polach, zrywając owoce w głębi lasu, budując ogrodzenia i mury, sadząc i kosząc, zbierając pokłosie i wyplenając chwasty, garbując skóry, przedając wełnę - gdzie pośród tych zajęć był moment, gdy musieliby coś przeczytać? Na statku przygotowywali się do nowego życia, ucząc się z wyprzedzeniem tego, co musieli wiedzieć, by przeżyć w nowym świecie. Teraz byli w nim, a nowe pokolenie uczyło się od dorosłych, a nie z książek.

W porządku. Nic w tym złego. Nauczą się tego, co jest ważne dla przetrwania. Czego jeszcze im trzeba?

A jednak to Nafaiowi nie dawało spokoju. Przez czterdzieści milionów lat na Harmonii istoty ludzkie potrafiły czytać i pisać. Z upływem czasu mowa się zmieniała i

różnicowała, ale słowo pisane istniało. Przeszłość można było odtworzyć. Uczyć się z niej. Pismo pozwalało społeczności przechowywać swoją pamięć poza jednostkami, które żyły akurat w danej chwili.

Ile czasu minie, zanim o mnie zapomną, o mnie i Luet, o Volemaku i Rasie, o nas wszystkich?

Zaśmiał się z samego siebie. Ludzie mieliby się trudzić czytaniem i pisanem tylko po to, by pamiętać, że on kiedyś żył? Za dziesięć pokoleń to nie będzie miało żadnego znaczenia.

Ten sen miał na początku szóstego roku. Zobaczył w nim mężczyznę przewodzącego wielkiemu narodowi aniołów i ludzi, który zagospodarował oba brzegi wielkiej rzeki. Farmy ciągnęły się kilometr za kilometrem gdzie okiem sięgnąć. Anioły fruwały tu i tam, a kozły i psy ciągnęły wozy i sanie po drogach. W górę i w dół rzeki płynęły łodzie, niektóre z kopaczami, inne z aniołami jako załogą. A gdzieś tam, w wieżach wznoszących się ponad najwyższe drzewa, strażnicy pilnowali granic, by żaden wróg ich nie przekroczył.

Przywódca tego wielkiego narodu był znużony i zmartwiony. Wrogowie nadchodzili ze wszystkich stron, a różne frakcje groziły rozerwaniem struktury społecznej od środka. Miasta, które niegdyś były niepodległe, zapomniały, że były wtedy też głodne. Potomkowie dawnych władców zapomnieli, że ich przodkowie zostali zabici przez wrogów, a poddani przetrwali tylko dlatego, że znaleźli się pod ochroną tego wielkiego narodu. Ludzie, którzy pragnęli bogactwa, zdobywali je wszelkimi możliwymi sposobami, knując i oszukując, tyranizując i czasem nawet zabijając, by pozbyć się konkurentów. Była to piękna kraina, lecz z roku na rok coraz trudniej było ją utrzymać w całości. Przywódca rozpaczał.

W samotności i strachu wszedł do swojego niewielkiego domostwa i otworzył pudełko, które chował w słoju suszonej kukurydzy. Wewnątrz znalazł gruby plik metalowych płyt szczepionych z jednej strony metalowymi obręczami. To książka, uświadomił sobie Nafai; w metalu wyryto pismo. Przywódca otworzył ją i zaczął przerzucać strony.

Nie rozumiejąc skąd, Nafai wiedział, co zawierają słowa, co ten mężczyzna widzi oczami duszy, gdy czyta. A czytał on opowieść o Volemaku widzącym słup ognia na skale pośród pustyni i powracającym do Basiliki, by ostrzec ludzi, że miasto zostanie zniszczone. O Nafaiu i jego braciach wracających do miasta, by sprowadzić Indeks. Zobaczył Nafaia stojącego nad martwym Gaballufixem i pokiwał głową. Czasami ci, którzy dbają o całą społeczność, muszą skrzywdzić jednostkę. Dla dobrego człowieka to nigdy nie jest łatwe i unika tego, gdy może; lecz gdy ludzie potrzebują, żeby był bezwzględny, zaiste taki będzie - i nie będzie się przed tym wzbraniał, robi to własnymi rękami i na oczach wszystkich.

Nauczył się tego ode mnie, pomyślał Nafai, a potem zdał sobie sprawę, że to on sam

stworzył tę książkę i zapisał w niej historię swego życia, życia i czynów wszystkich ludzi w tej grupie, ich zbrodni i aktów bohaterskich, ich chwil zwątpienia i zadziwiających osiągnięć. A ten mężczyzna, ten przywódca, ten król zaglądał do książki i znajdował w niej opowieści, historie, które go utwierdzały w zamiarach, mądrości, które wzmacniały jego determinację, miłość, która uczyła go współczucia, nadzieje, które prowadziły do szlachetnych czynów, nawet gdy te nadzieje pozostawały niespełnione.

Nafai obudził się i pomyślał: Ten sen był taki wyraźny... musiał przyjść od Nadduszy. Albo od Opiekuna Ziemi.

A potem pomyślał: Ten sen tak jasno wyraża moje pragnienie, aby czytanie i pisanie wciąż było żywe wśród tych ludzi, że mógł zrodzić się z moich marzeń.

W takim razie skąd one się wzięły? Czemu tak bardzo chciał zachować język pisany wśród swoich potomków? Czy same pragnienia mogły pochodzić od Opiekuna?

Nie, pomyślał. Te pragnienia biorą się z moich wspomnień chwili, gdy stałem nad zwłokami Gaballufixa. Zabiłem go, by zabrać mu Indeks. A po co był Indeks? To był mój dostęp - nasz dostęp - do ogromnego zasobu wiedzy na statku, który zaniósł nas tutaj. To był klucz do wszystkiego, co wie Naddusza. Co by dla nas znaczył, gdybyśmy nie umieli czytać ani pisać? Dla ludzi niepiśmiennych Indeks byłby bezużyteczny i żaden człowiek nie musiałby umrzeć, żebym ja go zdobył. Śni mi się sen, który usprawiedliwia moje czyny przede mną samym.

Lecz wiedział, że ten sen, chociaż zlekceważony, będzie miał konsekwencje.

Niczego nie wyjaśniając, zrobił sobie wolne od Volemaka, od Luet, i zabrał kapsułę statku tam, gdzie według map geologicznych można było znaleźć złoto. Bogatą żyłę, wydobyłą na powierzchnię wskutek wielkich fałdowań i wypiętrzeń zachodzących przez ostatnich czterdzieści milionów lat. Uzbrojony w metalowe narzędzia z przechowalni statku, po dwóch dniach samotnej pracy uzyskał kilka kilogramów złota. Kolejny dzień poświęcił na jego oczyszczenie. Potem wyklepał je, niestopione, w płaskie, gładkie płyty, używając nieodkształcalnej metalowej powierzchni kapsuły jako kowadła. Płyty były bardzo cienkie, lecz złożone razem - bardzo ciężkie. Wykonanie ich zajęło mu trzy dni, a przez ten czas robił tylko sporadyczne przerwy, by zebrać trochę jagód. Był głodny, ale praca, którą wykonywał, miała dla niego większe znaczenie niż jedzenie.

Podczas pierwszych prób odkrył, że zamaszyste łuki liter alfabetu, którego używano na Harmonii, nie nadają się do ręcznego tłoczenia w złocie. Musiał pisać bardziej kanciasto. Co więcej, niektóre wyrazy miały zbyt skomplikowaną pisownię i używały zbyt wielu znaków do oddania głosek. Zmienił je więc, wymyślając pięć nowych liter reprezentujących

głoski, które wymagały wcześniej dwóch liter. A gdy pisał, używał dwuliterowych skrótów do zapisu najbardziej powszechnych słów.

Jak śmiem zmieniać język w taki sposób? - pytał samego siebie. Czy tekst będzie zrozumiały?

Oczywiście, będą mogli to przeczytać jedynie ludzie, których on nauczył czytać i pisać, więc znaczenie tych symboli będzie dla nich jasne. Co równie ważne jednak, każdy, kto nauczył się czytać alfabet, który opracował z myślą o wybijaniu słów w złocie, bez trudu rozszyfruje większość liter w języku Harmonii - języku komputerowej biblioteki statku. Przynajmniej dopóki język się nie zmieni, nie odetnie potomków od ich piśmiennego dziedzictwa.

Złoto. Jakże odpowiedni materiał dla takiego skarbu, jakim, miał nadzieję, ta książka się stanie. Lecz wybrał złoto nie ze względu na jego wartość jako środka wymiany, raczej z tych samych powodów, dla których wykorzystywano je do bicia monet w większości ludzkich kultur. Było miękkie. Łatwe do obróbki. A mimo to nie aż tak miękkie, żeby się odkształcało. I nie rdzewiało, nie matowiało, nie rozkładało się w żaden sposób. Po śmierci Nafaia litery wciąż będą widniały na stronach metalowej księgi.

Załadował złote karty na kapsułę razem z resztkami złota i poleciał do domu. Gdy zwracał szalupę na statek, ani słowem nie wytłumaczył, gdzie był ani co zrobił. Nie chciał nikogo oszukiwać. I to nie znaczyło, że nie ufał ojcu czy matce, Luet czy komuś innemu. Po prostu wstydził się o tym powiedzieć. Uznaliby to za głupstwo.

Nie, nie o to chodziło. Zupełnie nie o to, wiedział. Gdy siedział przy świetle lampy, której knot drgał, unosząc się na stopionym tłuszczu w glinianym kubku, czuł moc w tym, co robił. Przenoszę w przyszłość siebie i moje spojrzenie na to, co się nam przydarzyło. Kiedyś jedyną wersją tych wydarzeń będzie ta, którą ja spisałem. Nasi potomkowie będą nas widzieli tylko moimi oczami. A więc to ja będę żył w ich pamięci. To ja będę szeptał do ucha tego wielkiego przywódcy - jeśli kiedyś będzie istniał, jeśli ta księga przetrwa, jeśli jest w niej zawarta jakaś mądrość.

Zapisywanie tych złotych stronic mnie unieśmiertelnia. Dlatego trzymam to w tajemnicy. Bo to jest bezduszne, egoistyczne z mojej strony.

Nie, nie jest, usłyszał głos Nadduszy.

Wiem, co czuję. Nie wstydzę się przyznać, że moje motywy są nieczyste.

Robisz coś szlachetnego. Ofiarowujesz następnym pokoleniom wiedzę o ich przeszłości. Wiedzę o tym, dlaczego ludzie, kopacze i anioły żyją razem na tym świecie.

A jeśli Elemak pisałby tę książkę, byłaby zupełnie inna, nieprawdaż?

Byłaby pełna kłamstw.

Opowiadający, chcąc nie chcąc, zawsze zniekształca każdą opowieść, którą opowiada. Nawet o tym nie wiedząc, ja też kłamię, nadając wydarzeniom taki kształt, jaki ma dla mnie sens. Każdy inny napisałby to inaczej. A mój sposób niekoniecznie jest najlepszy.

To, co tworzysz, będzie traktowane jak relikwia. Oznaka władzy, przekazywana z pokolenia na pokolenie. Jak Indeks. On przetrwał czterdzieści milionów lat.

Nafai zaśmiał się cicho, uważając, by nie zbudzić Luet ani trójki maluchów urodzonych już po tym, jak zawędrowali w góry, by żyć tu z aniołami, ani bliźniaków, którzy spali na poddaszu, śniąc o tym, co by tu spocić lub jakim wypadkom ulec, żeby ich rodzice żyli w wiecznej trwodze.

Śmiejesz się, ale wiesz, że mówię ci prawdę, rzekł Naddusza.

Powiedz więc, mój stary przyjacielu, czy to ty zesłałeś mi ten sen?

Nie.

Opiekun zatem?

Wiesz, że nie wiem, co robi Opiekun.

Więc to może być jedynie prywatny kaprys faceta, który zbliża się do wieku średniego i zaczyna myśleć o swej śmierci.

A jeśli nawet, nie zmienia to faktu, że mądrze robisz, szykując wielki dar dla przyszłości.

Muszę nauczyć kogoś czytać moje pismo. Muszę dać je komuś, kto poniesie je w przyszłość.

Znajdziesz kogoś. Może teraz jest mały. Gdy czas nadejdzie, nie będziesz miał wątpliwości, komu dać księgę.

Piszę o wszystkim. Jeśli moje dzieci to przeczytają, powiedzą: „Czemu on nie milczał? Czemu zawsze chciał zmieniać dobre na lepsze?”. Moje błędy wyjdą na jaw, potomkowie będą mną gardzić.

No i co z tego? Będziesz martwy.

Jeśli Elemak to kiedyś przeczyta, zabije mnie i zniszczy księgę.

Sugerowałbym, żebyś mu jej nie pokazywał.

Ani nikomu. Tyle godzin temu poświęciłem... czy są zmarnowane?

A są?

Nafai nie miał odpowiedzi. Tyle że nie przestawał pisać. Pisał i pisał, a jego pismo stawało się coraz mniejsze i bardziej ścieśnione. Coraz więcej słów mieściło się na kolejnych stronicach. A opowieść stawała się coraz bardziej lakoniczna.

O czym pisał? Z początku była to bardzo osobista relacja, co zapamiętał, z Basiliki, z tułaczki przez pustynię, ze znalezienia kosmodromu w Vusadce. Historia lat spędzonych na Ziemi stała się o wiele bardziej obiektywna. Informacje o kopaczach i aniołach odnotowywał w kolejności, w jakiej je zdobyli lub wydedukowali. Pisał też o wynikach wypraw Zdoraba w kapsule statku, o sporządzaniu przez niego map i dostarczaniu Shedemei roślin i zwierząt do badań. O kulturze aniołów i kopaczy oraz ich reakcji na kulturowe innowacje, które przynieśli im ludzie. O politycznych machinacjach, gdy społeczności kopaczy i aniołów usiłowały poradzić sobie z upadkiem ich bogów.

Bo starzy bogowie upadali. Nikt nie może żyć wśród bogów i nadal w nich wierzyć, uznał Nafai. I choć po wczesnym okresie kryzysu wyjaśnił wszystkim, że on i Volemak nigdy nie byli bogami, że ich moce wynikały wyłącznie z technologii i wiedzy, że żaden z nich nie był w stanie zmontować kopii nawet najmniej skomplikowanych maszyn ze statku - choć im to wyjaśnił, czuł, że wielu wolałoby tego nie wiedzieć. Zwłaszcza Emeezem. Gdy powiedział jej, że gliniana figura, którą czciła i hołubiła przez całe życie, jest wyjątkowo piękną rzeźbą autorstwa uzdolnionego anioła Kiti, nie podziękowała mu. Zachowywała się tak, jakby ją spoliczkował. „Czy mam ją zatem roztrzaskać?” - zapytała gorzko.

„Roztrzaskać coś tak pięknie wykonanego? - zdziwił się. - Roztrzaskać coś, co pomogło ci zostać szlachetną władczynią, jaką jesteś?”.

Nie zdołał jej udobruchać; brzmiało to dla niej jak pochlebstwo, mimo że mówił szczerze. Odrzucenie jej czci przez Nafaia to był najpoważniejszy cios. Osowiała; choć nadal przewodziła swojemu ludowi mądrze i stanowczo, nie miała już do niczego serca. Straciła nie tylko wiarę, ale i nadzieję.

Anioły miały łatwiej. Ponieważ przy pierwszym kontakcie z ludźmi doznali gniewu Elemaka, z ulgą dowiedzieli się, że nikt z nich nie jest bogiem. Ale ludzie znali tak wiele sekretów i wykorzystywali dla ich dobra swą wiedzę, uratowali tak wiele aniołów przed śmiercią i tak bardzo polepszyli zdrowie wszystkich, że w ich stosunku do ludzi wciąż był element uwielbienia, a tym samym odrobina - a może wiele - rozczarowania, gdy jakiś człowiek w czymś zawodził, dawał złą radę albo błędnie przewidywał jakiś rezultat.

Pisząc o tym, Nafai uświadomił sobie, że ludzie - ludzie, anioły i kopacze - potrzebują kogoś spoza ich grona, w kim mogliby pokładać nadzieję na mądrość i prawość. Musieli zacząć myśleć o Opiekunie Ziemi jako o tym, który nigdy nie będzie się mylił.

Sam Nafai nie był tego do końca pewien. Nigdy nie słyszał głosu Opiekuna Ziemi z taką wyrazistością, z jaką przemawiał do niego Naddusza. Tak właściwie to nie był pewien, czy w ogóle kiedykolwiek słyszał głos Opiekuna Ziemi albo widział jego sen. Nie miał

pojęcia, kim on jest. To, że był całkiem realny, nie budziło wątpliwości - nie było innego wyjaśnienia dla glinianego wizerunku twarzy Nafai wyrzeźbionego, kiedy Nafai dopiero wsiadał na statek, by przybyć na Ziemię. Nie było też innego wyjaśnienia dla snów, które mieli na Harmonii - widzieli w nich kopacze i anioły, choć Naddusza nie miał pojęcia, że to stworzenia zamieszkujące Ziemię. Jednak sny były zawsze niejasne, zakłócone nadziejami, obawami i wspomnieniami śniącego, więc nigdy nie było pewności, gdzie kończy się przekaz Opiekuna, a zaczyna oszukiwanie samego siebie.

Mimo to Nafai wiedział, że wiara w Opiekuna spełniałaby zasadniczą funkcję społeczną. Opiekun byłby najwyższym autorytetem, kimś nieomylnym, strażnikiem Prawdy. Kiedy stanie się jasne, że nawet najmądrzejsi z ludzi wiedzą bardzo niewiele; gdy stanie się jasne, że najbardziej zadziwiające z cudów są wynikiem użycia maszyny lub wykorzystania odrobiny pospolitej wiedzy - nawet wtedy nikt nie poczuje się rozczarowany, bo przecież wszyscy będą wiedzieli, że ludzie, anioły i kopacze są równi w oczach Opiekuna Ziemi, są też słabi i głusi w porównaniu z nim.

Podzielił się tymi przemyśleniami z Luet, a ona przyznała mu rację. Zaczęła uczyć kobiety anioły o Opiekunce Ziemi, adaptując ich pradawne tradycje o rozmaitych bogach tak, że powstała spójna opowieść, która zastąpiła wszystkich dobrych bogów różnymi aspektami Opiekunki. Z mężczyznami aniołami Nafai obszedł się trochę brutalniej, odrzucając wszystkich pradawnych bogów i zachowując tylko niektóre ze starych legend. Te mity nie miały zupełnie zniknąć, rzecz jasna - ale chciał zaczynać z nieskażonym sednem wiedzy o Opiekunie, mimo że wiedza ta była naprawdę bardzo uboga.

Potem Nafai i Luet wtajemniczyli w to Oyikiba i Chveyę. Niebawem Oyikib uczył o Opiekunie mężczyzn kopaczy, a Chveya - kobiety. Oni też zaadaptowali to, w co ten lud wierzył; też nie ukrywali, jak niewiele sami wiedzą o Opiekunie. Ale wiedzieli jedno: Opiekun chciał, żeby ludzie, kopacze i anioły żyli razem w pokoju.

Problem w tym, że w miarę jak zanikała stara religia i coraz mniej kopaczy uczestniczyło w corocznych wypadach, by ukraść aniołom rzeźby w czasie godów, zdawał się zmniejszać również ich przyrost naturalny - natomiast anioły rosły w siłę, mnożąc się niemal w alarmującym tempie. Wśród kopaczy zaczęto szemrać, że nowa religia Opiekuna Ziemi była tak naprawdę częścią spisku mającego na celu zniszczenie kopaczy, tak żeby ludzie i anioły mogli podzielić świat między sobą. Niewielu wierzyło w te pogłoski, ale dość wielu, by powstał kłopot. Niektórzy bowiem chcieli to wykorzystać. I faktycznie, gdy Nafai zaczął słyszeć, że nie wszyscy ludzie, lecz tylko Nafai i jego poplecznicy knuli plan zniszczenia kopaczy, wiedział, że ktoś zamierza obrócić te obawy na swoją korzyść.

Tymczasem liczba narodzin wśród kopaczy wciąż malała, choć żywności było coraz więcej. A anioły musiały ciągle poszerzać swoje terytorium, wypalając kolejne połacie lasu, by przeznaczyć więcej ziemi pod uprawę. Tyle bliźniąt, a żadne nie było już mordowane w niemowlęctwie; tylu zdrowych dorosłych, a żaden nie ginął przy napadach kopaczy.

Byli na Ziemi już dwanaście lat, gdy Shedemei zwołała wszystkich dorosłych na zebranie. W końcu znalazła rozwiązanie starych zagadek, powiedziała. Lecz czekały na nich już nowe niewiadome i trzeba było podjąć nowe decyzje.

*

- Namieszaliśmy - zaczęła Shedemei. - Jak wszyscy wiecie, spadający przyrost naturalny wśród kopaczy wzbudza u nich poważne niepokoje.

- My też się niepokoiimy - zauważył Volemak.

- Już wiem, czemu tak się dzieje. My to zrobiliśmy. Nadal robimy.

Czekali. W końcu Mebbekew nie wytrzymał.

- Nie wiedziałem, że masz takie wyczucie dramatyizmu, Shedya. Jak długo mamy czekać na akt drugi?

- To jest dopiero pierwszy - odparła. - Drugi po antrakcie. - Odezwało się trochę nerwowych śmiechów. - Otóż powód jest taki, że przez nas kopacze przestały wierzyć w swoich bogów. Już nie oddają im czci. Nawet nie kradną świeżych rzeźb aniołom. Dlatego nie rodzą im się dzieci.

- Chcesz nas przekonać, że ich religia jest prawdą? - zapytał Elemak ze śmiechem.

- Krótko mówiąc: tak. Mamy za sobą dwanaście lat uważnej obserwacji miejscowych plemion kopaczy i aniołów. Zdorab i ja odwiedzaliśmy także inne kolonie kopaczy i aniołów i jesteśmy względnie pewni, że odkryliśmy uniwersalny wzorzec. Przede wszystkim nie ma czegoś takiego jak osada aniołów bez miasta kopaczy w pobliżu ani miasta kopaczy bez osady aniołów w odległości kilku godzin piechotą. To nie przypadek. Kopacze nie mogą przetrwać bez aniołów. A dokładnie, kopacze nie mogą rozmnażać się bez oddawania czci rzeźbom, które samce aniołów tworzą w trakcie swoich rytuałów godowych.

- Czy dobrze rozumiem, że przyczyna jest biologiczna, a nie teologiczna? - zapytała Rasa.

- Oczywiście, choć trudno w glinianych rzeźbach widzieć mechanizm biologiczny - przyznała Shedemei. - Zdorab zwrócił mi uwagę, że z biologicznego punktu widzenia artyzm związany z tworzeniem rzeźby może nie być ważny. Tylko ślina. Samce aniołów biorą glinę do ust i rozpuszczają ją w mokre błoto, z którego lepia bryłę, a potem w niej rzeźbią. Od czasu do czasu wkładają kolejny kawałek gliny do ust i go zwilżają śliną.

Słuchacze myśleli gorączkowo, próbując to wszystko połączyć.

- Chodzi ci o to, że kopacz musi wcierać ślinę aniołów w swoje ciało, by mieć potomstwo? - zapytała Dza.

- Niezupełnie - odparła Shedemei. - Gdy za pierwszym razem przebadaliśmy ciała aniołów i kopaczy, znaleźliśmy mały organ, jakiś gruczoł w pobliżu moszny. Identyczny u obu gatunków, mimo że one nie mają żadnego wspólnego przodka z takim samym organem. Co jest bardzo zastanawiające, oczywiście. Znamy już funkcję tego organu. On nieustannie wydziela niewielkie ilości hormonu, który ogranicza wytwarzanie spermy. Nie, to za mało powiedziane. On całkowicie zatrzymuje wytwarzanie spermy. Gdy ten gruczoł funkcjonuje, samce są bezpłodne.

- Cóż za użyteczny organik - mruknął Oy kib. Potem głośniejszym głosem dodał: - Czemu to się wykształciło?

- To jeszcze nie - dodał Zdorab.

- Jest taki mikroskopijny płazinić, który żyje we wszystkich słodkich wodach tego masywu. Podczas pory deszczowej, gdy rzeki występują z brzegów, ten płazinić zakopuje się w warstwy zwartej gliny i składa miliony małych jajeczek. One nie rozwijają się, póki są mokre. Ale gdy nastaje pora sucha i woda opada, jajeczka tworzą twarde powłoczki, które zatrzymują w środku wilgoć. Zarodki się rozwijają, ale nie mogą wyjść na świat, bo nie są w stanie pozbyć się więzących je skorupki. Więc hibernują. Zużywają żółtka tak wolno, że mogą przetrwać i trzydzieści lat. Kolejna pora deszczowa nie sprawia, że się wykluwają, bo woda nie rozpuszcza skorupki. Zgadnijcie, co je rozpuszcza.

- Ślina aniołów - domyślił się Oy kib.

- Cudowny chłopak - pochwaliła. - Mój wzorowy uczeń. - Rozległo się trochę śmiechów, lecz wszyscy czekali na ciąg dalszy opowieści. - Żaden inny płyn tego nie robi, bo anioły mają w śliniankach małe organelle, które wydzielają enzym niepełniący absolutnie żadnej funkcji w ich organizmach, ale rozpuszcza skorupki jaj płazińców. A więc gdy samce wkładają glinę do ust, nie tylko zmiękczają ją, by ulepić rzeźbę. Rozpuszczają też skorupki milionów małych płazińców. A tak się przypadkiem składa, że rozpuszczone skorupki zawierają jedyną substancję, która upośledza działanie tego organu w okolicach moszny aniołów i kopaczy. Ta substancja rozpada się bardzo powoli, a rzeźby zawierają wystarczające jej ilości nawet przez dziesięć lat, a na pewno przez pięć.

Teraz do wszystkich dotarło. „Więc gdy kopacze ocierali się o rzeźby całym ciałem...”. „Czy anioły połykały trochę tego?”. „Ile tej substancji potrzeba?”.

Shedemei uniosła rękę, by uciszyć wszelkie pytania i komentarze.

- Tak, dobrze rozumiecie. Samce aniołów przyswajają ten enzym przez usta. Nie potrzeba go wiele, by zatrzymać działanie organu sterylizującego, a on nie odzyskuje sprawności znów przez prawie dwa tygodnie, może trzy. Jest więc dogodny moment do rozmnażania. A samce kopaczy mają specjalną strefę chłonną na podbrzuszu, w pobliżu pachwiny, przez którą ta substancja może przeniknąć niemal bezpośrednio do krwiobiegu. Ocieranie się o rzeźby spoconymi brzuchami rozpuszcza trochę gliny, po czym rozpuszczony enzym płodności dostaje się do krwi i, tak jak u aniołów, zatrzymuje działanie gruczołu sterylizującego i samce kopaczy stają się płodne. Ponieważ dostają o wiele mniej tego enzymu, ich okres płodności trwa tylko kilka dni. To jednak nie ma znaczenia. Bo choć anioły tworzą swoje rzeźby raz w roku i muszą wstrzelić się w ten jedyny dogodny moment dla rozrodu, kultura kopaczy pozwala im oddawać cześć posągom w każdej chwili. Tak więc rytuały pozwalają im się rozmnażać ciągle. Po prostu kopacz najpierw musi się pomodlić.

- To najbardziej absurdalnie skomplikowany, nedorzeczny mechanizm, o jakim kiedykolwiek słyszałem. Nieprawdopodobny - ocenił Issib.

- Tak. Nie ma szans, że to wykształciło się naturalnie. Czemu kopacze i anioły miałyby niezależnie od siebie wykształcić identyczne organy, które czynią ich bezpłodnymi? To nie daje żadnej przewagi ewolucyjnej. Czemu anioły nie wymarły, nim zaczęły tworzyć rzeźby? Czemu kopacze nie wymarły, zanim odkryły zalety ocierania się o posągi aniołów? I czemu jakiś gatunek płazińców miałby wymagać specjalnej substancji ze śliny aniołów, by wykluć się z jaja? I czemu anioły miałyby produkować substancję, która nie służy do niczego oprócz rozpuszczania skorupki jaj płazińców?

- Natura jest pełna dziwów - rzucił Oy kib.

- Pewnie - zgodziła się Shedemei. - Nie powinnam mówić, że nie ma szans, by to wykształciło się naturalnie. Tyle że dla mnie zbieg okoliczności jest zbyt wielki, by wierzyć w naturalną przyczynę. Kopaczom i aniołom ktoś to zrobił.

- Ale to teraz nieważne - włączył się Zdorab. - Shedya ma pewne hipotezy, lecz teraz liczy się to, że musimy powiedzieć kopaczom prawdę. Muszą znów zacząć korzystać z rzeźb. I zdobywać nowe.

- Może uda się nam namówić anioły, żeby oddawały rzeźby kopaczom - zasugerował Padarok. - Aniołom są niepotrzebne po tym, jak kobiety oceniają mężczyzn.

- Może - stwierdziła Shedemei. - Ale nie tylko kopacze cierpią z powodu naszej ingerencji w poprzednie układy społeczne. Ta relacja, ta więź między kopaczami a aniołami trwa od milionów lat. Czterdziestu milionów lat, dokładniej mówiąc. A w czasie tych niezliczonych pokoleń wykształciły się pewne schematy. Na przykład bliźniactwo aniołów.

Każda ciąża jest podwójna. To nie przypadek. W trakcie naszych badań zaobserwowaliśmy tylko dwa razy, i nigdy w naszej osadzie aniołów, że zdarza się poród pojedynczy, ale wtedy dziecko jest zabijane, a matce już nigdy nie pozwala się kopulować. Innymi słowy, pojedyncze narodziny są bezwzględnie wykluczane ze społeczności aniołów. Prawdopodobnie jest to efekt wędrówki kopaczy krok w krok za aniołami. Kopacze muszą podążać za aniołami, żeby zdobyć posągi. Lecz chcąc nie chcąc, widzą w nich łatwe źródło mięsa, zwłaszcza gdy niemowlaki aniołów są w wieku, gdy nie potrafią latać, a są za ciężkie, by jeden dorosły mógł je nieść. W rezultacie bliźniactwo pozwala każdemu pokoleniu aniołów zachować jedno dziecko przy życiu, gdy drugie ginie. Z czasem współpraca w społeczności doprowadziła do tego, że trzy czwarte par bliźniaków przeżywało. Teraz w naszej wiosce wszystkie bliźniaki dożywają dorosłości. Przy życiu zostają też wszystkie słabe, chore i okaleczone anioły, podczas gdy w innych osadach kopacze ich eliminują. Krótko mówiąc, anioły wykształciły strategię rozmnażania się dalece ponad równowagę populacyjną, by przetrwać straty z rąk kopaczy. A gdy kopacze już przestały na nie polować, wybuchła bomba demograficzna.

- Poprzednio panująca równowaga była bardzo delikatna - podchwycił Zdorab. - Znalazłem jedno miejsce, gdzie doszło do kryzysu. Kopacze zbyt się rozbestwiły i pożerały więcej niż tylko niemowlaki i zbłąkane sztuki. Regularnie wybijały anioły w ich okolicy. Gdy tam dotarłem, zostało się tylko kilka osaczonych rodzin aniołów. Ale kopacze już za to pokutowały. Miały mnóstwo starych rzeźb, ale żadnych nowych. Więc po około pięciu latach ich przyrost naturalny spadł. Tak jak tutaj. Nie tak gwałtownie, rzecz jasna, bo wciąż oddawali cześć posiadanym rzeźbom, tyle że one zawierały stopniowo coraz mniej enzymu. Narodziny zdarzały się coraz rzadziej. Przy mniejszej liczbie polujących kopaczy populacja aniołów zapewne się odrodzi. A później garstka pozostałych przy życiu kopaczy także wcześniej czy później urośnie w siłę.

Shedemei znów zabrała głos:

- A więc istnieje równowaga społeczna, jak widzicie. Kopacze nie mogą zabić za dużo aniołów dla ich mięsa, bo sami tracą zdolność rozmnażania się.

- A co powstrzyma anioły przed odlotem i założeniem nowej kolonii gdzieś, gdzie nie ma kopaczy? - zapytał Protchnu.

- Nic. I jestem pewna, że to zdarzało się już wiele razy. Ale one mogą żyć tylko tam, gdzie znajdują glinę, w której gnieźdzą się płazińce. Czyli tylko tam, gdzie występują regularne wylewy podczas pory deszczowej, i tylko na wysokościach, gdzie płazińce mogą przetrwać. To warunki dość powszechne na tym masywie, ale nigdzie indziej. A kopacze występują na

wielkich obszarach. Nie sędę, że jest takie miejsce, gdzie anioły mogłyby się udać, a kopacze nie znalazłyby ich wcześniej czy później. To zresztą działa na korzyść aniołów. Bez kopaczy pożerających młode osobniki ich populacja bardzo szybko osiągnęłaby ekstremum.

- Sugerujesz, że mamy pozwolić kopaczom znów porywać i pożerać noworodki aniołów? - zapytał Nafai.

- Oto jest pytanie - odparła. - Trudne pytanie, prawda?

- Czy coś z tego wiąże się jakoś z ewolucją inteligencji wśród aniołów i kopaczy? - zainteresowała się Chveya.

- Trochę tak, jak sędę - odpowiedziała genetyczka. - Samice aniołów wybierają partnera, którego osiągnięcia artystyczne podziwiają. Naturalnie, im bardziej inteligentny i kreatywny jest samiec anioła, tym większe ma szanse, żeby rozmnażać się wcześniej i często. U kopaczy jest inaczej. Aby zabijać anioły, muszą być sprytne. I są tak sprytne, że anioły niemal już nie próbowały ich powstrzymywać. Ale wszyscy widzieliśmy pułapki, które anioły zastawiają na granicach swoich osad. Pewnie kiedyś głupie kopacze wpadały w takie pułapki. Teraz łatwo ich unikają. Te najsprytniejsze omijały pułapki aniołów, by kraść ich młode i rzeźby. Tak rozwinęła się inteligencja kopaczy.

- Innymi słowy, inteligencja wykształciła się naturalnie - podsumowała Chveya. - Nienaturalny jest ten symbiotyczny związek.

- Nie tylko nienaturalny - dodała Shedemei - ale stworzony przez ludzi.

- Skąd możesz to wiedzieć? - zdziwił się Protchnu.

- Przypuszczaliśmy, że nie może być naturalny. I wiedzieliśmy, że ludzie zniknęli z Ziemi, wyemigrowali, osiedli na Harmonii i bez wątplenia na innych światach. Szukając za pomocą Indeksu, odkryliśmy, że jedyną częścią historii, o której biblioteka statku nie ma nic do przekazania, jest życie ludzi w momencie emigracji.

Zdorab, bibliotekarz, zabrał głos:

- Zakładaliśmy, że to dlatego, że to był tak koszmarny czas i ludzie próbowali o nim zapomnieć. Wspominano o wojnach z użyciem broni tak potwornych, że na długo zmieniły Ziemię w kulę lodu. Sam Naddusza tak myślał. Ale potem coś, co pewnego razu powiedział mi Nafai, uświadomiło mi, że trudno pojąć to ubóstwo informacji. Powiedział: „Jak ci, którzy ocalili ludzkość, opuszczając Ziemię, mogli pozwolić, by tak całkowicie o nich zapomniano?”. A ja pomyślałem: oczywiście, że nie mogli. Zacząłem więc szukać w komputerach na statku, tych, które nie są powiązane z Nadduszą. I znalazłem... bazę danych, do której Naddusza nie ma świadomego dostępu. Nazywa się, na ile potrafię to przetłumaczyć: „Księga grzechów rodzaju ludzkiego”.

- Grzechów? - zaciekał się Mebbekew.

- Cóż, to najzwyklejszy przekład. To określenie, które oznacza: „świadome błędy” lub „zbrodnie możliwe do uniknięcia zaniedbania”. Uznałem, że „grzechy” to całkiem dobrze podsumowują.

- A co zawiera ta księga? - zapytał Nafai.

- Dopiero co ją znalazłem. Nie przeczytałem całej, a z radością skorzystałbym z pomocy przy tłumaczeniu, jeśli ktoś ma czas i chęć. Język jest zbliżony do kilku znanych języków, ale bardzo stary, a Naddusza go nie uaktualniał, bo nie był świadom tej bazy danych. Jedną z pierwszych informacji, jakie znalazłem, było wyjaśnienie tego, jak powstały anioły i kopacze. Bo trzeba wam wiedzieć, że to był jeden z tych grzechów.

Zdorab wyświetlił dokument na najbliższym ekranie komputera i zaczął czytać na głos:

- „Zgrzeszyliśmy, manipulując genami zwierząt, obdarzając je inteligencją bez wolności, talentem bez siły, pragnieniami bez nadziei. Wykorzystywaliśmy je dla własnej uciechy, bawiły nas ich obrazy i rzeźby, muzyka i tańce, jednak malarzy i rzeźbiarzy, muzyków i tancerzy trzymaliśmy w więzieniach. Jeśli uciekali, ich wolność była nic niewarta, gdyż mogli mieć dzieci tylko w niewoli. To było wynaturzenie, a Opiekun Ziemi zbuntował się przeciw niemu, odpędził ciemnych oraz nadzorców i uwolnił małych”.

Odezwała się Shedemei:

- Anioły wciąż tworzą coś na podobieństwo sztuki, zapewne właśnie po to ich wyhodowano. Zdorab i ja nie mamy pomysłu, po co wyhodowano kopaczy, co mieli robić.

- Kopać - zasugerował Elemak.

- Możliwe - przyznała. - To, że „Księga grzechów” wspomina jedynie o inteligentnych zwierzętach stworzonych ku uciechy ludzi, nie oznacza jeszcze, że nie było też zwierząt, które zmodyfikowano genetycznie z myślą o bardziej niewdzięcznych pracach. Jak szukanie podziemnych złóż rozmaitych minerałów albo kopanie tuneli.

- Ścieków - rzucił Elemak.

- Nie wiemy. Jest duża szansa, że przodkowie kopaczy nie byli inteligentni. Udoskonaleni fizycznie, ale nie mentalnie. Ale przetrwali, bo jednak byli wystarczająco rozumni albo mieli na tyle szczęścia, że żyli blisko plemienia aniołów i przez przypadek ocierali się o te posagi.

- A może przetrwali - włączył się Zdorab - dlatego, że kopacze żyły w norach, a anioły w jaskiniach. Gdy Ziemia weszła w okres gruntownego zlodowacenia, obydwa gatunki przetrwały pod ziemią i tam wykształciły symbiozę.

- A może nauczyły się tego we śnie - podsunęła Luet.

- Cóż, kto wie? - odparła Shedemei. - Może wszystko było zaplanowane i kontrolowane. Już wtedy, gdy Opiekunka Ziemi wypędzała ludzi, mogła planować zastąpienie naszych przodków nowymi gatunkami. Mogła manipulować genami obu po to, by ułatwić wykształcenie inteligencji.

- I po to zarazem - dodał Zdorab - by uczynić ich symbiotycznymi, żeby nie miały szans przetrwać bez siebie nawzajem. Starzy ludzie stworzyli te płazińce i sprawili, że przodkowie aniołów musieli rzeźbić w glinie, bo inaczej nie mogli się rozmnażać. Może nie dali żadnym innym zniewolonym zwierzętom mechanizmu, który zapewniałby im dostęp do potrzebnej substancji bez ludzkiej ingerencji. Tylko że kopacze sami znaleźli sposób, by podstępem korzystać z metody przetrwania aniołów. Kto mówi, że Opiekun Ziemi nie mógł tego w ten sposób obmyśleć? Może za sprawą Opiekuna ludzie wpadli na pomysł wykorzystania płazińca do tworzenia substancji potrzebnej aniołom? Może Opiekun zaplanował to wszystko od początku do końca.

- Czymkolwiek ten Opiekun jest - bąknął Meb.

- Mam inny pomysł - odezwał się Elemak. - Załóżmy, że Opiekuna nie ma. Byliście pewni, że te sny, które mieliście na Harmonii, pochodzą od tego rzekomego Opiekuna, bo Naddusza nie wiedział nic o aniołach i kopaczach. Teraz się dowiadujemy, że Naddusza miał wszystkie te informacje w swoich bazach danych, tylko nie mógł świadomie do nich dotrzeć. Więc te sny od początku mogły pochodzić od Nadduszy, bez jego wiedzy, prawda? I wtedy nie musimy sobie wyobrażać jakiegoś mechanizmu do wysyłania snów z prędkością większą niż światła pomiędzy Ziemią a Harmonią.

- Bardzo dobra teoria - oceniła Shedemei. - Ale to nie wyjaśnia, jak Kiti stworzył tak idealną podobiznę Nafaia sto lat przed naszym przybyciem.

- Moim zdaniem - rzekł chłodno Volemak - nawet jeśli trafnie odgadliśmy naturalny mechanizm powstania czegoś, nie udowodniliśmy tym samym, że Opiekun Ziemi nie istnieje. Nie wiemy, jak daleko sięgają jego wpływy ani jakimi mocami dysponuje; a nuż może tylko zsyłać sny ludziom. Pobożne życzenia dają fałszywych bogów tym, którzy ich pragną, lecz ci, którzy marzą o świecie bez bogów, równie łatwo mogą paść ofiarą własnych pobożnych życzeń.

- Nauczę się tego na pamięć, ojczu. Głębokie to było - zadrwił Meb.

Elemak uśmiechnął się, lecz milczał.

- Jeśli możemy odłożyć na bok teologię spekulatywną - powiedziała Shedemei - to chcę wam przedłożyć dwa warianty postępowania. Pierwszy: wyjaśnimy wszystko aniołom i

kopaczom. Kopacze wrócą do korzystania z rzeźb. A anioły podejmą próbę ograniczania swojej liczebności, rzadziej się rozmnażając - może wystarczy, że każdy mężczyzna tworzyłby jedną rzeźbę raz na dwa lata. Nie ma powodu wracać do rzezi małych aniołów. Problem w tym, że nawet gdy to się uda tutaj, nie odniesie żadnego skutku gdzie indziej. Ale może właśnie po to Opiekunka nas tu sprowadziła, żebyśmy nauczyli kopaczy i aniołów, jak współżyć bez zabijania.

- Myślałem, że odkładamy na bok teologię spekulatywną - zakpił Meb.

- Drugie wyjście - ciągnęła - to pozbyć się gruczołu sterylizującego.

- Pozbyć się? - zdziwił się Volemak.

- Znalazłam gen, który go tworzy. Jest sztuczny, został wstawiony. Przez analogię do genów niezmodyfikowanych szczurów i nietoperzy znaleźliśmy wszystkie wstawki, są dość oczywiste. Wyizolowaliśmy konkretne genetyczne słowo, które tworzy gruczoł sterylizujący, wstawiając każde ze sztucznych słów w pospolite szczury i nietoperze i obserwując, które z nich wykształca ten gruczoł. Wiedząc, który gen tworzy ten gruczoł, możemy sytuację odwrócić.

- Jak? - zapytał Volemak.

- Infekcją bakteryjną przenoszącą enzym, którego jedyną funkcją jest znalezienie tego genetycznego słowa i jego wycięcie. Taką metodę stosuję przy modyfikacjach genetycznych. Zazwyczaj posługuję się niezaraźliwymi bakteriami, teraz bym użyła zaraźliwych. U kopaczy wywołają sztywność w stawach i delikatny stan zapalny nosa. U aniołów może dodatkowo pojawić się kilkudniowe łzawienie oczu. Jak tylko infekcja rozprzestrzeni się w obu populacjach, proces rozmnażania przestanie być zależny od płazińców. Anioły będą mogły rzeźbić do woli, rzecz jasna, lecz jeśli przestaną, nikt na tym nie straci. Zmiana obejmie tylko tych poczętych już po epidemii bakteryjnej, która wprowadzi modyfikacje u ich rodziców, i może doprowadzić do samoistnych poronień męskich zarodków, które będą akurat w pierwszych kilku tygodniach rozwoju, gdy zakażenie nastąpi. Jednak w czasie jednego pokolenia gruczoł sterylizujący zniknie.

- To mi się nie podoba - orzekł Oy kib. - Mechanizm wprowadzony przez Opiekuna Ziemi utrzymywał tu równowagę, a my chcemy go zniszczyć.

- No nie wiem, Okya - odparła Chveya. - Tak naprawdę ludzie wprowadzili ten mechanizm. Widnieje w „Księdze grzechów”. To jedna z tych rzeczy, które nie podobały się Opiekunce. Może sprowadziła nas z powrotem, żebyśmy to naprawili.

- Tak jak mówiłam - podjęła Shedemei - mamy te dwa wyjścia. Osobiście wolę ingerencję. Usunięcie gruczołu sterylizującego to dla mnie jak zrzucenie kajdan z niewolnika.

Po czterdziestu milionach lat czas najwyższy, nie sądzicie?

- No to zrób tak - poradził jej Elemak. - Nie marnuj nam czasu nieskończonymi dysputami o tym, czego Opiekun mógłby chcieć, a czego nie chcieć. Możesz to zrobić, a to przyzwoity uczynek, więc po prostu zrób tak i basta. - Wstał i wyszedł.

Dyskusja toczyła się jeszcze przez wiele godzin, lecz koniec końców przeważał pogląd Elemaka. A obradowali tak długo tylko dlatego, że Protchnu zasugerował, by spytać kopacze i anioły o zdanie w tej sprawie. Wszyscy jednak uświadomili sobie, że ani anioły, ani kopacze nie dysponują aparatem pojęciowym, żeby zrozumieć związane z tym kwestie genetyki.

- One nie przyjmą tego jako metody naukowej, bo nie mają nauki - stwierdził Volemak, gdy podjął decyzję. - Przemienią to w wierzenia religijne, co wywoła wśród nich podział i kontrowersje, może doprowadzić do prawdziwej nienawiści wobec nas lub wojny domowej w ich społecznościach. Moim zdaniem warto pozwalać ludziom podejmować własne decyzje, gdy są w stanie zrozumieć wybór. Ale pytamy maluchów, czy są gotowe bawić się w strumieniu. Po prostu nie pozwalamy im zbliżyć się do wody i nawet nie próbujemy wyjaśniać pojęcia „utonięcie”. Zrozumieją to, gdy będą starsze.

- A więc kopacze i anioły są teraz naszymi dziećmi? - zakpił Meb.

- Lepiej traktować je jak nasze dzieci - odpowiedział Volemak - niż wzorem naszych przodków, jak niewolników, jak zabawki. A więc decyzja zapadła. Wytlumaczymy im tylko tyle, ile mogą zrozumieć. Oykib wyjaśni kopaczom, a Nafai aniołom. Byłbym wdzięczny, gdyby reszta zachowała to dla siebie. Shedemei, wprowadź tę bakterię do obu społeczności jak najszybciej.

- To dość proste - odparta genetyczka. - Zarażę was nią od razu. Będzie wam trochę ciekło z nosa, niektórzy dostaną lekkiej gorączki. Tylko postarajcie się trzymać rutynowego porządku kontaktów z kopaczami i aniołami, żeby choroba rozprzestrzeniła się naturalnie. I nie zapomnijcie tu przychodzić i przecierać sobie wnętrza nosa wacikiem z tym żelem.

- To obrzydliwe - jęknęła jedna z młodszych kobiet.

- Tylko jeśli użyjesz czyjegoś wacika - zażartował Protchnu.

- Mnie martwi to - rzekł Meb - co stanie się z biednymi płazińcami. Nikt się nimi nie przejmuje. Sądzę, że za bardzo faworyzujemy duże zwierzęta. Czy mikroskopijne stworzonka nie mają praw?

Wszyscy zaśmiali się razem z nim.

*

Gdy spotkanie trwało, Elemak odszukał Fusuma.

- Mam dla ciebie podarek - zagadnął.

- A co możesz niby mieć, czego bym chciał? - zapytał Fusum, który został niedawno obrany królem krwi po śmierci ojca.

- Och, ależ zadzieramy nosa, gdy już staliśmy się królem.

Fusum warknął.

- Nie jestem już zakładnikiem. Mam obowiązki.

- Masz też władzę, a ja myślę, że chciałbyś mieć jej więcej. Oto więc mój podarek: więcej władzy.

- Doprawdy, nie wiedziałem, że masz jakąś władzę do podarowania.

- Wiedza to władza, tak przynajmniej słyszałem - odparł Elemak. - Ale jest jeden warunek. Przysięgnij, że powiesz swoim ludziom, że ja podsunąłem ci ten pomysł.

- Jaki pomysł?

- Najpierw przysięgnij.

- Przysięgam.

- Ale tak szczerze?

- Jeśli zamierzasz ze mnie drwić, zatrzymaj ten swój podarek.

- Ach, teraz, jak jesteśmy królem krwi, jesteśmy zbyt ważni, by pozwolić przyjacielowi trochę się podroczyć.

- Nigdy nie byłeś moim przyjacielem, Elemaku - poprawił go Fusum. - Byłeś użytecznym źródłem wiedzy.

- Może teraz będziemy przyjaciółmi.

- Albo powiedz, jaki masz pomysł, albo daj mi spokój.

- Idź natychmiast do posagu Niedotkniętego Boga.

- Masz na myśli ten, który wygląda jak twój lśniący brat Nafai?

Elemak nie dał się sprowokować.

- Właśnie ten. Idź do niego i przy wielu świadkach oświadczyć, że rodzi się tak mało dzieci, bo ten posąg nie był należycie wielbiony. Potem zrób, co dawniej byś zrobił. Wysmaruj się nim cały.

- Mogę przez to zginąć.

- Nie jako król krwi. Nie od razu. I nie, jeśli obiecasz ludziom, że teraz, gdy oddałeś cześć Niedotkniętemu Bogowi, ścierając twarz tego oszusta, Nafaia, prawdziwy bóg ześle łagodną plagę, by wypłenić ostatnie resztki zła w twym ludzie. Kobiety mogą zacząć rodzić, bo zarodki nie były czyste. Wszyscy, którzy teraz żyją, będą musieli oddawać cześć bogom w dawny sposób do końca swoich dni. Ale nowe dzieci, zrodzone później, nie będą musiały

oddawać czci żadnym bogom w ogóle. Przyjdą na świat nieskażone i z błogosławieństwem.

- Co za grzyb każesz mi zjeść? - zapytał Fusum podejrzliwie. - Sam mi powiedziałeś, że religia to bzdura.

- Ale twoi ludzie w to wierzą, nie? Powiesz im więc, że nieważne, co mówi Oy kib, Chveya czy ktokolwiek inny, ja powiedziałem ci prawdę i dzięki twojemu czynowi twój lud nie będzie już musiał chodzić w góry, by zdobywać bogów od niebomięsów. Już nigdy nie będziecie potrzebowali niebomięsów. Wasze nowe dzieci i wnukowie zabiją ich wszystkich i to nie będzie miało znaczenia, bogowie nie będą wymagali od nich, żeby się upokarzali, oddając cześć przedmiotom stworzonym przez niebomięsy.

- Czemu miałbym uwierzyć?

- Mnie tam nie zależy. Możesz mi nie uwierzyć i zwlekać. Wtedy Oy kib przyjdzie, powie swoje i cała moc i wpływy przejdą na niego, a pośrednio na Emeezem. Albo możesz mi uwierzyć i działać od razu. Wtedy ty i ja będziemy wyzwoliciełami kopaczy. To i tak się stanie, oczywiście. Przedstawionko, które odegrasz z posągami Nietotkniętego, tak naprawdę nic nie zdziała, tylko twoi ludzie wierzą, że masz religijne moce, jakich nie miał żaden król krwi przed tobą. I nie zaszkodzi, że możesz ośmieszyć nalegania Emeezem, by Nietotknięty Bóg pozostał nietotknięty. Gdy twoje proroctwa się spełnią, ona będzie skompromitowana. Ale możesz pozwolić, żeby okazja cię ominęła, Fusumie. Możesz do końca życia żałować, że nie przyjąłeś ode mnie tego daru, tej szansy. Naprawdę mi nie zależy.

- Zależy, zależy - odparł Fusum. - I użyję twojego imienia, i powiem im, że dowiedziałem się tego od ciebie. Bo jeśli to się nie uda, może będę mógł się uratować, zwalając na ciebie całą winę.

- A gdy się uda, twój lud będzie wiedział, kto jest jego prawdziwym przyjacielem wśród ludzi.

- Ja zaś będę wiedział, że zamierzasz zdradzić swój lud i chcesz mieć kopaczy po swojej stronie, gdy uderzysz.

- To jakiś problem?

- Nie, skądże. Bylebyś pamiętał, kto jest królem kopaczy.

- Będę pamiętał - obiecał Elemak.

A więc Fusum zszedł do świątyni Nietotkniętego Boga, wygłosił mowę i dokonał bluźnierczego obrzędu. Emeezem kazała go skępować i zamknąć w komnacie więziennej, lecz jego niewola trwała krótko, bo Oy kib zwołał starszyczkę kopaczy i wyjaśnił, że spadnie na nich pomniejsza plaga, lecz wszystkie dzieci poczęte po niej nie będą już musiały oddawać czci posągom. „Opiekun Ziemi uwolnił was od waszych starych bogów” - powiedział. Wielu

jednak mówiło między sobą, że uwolnił ich Fusum. Wypuścili go z więzienia i znowu obwołali królem krwi, Emeezem nie mogła ich powstrzymać.

Plaga nadeszła po kilku dniach, tak jak przewidział Fusum. I żadne straszne kary nie spadły na niego za to, że dotknął Nietkniętego Boga. Teraz Nietknięty Bóg nie przypominał już Nafaia, a ludzie mówili: „To Elemak zdradził nam tajemnicę, że Nafai nie jest bogiem i nie ma nawet mocy, by zachować swoją twarz na posagu. Fusum jest prawdziwym królem krwi, ale Emeezem, nasza matka głębi, nie знаła prawdy o Nietkniętym Bogu”.

Gdy Mufruzhuuzh zmarł niedługo później, ludzie wybrali Fusuma na nowego króla wojny, mówiąc: „Był wiernym przyjacielem Nena i zabił panterę, która go zamordowała. Uwolnił też nasze dzieci od bogów niebomięsów. Niechaj będzie królem wojny i królem krwi, oboma naraz”.

Ten dzień wyznaczał kres rządów Emeezem nad miastem kopaczy. Wciąż miała wielki wpływ na kobiety, lecz mężczyźni słuchali Fusuma, a on zaczął ich szykować do wojny.

*

Przez wiele miesięcy Nafai i Oy kib studiowali „Księgę grzechów rodzaju ludzkiego”. Były tu tajemnice ewolucji człowieka, rozwoju technologii, okrutnych jej zastosowań. Były tu opowieści o wojnach i rzeziach, o powszechnej biedzie i bogactwie niewielu, o ogołoconej i zniszczonej ziemi, o pradawnych zasobach, które zużyto lub roztrwoniono.

Na końcu znaleźli te oto słowa:

„Te grzechy zrodziły się z buntu, rodzaj ludzki bowiem zlekceważył dobre sny zsyłane przez Opiekuna Ziemi. Nastął czas, gdy Opiekun stracił cierpliwość do grzeszników i ich odtrącił. Wtedy wielkie latające kontynenty zadrżały, ziemia się zatrzęsła, wybuchły tysiące wulkanów. Niebo zasnuł dym, rośliny umarły i lód okrył powierzchnię całego globu. Nieliczni, którzy przeżyli, zrozumieli, że Opiekun Ziemi miał ich dość. Na Ziemi nie było już miejsca dla istot ludzkich, musieli odejść. Zebrano siedem flot i siedem kolonii wyruszyło, a o pozostałych nie mamy wieści. Wiemy tylko jedno: na naszym nowym świecie, na Harmonii, zbudujemy Nadduszę, by służyła Opiekunowi Ziemi, a pod czujnym okiem Nadduszy ludzkość nie będzie pamiętała, jak grzeszyć na tak potworną skalę. Teraz Ziemia należy do Opiekuna, istoty ludzkie już nigdy nie będą na niej żyły, chyba że Opiekun nam przebaczy i zawezwie do domu”.

Nafai i Oy kib osobno przetłumaczyli ten ostatni ustęp, a potem uzgodnili przekłady.

- Kto to napisał? - zapytał Oy kib. - Skąd mógł wiedzieć, jaką moc ma Opiekun? Żeby

spowodować trzęsienia ziemi i erupcje wulkanów, żeby zmienić kierunek wędrówki kontynentów...

- Może Opiekun zrobił coś z prądami konwekcyjnymi w płynnej magmie, na której unosi się skorupa ziemska - odparł Nafai.

- Musimy zapoznać ludzi z tą książką, z ostrzeżeniami w niej zawartymi. Niech się dowiedzą, czego Opiekun od nas oczekuje, nawet jeśli nie rozumiemy, kim lub czym jest.

- Mówiąc „ludzi”, masz na myśli tylko nas?

- Pewnie, że nie. Opiekun przywiódł nas z powrotem na Ziemię nie tylko po to, żebyśmy uwolnili anioły i kopacze z ich pradawnych więzów, ale też żebyśmy mogli je nauczyć, jak żyć, by Opiekun nie musiał znów zmienić Ziemi w jałowe pustkowie.

- Chyba masz rację - przyznał Nafai. - Ale to stanie się religią, nieważne, co zrobimy i jak będziemy tego nauczać. Nawet nasze najbardziej naturalistyczne wyjaśnienia zabrzmiały dla nich mistycznie. W końcu to, co nasi przodkowie zapisali w „Księdze grzechów”, brzmi mistycznie dla nas.

- A to coś złego?

- Samo w sobie nie. Tylko że religie tracą z oczu prawdę leżącą u źródła. Kopacze wyznawały wiarę, która kazała im wcierać w siebie glinę zawierającą jaja płazińców i ślinę aniołów, ale nie mieli pojęcia, dlaczego to robią, więc byli zniewoleni. Będziemy mogli uczyć nasze dzieci i ich dzieci jedynie uznaniowych zasad. Prawdziwe powody ulegną zapomnieniu albo przerodzą się w mity.

- A co możemy na to poradzić?

- Możemy napisać książkę - stwierdził Nafai.

- Taką, jaką już piszesz? - zapytał Oy kib.

Nafai popatrzył na niego spod łba.

- Powinienem wiedzieć, że przed tobą nie uda mi się tego ukryć.

- Przecież mówiłeś Nadduszy o swej księdze niemal bez przerwy przez wiele tygodni, jak tylko wpadłeś na ten pomysł. Uznałem, że powiesz mi o tym, kiedy zechcesz.

- Cóż, teraz chcę. Bo sądzę, że nasi potomkowie nie będą mieli dostępu do komputera statku. Tylko kilku nauczy się czytać i pisać. Spiszmy możliwie najjaśniej historię naszej wyprawy i wszystko, czego się nauczyliśmy. Przekazujemy tę wiedzę z rodzica na dziecko, a ponieważ będzie zapisana, nie będzie można jej zniekształcić.

- Wszystko można zniekształcić.

- Ale oryginalny tekst będzie istniał, więc następne pokolenie albo kolejne w którymś momencie sięgnie do oryginału i odkryje prawdę. Tak, jak my nauczyliśmy się tak wiele z

„Księgi grzechów”.

- No dobrze. Ty już prowadzisz kronikę.

- Prowadzę jedną kronikę. A musimy mieć drugą. W pierwszej jest wszystko, co pamiętam. Ale zeszłej nocy miałem sen...

- Ach, kolejny sen!

- Wiem, że sam chciałbyś mieć te sny, Oy kibie, lecz...

- Nie potrzeba mi własnych snów, bo znam twoje. Śniłeś o napisaniu księgi, którą dałbyś mnie i Chveyi, a nie Zhyatowi i Netsyi.

- Księgi - ciągnął Nafai - która zawiera całą treść „Księgi grzechów”, spisanej w złocie, żebyśmy nie potrzebowali komputera, by ją przeczytać, i by nie uległa zniszczeniu przez czas. Zapieczętujemy tę część, by nikt nie mógł nic dodać ani niczego zmienić. Ale reszta księgi to będzie kronika naszych stosunków z Nadduszą i Opiekunem Ziemi. Sama...

- Sama teologia - podsumował Oy kib.

- Kopaczom i aniołom to będzie się wydawało teologią.

- Naszym dzieciom i wnukom też - zauważył Oy kib. - Oni nie będą żyli na statku. Nie będą korzystali z biblioteki. Nie będą mieli pojęcia, co to jest komputer.

Nafai potaknął.

- Widzę, że doszedłeś do tego samego wniosku.

- Nie, po prostu widziałem, że ty, Luet i Chveya mieliście ten sam sen. Musimy porzucić statek. Musimy odciąć się od maszyn przeszłości i żyć w technologii teraźniejszości. Statek musi wznieść się na orbitę.

- Nie mamy już technologii, by ukryć go na powierzchni planety, tak jak nasi przodkowie ukryli go na Harmonii.

- Pomogę ci przy tej drugiej księdze - zaproponował Oy kib. - Napisz, co chcesz, na początek. I tak musisz opowiedzieć tę część, gdy ja się jeszcze nie urodziłem. Przejmę ją, kiedy mi powiesz. Tymczasem mogę się zająć kopiowaniem „Księgi grzechów”.

- I zacznij pisać kronikę snów zesłanych nam przez Opiekuna. Zwłaszcza tych, które zdają się jeszcze nie do końca spełnione. To jedyne wskazówki co do tego, jakie Opiekun ma wobec nas zamiary.

- Dobrze, ja zajmę się „Księgą grzechów” i „Księgą snów”. A ty napisz „Księgę Nafaia”.

- Zamierzam też skonstruować jakąś broń, której anioły mogłyby używać w locie. Coś, co by zabiło kopacza pomimo jego znacznie większej siły.

Oy kib skinął głową.

- Myślisz więc, że twoje sny o wojnie między kopaczami i aniołami są od Opiekuna Ziemi.

- Nieważne, czy przesyła mi je Opiekun, czy biorą się z moich własnych obaw, muszę być przygotowany.

Oykib potaknął.

- Kocham kopaczy, Nafaiu. Nie chcę musieć wybierać między nimi a aniołami.

- To nie będzie twój wybór, Oykibie. Twój wybór będzie taki jak zawsze. Między Elemakiem a mną, gdy ojciec umrze.

- Nadal? Choć Elemak jest złamany?

- Nie jest złamany, po prostu nauczył się cierpliwości. Czeką na właściwy moment. Ale Hushidh powiedziała mi, że jego więź z Fusumem jest silna, choć zabarwiona pogardą po obu stronach. Na pewno Chveya też to zauważyła, skoro was dwoje żyje wśród kopaczy od tylu lat.

- Zauważyła. Ale trudno wyobrazić sobie, jak on chce to obrócić na swoją korzyść.

- Kopacze pójdą za Elemakiem, jeśli poprowadzi je tam, gdzie i tak chcą pójść.

- Czyli gdzie?

- Na rzeź aniołów. Teraz nie potrzebują aniołów, skoro bez ich posągów mogą się rozmnażać.

Oykib zmarszczył brwi.

- A więc popełniliśmy błąd, usuwając ten gruczoł sterylizujący?

- Nie. Zrobiliśmy dobrze, uwalniając oba ludy. Ale teraz musimy im pomóc znaleźć nową równowagę. Taką opartą na szacunku i tolerancji.

- Nie liczylibym na to za szybko - ocenił Oykib. - Przynajmniej dopóki kopacze myślą o aniołach jak o mięsie, a anioły o kopaczach jak o czartach.

- Wiem. Dlatego czeka nas wiele pracy. Wiele stuleci czeka nas i tych, którzy będą służyć Opiekunowi Ziemi po nas. A w tym czasie zamierzam wymyślić jakąś broń, która wyrówna szanse w walce między aniołami i kopaczami. Coś, co zapędzi kopacze z powrotem do nor, gdyby ośmieliły się zaatakować anioły.

- A wtedy anioły będą górą. Gdzie tu równe szanse?

- Anioły nie polują na kopacze, by je zjadać - wyjaśnił Nafai. - One w ogóle nie chcą walczyć z kopaczami, chcą mieć święty spokój. Jak dla mnie to przeważa szalę moralności na korzyść aniołów.

- Kopacze nie są potworami. Są produktami własnego genetycznego i kulturowego dziedzictwa. Nie zasługują na rzeź z nieba.

- Wiem, dlatego musimy uczyć i kopacze, i anioły. A jednocześnie próbować utrzymać równowagę między nimi.

- Nie chcę wybierać.

- Nie masz innego wyboru, jak wybrać - stwierdził Nafai. - Gdy Elemak poprowadzi kopacze na wojnę, ciebie też zechce. Będziesz po stronie aniołów, bo nie masz innego wyjścia.

- Wiesz to ze snów?

- Opiekun nie musi mi zsyłać snów, by powiedzieć mi to, co sam mogę wywnioskować.

Oykib gniewnie otarł łzę, która popłynęła mu po policzku.

- Czemu nie zabiłeś Elemaka, gdy miałeś okazję?

- Bo go kocham.

- Ilu więc moich przyjaciół spośród kopaczy i twoich przyjaciół spośród aniołów musi zginąć z tego powodu?

- Elemak maczał w tym palce - odparł Nafai - ale jeśli myślisz, że Fusum albo ktoś inny nie podburzyłby kopaczy do buntu przeciwko nam lub wojny przeciwko aniołom, to nie rozumiesz ludzkiej natury.

- Kopacze nie są ludźmi.

- Jeśli chodzi o nienawiść i gniew, to są.

- I jeśli chodzi o miłość i wspaniałomyślność. I zaufanie, i mądrość, i godność, i...

- Tak. Są ludźmi w tym wszystkim. Tak jak anioły.

- A więc czym się różnimy od naszych przodków wypędzonych z tej planety czterdzieści milionów lat temu?

- Nie wiem - przyznał Nafai. - Ale może, z biegiem czasu my, kopacze i anioły nauczymy się żyć w pokoju.

- A tymczasem ty zaprojektujesz broń.

- Myślę o dmuchawkach. Z iglastymi strzałkami. Nie wiem jeszcze, czy muszą być zatrute, żeby były skuteczne.

- Mówisz o zabijaniu moich przyjaciół.

- Postaraj się nauczyć swoich przyjaciół, by nienawidzili wojny i nie chcieli brać w niej udziału. Naucz ich gardzić samym pomysłem jedzenia małych niebomięśców. Wtedy nigdy nie powalą ich strzałki aniołów.

PODZIAŁY

Gdy pokój zależy od jednego człowieka, każdy kolejny dzień staje się czuwaniem nad umierającym. Każdy nowy plan musi zawierać myśl: „Czy uda to się dokończyć, zanim on umrze?”. Każde nowo narodzone dziecko wita się modlitwą: „Niech spokój potrwa kolejny rok, kolejny miesiąc, kolejny tydzień”.

Ludzie między sobą nie mówili o tym, jak Volemak się postarzał; jak się przygarbił, jak przy chodzeniu krzywił się z artretycznego bólu, jak tracił oddech przy pracy... teraz zwoływał zebrania w budynku szkoły, a nie gdzieś w statku, gdzie musiałby się wdrapać po drabinie.... Widzieli to, ale zachowywali dla siebie, udając, że nie jest tak źle, przed nim jeszcze dużo czasu, nie ma się o co martwić.

Umarła Emeezem, a Fusum przejął pełnię władzy wśród kopaczy. Matka głębi zaczęła tracić ducha, gdy jej syn, Nen, został podczas łowów zabity przez panterę. Całkiem się załamała po profanacji Niedotkniętego Boga, a wkrótce potem zmarł jej mąż, Mufruzhuuzh. Popadła w apatię. Świat się kończy, myślała. Twój mąż nie żyje, a ten brutalny chłopak, który twierdzi, że próbował uratować twojego syna, jest teraz i królem krwi, i królem wojny. Gdy umrzesz, on zburzy pokój wśród twojego ludu i nie możesz nic na to poradzić, tylko uczyć kobiety, by wyglądały dnia pokoju gdzieś w odległej przyszłości. Tyle że one już prawie cię nie słuchają, a jedyną osobą, która cię szanuje, jest ten człowiek, Nafai, którego twarz dawno temu była twoim zbawieniem... Leżała w głębokiej komnacie, w ciemności, pośród milczących kobiet i garstki mężczyzn wypatrujących dokładnego momentu jej śmierci, by zacząć niszczyć jej pamięć. Gdy śmierć w końcu przyszła, Emeezem powitała ją z gorzką ulgą. Czemu tak późno? Gdzie są Nen i Mufruzhuuzh? Gdzie jest moja matka? Czemu moje życie okazało się daremne?

Dopiero wtedy, w chwili agonii, do jej głowy przyszedł sen, choć myślała, że nie śpi. Zobaczyła człowieka, kopacza i anioła stojących razem na szczycie góry, a obok nich zebrali się rzesza ludzi wszystkich trzech gatunków, szlochających, śmiejących się z radości, wysuwających się naprzód, by ich dotknąć, a każdy, kto ich dotknął, śpiewał głośno tę samą radosną pieśń. Ten człowiek, ten kopacz i ten anioł spojrzeli na nią, na Emeezem, umierającą matkę głębi, i powiedzieli: „Dziękujemy, że wskazałaś swemu ludowi drogę”.

Sen nie przywrócił Nena do życia ani nie dał jej nadziei, że rządy Fusuma nie będą krwawe i potworne. Pozwolił jej tylko odejść ze spokojem i dumą w sercu. Osłodził jej

śmierć.

Fusum oddał jej wielkie honory, a w swej mowie pogrzebowej wychwalał za przygotowanie braci i sióstr na przyjście ludzi - nawet jeśli błędnie odczytała boskie zamiary. Potem w ciągu kilku dni wszyscy jego rywale zniknęli na zawsze bez wieści. Przekaz był jasny: władcą ludu kopaczy jest Fusum, król krwi, król wojny, matka głębi i - a jakże - bóg w jednym, i to po wsze czasy. Większość z młodych mężczyzn cieszyła się z tego, gdyż miał znów zrobić z nich wojowników po tylu latach pozostawania w cieniu ludzi i chodzenia na pasku kobiet. A jeśli młodzi mężczyźni byli z niego zadowoleni, nikt nie ważył się okazać niezadowolenia.

Fusum grzecznie poprosił Oykiba, by przestał udzielać swoich niemądrych nauk o Opiekunie Ziemi. Wziął Chveyę na stronę i powiedział, że jej obecność budzi lęk u kobiet kopaczy; byłyby szczęśliwsze, gdyby przestała je uczyć, jak przechowywać i konserwować żywność. Innym ludziom uprzejmie wskazywano drzwi, aż w końcu tylko Elemak, Mebbekew i Protchnu mogli bywać wśród kopaczy.

Co Volemak mógł zrobić? Poprosił Elemaka, by przekazał Fusumowi protest. Elemak wrócił i przekazał zapewnienie Fusuma, że nic się nie zmieniło, tylko kopacze same chcą przejąć odpowiedzialność za nauczanie swoich braci i sióstr. „Powiedział, że powinniśmy się cieszyć, ojcze, bo teraz będziemy mogli poświęcić więcej czasu własnym rodzinom”.

A wszystko w grzecznych słowach. Volemak nie mógł nic na to poradzić. Wiedział, że kopacze zbuntowały się przeciwko ludzkiemu zwierzchnictwu, choć dotąd żaden z ludzi nie uważał się za ich zwierzchnika. Elemak jakimś sposobem dokonał przewrotu, ponieważ teraz kontrolował wszystkie dojścia do kopaczy, choć dotychczas najczęściej kontaktowali się z nimi Oykib i Chveya. Wszyscy byli pewni, że Elemak planował to od lat, że najprawdopodobniej on i Fusum dobili jakiegoś targu dwadzieścia lat wcześniej, gdy młody syn króla krwi był zakładnikiem, a Elemak uczył się od niego mowy kopaczy i rzekomo próbował go przekonać do przyjaźni z ludźmi.

- Fusum porwał dziecko Elemaka - rzekła Chveya z niedowierzaniem. - Jak Elemak mógł się z nim zaprzyjaźnić?

- Rozumiał, iż przy wyborze ofiary porwania Fusum nie kierował się względami osobistymi - odparł Oykib. - I nie sędzę, że się zaprzyjaźnili, przynajmniej nie w naszym rozumieniu tego słowa.

Nie miało znaczenia, co ktokolwiek z pozostałych o tym myślał. To już stało się faktem.

Wtedy właśnie ludzie zaczęli się lękać o zdrowie Volemaka. Nawet on sam zaczął

mówić o bliskiej śmierci - po cichu, do garstki ludzi.

Razem z Nafaïem, Hushidh i Chveyą sporządzili listę tych, którzy byli zdecydowanie lojalni wobec Nafaia, i stronników Elemaka.

- Znów jesteśmy podzieleni na Nafaritów i Elemakitów - zauważyła Chveya. - A myślałam, że te dni już nie wrócą.

Volemak wydawał się smutny, ale nie przygnębiony.

- Elemak się zmienił, lecz nauczył się cierpliwości, a nie wielkoduszności. Naddusza wiedział to od początku.

Wśród ludzi Nafarici mieli przygniatającą przewagę liczebną nad Elemakitami, a pod względem dorosłych mężczyzn mogących służyć jako żołnierze nie mogłoby być mowy o rywalizacji, gdyby kiedykolwiek doszło do walki między samymi ludźmi. Rzecz jasna wszyscy rozumieli już, że ewentualna bitwa toczyć się będzie między ludźmi Nafaia a armią kopaczy Fusuma. W tej skali żołnierze Nafaia stanowili raptem garstkę. Anioły nie zdołałyby przeciwstawić się kopaczom w otwartej walce. Nie można było dopuścić do wojny. Nafai i jego ludzie będą musieli odejść.

Nawet wśród dzieci Kokor i Sevet więcej niż połowa była lojalna wobec Nafaia - po części z powodu publicznej tajemnicy, że ich matki były kochankami Elemaka.

- Eiadh jest bodajże najlojalniejsza wobec Nafaia - stwierdziła Hushidh - i będzie chciała zabrać z sobą dzieci i wnuki.

- Ilu z nich pójdzie? - zapytał Nafai.

- Większość. Oprócz Protchnu i Nadyi dzieci Elemaka pójdą za tobą. Ale on ich nie puści. Będzie nas ścigał zajadle. Zwłaszcza Eiadh nie możemy z sobą zabrać, jeśli chcemy mieć jakiegokolwiek nadzieje na pokój.

Volemak długo przysłuchiwał się ich dyskusji, a potem podjął decyzję:

- Weźmiecie wszystkich, których lojalność wobec Nafaia jest głęboka i szczerza, jeśli będą chcieli iść. Musicie zaufać Opiekunowi Ziemi, że wam pomoże.

Może któreś z nich pomyślało: Tobie łatwo decydować, Volemaku, bo będziesz martwy, gdy zacznie się wojna, ale zachowało to dla siebie.

Volemak wzywał ludzi do siebie, jednego za drugim. Tylko na rozmowę, mówił, lecz wszyscy odchodzili wstrząśnięci. Mówił z niemal brutalną szczerością, co o nich myśli. Tymi słowami mógł ranić, lecz gdy chwalił dobre strony rozmówcy - jego talenty, zalety, dokonania - jakby mu lał miód na serce. Niektórzy zapamiętali głównie krytykę, rzecz jasna, inni przede wszystkim pochwały, lecz każde z tych spotkań zostało zanotowane, a później Nafai i Oy kib zapisali te słowa na złotych kartach księgi. Pewnego dnia, gdy zapragną

przypomnieć sobie, co powiedział Volemak, będą mogli jego słowa przeczytać.

Wszyscy wiedzieli, że Volemak się z nimi żegna. A gdy zachorował, sprawy nabrały tempa.

Spotkał się z pTo i Poto, którzy przylecieli do niego, ponieważ był zbyt słaby i nie mógł nawet w kapsule raz jeszcze udać się do ich wioski.

- Będziemy walczyć i umierać dla Nafaia - powiedzieli mu.

- Nie chcę, żeby anioły umierały. Walczcie tylko wtedy, gdy zostanieie do tego zmuszeni. Prawdziwe pytanie, moi przyjaciele, brzmi: czy wy i cały wasz lud pójdziecie z Nafaikiem na pustkowia, by zacząć od nowa, założyć nową kolonię gdzie indziej?

- Wolelibyśmy pokonać kopaczy - odparł pTo. - Wolelibyśmy walczyć jak mężczyźni. Nafai dał nam broń. Potrafimy zabić panterę, gdy jesteśmy w powietrzu, a ona nie może nas dosięgnąć.

- Kopacze są mądrzejsze niż pantery.

- Lecz anioły są mądrzejsze od kopaczy - stwierdził Poto.

- Nie rozumiecie mnie. Mówię, że kopacze są mądrzejsze niż pantery, bo to znaczy, że ich życie jest cenniejsze. Nie powinniście być dumni, że możecie zabić kopacze, bo one są ludźmi, nie zwierzętami.

Poto i pTo zamilkli zawstydzeni.

- Czy wy i wasz lud pójdziecie za Nafaikiem wyżej w góry?

- Mogę ci powiedzieć z całym przekonaniem, ojcie Volemaku - rzekł pTo - że nie tylko pójdziemy za nim do nieba albo do czeluści piekła, ale też będziemy go błagać, żeby został naszym królem, gdyż pod jego rządami będziemy bezpieczni.

- A jeśli Nafai nie miałby powłoki gwiazdnego sternika? - zapytał Volemak.

Nie zrozumieli. W końcu Poto sobie przypomniał.

- Ach, chodzi ci o to coś, co pozwala mu żarzyć się jak świetlik na zawołanie?

- To nic dla nas nie znaczy - dodał pTo. - Nie chcemy, by nam przewodził dlatego, że ma jakąś magiczną moc, ojcie Volemaku, lecz dlatego, że on i Luet, Issib i Hushidh są najlepszymi i najmądrzejszymi ludźmi, jakich znamy, i kochają nas, a my kochamy ich.

Volemak skinął głową.

- A zatem będziecie moimi dziećmi zawsze, nawet gdy umrę.

Poto i pTo wrócili do domu i uprzedzili swój lud, by przygotował się do odejścia. Anioły zebrały swój dobytek i zdecydowały, co zabrać, a co zostawić. Spakowały nasiona i pędy roślin, które nie wyrastały z nasion. Spakowały jedzenie, którego będą potrzebować w trakcie podróży i na czas, zanim ich nowe pola obrodzą. I zaczęły przenosić swoje dzieci o

dzień lotu dalej w góry, żeby były poza zasięgiem kopaczy, gdyby ucieczka wymagała pośpiechu.

„Jak długo ojciec Volemak pożyje?” - pytały wszystkie.

„Niedługo” - powtarzali raz po raz każdemu, kto pytał.

Volemak już pożegnał się ze wszystkimi, przekazał wszystkie błogosławieństwa, wyraził wszystkie nadzieje. I niespodziewanie Rasa przyszła do Shedemei.

- Volya i Nyef chcą cię widzieć, Shedy. Proszę, przyjdź szybko. - Uśmiechnęła się do Zdoraba. - Tym razem sama, proszę.

Shedemei poszła za starą kobietą do domu, gdzie leżał Volemak z zamkniętymi oczami.

- Czy on...?

- Jeszcze nie - odparł Volemak cicho.

Nafai siedział na stołku w rogu. Rasa wyszła, mówiąc jedynie: „Pospieszcie się”. Rozumieli, że nie chciała być poza domem, gdy jej mąż umrze.

- Nafaiu - wyszeptał Volemak. - Oddaj jej powłokę gwiazdnego sternika.

- Co?! - zdziwiła się Shedemei.

- Shedemei, weź powłokę - wychrypiął Volemak. - Naucz się jej używać. Zabierz statek w niebo, gdzie żaden człowiek nie będzie mógł go dotknąć ani użyć. Żyj długo, powłoka utrzyma cię przy życiu. Opiekuj się Ziemią.

- To zadanie Opiekunki, nie moje - zaprotestowała, ale bez przekonania. Volemak chce, żebym miała powłokę, żebym miała statek! - cieszyła się w duchu. Volemak chce, żebym miała jedyne porządne laboratorium na świecie i dość czasu, by z niego korzystać!

- Opiekun Ziemi będzie wdzięczny za każdą pomoc, jaką może otrzymać - rzekł Volemak. - Gdyby mógł sam robić swoje, nie ściągnąłby nas tutaj.

Nafai wstał, ściągając ubranie.

- Przeniesie się z mojego ciała do twojego - powiedział. - Jeśli chcesz ją otrzymać. I jeśli ja chcę ją oddać.

- A chcesz?

- Opiekuj się tym światem jak swoim ogrodem. I dbaj o mój lud, gdy będę spał.

*

Volemak umarł tej nocy. Czuwała przy nim jedynie Rasa. Przed świtem wieść o jego śmierci rozniosła się od najgłębszych komnat miasta kopaczy po najwyższe gniazda aniołów. Nastąpiła żałoba - szczerza wśród aniołów i wśród wszystkich kopaczy, które nie pragnęły wojny. Wiedziały, że dla wszystkich skończył się czas pokoju; a do tego kochały i szanowały

Volemaka nie tylko za jego autorytet, ale też za to, jak z niego korzystał.

Na prośbę Rasy nie spalono jego ciała, lecz zakopano je zgodnie ze zwyczajem kopaczy.

Raptem dwa dni później doszło do próby sił. Nafai sposobił się do powrotu do osady aniołów, gdzie Luet już na niego czekała. Elemak z Mebem i Protchnu oraz dwunastoma kopaczami zatrzymał Nafaia na skraju lasu.

- Nie idź dalej, proszę.

- Luet czeka - odparł Nafai. - Zdarzyło się coś ważnego?

- Byłbym wdzięczny, gdybyś został. Zawiadomię Luet, żeby tu zeszła. Wolałbym, żebyście teraz mieszkali w tej wiosce. Niebomięsy już was nie potrzebują.

Zachowywał się grzecznie, więc jeśli Nafai stawiałby opór, on wyszedłby na agresora, a nie Elemak. Lecz przekaz był jasny. Elemak przejmował władzę, a Nafai stał się jego więźniem.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Nafai. - Sądziłem, że wciąż mam jeszcze wiele pracy u aniołów, a teraz mogę przejść na emeryturę.

- O nie, tu będziesz miał jeszcze sporo roboty - stwierdził Elemak przymilnie. - Trzeba odchwaszczać pola, kopać tunele. Mnóstwo pracy. A sądzę, że zostało w tobie jeszcze dużo energii do pracy.

Zabrano go do domu Volemaka. Rasa od razu zauważyła, co się dzieje, i nie przyjęła tego spokojnie.

- Zawsze byłeś żmiją, Elemaku. Powinieneś się nauczyć już dawno temu, że uwięzienie Nafaia niczemu nie służy.

- Nafai nie jest moim więźniem. Jest po prostu jednym z obywateli spełniającym swoją powinność wobec społeczności.

- I czego oczekujesz? Mam z grzeczności udawać, że wierzę w twoje kłamstwa?

- Nafai jest moim bratem, ale ty nie jesteś moją matką.

- Za co dziękuję Nadduszy, zapewniam cię.

Nafai w końcu przerwał milczenie:

- Matko, proszę, zachowaj spokój. On myśli, że tu rządzi, ale ten świat należy do Opiekuna, nie do niego czy innego człowieka. Elemak tu nie ma żadnej władzy.

W innych czasach Elemak dostałby szału na te słowa, wrzeszczałby, groził albo w furii zaatakował na oślep. Teraz jednak był innym człowiekiem, opanowanym człowiekiem, człowiekiem dyscypliny i spokojnej, bezwzględnej mądrości. Nie powiedział nic, jedynie patrzył, jak Nafai wchodzi do domu swego ojca. Potem zostawił dwóch kopaczy żołnierzy na

warcie przy drzwiach.

Rasa poszła do statku, by rozmówić się z Shedemei.

- Elemak chyba nie wie, że teraz ty masz powłokę, Shedemei. Możesz jej użyć, by go powstrzymać, by go powalić.

Shedemei pokręciła głową.

- Jeszcze jej nie opanowałam. Dopiero się uczę. Ta powłoka jest okropnym brzemieniem. Nie wiem, jak Nafai to znośił.

- Zrozum, on jest bezbronny! Elemak go zabije zapewne jeszcze dziś w nocy. Nie pozwoli Nafaiowi dożyć do rana.

- Wiem - przyznała Shedemei. - Otrzymałam wiadomość od Issiba przez Indeks. Słyszę go teraz bezpośrednio dzięki powłoce gwiazdnego sternika. Mówi, że zeszłej nocy Luet miała sen. W tym śnie widziała wszystkich kopaczy żołnierzy śpiących. I wszystkich sprzymierzeńców Elemaka również. Oni śpią, podczas gdy ty, Nafai i wszyscy lojalni mężczyźni, kobiety i dzieci wędrują w góry, wciąż wyżej i dalej, do nowej krainy.

- I co to ma niby znaczyć?

- Sądzę - ona tak sądzi, i Issib też, i Naddusza tak mówi - że to był prawdziwy sen. Naddusza ma wystarczającą moc, by wszystkich uśpić. Ale skoro sen pochodził od Opiekunki, powinniśmy wierzyć, że ona też ma taką moc. Ja nie znam się na tym. Nie miałam żadnej wizji. Tylko jeden sen. O ogrodzie.

Zdorab siedział przygnębiony.

- Ona nie chce mnie z sobą zabrać - powiedział gorzko. - Upiera się, że muszę iść z Nafaiem i pomóc założyć kolejną osadę.

- Nikt cię nie zmusza - zauważyła Shedemei.

- Albo zostać z Elemakiem... naprawdę sądzisz, że to jest dobre wyjście? - zachnął się Zdorab. - Jestem bibliotekarzem.

- Ja robię tylko to, co radzi Naddusza. A ona mówi, że będziesz potrzebny.

- A co z tym, czego ja chcę, co?! Lady Raso, czy przez te lata nie byłem wierny przysiędze złożonej Nafaiowi? Czy go nie wspierałem?

- Może więc teraz masz szansę odplacić mu za to, że wybaczył ci twój błąd w trakcie lotu - zasugerowała Rasa.

Zdorab odwrócił wzrok.

- Nie chcesz go zabrać ze sobą? - zapytała Rasa.

- Chciałabym - szepnęła Shedemei. - Ale Naddusza mówi, że na razie nie.

- Więc powiedz mu to. Powiedz mu, że na razie nie. Bo on myśli, że nigdy.

Zdorab odezwał się przez łyzy:

- Nie wiesz, Shedemei, że cię kocham? Nie wiesz, że nie chcę żyć bez ciebie?

Łzy napłynęły też do oczu Shedemei. Szepnęła do Rasy:

- Nie myślałam, że on...

- Cię kocha? - dopowiedziała Rasa. - Nigdy nie myślisz, że ktoś cię w ogóle kocha, ale my cię kochamy. Pozwól mu iść z tobą, Shedemei. Naddusza nie wie wszystkiego. Przecież ona jest tylko komputerem.

Shedemei ponuro skinęła głową.

- Zdorabie - rzekła - czy weźmiesz kapsułę statku, by zawieźć lady Rasę i najcięższe ładunki w góry? A potem użyjesz jej, by zabrać Issiba i jego krzesło, i lady Rasę raz jeszcze, i zawieziesz ich tam, gdzie Nafai będzie zakładał nową kolonię?

- Dobrze.

- A potem, gdy Nafai powie ci, że kapsuła nie jest mu już potrzebna, czy będziesz tak miły i przywieziesz ją tutaj do mnie na statku, żebyśmy mogli wspólnie wznieść się na orbitę?

Odetchnął z ulgą i wziął żonę w ramiona.

- Wiesz, że powłoka utrzyma mnie przy życiu dłużej niż normalnie - powiedziała. - Zamierzam często chodzić spać, żeby móc przebadać wiele pokoleń i zebrać mnóstwo danych.

- Nie przeszkadza mi to, że umrę przed tobą - zapewnił Zdorab. - Nawet wolę, żeby tak było.

- To będzie niekończąca się praca.

- Tym bardziej przyda ci się sekretarz i bibliotekarz.

- A pensja jest niska.

- Już dostałem zapłatę - odpowiedział jej.

*

Gdy zapadły ciemności, kopacze żołnierze za drzwiami domu Volemaka zasnęli. Nafai wyszedł niemal od razu i zaczął chodzić od drzwi do drzwi swoich lojalnych sprzymierzeńców. Zebrał ich na skraju lasu. Nie zachowywali się cicho, choć próbowali; nie da się powstrzymać dzieci, by nie gadały, nie płakały, nie marudziły. Ale nikt nie podniósł alarmu.

Chveya stała obok Nafaia, patrząc na więzi wciąż łączące go z ludźmi, których zostawiał.

- Jeśli śpią, czy to nie znaczy, że Naddusza nie chce, by poszli z tobą? - zapytała.

- Nieważne, czego chce Naddusza tym razem - odparł. - Wezmę wszystkich, którzy

chcą mi towarzyszyć.

Chveya skinęła głową.

- Cóż, w takim razie muszę ci powiedzieć, że wciąż jesteś związany z Eiadh i trojgiem jej dzieci.

Nafai potaknął.

- Ale nie muszę z nią rozmawiać. Widzisz? Idzie tu.

I rzeczywiście. Towarzyszyli jej młodzieńcy, Yistina i Peremenya, oraz młoda kobieta, Zhivoya - ta, którą porwano jako niemowlę dwadzieścia lat temu. Razem z synami Eiadh były ich żony, lecz mąż Zhivoyi, Muzhestvo, nie przyszedł.

- Śpi, a ja nie mogę go obudzić - wyjaśniła ze łzami w oczach.

- Możesz z nim zostać. Nikt cię nie będzie winił - powiedział Nafai.

Pokręciła głową.

- Wiem, jaki jest. Nie wiedziałam, gdy za niego wychodziłam, ale teraz już wiem. On jest jednym z nich sercem i duszą. - Położyła dłonie na brzuchu. - Ale dziecko jest moje.

Eiadh dotknęła ramienia Nafaia.

- Nie musisz nas brać, Nafaiu. Wiem, jak to ci może zaszkodzić. On nam nigdy tego nie wybaczy. Uwierzy, że ty i ja...

- Uwierzy, że ty i ja zrobiliśmy to, co on i Kokor, on i Sevet, i zapewne on i Lal już zrobili. Ale my wiemy, że nie zrobiliśmy i nigdy nie zrobimy.

Eiadh uśmiechnęła się blado - uprzejmie dał jej bardzo jasno do zrozumienia, że idzie z nimi jako współobywatelka, a nie jako kochanka.

- No to jesteśmy już wszyscy - zauważyła Chveya.

- Jeszcze nie - rzekł Nafai. - Muszę zaprosić moje siostry.

- One z nim sypiają, ojcze - przypomniała. - Nie wspominając o tym, że nie są najbardziej godnymi zaufania osobami na świecie.

- A my zabieramy tylko silnych i cnotliwych? - zapytał retorycznie. - Ich mężowie nie żyją i, jak mówiłaś, moralność nie jest ich najmocniejszą stroną. Ale są moimi siostrami. - Odszedł z powrotem ku wiosce.

Była jak osada duchów; drzwi stały otwarte, a ludzie zniknęli albo - w niewielu izbach - spali głęboko. Gdy jednak Nafai dotarł do domu Sevet, stała w progu, zaspana i zaskoczona.

- Miałam sen - powiedziała, gdy Nafai się zbliżył. - Nawet nie pamiętam, co to było, ale kazało mi wstać i proszę, oto jesteś.

- Odchodzimy - wyjaśnił. - Zanim Elemak będzie miał okazję mnie zabić, odchodzimy wszyscy, którzy nie chcą jego rządów. Zabieramy z sobą anioły i idziemy gdzieś daleko,

daleko stąd.

- On was wytropi i zabije. Nie masz pojęcia, ile w nim nienawiści.

- Wiem doskonale. Pójdiesz ze mną?

Zaczęła płakać.

- Naprawdę mnie weźmiesz? Po wszystkim, co zrobiłam?

- A naprawdę pójdiesz? Naprawdę staniesz teraz u mego boku?

- Tak się go boję. A Vasinany i Umya mają go za alfę i omegę.

- Ale Panimanya jest z nami - zauważył.

- Ja też.

Razem udali się do Kokor. Drzwi były otwarte, ale ona nie stała w progu. Po cichu weszli i odkryli, że nie jest sama w łóżku. Obok niej leżał Mebbekew, nagi i spocony w wilgotnej duchocie nocy. On spał, lecz Kokor miała otwarte oczy.

Nic nie powiedzieli w obawie, że Meb mógłby się obudzić. Nafai skinął na Kokor, wskazał drzwi i wyszedł z Sevet na zewnątrz. Czekali. Niedługo potem się pojawiła, poprawiając ubranie.

- Odchodzicie - powiedziała cicho. - Śniło mi się to.

- Pójdiesz z nami? - zapytał Nafai.

Kokor zerknęła na Sevet.

- Z wami? - zdziwiła się.

- Możesz zostać z nim, jeśli chcesz - stwierdziła jej siostra. - Sądzę, że on naprawdę cię kocha.

- On nie kocha nikogo.

- Nie chodziło mi o Meba.

- Wiem. Ale czy mogę pójść z wami, jeśli chcę?

- Nie ma powrotu - rzekł Nafai. - A w naszym nowym mieście będziemy przestrzegać prawa.

Rozumiały, co miał na myśli.

- Myślę, że miałyśmy już dość - powiedziała Sevet.

Kokor przewróciła oczami.

- Ja nigdy nie będę miała dość. Ale wiem, że czasy Basiliki już minęły. Będę grzeczna.

- Na pewno nie byłabyś szczęśliwsza, gdybyś została? - zapytał Nafai.

- A chcesz, żebyśmy z tobą poszły?

- Oczywiście.

- Doceń nas trochę, Nafaiu - poprosiła Kokor. - Umiemy wskazać różnicę między tobą a Elemakiem. Umiemy odróżnić stal od taniej cyny.

- No to chodźmy. Czeka nas dziś długa wędrówka.

Oykib wyprowadzał już długą procesję na leśną ścieżkę, więc gdy Nafai dotarł na skraj lasu, pozostała tylko garstka ludzi, w tym Rasa i Zdorab przy kapsule. Była tam też Shedemei.

- Zamknij właz do statku - przypomniał jej Nafai. - Nie dostaną się do środka, jeśli ich nie wpuścisz.

- Wiem - odparła. - Statek będzie bezpieczny.

- Nie zgrywaj bohatera. Nic nam nie będzie.

- Potrzebujecie więcej niż jednej nocy przewagi.

Nafai pokręcił głową, wyraźnie chcąc sprzeczać się dalej, lecz Shedemei przyłożyła mu dłoń do ust, by go uciszyć.

- Nyef, mój drogi przyjacielu, teraz ja jestem gwiazdnym sternikiem. Ty prowadź swoją kolonię na pustkowia. Ja zadbam o statek i zdecyduję, jak najlepiej wykorzystać moce powłoki.

Uściskała Rasę i Zdoraba, a potem machała ręką na pożegnanie, gdy wzniesli się w kapsule nad korony drzew. Wreszcie objęła Nafaia i wróciła na statek.

Nafai ostatni wyruszył w drogę. Sądził, że jest sam, gdy nagle ni stąd, ni zowąd otoczyło go kilkanaście kopaczy. Zrazu pomyślał, że Opiekun Ziemi zawiódł, że podczas gdy Naddusza trzyma ludzkich wrogów w błogim śnie, kopacze zdołali się obudzić. Dziś umrę, pomyślał.

I wtedy zauważył, że kopacze nie mają broni, a połowa z nich to kobiety.

- Zabierz nas z sobą - powiedziała jedna z nich.

Nafai nie posługiwał się językiem kopaczy tak płynnie jak Oykib, ale zrozumiał dobrze.

- Chcecie żyć wśród aniołów? - zapytał zdziwiony. - One nigdy wam nie zaufają.

- Wolelibyśmy już być sługami... aniołów - odparła kobieta w imieniu ich wszystkich. Nafai zauważył, że nie powiedziała „niebomięsów”, zamiast tego z trudem układając usta i język, by wymówić to dziwne słowo, którym anioły określały siebie. - Fusum jest najgorszym z bogów.

- Będzie wam trudno wśród aniołów, ale obiecuję wam moją ochronę i będę wam ufał, chyba że pokażecie mi, że nie warto. Czy wszyscy przysięgacie, że będziecie mnie słuchać i nie skrzywdzicie nikogo z mego ludu, ludzi i aniołów?

Przysięgli, więc pozwolił im iść za sobą. Wśród aniołów zapanowała konsternacja, lecz kopacze błaganiami i Nafai zapewnieniami zyskali niechętną zgodę. Nadal było ciemno, gdy wszyscy opuścili anielską wioskę i wyruszyli, by w dalekiej krainie zbudować nową osadę i nowe społeczeństwo.

Gdy po wielu dniach wędrówki doszli do miejsca, które Nafai wybrał przed laty, wiedząc, że ten dzień może nadejść, pTo i Poto odprawili ceremonię.

- Kraina musi mieć nazwę - powiedzieli. - A skoro zawsze będziemy znani jako Nafarici... - To słowo w ich ustach brzmiało jak „Dapaici”. - ...Naszym zdaniem powinna się odtąd nazywać Ziemią Nafaia... - „Dapaia”. - ...I ciebie wybieramy, żebyś nam przewodził.

Chóralna zgoda była bardzo głośna. Nafai uśmiechnął się i rzekł:

- Żadnego człowieka nie może spotkać radośniejszy zaszczyt niż wtedy, gdy przyjaciele postanawiają nazwać swój dom na jego cześć.

Jednak pomimo skromności jego słów wszyscy wiedzieli, co ta ceremonia oznaczała. Nafai był ich królem. Ich królem wojny. A oni chętnie za niego umrą.

GWIEZDNA STERNICZKA

Shedemei usłyszała, co powiedział do niej Issib za pośrednictwem Indeksu:

- Świta, a my jesteśmy całkiem daleko od wioski, ale poruszamy się wolno, Shedy, a armia kopaczy może nas dopaść przed południem.

- Nie będzie żadnej armii ani dziś, ani jutro - odpowiedziała.

- Pamiętaj, Shedy, tylko ty jedna możesz nas uratować. Nie bądź szlachetna. Nie bądź sprawiedliwa. Bądź zwycięska.

- Dobra rada, Issya. A teraz pozwól mi z niej skorzystać.

Jednak nie kwapiła się do tego, żeby opuścić zacisze statku i kazać drzwicom zamknąć się za nią na głucho. Noszenie powłoki dawało jej wrażenie łączności z każdą częścią statku, lecz wcześniej czuła się podobnie. Na statku znajdowały się jej narzędzia, jej biblioteka, jej praca. Wychodząc do osady - pozostałości osady z przeważnie opuszczonymi domami zbudowanymi przez ludzi - stawała się kimś innym. Nafai musiał uwielbiać to poczucie siły, władzy, pomyślała. Ale ja nie. Nie chcę się przekonać, ile mocy mogę skupić w moim ciele. Nie interesuje mnie, jak silnie mogę porazić kogoś, by go nie zabić.

Choć może Nafai też tego nie lubił. Ale był mężczyzną, a mężczyźni zdają się czerpać wprost nieprzyzwoicie wiele frajdy z dominowania, z wygrywania. Może jednak to nie jest kwestia płci. Może chodzi o to, że moja więź z innymi ludźmi nigdy nie była specjalnie silna w porównaniu z miłością do pracy, z żarliwym pragnieniem zrozumienia mechanizmów życia. Nafai i Elemak urodzili się po to, by rządzić ludźmi, i każdy z nich był zdeteminowany, by pokonać drugiego. A ja czuję, że też urodziłam się po to, by rządzić, ale organizmami, kodami genetycznymi, systemami ekologicznymi. I tak jak Nafai i Elemak, dopnę swego.

Dzisiejszym problemem nie był Elemak. Problemem były kopacze. Shedemei z łatwością mogła powstrzymać Elemaka i garstkę jego ludzkich sprzymierzeńców, lecz nie zdoła odszukać i obezwładnić wszystkich żołnierzy Fusuma, a to oni zajęliby się zabijaniem, gdyby doścignęli Nafaritów spowalnianych przez dzieci, stada, zapasy żywności i bagaże.

Jak kopacze zatrzymać? Jeśli one się nie ruszą, Elemak będzie musiał czekać.

Szła przez osadę, nie zwracając uwagi na wrzaski, podczas gdy Elemak, Mebbekew i Protnu przeszukiwali wszystkie domy - przewracali je do góry nogami - krzycząc o zdradzie. Mebbekew zawołał Shedemei po imieniu, a potem poleciał z wrzaskiem po

Elemaka, drąc się, że została, że jednak nie porzuciła statku. „Mamy laboratoria! Mamy komputery! Mamy Nadduszę!”. Jeszcze zdąży pozbawić go tych złudzeń. Ale to później.

Podeszła tam, gdzie kopacze mający pełnić wartę naradzali się przerażeni, co się z nimi stanie, gdy Fusum się dowie, że przespali tę noc i większość ludzi się wymknęła.

- Fusum was zabije - powiedziała łamanym językiem kopaczy.

Odpowiedziały jej w ludzkiej mowie, za co była im wdzięczna.

- Co możemy zrobić? Ktoś nas otrui!

- Uśpiła was Opiekunka Ziemi. Odrzuciła was, bo rządzi wami morderca. Wybraliście mordercę na swego króla krwi i króla wojny. - Z pewnym wysiłkiem zmusiła swoją skórę, żeby się rozświeciła. - Myśleliście, że zbezczeszczenie posagu Niedotkniętego Boga przez Fusuma ujdzie wam na sucho?

Nie chciała tego robić. Musieli niełicho się natrudzić, by uwolnić ich od przesądów, a ona tu na nowo rozpałała w nich dawne lęki i zabobony. Ale jak inaczej mogła ich opanować, mając tak niewiele mocy?

Położyli się na wznak przed nią, odsłaniając brzuchy w geście uległości.

- Nie chcę widzieć waszych nagich brzuchów - stwierdziła. - Choć raz stańcie jak mężczyźni. Gdybyście wcześniej stali jak mężczyźni, teraz Opiekunka Ziemi tak bardzo by się na was nie gniewała.

- Co mamy zrobić, o wielka?

- Przyprawcie mi zabójcę przyjaciela, tego kłamcę, który zamordował Nena na polowaniu.

Oskarżenie poraziło ich niczym strumień prądu.

- A więc to nie była pantera! Nie pantera!

- Pantera zabiła mężczyznę powalonego ciosem przyjaciela.

Już mówiąc to, zastanawiała się, czy to prawda, a jeśli tak, skąd to wie.

Sama się nad tym zastanawiam, usłyszała głos Nadduszy.

To może być prawda? - zapytała.

Ja obserwuję ludzi. Tylko was zmodyfikowano tak, żebyście mogli mnie słyszeć i żebym mogła dotykać waszych umysłów.

Umieściliśmy dwanaście satelitów na orbicie. Musisz być w stanie widzieć kopacze, nawet jeśli nie słyszysz ich myśli.

Nie zaprogramowano mnie do obserwacji zwierząt.

No to teraz ja cię programuję, żebyś traktowała kopacze i anioły, jakby też byli ludźmi, odpowiedziała Shedemei wściekle.

Nie są ludźmi, więc nie mogę ich tak traktować.

Pamiętaj, że ludzie muszą żyć teraz wśród kopaczy i aniołów, więc nasze bezpieczeństwo i przetrwanie zależy od twojej obserwacji, co ci rozumni obcy robią.

Nie mam do dyspozycji takich zasobów jak na Harmonii. Nie mam mocy, pamięci, szybkości i wizji, by obserwować ich wszystkich.

Zrób, co możesz.

A gdy każesz mi zająć się problemami matematycznymi, poszukiwaniami czy porównaniami, Shedemei, nie mogę obserwować prawie niczego.

W granicach twoich ograniczeń, w granicach rozsądnej hierarchii priorytetów zrób, co możesz.

Niebawem musimy poważnie porozmawiać sobie o priorytetach.

Nie udawaj bezradnej. Wiem, że nie muszę ci tłumaczyć jak dziecku. A teraz zrób, co możesz, by pomóc mi zrozumieć Elemaka.

Nie zabijaj go.

Shedemei niemal powiedziała: „Nie zamierzałam”, jednak w głębi duszy właśnie to zmierzała zrobić. Zabić Fusuma i Elemaka, by Nafarici byli bezpieczni.

Czemu nie? - zapytała.

Kopacze trzeba okiełznać. Oy kib właśnie wyjaśnia to Nafaiowi i Issibowi. Jeśli nie będą trzymane krótko przez silnego przywódcę, rozbestwią się i zaczną mordować i anioły, i ludzi. Gniew i żądza krwi jest w nich nasilona po długim okresie wstrzemięźliwości. Fusum nie rozbudził w kopaczach pragnienia wojny, on tylko wykorzystywał tę żądzę, by utrzymać się przy władzy. Ujeżdżał panterę, ale nad nią nie panował, a ty teraz odciąłś mu cugle.

Jeszcze nic mu nie zrobiłam.

W całym mieście wrze, a kopacze podnoszą bunt, bo niesie się wieść o tym, jak ty, kobieta z wieży, przysłaś lśniącą i złą, potępiając ich wszystkich za zdradę Fusuma.

Skąd możesz to wiedzieć?

Oy kib to wie. Słyszysz, jak się modlą i przeklinają. Mówiłam ci, nie mam oczu, by widzieć, co kopacze robią pod ziemią.

A więc Nafai uważa, że potrzebuję Elemaka, by trzymał ich w ryzach.

Nafai mówi, że jak tylko dotrą bezpiecznie do nowej krainy, będą mogli odeprzeć każdy atak. Teren ten sprzyja obronie, są karkołomne podejścia, gdzie kopacze będą narażone na strzałki aniołów - oby tylko udało im się tam bezpiecznie dotrzeć.

Nafai od początku to planował, prawda? Gdy dawał mi powłokę, wiedział, że będzie chciał, bym to zrobiła.

Tak, oczywiście. Właściwie to był mój pomysł. Nie mógłby zrobić tego, co ty. Pewnie musiałby zabić Elemaka, bo on już by się Nafaiowi nie poddał. Ale z tobą w powłoce gwiazdnego sternika Elemak chyba zdoła przełknąć kolejną porażkę, zwłaszcza że dasz mu też zwycięstwo.

Zwycięstwo?

Nad jego jedynym poważnym konkurentem do władzy.

Kopacze wywlekły Fusuma z nory i rozciągnęły go przed Shedemei. Syczał, warczał i przeklinał. Poraziła go leciutkim wstrząsem, tak że wygiął się w spazmie, lecz nic mu się nie stało.

- Milcz! - rozkazała.

Ucichł.

Kazała kopaczom zanieść go za nią do wioski, gdzie stali teraz Elemak i Protchnu z resztą ludzi.

Mebbekew planuje zdradę za twoimi plecami, ostrzegła ją Naddusza.

Shedemei przemówiła do Elemaka:

- Powiedz Mebbekewowi, żeby wyszedł z ukrycia, Elya, albo będę musiała ukarać go dla przykładu, a to nie będzie miłe.

Elemak zaśmiał się pogardliwie.

- A więc w naszej nieśmiałej Shedemei czaiła się królowa. Wystarczyło trochę władzy i proszę, jak się rządysz.

Mebbekew wymknął się spomiędzy domów i teraz stanął za Elemakiem.

- Nafai zabrał nasze kobiety - poskarżył się.

- Jestem pewna, że jeśli go poprosisz, Protchnu nauczy cię, jak sobie radzić z tym niedostatkiem - stwierdziła.

Protchnu popatrzył na nią wilkiem. Mebbekew też, gdy w końcu zrozumiał szyderstwo.

- Widzę, że już zawładnęłaś kopaczami - zauważył Elemak, wskazując pojmanego Fusuma.

- Przeciwnie! - odparła. - Jedyne oskarżyłam Fusuma o zamordowanie jego przyjaciela Nena.

- Nie zabiłem go! - oburzył się Fusum.

- Powalił go maczugą, wiedząc, że skrada się do nich pantera. Dopiero gdy się upewnił, że Nen nie żyje, skoczył na panterę i ją zabił.

- Czemu mi to mówisz? - zapytał Elemak.

- Chyba ciebie wybrano, żebyś zjednoczył ludzi i kopaczy w jeden lud? Chyba ty masz przewodzić narodowi Elemakitów?

Elemak zachichotał.

- Ach, no jasne, gwiazdny sternik zawsze chciał, żebym rządził.

- Gwiazdna sterniczka zabierze ten statek w przestrzeń kosmiczną w dniu, w którym kapsuła wróci z jej mężem na pokładzie.

- A kiedy nadejdzie ten radosny dzionek?

- Gdy wielki naród Nafaia będzie bezpieczny.

- Póki żyję, to się nigdy nie zdarzy - stwierdził Elemak.

O tak, Nafai musiałby go zabić.

- Wystarczająco bezpieczny - poprawiła się. - Bo ty wiesz i ja wiem, że nie będziesz mógł w nieskończoność prowadzić swoich żołnierzy przeciw ich redutom. W końcu przestaną iść za tobą. Jesteś urodzonym przywódcą, Elemaku. Będziesz wiedział, jak daleko możesz się posunąć, jak długo możesz prowokować i przekonywać. Nafai i jego lud będą bezpieczni.

- Ile czasu? - zapytał Elemak. Rozumiał przedmiot negocjacji.

- Potrzebujesz co najmniej ośmiu dni, żeby rozpatrzyć zbrodnie tego zdrajcy. Musisz znaleźć świadków spośród jego żołnierzy, którzy publicznie zeznają, jak wielu zamordowano po śmierci Emeezem. Sprawiedliwość jest nierychliwa.

- Osiem dni.

- Albo do czasu powrotu kapsuły. Musicie się też zająć przenoszeniem waszej osady, by nikt nie zginął przy starcie gwiazdolotu.

- Tak, będę miał pełne ręce roboty.

Protchnu był wściekły.

- Chyba nie chcesz przystać na ten lipny układ, ojczu? Ten krętacz zabrał połowę twojej rodziny, mojej rodziny...

Shedemei mu przerwała:

- Każdy, kto poszedł z Nafaikiem, zrobił to z własnej nieprzymuszonej woli.

- Mamy w to uwierzyć? - zezłościł się Protchnu. - Może ojciec zgodzi się na twoje warunki w zamian za władzę nad tymi... - Z pogardą wskazał kopaczy. - Ale ja tamtych wytropię i będę ich zabijał, a moja włócznia przebije Nafaikowi serce.

- Twojej matce też? - zapytała Shedemei. - Bo ona wróci do Elemaka tylko wtedy, gdy będzie martwa.

- Ona już jest martwa! - wrzasnął Protchnu. - Nie ma serca!

- Musisz wybaczyć chłopcu - rzekł Elemak. - Jest zrozpaczony.

- On po prostu nie rozumie, z kim ma do czynienia - odparła i wyciągnęła rękę ku synowi Elemaka.

- Nie! - krzyknął Elemak, lecz powietrze już iskrzyło mocą. Protchnu wyleciał w powietrze z szaleńczo rozdygotanymi kończynami. Padł na ziemię, wciąż drgając, i skomlał z bólu.

- Ale z ciebie suka! - szepnął Elemak.

- Niech wszyscy zobaczą, że Opiekunka Ziemi daje moc swoim sługom - odparła. - A teraz niech wszyscy zobaczą, jak Elemak wymierza sprawiedliwość. Powołaj świadków, naradź się z przywódcami ludu kopaczy, za osiem dni wydaj wyrok. A potem, jeśli kopacze i ludzie jednogłośnie zdecydują, żebyś im przewodził, uczynię cię królem wojny Elemakitów.

Uśmiechnął się do niej, bo wiedział doskonale, że ona oddaje wolność kopaczy w zamian za bezpieczeństwo Nafaritów. Schylił się i pomógł synowi, wciąż rozdygotanemu, podnieść się na nogi.

- Pamiętaj jednak - ciągnęła. - Powiedziałam: królem wojny. Wśród ludu nie będzie już więcej króla krwi. Słyszycie mnie wszyscy?

Słyszeli.

- Odtąd zakazuje się jedzenia ciała ludzi i aniołów - mówiła dalej. - Każdy, kto zje zakazane ciało, będzie równie winny, jakby zjadł ciało własnego dziecka. Takie jest teraz prawo ludu! Na całym świecie! A ty wygzekwujesz je od wszystkich kopaczy na wszystkich ziemiach!

- Dzięki za misję - szepnął Elemak.

- Żadnych kopaczy idących za Nafaiem - odszepnęła.

- Myślisz, że go nie wytropimy?

- Żadnych zabójców na drodze.

- Wiem, jaka jest umowa. Wiem, że znów zostałem upokorzony, a tym razem Nafai zabrał moją żonę i wielu moich bliskich. Ale mogę z tym żyć, bo dałaś mi naród. Naród paskudnych gryzoni żyjących w błocie, ale radziłem sobie z gorszymi od nich, gdy jeździłem w karawanach na Harmonii, choć tamci chodzili w ludzkiej postaci. Stanę kiedyś nad ciałem Nafaia. Jeśli to cię pocieszy, Shedemei, nie zjem go. I nikomu nie pozwolę go zjeść. Może poza krukami i sępami.

- Dobrze widzieć, że przepelnia cię duch pojednania.

Posłał jej uśmiech. Potem odszedł od niej i przemówił do kopaczy, którzy wzięli Fusuma:

- Zabierzcie go do mojego domu. A potem zacznijcie przyprowadzać do mnie tych,

którzy coś wiedzą o zbrodniach, które popełnił. - Spojrzał znów na Shedemei. - To zajmie pierwszy dzień.

Shedemei odwróciła się od niego ku Protchnu, którego policzki były poznaczone smugami łez.

- Nie powinnaś mi tego robić - mruknął. - Popełniłaś błąd.

- Byłeś takim obiecującym chłopcem - odparła łagodnie. - Wiele tragedii zrodziła ta wieczna wojna między braćmi, ale ty budzisz mój największy smutek.

Zsiniał z wściekłości.

- Zabiję go, Shedy. Zabiję ich wszystkich. Wszystkich bez wyjątku.

- A więc jesteś pewien, że twój ojciec zawiedzie?

- Zabiję wszystkich, których on nie zdoła zabić.

- Znasz prawdę, Protchnu. Przestań roić marzenia o zemście i naucz się być przywódcą. Ci ludzie potrzebują króla o wiele bardziej, niż twój ojciec potrzebuje usprawiedliwień. Zawsze pragnął władzy. Teraz ją ma. Zobaczysz, będzie niby prowadził wojnę, ale przegra, bo jego apetyt został zaspokojony.

- Nie znasz ojca - powiedział dumnie. - Ani mnie nie znasz.

- Więc może zaskoczycie nas wszystkich.

*

Osiem dni później Zdorab powrócił w kapsule. Przybył w dniu, gdy Fusum został stracony - jeden z żołnierzy poderżnął mu gardło. Ciało zbrodniarza powieszono na konarze drzewa, by nie dotykało świętej ziemi. Wtenczas Shedemei z rozświetloną skórą wystąpiła naprzód i uroczyście mianowała Elemaka królem wojny. Kopacze wiwatowały na jego cześć, a potem przyglądały się w milczeniu, gdy Shedemei i Zdorab wznosili się w kapsule, aż wlecieli do wieży przez wysoki, szeroki luk.

Elemak od razu wyruszył na czele dwustu żołnierzy, zostawiając Muzhestvo - najmłodszego syna Mebbekewa, teraz już dwudziestotrzyletniego mężczyznę - by rządził ludem pod jego nieobecność. Armia Elemaka była już w połowie drogi w górę kanionu, gdy statek ożywił się z rykiem i wzniósł w niebo.

Stał się kolejnym punkcikiem światła na nocnym niebie, krążąc i krążąc, od czasu do czasu zmieniając pozycję. Nazywano go „Basiliką”, choć z czasem nikt nie pamiętał dlaczego ani że kiedyś był wieżą stojącą obok pierwszej osady, którą ludzie zbudowali na Ziemi.

Gdy armia Elemaka dotarła do kamienistego klifu, który zagradzał południowe przejście do Ziemi Nafaia, anioły zaatakowały z powietrza, rażąc strzałkami plecy żołnierzy. Dwadzieścia kopaczy poległo, czterdzieści odniosło rany. Najeźdźcy zawrócili. Elemak

nauczył ich wykonywać pancerze, by za rok mogli spróbować ponownie.

I tak to trwało rok za rokiem. Lecz pomiędzy daremnymi wojnami oba narody rosły w siłę, oba wysyłały handlarzy i nauczycieli, by rozpowszechniali nowinki rolnicze i nowe doktryny militarne, nowe mity, legendy i religie po wszystkich miastach kopaczy i osadach aniołów.

Mijały pokolenia. Ludzi rodziły się setki, potem tysiące, a potem dziesiątki tysięcy. Nie było podziemnego miasta kopaczy, nad którym by nie stały ludzkie domy, a w każdej osadzie aniołów ludzie wtórowali mieszkańcom podczas wieczornych pieśni. Wśród obu społeczeństw przyjęło się nazywać istoty ludzkie mianem „śródludzie”, gdyż sytuowali się między aniołami w niebie a kopaczami pod ziemią.

W niebiosach krążył statek. Shedemei i Zdorab spali długo i często. Gdy budzili się, używali kapsuły, by badać teren, zbierać próbki, wdrażać nowe odmiany, dodając piękno ogrodowi Ziemi. Z czasem ciało Zdoraba się wyczerpało, a Shedemei złożyła je na polu kwiatów, które przywiozła z Harmonii. Potem budziła się rzadziej. Lecz wciąż od czasu do czasu odwiedzała Ziemię, dbała o ogrody i obserwowała, jak ludzie rozprzestrzeniają się po powierzchni planety, coraz mądrzejsi, coraz gniewniejsi. I zawsze wojujący.

Co innego mogło się stać? Rodzaj ludzki znów był w domu.

PODZIĘKOWANIA

Za pomoc w powstaniu tej książki jestem wdzięczny:

Erin Absher - za to, że wszystko szło gładko, gdy dom Cardów był pogrążony w permanentnym kryzysie, dzięki czemu mogłem się odizolować i spisać te zmyślane historyjki;

Geoffreyowi Cardowi - za dziury w drzewach prowadzące do tuneli pod ziemią;

Mike'owi Lewisowi i Dennisowi Childowi - za topografię i rzeźbę terenu za następnych czterdzieści milionów lat;

Clarkowi i Kathy Kiddom - za wasz stół w jadalni, wypad nad morze ze złamaną nogą i wytrzymanie czterdziestu ośmiu długich rozmów przy kolacji;

Uczestnikom mojej sesji „tysiąca pomysłów” podczas sympozjum science fiction na Uniwersytecie Brigham Younga, gdzie wspólnie rozwinęliśmy pierwotny pomysł symbiotycznych kultur kopaczy i aniołów;

Kristine i Kathy - za czytanie i reagowanie na strony, w miarę jak wypływał je faks; i Geoffowi - za chęć poznania, co będzie dalej;

Mieszkańcom Hatrack River, mojego wirtualnego sąsiedztwa na America Online - za ich krytykę i komentarze dotyczące poprzednich części i poszczególnych rozdziałów tej książki, w miarę jak je kończyłem;

Scottowi Allenowi - za przeinstalowanie każdego ważniejszego programu z sześć razy na każdym z pięciu komputerów;

Kathleen Bellamy - za dokładne przeczytanie „Statków Ziemi” tuż zanim zacząłem pisać tę książkę, dzięki czemu mogła przypomnieć mi o wszystkich pytaniach, które pozostały bez odpowiedzi;

Nade wszystko jednak Kristine i dzieciom (Geoffreyowi, Emily, Charliemu i naszej nowo przybyłej, Zinie) - za to, że nadajecie sens mojemu życiu i pracy.